

BIBLIOTEKA
PW
SP.
KRAKÓW

35.450

M. 139



Łonek B.

Kawola Karłowicz

W. S. Gimmoryn

WYPISY POLSKIE

DLA KLASY DRUGIEJ

Zaburkiewicz jest ta
ZKOŁ GIMNAZJALNYCH I REALNYCH

książka (142.)
UŁOŻONE PRZEZ

FRANCISZKA PROCHNICKIEGO I JÓZEFA WÓJCIKA.



Cen 1 zlr. czyli 2 korony.

WE LWOWIE.

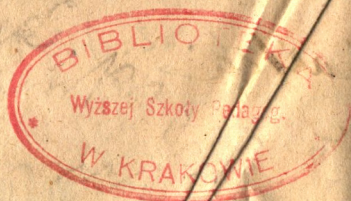
NAKŁADEM WYDAWNICTWA NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH.

1890

1895

Z
el

200
201
203
206
207
209
11



35.450

Z Drukarni Zakładu Narodowego im. Ossolińskich
pod zarządem Juliusza Birkenmajera

Pol

SPIS RZECZY.

	str.
1. Wszystko od Boga, przez Jana Kochanowskiego	1
2. Herkules na rozstajnej drodze	1
*3. Osiołek przebierający, przez Aleksandra Fredrę	2
4. Lata moje dziecięce, wedł. Placyda Jankowskiego	3
5. Krakowiak, przez Edmunda Wasilewskiego	6
6. Z lat dziecięcych cesarza Franciszka Józefa I., według Leona Smollego	7
7. Orfeusz, wedł. A. H. Petiscusa	8
8. Żorawie i bociany, przez Wincentego Pola	9
9. Odlatujące bociany, przez Kazimierza Wodzickiego	9
10. Legenda o bocianie, przez Józefa Ignacego Kraszewskiego	11
11. Miłość ziemi rodzinnej, z Małego Świątko	13
12. Dumka wygnańca, przez Teofila Lenartowicza	13
13. Kruszwica, przez Stan. Stroynowskiego	14
14. Piast, przez Juliana Ursyna Niemcewicza	16
15. Z młodych lat Fryderyka Chopina, według Maurycego Karasowskiego	18
16. Olga, wielka księżna kijowska, wedł. kroniki Nestora	21
17. Dedal i Ikar, przez Józefa Kremera	22
18. Małpa w kąpielu, przez Aleksandra Fredrę	25
19. Przywiązanie jaskółki do człowieka, przez Kazimierza Wodzickiego	25
20. Do skówwronka, przez Władysława Syrokomlę	27
21. Dowcipne odpowiedzi, przez ks. Józefa Pelczara	28
22. Leszek Biały, przez Juliana Ursyna Niemcewicza	28
23. Amfion, wedł. Mytologii Prellera	29
24. Kalina, przez Teofila Lenartowicza	30
25. Narzeczeni, wedł. Józefa Kremera	31
26. Dziad i baba, przez Józefa Ignacego Kraszewskiego	32
27. Piramidy i Sfinks przy świetle księżyca, przez Henryka Sienkiewicza	200
28. Z życia cesarzowej Elżbiety, wedł. F. S. Kretschmayera	201
29. Relikwie św. Krzyża, przez Józefa Ign. Kraszewskiego	201
30. Święta Kinga, przez Józefa Szujskiego	203
31. Zakład narodowy imienia Ossolińskich we Lwowie	206
32. Żądza wiedzy, przez Józefa Szujskiego	207
33. Z życia wróbla, przez Kazimierza Wodzickiego	209
4. Wróbel, przez Ignacego Kracickiego	211

	str.
35. Połów ryb na pojezierzu Bałtyckiem, przez Winc. Pola	49
36. Dowiep Mozarta	51
37. Licyjscy wieśniacy, wedł. Owidego Metamorfoz	52
38. Maciej Zerwikaptur, wedł. Walerego Łozińskiego	53
39. Giermek, przez Franciszka Morawskiego	55
40. Ofiarny wieśniak	58
41. Język, z Wzorów prozy Rymarkiewicza	59
42. Klasztor na Jasnejgórze, wedł. Wład. Zawadzkiego	60
43. Pieśń do Najśw. Panny, przez Łucyana Siemieńskiego	63
44. Cudowne ocalenie, wedł. Przyjaciela Dzieci	64
45. Obyczaj dziecioła, z Wszechświata	68
46. Filemon i Baucyda, wedł. Owidego Metamorfoz	71
47. Świtez, przez Adama Mickiewicza	74
48. Wisła	78
49. Grzesznik nawrócony, przez ks. Józefa Pelczara	82
50. Niezwykła pokora, według Jaroszewicza (Polska Świętych matka)	83
51. Przy pracy, przez Stanisława Jachowicza	84
52. Szlachetność uczonego, wedł. Wincentego Pola	84
53. Zjazd sąsiedzki, przez Ignacego Chodźkę	86
54. Śniadanie myśliwskie, przez Adama Mickiewicza	88
55. Tatry w zimie, przez Wincentego Pola	89
56. Grzegorz z Sanoka	90
57. Niespodziewana obrona, przez Józefa Ign. Kraszewskiego	93
58. Kanarek, z Wypisów Bądzkiewicza	96
59. Ptaszki, przez Łucyana Siemieńskiego	98
60. Miłosierdzie, przez Józefa Szujskiego	98
61. Zgon Pelopidasa, przez Ignacego Krasickiego	100
62. Epaminondas, przez Adama Asnyka	102
63. Las pierwotny w południowej Afryce, przez Henryka Sienkiewicza	103
64. Powrót Zana na Litwę, wedł. Wincentego Pola	105
65. Księżę Sierotka, wedł. Władysława Bełzy	107
66. Z życia kuropatwy, przez Kazimierza Wodzickiego	108
*67. Bekas i kuropatwa, przez Antoniego Góreckiego	110
68. Demostenes i Ateńczycy	111
69. Uczczenie poety, wedł. Walerego Łozińskiego	111
70. Straż pożarna, przez Edm. Amicisa (Pamiętnik chłopca)	114
71. Cerkiew Wołoska we Lwowie, wedł. Izyd. Szaraniewicza	117
Na cześć Boga-Rodzicy, przez Karola Antoniewicza	120
73. Ludzkość	120
74. Z życia Benjamina Franklina, wedł. Zygm. Sawczyńskiego	121
i pszczoła, przez Stanisława Jachowicza	124
Wręczenie medalu zaślugi, wedł. Edm. Amicisa	124
w Lorencowicza, wedł. Władysława Łozińskiego	127
azury, przez Zygmunta Glogera	129
eksander Wielki i Focyon, przez Ignacego Krasickiego	131

	str.
80. Istotne bogactwo, przez Łucyana Siemieńskiego . . .	132
81. Zgon hetmana, wedł. Karola Szajnochy . . .	132
82. Wytrwała praca, przez Józefa Szujskiego . . .	135
83. Kradzione, przez Władysława Syrokomłę . . .	136
84. Śmierć Focyona, przez Ignacego Krasickiego . . .	138
85. Siła woli, ze »Szkoly« . . .	139
86. Do młodzieży, przez Wincentego Pola . . .	141
87. Młodzież krakowska w 1655. r., wedł. Władysława Bełzy . . .	141
88. Jarmark w miasteczku, przez Józefa Ign. Kraszewskiego . . .	142
89. Igrzyska olimpijskie, przez Holzwartha . . .	146
90. Stoł marmurowy, przez Stanisława Koźmiana . . .	150
91. Zamek w Podhorcach . . .	152
*92. Dawni rycerze, przez Adama Pajgerta . . .	154
93. Zgon bohatera, przez Łucyana Tatomira . . .	155
94. Pożar w Rumianie, przez Józefa Ignacego Kraszewskiego . . .	156
95. Poświęcenie . . .	160
96. Lwów, wedł. Władysława Zawadzkiego . . .	161
97. Sprawiedliwość cesarza Józefa II. . . .	166
98. Szlachetny chłopiec, przez Edmunda Amicisa . . .	167
99. Rozbicie okrętu, przez Franciszka Morawskiego . . .	172
100. Pierwsza bitwa Pyrrusa z Rzymianami, przez Ignacego Krasickiego . . .	173
101. Dobry syn, przez Władysława Bełzę . . .	174
102. Przywiązanie do rodzinnej strzechy, przez Walerego Łozińskiego . . .	176
103. Zapożno, przez Jana Nepomucena Jaśkowskiego . . .	178
104. Obrona Syrakuz, przez Gustawa Tissandiera . . .	180
105. Jezioro Genezaret, wedł. Ignacego Hołowińskiego . . .	181
106. Polowanie z sokołem, przez Kazimierza Wodzickiego . . .	183
107. Polowanie z chartami, przez Adama Mickiewicza . . .	184
108. Obrona Trembowli, wedł. Władysława Zawadzkiego . . .	185
109. Błogosławieństwo papieża, wedł. Ant. Edw. Odyńca . . .	187
110. Baublis, przez Ewarysta Estkowskiego . . .	189
111. Nasze drzewa, przez Adama Mickiewicza . . .	190
112. Chłopiec na wedecie, przez Edmunda Amicisa . . .	191
113. Z życia Katona Starszego, przez Ignacego Krasickiego . . .	195
114. Nieproszony gość, przez Józefa Ignacego Kraszewskiego . . .	196
115. Zdania Katona Starszego, przez Ignacego Krasickiego . . .	197
116. Z Ziemi Świętej, przez Juliusza Słowackiego . . .	198
*117. Słup soli, przez Kornelego Ujejskiego . . .	200
118. Cesarz Franciszek Józef I. w Jerozolimie . . .	201
119. Emilusz Paweł i Perseusz, król Macedonii, przez Ignacego Krasickiego . . .	203
120. Staropolska gościnność, wedł. Józ. Ign. Kraszewskiego . . .	206
121. Trzy lipy, wedł. Klem. z Tańskich Hoffmanowej . . .	207
122. Procesy OO. Trynitarzy, przez Karola Szajnochę . . .	209
123. Dwie majówki, przez Ant. Edw. Odyńca . . .	211

124.	Wyjazd na kresy, przez Wincentego Pola	21
125.	Ławra peczerska, przez Józ. Ign. Kraszewskiego	21
126.	Tataczuk, kątnik poleski, przez A. Winiarskiego	21
127.	Tryumf Emiliusza Pawła, przez Ignacego Krasiczkiego	21
129.	Z młodości Tadeusza Rejtana, wedł. H. Rzewuskiego	21
130.	Wśród zboża, przez Józefa Szujskiego	22
131.	Wieczór wiosenny, przez Henryka Sienkiewicza	22
132.	Gra obłoków, przez Adama Mickiewicza	23
133.	Powódź w górach, przez Wincentego Pola	23
134.	Słonecznik, przez Józefa Rostafińskiego	23
135.	Wdzięczność, przez Antoniego Andrzejewskiego	23
136.	Śmierć Pliniusza, wedł. J. Chęcińskiego	23
137.	Konik zwierzyniecki, wedł. Kaz. Wład. Wójcickiego	24
138.	Pieśń włóczyka, przez Edmunda Wasilewskiego	24
139.	Wiedeń i jego okolice	24
140.	Śmierć mojego dziadka, przez Ignacego Chodźkę	24
141.	Róża, przez Leopolda Wajgla	25
142.	Kościuszek w Ameryce	25
143.	Zgon konfederata, przez Mieczysława Romanowskiego	25
144.	Czumaki, wedł. »Kłosów«	25
145.	Starożytny dom rzymski, wedł. Guhla i Konera	25
146.	Wycieczka na Czarnohorę, z Pam. Tow. Tatrzańskiego	26
*147.	Pieśń góralska, przez Józefa Korzeniowskiego	26
148.	Z życia Kościuszki, przez Rogalę	26
149.	Obiór stanu, przez Stefana Witwickiego	26
150.	Dwa dęby, przez Teofila Lenartowicza	27
151.	Pogrzeb Gallusa, wedł. Beckera	27
152.	Pożar lasu, przez Kazimierza Wodzickiego	27
153.	Okrężne, przez Zygmunta Glogera	27
154.	Ruiny amfiteatru w Pola, wedł. dzieła Österreich in Wort und Bild	28
155.	Lew Androkłusa, wedł. Jana Chęcińskiego	28
156.	Kwiat paproci, przez Józefa Ignacego Kraszewskiego	28
157.	Ptaszek i rybka, przez Franciszka Morawskiego	29
158.	Krakowskie wesele przed ces. Franciszkiem Józefem I.	29
159.	Kawał bursztynu, przez J. Dimmela	29
160.	Życie w Alpach	29
161.	Ostatnie igrzyska w Rzymie, przez S. Smilesa	30
162.	Król w gościnie, wedł. Henryka Rzewuskiego	30
163.	Książę Józef Poniatowski i Mohort, przez Wincentego Pola	30
164.	Przejezdny, wedł. Stefana Witwickiego	30
*165.	Rodzinne strony, przez Wincentego Pola	31
166.	Egzamin w Borunach, wedł. Ignacego Chodźki	31
167.	Psalm 144., przez Franciszka Karpińskiego	31

Cybulski
mar. II c 1900

1. Wszystko od Boga.

Od Boga poczynamy, Bóg początkiem wszemu:
Zato początku niemasz ani końca Jemu.
On był jeszcze przed wieki, On dawnych ciemności
Panowanie rozprószył mocą Swej mądrości.
On ziemię wszytkorodną, On morze głębokie,
On utwierdził na wieki niebiosą wysokie;
Dzień i noc — Jego sprawa, i to światło wdzięczne
Niezgaszonego słońca i koło miesięczne;
On też i niebo ubrał gwiazdami ślicznymi,
Aby ludziom znaczyły czasy biegi swemi,
Aby człowiek co w swojej pracy nie szkodował,
Ale owszem z dorobku swego się radował.
Słusznie Go — zawsze naprzód wspominamy,
Naprzód czcimy, bo z Niego wszystko dobro mamy.
Miej cześć, Ojcie łaskawy, Ojcie dobrotliwy!
Ciebie chwalić powinien każdy człowiek żywy.

Jan Kochanowski.

2. Herkules na rozstajnej drodze.

Starożytni Grecy, obdarzeni bujną fantazją i poetyckiem uspo-
sobieniem, cały świat, który ich otaczał, zaludnili mnóstwem bogów
i bogini, a początkowe swe dzieje przyozdobili pełnemi wdzięku
powieściami i podaniami o półbogach i bohaterach. Pomiędzy tymi
bohaterami jaśniej przedewszystkiem wspaniała postać Herkulesa,
przedstawiciela męstwa i rycerskiej cnoty. Wedle podania miał on
być synem samego Jowisza i już w niemowlęctwie dał dowód nad-
zwyczajnej siły, kiedy jako ośmiomiesięczne dziecko zdusił dwa węże,
które wśliznęły się były do jego kolebki. Jowisz za to tak polubił
swojego syna, iż postanowił uczynić go nieśmiertelnym.

Razu jednego Herkules, kiedy już z pacholęcia w dorodnego
wyrósł młodzian, szedł sam drogą, pogrążony w głębokiej zadumie.

Naraz ujrzał się w miejscu, gdzie droga rozstajna na dwie przeciwnie rozchodziła się strony. Zatrzymał się tedy Herkules i rozmyślał, którą z nich ma obrać. Wtem zjawiły się przed nim dwie boginie, z dwóch przeciwnych stron przybywające. Jedna z nich piękna i powabnej postaci, zaufana w swe wdzięki, śmiałym doń przystąpiła krokiem, a widząc, iż się waha, którą obrać drogę, zaczęła mu obiecywać tysiące uciech i przyjemności ziemskich, jeżeli zechce pójść za nią.

— Któż ty jesteś? — zapytał Herkules, mierząc ją wzrokiem badawczym.

— Ci, którzy głosu mego słuchają — odrzekła z ponętym uśmiechem — nazywają mnie rozkoszą, moi przeciwnicy zwą mnie występkiem.

Na te słowa zwrócił bohater oczy na ową drugą boginią, która z przeciwnej nadeszła strony. Była ona wprawdzie nie tak powabna i piękna, jak tamta, ale zato jaśniał na jej twarzy niebiański spokój i wdzięk prawdziwie boski. Skromna lecz pełna godności, patrzyła ona na Herkulesa wzrokiem wesołym i pogodnym.

— A ty dokąd mię powiedziesz? — zapytał bohater.

— Ja — odrzekła — poprowadzę cię drogą pracy i obowiązków, drogą trudów i niebezpieczeństw, lecz w nagrodę za to dam ci nieśmiertelność i sławę.

Wyrazy te trafiły do serca młodziana, który uczuł w sobie powołanie do wyższych celów, do pracy dla dobra ludzkości. Nie namyślając się już dłużej, wzgardził Herkules rozkoszami ziemskimi, podał rękę skromnej bogini cnoty i poszedł za nią ochoczo. Ona poprowadziła go wprawdzie drogą ciernistą i uciążliwą, ale zato sprawiła, że stał się dobroczyńcą ludzkości i najsłynniejszym bohaterem greckim.

3. Osiołek przebierający.

Osiołkowi w żłoby dano
W jeden owies, w drugi siano.
Uchem strzyże, głową kręci:
I to pachnie i to nęci.
Od kłóregoż teraz zacznie,
Żeby sobie podjeść smacznie?
Trudny wybór, trudna zgoda:

Chwyci siano, owsa szkoda;
Chwyci owies, żal mu siana.
I tak stoi aż do rana,
A od rana do wieczora;
Aż nareszcie przyszła pora,
Że oślina pośród jadła
Z głodu padła.

Aleksander Fredro.

4. Lata moje dziecięce.

I.

Śród wioski biednej, jak wszystkie wsi litewskie, stoi jeszcze dotąd domek, w którym żyli moi rodzice. Łatwo go odróżnić od innych wiejskich po murowanym kominie, po ogródku owocowym i bramie wjazdnej, która równie rzadko jak drzwi świątyni Janusowej bywała zamykaną. Kiedym był dzieckiem, była to moja ulubiona huśtawka. Nie strzegły jej nigdy psy nauczone do rzucania się na obcych ludzi, gdyż mój ojciec, ksiądz unicki, zwykł był mawiać, że jest nie tylko pasterzem, ale i sługą powierzonej sobie od Boga trzódki, a zatem mieszkanie jego we dnie i w nocy powinno stać dla nich otworem. Na przestrogi dobrze życzących odpowiadał, że szacunek i miłość sąsiadów najlepszą są strażą domu.

Ileż to wspomnień wiąże się dla mnie z małym kwiatowym ogródkiem, założonym przed oknami domku przez naszą matkę i uprawianym potem łącznymi siłami przez nas wszystkich! Od tego czasu widziałem wiele pięknych ogrodów, a jeszcze więcej o nich czytałem, jak n. p. o wiszących ogrodach babilońskich, o sadach hesperyjskich, lecz nigdzie ani czytałem, ani widziałem nic piękniejszego nad malwy, stokrocie i aksamitki z naszego ogródka. Bo też w przestrzeni kilku kroków zawierało się w nim wszystko. Były tam dzikie gaiki nasadzone z łoży, sadzawki codziennie świeżą nalewane wodą, papierowe kioski, w których się ochładzały płóciennne lalki lub uprzywilejowane sine kamyczki, chińskie pagody burakowe z drewnianym u wierzchu krzyżykiem, zwierzyniec na motyle i ślimaki — ~~wszystko~~ było tam wszystko, co tylko mogło być znajomem w świecie naszej wioseczki.

Potężny płaski kamień, leżący dotąd pod progiem domu, przywala także mnóstwo moich pamiątek. Na nim to odmawialiśmy latem ranne i wieczorne modlitwy, na nim staliśmy lub klęczeli za pokutę, na nim jadaliśmy mleko, groch w strączkach, jagody i orzechy, na nim to na koniec odbywały się zwyczajnie nasze posiedzenia naukowe. Tu dowiedzieliśmy się pierwszych prawd religii, pod otwartym niebem, z ust ojca; tu słuchaliśmy z najlepszą wiarą legend i bajek.

Lecz zaglądnijmy już do środka biednego domku.

Na wstępie witał każdego uprzejmie siwy, lecz pełen zdrowia ec, wychodząc gościnnie na spotkanie gościa, a tchnący otwar-

— * —

tością, wolną od przesadzonej uniżoności. Był on równie uprzejmy dla ludzi wyższego stanu, jak i dla biednych wieśniaków, cenił władzę, urzędy, lecz niemniej szanował imię człowieka.

Wewnętrzne urządzenie mojego rodzinnego mieszkania, podobnie jak wszystkich mieszkań księży ruskich, było bardzo skromne, prawie ubogie.

Dwie malutkie izdebki zdały mi się w latach mego dzieciństwa pałacem Salomona. Dzięki wyobraźni miałem w nich wszystko: ośm kątów izby i alkierza były dla mnie tyluż europejskimi stolicami. Na trzcinie mojego ojca przejeżdżałem od jednej do drugiej o wiele prędzej, niżeli dziś żelaznemi kolejami. Rozrządzałem się w moich stolicach samowolnie, rozdawałem je siostróm i gościom jak Aleksander Wielki lub Napoleon, nakazywałem i odbierałem natychmiast niesłychane kontrybucye piasku i kamyków.

Przy pomocy ojca wiedziałem wkrótce imię każdego z monarchów europejskich, których tylekroć na dzień odwiedzałem; nauczyłem się, jaką drogą najbliżej mi będzie do Warszawy, Londynu, Paryża i t. d., i tym sposobem, pilnując się starannie raz wskazanej drogi, całą niemal mapę miałem w pamięci wprzód jeszcze, nim mi się zdarzyło spotkać z prawdziwą kartą geograficzną. Zastępowała mi ją posypana piaskiem i potrząśniona gdzieś niedzie tatarskiem zielem podłoga. Większy lub mniejszy kawałek ajeru oznaczał większe lub mniejsze miasto, rowki pociągnięte na piasku wyobrażały rzeki i ich kierunek, a różnej wielkości wzgórki piasku, bardzo naturalnie, były Apeninami albo Karpatami. W przeciągu kilku tygodni objechaliśmy z mym ojcem całą Europę, a w rok niespełna całą prawie kulę ziemską, i o każdym kraju wiedziałem coś charakterystycznego. Tym sposobem ten dobry ojciec dopomagał pamięci dziecinnej.

Dotąd jeszcze stoją mi w oczach wszystkie sprzęty naszego domu, w takim porządku, w jakim były za czasów mojego dzieciństwa. Po prawej ręce od progu stał zegar z czerwoną kukawką. Ach! trzeba było widzieć, jakie znaczące spojrzenie rzucaliśmy na gości, gdy ten zegar uderzał godzinę. W spojrzeniu tem malowało się zapytanie: »Widzieliście-że co podobnego?« Potem był Paryż. Przypominam sobie, że stała w nim samolówka. Dalej przy ścianie, właśnie na gościńcu do Lyonu, stały dwa drewniane stołki, z których szczególnie jeden nabył prawa do mojej pamięci. Rzucałem raz śniegiem na chodzącego z kramem żyda. Ojciec mój

zegl to z okna i rozkazał, abym przeprosił kramarza. Nie
ułem. Co mię za to spotkało, mógłby chyba ów stołek powie-
ć. Dalej następował stół, na którym zwykle jadaliśmy; dalej
apka, nazywana gościnną stąd, że była przeznaczoną dla noclegu
tego, kto tylko zażądał gościnności. Dalej stolik naszego ojca
rucyfiksem, metrykami, księgami i papierami. Odkreślonym on
na mojej mapie i dla swej nieprzystępności nosił nazwisko
raltaru. Tuż przy stoliku, na osobnym także nietykalnym stołku
ała historia biblijna, cała w półarkuszowych rycinach. Oprócz
dzin lekcyjnych mogliśmy ją przezierać tylko w niedziele i dni
iąteczne, gdy opowiadaliśmy z niej pod przewodnictwem ojca
storyę świętą dla czeladzi i wiejskich dzieci. Dawno już nie
działem tej świętej księgi. Chciałbym ją teraz widzieć dla zdania
bie sprawy z wrażenia, jakie zawsze czynił na mnie Samson,
alający galeryę Filistynów. Miejsca, w których wydane są roz-
odzące się kolumny, zawsze zdawały mi się przedartemi. Dalej
tało łóżko mojego ojca, przy niem parę krzeseł, obitych czarnem
omowej farby płótnem, i duża dębowa szafa, do której zaglądać
e było nam wolno; był tam bowiem schowek na miód, suszone
ruszki, pierniki, ser jabłeczny i inne domowe łakocie, przyrzą-
zane przez naszą matkę.

na ziemię: jagody, miód, orzechy, ogórki, groch, owoce! Gdyśmy maczyli w szkole z ustępu Owidyusza o stworzeniu świata ten wie

Aurea prima sata est aetas etc. (Najpierw stworzony wiek złoty i t. d.), nikt z nas nie wątpił, iż najpierwej zostały stworzone wakacje.

Zda mi się, że żaden rzymski imperator, wjeżdżając do Rzymu, nie czuł szerszej i dumniejszej radości nade mnie, gdy po raz pierwszy jechał na wakacje parą siwych koni, na wysokim, drabinami opatrzonym, z dumą na czole, z pochwalnym świadectwem w ręku. Pragnąłem co najprędzej dostać się do domku skrzydłami, zda się, przeleciałbym przestrzeń tych mil pięciu; tymczasem nieubłagany stary woźnica zatrzymywał się przed każdą karczmą, co pół mili miał coś do poprawienia. Przyjechałem do domu rokiem przynajmniej później od moich myśli i planów. Za widok ojca, rodzeństwa i domowych kątów nagrodził mi tę zwłokę. W imię szkolnego świadectwa dębowa szafa została przede mną otworzoną, jadłem pierniki, wertowałem biblię illustrowaną, biegałem swobodnie po ogrodzie i łące, bawiłem się ze zrebietami, drażniłem indyki — byłem szczęśliwy, zasnąłem upojony szczęściem.

Nazajutrz obudziłem się równo ze wschodem słońca, lecz już nie znalazłem przy łóżku szkolnego mojego munduru. Natomiast leżała szara płócienna kurteczka, słomiany kapelusz i coś podobnego do starożytnych koturnów; były to wiejskie chodaki, miernie plecione z kory. W tym strój podłem

na zabawę

Ale łza dziecięcia przecież szczęściem ludzi,
Choć na chwilę smuci, zgryzot nie obudzi!
Nie obudzi zgryzot i serca nie splami —
Radbym żywot cały płakać dziecka łzami!
Płakać dziecka łzami i z dziecka uśmiechem
Przeigrać, prześpiewać to życie z pośpiechem.

Edmund Wasilewski.

6. Z lat dziecięcych cesarza Franciszka Józefa I.

Było to w czwartą rocznicę urodzin cesarza Franciszka Józefa I., dnia 18. sierpnia 1834. roku. W ogrodowej altanie siedzieli oboje cesarstwo, Franciszek I. i Karolina Augusta, a obok nich bawił się solenizant wnuczek. Z najżywszą radością oglądał mały arcyksiążę wszystkie nowe zabawki, jakimi go obdarzyli rodzice i krewni w uroczystość urodzin. Naraz zwrócił na siebie uwagę dziecka żołnierza, straż pełniący, który jednostajnym krokiem chodził tam i sam przed szklanymi drzwiami pawilonu.

— Prawda, dziaduniu, ten człowiek musi być bardzo biedny? — zapytał arcyksiążę cesarza, który z uśmiechem zadowolenia przypatrywał się zabawom dziecka.

— Z czegoż to wnosisz, moje dziecię? — odparł cesarz.

— Bo musi stać na warcie.

— Wtedy cesarz dał księciu złoty pieniądz, ażeby go ofiarował żołnierzowi. Żołnierz jednak sprezentował broń i stał nieruchomo, nie sięgając wcale po pieniądz mu podawany. Zakłopotany książę spoglądał to na żołnierza, to na cesarza. Wreszcie cesarz mu wytłómaczył, że żołnierzowi stojącemu na straży nie wolno nic brać, i poradził mu, żeby włożył pieniądz żołnierzowi do torby na naboje. Ale i to niestety okazało się niewykonalnem; choć bowiem książę wspiał się na palce, nie mógł małemi rączkami dosięgnąć tak wysoko. Wkońcu przyszedł sam cesarz na pomoc, podniósł wnuka do góry, a malutki książę, otworzywszy torbę, wsunął do niej pieniądz. Potem zawołał uradowany:

— Prawda, dziadziu, teraz ten żołnierz nie będzie już biedny.

— Już my jakoś poradzimy na to — odrzekł wesoło cesarz.

I rzeczywiście, kiedy się cesarz przekonał, że ten żołnierz był jednym z najlepszych w całym pułku, zajął się po ojcowsku jego losem.

7. Orfeusz.

*opochodzenie
wierszy z lat
b. s.*

Na północ od Grecyi, w ziemi trackiej, w pobliżu góry Helikonu urosło niegdyś podanie o Orfeuszu. Miał on być najdawniejszym śpiewakiem greckim, synem Apollina i muzy Kalliopy. Gdzie się kształcił, gdzie był przedtem, nim przybył na ziemię grecką, różnie o tem mówiono. Jedno podanie głosiło, że wraz z Heraklesem był uczniem sławnego w starożytności muzyka Linosa, inne zaś, że młodość swą spędził w Egipcie i tam się w muzyce wydoskonalił.

Wielką i po wszej ziemi greckiej głośną była jego sława. Grał on cudnie na lirze czyli na lutni a śpiewał tak czarująco, że całą wzruszał przyrodę, ptaki w powietrzu, ryby w wodzie; zwierzęta dzikie, w śpiew jego wsłuchane, opuszczały kryjówki swe leśne i szły za nim; czarowny głos jego nawet drzewa, góry i skały poruszał.

Opiewał on szczególnie żonę swoją, piękną nimfę Eurydykę, która, od węża ukąszona, bardzo młodo umarła. Po jej stracie płakał Orfeusz, chodząc z lutnią swą po drogach i ścieżkach, po łąkach i polach; skargi i żale poety tak były wymowne, że nawet nimfy gór i dolin pieśniom jego wtórowały. Wreszcie odważył się Orfeusz zejść nawet w ciemną głąb podziemnego świata, gdzie rzewną swą pieśnią tak silnie wzruszył serce Plutona i Prozerpiny, iż pozwolili mu zabrać Eurydykę, jednak pod warunkiem, że, póki nie wróci na powierzchnię ziemi, sam pójdzie naprzód i ani razu za nią się nie obejrzy. Długo tak szedł Orfeusz naprzód, posłuszny rozkazowi bogów; już widział zdala słaby promyk światła dziennego, gdy wtem opanowała go niepewność i obawa, czy też Eurydyka podąża jego śladem. Niespokojny, raz i drugi zawołał ją po imieniu; lecz gdy nie otrzymał żadnej odpowiedzi ani nie usłyszał za sobą najłżejszego szelestu jej kroków, nie zdołał już dłużej zapanować nad sobą i — oglądnął się. W tejże chwili Eurydyka zniknęła z przed oczu jego na zawsze.

Strapiiony poeta powrócił na ziemię, a żal i zgryzota napęłniły jego serce. Odtąd ręka jego nigdy już nie dotknęła się strun czarodziejskiej lutni ani z ust jego pieśń się już nie ozwała. W smutku pogrążony, siedm całych miesięcy przesiedział nad brzegiem Strymonu, bez jadła i napoju, a nawet bez świadomości siebie; potem długo błąkał się po bezludnych pustyniach, cały boleści oddany; wreszcie udał się w wysokie, śniegiem pokryte góry Hemu i Rodopy,

gdzie go rozszarpały szalone Menady. Poszarpane członki jego po-
grzebały Muzy u stóp Olimpu, głowa zaś jego i lutnia popłynęły na
falach Hebru aż do morza, a stąd z miłym dźwiękiem i z cichym
szepem pieśni dostały się aż do wyspy Lesbos, która też potem
zasłynęła pieśniami i wielką liczbą mistrzowskich poetów. Tutajto,
u grobu Orfeusza, dzięki jego błogosławieństwu, cała natura szcze-
gólnie nastrojała do pieśni; tutaj nawet słowiki piękniej, niż gdzie-
indziej śpiewały.

8. Żórawie i bociany.

Szczęśliwi posłowie! powietrzni żeglarze!
Powiedźcie, kto lecieć w narody wam każe
Z tą wieścią pogody i ciepłej już rosy?
I czemu dla świata tak miłe te głosy?

Kto was to tej drogi i pieśni tak uczy?
I co to się w duszy i budzi i sieje,
Gdy łańcuch żórawi w niebiesiec! zakruczy,
Że serce tak bije i oko młodnieje?

Bo każdy was śledzi i każdy was wita
I każdy poznaje na niebie po wrzawie
I nieba i serca o wieści się pyta:
»Hej lecą i kruczą, żórawie! żórawie!«

A całe już lato nie słychać żórawia,
Lecz bocian się pora nad strzechą klekotem
I stare swe gniazdo na wiosnę odnawia
I sioło okrąża stróżliwym swym lotem.

I żóraw obudził, a bocian weselił . . .
I zbiegło tak lato, jak z bicza wystrzelił . . .
I każdy się cicho ogląda na ściany
I westchnie boleśnie: »Już lecą bociany! . . .«.

Wincenty Pol.

9. Odlatujące bociany.

Bociany różnią się swą wędrówką od innych ptaków. Kiedy
większa część ptaków wędruje w nocy, one najczęściej wędrują
w dzień. Gdy pora późna lub wiatr pomyślny, lecą dzień i noc,
nie spoczywając, wyjąwszy czas potrzebny do zaspokojenia głodu.
Nie śpieszą się w wędrówce. Kiedy już są na miejscach zbórnych,
wtedy, mając żer obfite, i tydzień cały bawią, poczem się skupiają

i znowu na oznaczone miejsce lecą, aby kilka dni wypocząć i pożerować.

Ciekawy to widok, gdy w połowie sierpnia zaczynają się u nas gromadzić bociany.

Na wielu gniazdach dorosłe już młode bocianki przez tydzień cały próbują skrzydełek, a nie mając dosyć miejsca na gnieździe, trącają się i spychają wzajemnie. Gdy niebezpieczeństwo spadnięcia się wzmacza, każdy szuka równowagi — i spokojność na chwilę przywrócona. Lecz niebawem najstarszy próbuje jedno wyciągnąć skrzydło, które swą nogą rozpycha, jak tylko może, tak dalece, że zakrywa braci i siostry; potem tak samo postępuje z drugim. Rodzeństwo zazdrosne naśladuje starszego. Kiedy już skrzydła dobrze wypróbowane, a rodzice przez dni kilka nad gniazdem dla przykładu i zachęcenia toczą koła powietrzne i próżniakom młodym już pożywienia nie przynoszą, aby ich do lotu zmusić: wtedy podrywają się bocianki na kilka stóp w górę i spadają na gniazdo, jeden po drugim. Później podnoszą się na kilka metrów, aż nareszcie najodważniejszy puści się lotem na sąsiedni budynek; za nim puszcza się drugi i całe rodzeństwo, a spróbowałszy jeszcze raz skrzydeł, czy się na nie spuścić można, podlatują nareszcie i wszystkie razem coraz szersze koła toczą.

Ośm do czternastu dni ten sam tryb życia prowadzą, oddane wyłącznie kółku familijnemu; a gdy już młodzież doskonale krąży i zręcznie żeruje, wtedy jakgdyby na umówione miejsca lecą i tam w tym samym czasie z innemi rodzinami się spotykają. Widzimy ich najpierwej 12, później 18, 24, 30 itd.; prawie zawsze szóstkami przybywają: dwoje starych, czworo młodych. Rano zabierają się znajomości, młodzież osobno, starsi w innej stronie; jedni drugim się przypatrują, a gdy już nastąpiło pobratanie, wtedy liczne te rodziny poważnym krokiem przemierzają pola, szukając pożywienia. Ku wieczorowi wznosi się całe towarzystwo do lotu, krąży coraz wyżej, aż nareszcie pod obłokami wydają nam się jak ptaki wielkości wrony i znikają z widnokregu.

Niechże nikt nie myśli, że to już odlot, bo tak nie jest. Każde grono rodzinne po tych przygotowawczych manewrach powraca do gniazda, jakby na ostatnie pożegnanie; tam wszyscy wieczorem i rano chórem zakłapią i śpieszą na miejsce ogólnego zebrania. Trwa to dni kilka. Już w czasie tych częściowych zebrzań zdarzają się pojedyncze egzekucye lub prześladowanie nedorodków,

i dopiero po ćwiczeniu, codziennie odbytem, wznosi się gromada, złożona z 20, 30, 40 bocianów, podług tego, jak licznie w blizkiej okolicy się gnieździły, i znowu jak gdyby na umówione miejsce lecą i zastają jedną lub dwie gromady równie liczne. Na tych liczniejszych zborach odbywają się takie same ceremonie, znajomości, ćwiczenia powietrzne; a jeżeli się już uznają za skompletowany korpus, wybierają się w podróż lub ciągną na miejsca jeszcze większych zebrań. Na tych sejmikach musztrują się wzajemnie, próbują w powietrzu sił swoich, przyczem widocznie stare bociany są nauczycielami; widać ich, jak się nasamprzód podnoszą, kołując w powietrzu, górują nad innymi, wznoszą się pod błękit nieba, przywołując młodzież do tych ćwiczeń, potrzebnych niezbędnie, aby odbyć przyszlą podróż. Na tych ogólnych miejscach zgromadzenia, najczęściej na bagnistych łąkach, mokrych stepach lub nadrzecznych płaszczyznach, bawią dni kilka, radzą, sejmikują, dzielą się na partye, każdego z osobna egzaminują, jednych zabijają, drugich odgonią — aż nareszcie, najczęściej dodnia, bez hałasu znikają, a to tak cicho, że chwili tej zajmującej dopatrzeć trudno.

Kazimierz Wodzicki.

10. Legenda o bocianie.

Czegoś, smutny mój bocianie,
Zwiesił dziób twój, szyję schylił,
A wesołe klekotanie
Brzmi, jak gdybyś po czemś kwilił.
Powiedz, ptaku, coś takiego?
Brak ci kogo? brak ci czego?

— Gospodarzu brak mi więcej,
Nizli głos mój ci wypowie;
Bo i w duszy jest zwierzęcej,
Czego w ludzkim niema słowie.

Brak mi — powiem — kraju mego!
Tęsknię za nim! kary Boże
Obciążyły mnie biednego,
Jedna śmierć je skończyć może!

— Powiedz, ptaku, co za kary?
Jaką zbrodnię popełniłeś?
Ty, przyjaciel ludzi stary,
Czyliż kiedy ich zdradziłeś?

— Nie! Posłuchaj! Przed wiekami,
Kiedy świat był jeszcze młody,
Żyłem z braćmi nad brzegami,
Co Egiptu roszą grody.

O! weselsze było życie,
Inne życie, inne pierze,
Różnobarwne piór pokrycie, - -
Inna dusza, inne zwierzę!

Cóż, gdym nigdy nie miał serca?
Cóż, gdym nigdy nie znał domu?
Leciał wesół z łąk kobierca,
Od rodziny pokryjomu
Wykładał się gdzieś za morza,
Głodny nowin i podróży,
Chcąc tam zajść, gdzie wschodzi zorza,
Skąd wiatr wieje, gdzie dom burzy.

Gdy za grzechy ziemia cała
Wszystka potopem się zlała,
I szły do arki zwierzęta,
Starca Noego rozkazem;
Ciżba ich strachem przejęta,
Żalem i tęsknotą razem,
Gdy do korabia ciśnięta
Pędzona szła na wygnanie:
Wszystkie naówczas zwierzęta
Stały ziemi pożegnanie,
I każdy oczy odwrócił
Ku gniazdu, które porzucił.
Jam jeden z tysiąca może
Wszedł do arki śmiałym krokiem,
Ni łąą nr sercem ni okiem
Nie rzuciwszy po przestworze,
Gdzie nasze gniazda strzaskały
Wicher, burza i wód wały.

A Bóg, co to widział z góry:
— Przeklętyś! — wyrzekł — przeklęty!
Żałobnemi odział pióry,
I gdy świat ujrzał dzień święty,
Arki otwarto podwoje,
Czarne-m podniósł skrzydła moje,
Lecąc z tęsknotą nieznaną,
Za ojczyzną ukochaną.
Dwie ich rozdarły mi duszę,
Za jedną z nich tęsknić muszę,

Ku innej lecę zbolały,
Za inną kwilę w polocie.
Tak dzielę żywot mój cały
W dwoistej ciągłej tęsknocie,
I wiodąc życie tułacze,
Zawsze po kraju mym płaczę.

Józef Ignacy Kraszewski.

11. Miłość ziemi rodzinnej. *Opowiadanie*

Młody jeden mieszkaniec Australii dostał się do stolicy Francji. Jak w czasie całej podróży, tak i w ciągu kilkotygodniowego pobytu w Paryżu pamięć o ziemi rodzinnej zaprzętała wszystkie jego myśli, a rodzący się stąd smutek ogarniał jego duszę do tego stopnia, że ani wspaniałe gmachy ani piękne wystawy sklepowe nie zdołały zająć jego uwagi ani umysłu rozerwać.

Pewnego dnia zaprowadzono go do ogrodu botanicznego. Kiedy wszyscy inni zachwycali się przepysznymi kwiatami, wodotryskami, prostymi alejami drzew: wzrok jego padał obojętnie na te przedmioty; nie miały one dla niego żadnego uroku, bo nie było pomiędzy nimi szumiących potoków, bujnych trawników ani gęstych lasów, jakie zostawił w ojczyźnie. Naraz zajaśniały biednemu wygnañcowi oczy; z okrzykiem radości biegnie ku drzewu, z uniesieniem je obejmuje i łzy radości spływają mu po twarzy. Takie same liście, jakie ocieniały dach jego chaty rodzinnej, rozbudziły w nim na nowo wszystkie wspomnienia ojczyzny; przez chwilę zdawało mu się, że ją widzi, i czuł się szczęśliwym.

Lecz błogie to złudzenie wnet ustąpiło smutnej rzeczywistości; oczy jego poznały kraj obcy i znowu czuł się osamotniony, jak owo drzewo w ogrodzie botanicznym, które mu chwilę szczęścia sprawiło.

12. Dumka wygnańca.

Na dolinie na zielonej
Widzę w dali wioskę małą,
Domek płotem ogrodzony,
Na zakręcie brzozę białą.

Do gościńca droga długa,
Na niej lipy i topole;
Poza wzgórzem srebrna struga,
A za drogą szczere pole.

Nawet kwiatki także prawie
Na pagórku, na przydrożu :
Dziki piołun w bujnej trawie
I bławatki rosną w zbożu.

Gdyby jeszcze tam na boku
Krzyż się chylił na rozstaju ,
A dąb siwy u potoku :
Tobym myślał, żem już w kraju.

Jaka cicha, szczęsna chatka,
Przy niej matka, dziewcząt dwoje ;
Czemuż to nie moja matka,
Czemuż to nie siostry moje?

Słońce zaszło za lasami,
Lud wesoły idzie z pracy;
Czemuż się nie cieszę z wami,
Czemuż wyście nie Polacy?

Ptāk powrócił w swoje gniazdo,
Zwinął skrzydła utrudzone ;
Chmurna losów moich gwiazdo,
Gdzież mnie wiedziesz, w którą stronę?

Płyńcie, płyńcie łzy tęsknoty,
Nieutulne łzy tułaczę !
Może, jeśli dzień przepłaczę,
Noc przyniesie mi sen złoty.

Teofil Lenartowicz.

13. Kruszwica.

Liche dzisiaj miasteczko w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, Kruszwica, liczy zaledwie 70 chat, krytych dachówką lub słomą, a 700 głów ubogiej ludności, która się jedynie rolnictwem zajmuje. W odległej starożytności była ona stolicą książąt, panujących nad znaczną częścią Polski. Wznosił się tu zamek Popielów, o których upadku przechowało się podanie w późne wieki.

Dwa zaledwie szczątki dawnej świetności Kruszwicy dotrwały do naszych czasów: wieża zamkowa i kościół, niegdyś katedralny.

Pierwotny zamek kruszwicki, przeważnie z drzewa zbudowany, zgorzał prawie do szczętu podczas wojen domowych w w. XIII.; podźwignął go z upadku dopiero Kazimierz Wielki, który na miejscu dawniejszego drewnianego wystawił nowy z kamienia i cegły. Ale nie-
długo już trwała świetność starodawnego grodu; już w wieku XV.

podupadła Kruszwica tak bardzo, iż nie różniła się prawie od zwykłej wioski. Wprawdzie ratowali ją następni królowie, nadając miastu różne przywileje; jednakże zamek podupadał coraz bardziej, aż wreszcie do ostatniej ruiny doprowadzili go Szwedzi, którzy go, wychodząc z Polski, ograbili i zburzyli. Odtąd zapomniano o dawnym grodzie Popielów.

Z daleka widać zamkową basztę nad jeziorem Gopłem, w położeniu pięknem i obronnem. Na pagórku, który niegdyś był wyspą, a dziś leży nad samym brzegiem modrego jeziora, na okrągłej kamiennej podstawie, wznosi się ośmiokątna, doskonale z cegły murywana wieża. Zbudowano ją bezwątpienia w czasie, gdy Kruszwica była handlowem i bogatym miastem, a służyć ona wtedy musiała do straży i do przyświecania żeglującym po jeziorze statkom. Do wieży przypierają resztki ścian ceglanych, które pozostały z dawnego zamku. Na równi z ich wysokością znajduje się w baszcie otwór drzwi, przez które się do wnętrza wieży wchodziło. Na dalszej przestrzeni pagórka pozostały tylko ślady fundamentów i rozrzucone gruzy rozległego zamczyska.

Drugim pozostałym w Kruszwicy pomnikiem lepszej przeszłości jest katedra. Stoi ona na pustem, bezdrzewnem wzniesieniu, na południowym brzegu Gopła, naprzeciw miejsca, na którem według podania stała chata Piasta. Kościół zbudowany jest z sześciennych kostek kamiennych, wieża zaś z cegły. Podupadła z czasem świątynię odbudowano i odnowiono w bieżącym stuleciu. Nie szczędzono kosztów, atoli całość nie sprawia głębokiego wrażenia; za wiele tu światła, za wiele złocen. Niema też żadnych prawie pamiątek, któreby nam dawne czasy piastowskie przypominały. Rzewny smutek ogarnia tu serce Polaka, kiedy widzi zatarte prawie ślady przeszłości, kiedy się zaduma nad przebrzmiałą dawnych wieków sławą.

Kruszwica kwitła dopóty, dopóki wody Gopła były handlowym gościńcem, łączącym Wartę z Wisłą i Bałtykiem. Wszystkie statki, z Warty, Prosny i innych rzek okolicznych płynące do Gdańska, tędy przeprawiać się musiały. Woda broniła, woda żywiła. Wtedy wielką i potężną była Kruszwica, a płonąca na wieży latarnia przyświecała statkom z daleka. Z czasem wody zmalały, zmieniły się brzegi jeziora i zerwała się owa sieć ścieżek wodnych. Wskutek tego handel Kruszwicy już przed wojnami szwedzkimi upadł, a dziś stołeczny niegdyś gród Popielów wygląda jak zapomniana mogiła. !

14. Piast.

Gdy Popiel w chwilach okropnego zgonu
Karzącej zbrodnie doświadczył prawicy,
Naród, chcąc wybrać następcę do tronu,
Zebrał się w pięknych równinach Kruszwicy.

Stały nad Gopłem Słowiany rozliczne;
Długie oszczepy, puklerze staliste,
Zamku Popielów wieże niebotyczne
Odbijały się o jezioro czyste.

Gdzie wielkie mnóstwo, ciężko szukać zgody:
Na głośnych sporach czas upływał drogi;
Głód się czuć dawał, a obce narody
Szerzyły w Polsce najazdy i twogi.

Ale Bóg dobry spojrział na Polaków,
Bo ich do wielkich przeznaczeń gotował:
Wpółśród Kruszwicy spokojnych wieśniaków
Był Piast, co bogów i ludzi miłował.

Dom jego szczupły, ale zewsząd czysty;
Za Gopłem małą pasiekę posiadał;
Cienił lepiankę jawór wiekuisty,
A na nim bocian gniazdo swe zakładał.

Znana sąsiadom była naokoło
I dobroć jego i gościnna hojność;
Znajdował, lemiesz prowadząc wesoło,
W pracy swą żywność, w sumieniu spokojność.

Dzień nadszedł świetny dla skromnej drużyny,
Gdzie, jak pogańskie prawo nakazało,
Pierworodnego syna postrzyżyny
Obchodzić miano przez ucztę wspaniałą.

Hoża Rzepicha i Piast nasz sędziwy
Od rana całym trudnią się obchodem;
Stół zastawiają tłustemi mięsami
I duże czary napełniają miodem.

W gronie przyjaciół zaczęły się gody:
Pierwszymi dary już uczczone bogi,
Gdy dwóch młodzieńców precudnej urody
Wchodzi w gościnne biesiadników progi.

Piast i Rzepicha z czołem nachylonem
Proszą, by miejsca chcieli zasiąść swoje;
Lud się gromadzi, a z tłumem zwiększonym
Mnoży się pokarm i słodkie napoje.

Po uczcie świetni zniknęli młodzieńcy,
A lud zgodnymi zawołał głosami:
»Piaśt luby bogom! pocóż czekać więcej?
Niech będzie królem, rządzi Polakami!«

»Większej — mąż rzecze — potrzeba mądrości,
By berłem rządzić podług ludu woli;
Zostawcie Piaśta w szczęśliwej mierności
Przy jego pługu, pasiece i roli«.

Gdy wieczór nadszedł, Piaśt, głowę na ręce
Oparłszy, siedział pod jaworu cieniem;
Znów przed dom jego ciżsami młodzieńce
Przyszli, światłości okryci promienicm.

Postać ich nieba mieszkańców wskazuje:
Od barków śnieżnych skrzydła się podnoszą
Białe ich szaty do ziemi zstępują,
A ciemne włosy woń lubą roznoszą.

Rzekł do Piaśta: »Pan, co mieszka w niebie,
»Co zedrze wnukom twym błędu zasłonę,
»Aniołów swoich przysyła do ciebie
»Z rozkazem, żebyś wziął polską koronę.

»Szanuj z pokorą świętą Jego wolę!
»Wielkie on Polsce zakreśla zawody;
»Do chlubnych czynów otworzy wam pole,
»Da wam zwycięstwa, chwałę i swobody.

»Z plemienia twego dzielni wojownicy,
»Pędząc przed sobą barbarzyńskie kupy,
»Na wschód i zachód kres państwa granicy
»Naznaczą w rzekach żelaznymi słupy.

»Przez wiele wieków ród wasz istnieć będzie,
»A po was inni tron Piaśtów osiedą;
»Ujrzy się Polska w pierwszych mocarstw rządzie
»A cne książęta hołdować jej będą«.

Tu znikły męże w światłości powodzi,
A Piaśt zdziwiony pozostał samotnym;
Słodki się zapach w powietrzu rozchodzi,
Jak woń fijołków po deszczu wilgotnym.

Jeszcze Piaśt dumał, gdy z jutrzeńki blaskiem
Lud niecierpliwy tłumnie się gromadzi,
Wita go panem z radosnym oklaskiem
I na królewskie komnaty prowadzi.

Już wdział purpurę, wziął miecz wojowniczy,
Świetną koroną uwieńczył swe skronie,

A wdzięczny, pragnąc uczcić stan rolniczy,
Rozkazał pług swój postawić przy tronie.

»Ziomkowie! — rzecze — kiedy mam panować,
Gdy wy i same nieba tak zrzędziły,
Zaklinam, chcecież rolnictwo szanować:
W mieczu i pługu są Polaków siły«.

Julian Ursyn Niemcewicz.

15) Z młodych lat Fryderyka Chopina*).

Chopin, największy muzyk polski, był za młodu dzieckiem niemiennie wątłym, wrażliwym i tkliwym, a przytem obdarzony błyskotliwą żywością charakteru i zadziwiającą bystrością umysłu. Liko to, gdy patrzyło na ludzi swemi ciemnymi i pełnymi wyrazu oczami, zdawało się śledzić najmniejszy odcień ich charakteru; co też okazywało później talent naśladowania i udawania innych do wysokiego posunięty stopnia doskonałości. Nauki szły Fryderykowi z niezmierną łatwością, muzyka zaś najsilniejsze wrażenie na nim czyniła. Zwróciło to uwagę rodziców i, chociaż rodzice byli od myśli obrania synowi zawodu artystycznego, postarali się o dobrego dla niego nauczyciela muzyki, nie odrywając go wcale od innych nauk, które pobierał w liceum warszawskim.

W nauce gry na fortepianie, młodzianek Fryderyk tak nadzwyczajnie postępował, że w salonach ówczesnych warszawskich często o tem ze zdumieniem wspomniano. Kiedy w r. 1818. Towarzystwo Dobroczynności postanowiło urządzać koncert na dochód szpitali, Niemcewicz i inne znakomite osoby wezwwały piśmiennie młodego dziesięć lat życia wirtuoza, ażeby w nim przyjął udział. Nie można było odmówić. Więc pierwszy krok zawodu swego artystycznego, który później taką chwałę miał jaśnieć, rozpoczął od dobrego uczynku; pierwiastki swego talentu poniósł na korzyść cierpiącym, błogosławieństwo zaś biednych współbraci otoczyło je aureolą, której do samego końca artystycznego zawodu nie zatrzeć, nie zmniejszyć nie mogło. Na parę godzin przed koncertem, postawiono Fryderyka — tak go bowiem powszechnie w domu nazywano — na krzesło i poczęto ubierać do godnego i pełnego publicznością wystąpienia. Frycek szczególnie zadowo-

*) Czyt. Szopena.

lony był z pięknego kołnierzyka, który mu na ciemny spencerek włożono. Kiedy po skończonym koncercie matka, która na nim być nie mogła, wzięwszy syna w objęcia, a okrywając pocałunkami, wypytywała, co też się najwięcej publiczności podobało, bez wahania odpowiedział, iż jego kołnierzyk. »Wie mama? — wszyscy tylko na mój kołnierzyk patrzyli«.

Umysłowe zdolności kształcącego się wszechstronnie Fryderyka były tak wielkie, iż zdumiewały otaczających go i upoważniały do najświetniejszych nadziei o jego przyszłym życiu. Niezmierna żywość charakteru pobudzała go do ciągłej czynności, zaostrzała dowcip, który w rozmaity sposób co chwila się objawiał. Wyrysować karykaturę, ułożyć wierszyk, udawać kogoś ze znajomych, urządzić jaką zabawę, np. teatr, rozdać i odegrać rolę, w potrzebie ułożyć sztukę dramatyczną — było to dla Fryderyka dziełem jednej chwili, a zawsze przebiegał się w nim dar spostrzegawczy i humor niepospolity. Zdarzało się, że grając dramat albo komedię, kiedy sufler dla jakich powodów nie podpowiadał mu słów, należących do roli, wówczas Fryderyk, niezmiernie wcale, improwizował, a improwizował tak śmiało, stosownie do rzeczy i doskonale, że widzowie ani się nawet tego domyślać nie mogli. To też dar muzykalnej improwizacji przyczynił się później do jego rozgłosu i chwały. Owładnąwszy wcześniej pod umiejętnym kierunkiem Elsnera muzyczną technikę, stawszy się jej zupełnym panem, mógł Chopin na podany sobie temat improwizować bez końca, a zawsze pięknie, logicznie i z głębokim wyrazem.

Ojciec jego, jako profesor języka francuskiego w wyższych zakładach naukowych, miewał u siebie na pensyi kilku zwykle młodzieńców, kształcących się w jego domu i pod jego troskliwem okiem. Otóż razu pewnego, zdawszy opiekę nad chłopcami guwernerowi, sam zmuszony był wieczorem wyjść za jakimś interesem. Chłopcy zaczęli niezmiernie dokazywać; a był pomiędzy nimi jeden szczególnie psotny i do wszystkich figlów niezmiernie skory. Guwerner, wyczerpawszy wszystkie środki gróźb i upomnień, nie wiedział już, co począć, ażeby ich zmącić do spokojności i wzięcia się do nauki; udaje się wreszcie do Fryderyka, błagając, aby mu w tem dopomógł. Fryderyk zaprasza chłopców do sali i powiada, że będzie im ciekawą historję improwizował na fortepianie. Na te słowa zaprzestają figlów, bo piękna gra przyszłego wielkiego artysty miała już wtedy dla nich powab nadzwyczajny i dla niej z ochotą porzu-

cali najzabawniejsze pustoty. Fryderyk siada do instrumentu, chłopcy przysuwają się do niego z krzesłami; gasi świece, gdyż zwykle improwizował pociemku, i rozpowiada im naprzód historią o zbójcach i złodziejach, jak wkradłszy się po drabinie przez okno do domu, zabierają, co mogą, potem spłoszeni uciekają, kryją się w lesie, dzielą łupami i wśród pogodnej i cichej nocy zasypiają. Następnie każdy z tych epizodów wyraża muzyką. Chłopcy słuchają w głębokiem milczeniu, zachwycają się prawdą, tonami muzyki objawioną; a kiedy Fryderyk począł malować im nocną ciszę lasu i sen ogarniający złoczyńców, pomału oczy słuchaczów przymykać się zaczęły; dźwięki dobrze pochwyconej w charakterze muzyki działały jak opium, jak kołyska na dzieci: im dłużej trwała improwizacya, tem głębszy sen ogarniał wszystkich, nawet sam guwerner nie mógł się oprzeć i zasnął wraz z innymi. Obaczywszy to Fryderyk, przestaje grać, wychodzi na palcach z pokoju, biegnie do matki i sióstr, prosi ich, ażeby ze świecami w rękę, lecz cicho i ostrożnie udały się za nim, a pokaże im coś ciekawego. Widok śpiących na krzesłach w rozmaitych pozach chłopców wraz z guwernerem bardzo był pocieszny. Wtedy Fryderyk zbliża się na palcach do fortepianu, uderza z całej siły przeraźliwy akord, aż tu każdy ze śpiących zrywa się nagle przestraszony, nie wiedząc, co się dzieje — i dopiero śmiech ogólny!...

Ale, jeżeli skutkiem niezwykle potężnej twórczości ducha, gdy był do tego stosownie usposobionym, improwizacye niewiele go kosztowały, zato nad utworami muzycznymi, które przeznaczał do druku, sumiennie i troskliwie pracował. Czasami myśl jakaś tak dalece nim owładnęła, że stawał się milczącym, posępnym, siadał w kąciку, unikając ludzi i rozmów. W nocy, kiedy się wszystkim zdawało, że śpi, on tymczasem zrywał się z pościeli, biegł do instrumentu, uderzał kilka akordów, rozwiązując sobie tym sposobem jaką zawiłą harmonijną kwestyę, potem się kładł do łóżka, ażeby się znów zerwać do fortepianu, i tak nieraz trwało aż do świtu. Słudzy, słysząc, jak panicz po nocach wstaje, jak uderza w klawisze ni to ni owo i potem kładzie się i znów wstaje, ubolewali nad nim, w prostocie ducha przekonani, że chory jest umysłowo.

W częstych wycieczkach poza miasto, zwykle w towarzystwie ojca dokonywanych, jeżeli kiedy Fryderyk posłyszał wiejskie skrzypki, rozlegające się z chaty lub karczmy, stojącej przy drodze, stawał, przysłuchiwał się uważnie, tonął duszą w sielskiej melodii, napa-

wał się nią i nie było sposobu odciągnięcia go stamtąd; póty w głębokiej zadumie stał i słuchał, aż skrzypki ucichły, aż nabrał przekonania, że już się więcej nie odezwa. Stądto pochodzi ten duch narodowy, jaki cechuje wszystkie prawie utwory jego, począwszy od najskromniejszej piosneczki aż do koncertów, pisanych z towarzyszeniem orkiestry. *zobacz*

Wsluchując się w muzykę ludową u samego jej źródła, przejął się nią do tego stopnia i tyle z niej zaczerpnął, iż wystarczyło mu to na całe późniejsze życie. Nawet kiedy osiadł w Paryżu, zdala od swoich, duchowi temu pozostał wiernym. Rodziną bowiem ziemię swoją ukochał miłością tak silną i tak wytrwałą, że ani świetne powodzenie ani długoletnie pośród obcych przebywanie w niczem nie mogło jej zmniejszyć ani zatrzeć. I nikt też lepiej od niego nie wyraził tego uczucia w utworach muzycznych; polonezy, mazurki, ballady, koncerty nawet, wszystko to nacechowane jest piętnem najdelikatniejszych odcieni rodzinnych, z niestłuchanym wdziękiem oddanych.

16. Olga, wielka księżna kijowska.

Carogród, stolica wschodniego cesarstwa rzymskiego, a zarazem kościoła greckiego, słynął niegdyś z piękności i bogactwa. Wieści o tem dochodziły do Kijowa, siedziby wielkich książąt ruskich, zanim jeszcze w tych stronach przyjęła się wiara Chrystusowa. Przybywało tam wielu kupców greckich z towarami; ruscy też wojownicy zapędzali się nieraz aż do Carogrodu. I jedni i drudzy rozpowiadali wiele o piękności miasta, o wspaniałych jego kościołach, o złocistych pałacach cesarskich i o przedziwnej wierze chrześcijańskiej.

Usłyszała o tem i wielka księżna Olga, która po przedwczesnej śmierci męża swego Igora w imieniu małoletniego syna Świętosława, panowała w Kijowie bardzo mądrze i sławnie. Chcąc na własne oczy widzieć to wszystko, co lud sobie opowiadał, a zarazem pragnąc skorzystać z cudzych doświadczeń dla dobra własnej ojczyzny, zebrała liczny dwór, złożony z bojarów ruskich, i popłynęła do Carogrodu.

Gdy ją ujrzał cesarz grecki i w rozmowie z nią poznał jej rozum i roztropność, postanowił ją pojąć za żonę i rzekł do niej:

— Godną jesteś panować wraz ze mną w tym grodzie moim.

Ale Olga, przywiązana do syna i do swojego narodu, nie chciała zostawać w obcym mieście, lecz pragnęła wrócić do ojczyzny. Zekła tedy do cesarza:

— Panie, jam poganka, a ty chrześcijanin; muszę wprzód przyjąć wiarę twoją. Proszę cię jednak, ażebyś sam był ojcem moim chrzestnym.

Zgodził się na to cesarz. Ochrzcił Olgę patriarcha carogrodzki, a cesarz był jej ojcem chrzestnym. I dano jej imię Heleny.

Wkrótce po przyjęciu chrztu św. przez Olgę, cesarz zaprosił ją do siebie i rzekł:)

— Jesteś już jednej ze mną wiary: zostań więc moją żoną.

A ona na to:

— Jakto? chcesz się ze mną żenić? a wszakże jesteś moim ojcem chrzestnym, a u chrześcijan jest to przeciw prawu, jak to sam wiesz najlepiej.

Uznał cesarz słuszność słów Olgi, a podziwiając jej rozum, obdarował ją złotem i srebrem, wspaniałymi kobiercami i naczyniem rozlicznem i tak odprawił ją do domu.

Powróciwszy do ojczyzny, panowała Olga mądrze wraz z synem swoim Świętosławem. Nieraz namawiała go do przyjęcia wiary Chrystusowej, ale on jej rad i prośb nie słuchał; tyle tylko uczynił dla matki, iż poddanym, którzy się dobrowolnie ochrzcić chcieli, wcale tego nie zabraniał. Modliła się tedy Olga do Boga, ażeby oświecił jej naród światłem prawdziwej nauki — i Bóg wysłuchał jej modłów, gdyż wnuk jej, Włodzimierz Wielki, przyjął chrzest św. wraz z całym swym ludem.

17. Dedal i Ikar.

Mnóstwo dzieł sztuki, rozsypanych po różnych stronach i ziemiach starożytnego świata, uważali Grecy za prace Dedala. Jego też pamięć uwieczniono chwałą przeróżnych wynalazków, które zapewne wielu ludziom przypisaćby należało. Dedal wedle podań miał wymyślić siekierę, pion, świder, węgielnicę i t. d. Był on artystą-budownikiem, rzeźbiarzem, snycerzem; wszystko umiał, wszędzie bywał, wszystko stawiał, wszystkiego dokazał. Jego następcy mawiali, że posągi Dedala były wcale niezwykłymi rzeźbami, bo te posągi chodziły, patrzyły, mówiły i t. d.

Już była się szeroko i daleko sława jego rozległa, a wszystkie ziemie wielbiły Dedala imię, gdy — tak głosiło podanie — jego siostrzeniec Talos, młodziuchny chłopczyzna, wzbudził za-
w sercu mistrza. Bo też ten Talos, choć młodziuchny, już

— ■ —

sięgał w głębokie tajemnice natury i sztuki. Jakoż n. p. pewnego razu, gdy znalazł zabitego węża, który leżał z otwartą paszczą i wyszczerzonymi zębami, zabrał szczęki, wysuszył je i sporządził sobie z nich piłkę doskonałą. Mistrz niemało się w duszy zasępił tym dowodem genialności swojego ucznia. Na tem jednak nie koniec! Niezadługo Talos w szczęśliwej chwili obaczył przed sobą w duchu nową machinę; a jak się zabrał do roboty, toć i zrobił narzędzie, do naszej tokarni podobne. Przecież radujący się a tryumfujący biedny Talos ani przypuszczał, że te wynalazki wymyślił jedynie na własną zgubę swoją. Odtąd mistrz zazdrościł młodzieńcowi sławy. Nietrudno było o chwilę złowrogą, w której Dedal, chwycony obłędem namiętności, zabił synowca, strącając go ze skalnego grodu Akropolis. Zbójca uciekł.

Chroniąc się przed wyrokiem Areopagu, dostał się Dedal na wyspę Kretę, gdzie wtenczas panował król Minos, znakomity miłośnik sztuki i wielbiciel Dedala. Odplacił się też za gościnność królowi zbiegły artysta. Pomijając bowiem inne dzieła jego, wykonane na dworze kreteńskiego króla, dość wspomnieć, że wybudował na Krecie labirynt. Olbrzym ten budynek miał właściwy sobie, a wielce zbawienny cel. Żył w one czasy na wyspie Krecie Minotaurus, istny potwór, który miał łeb wołu, a resztę ciała kształtu ludzkiego. Co gorsza, ten Minotaurus pożerał co jakiś czas siedmiu młodzieńców i co najpiękniejszych siedm panien. Otóż właśnie na mieszkanie dla tego potwora Dedal na rozkaz Minosa zbudował labirynt, a była to budowa tak pełna krętych, pogmatwanych, zawikłanych korytarzy i ganków, że sam budownik pewnego razu o mało co w niej nie zabłądził. »

Choć atoli Dedalowi nie brakło na obcym dworze i na cudzej ziemi ani honorów ani sutego chleba, przecież zawsze a zawsze tęsknił do ojczyzny swojej. Trudna jednak była sprawa z królem Minosem, który ani myślał puszczać go od siebie.

Pewnego dnia, gdy Dedal ze synkiem swoim Ikarem, stojąc nad brzegiem morza, patrzył w stronę, kędy za wodami rozlegała się ukochana Grecya, taka tęsknota za ojczyzną obudziła się w jego sercu, iż powiedział sobie, że bądź co bądź powróci do ukochanej Hellady. Kreta jest wyspą, więc łodem nie mógł wracać, a wodą był powrót także niepodobny, bo brzegów pilnowała stuoka straż królewska. Nie tracił przecież serca nasz mistrz, bo on był i wielkim mechanikiem, a spuszczał się na moc i potęgę tej sztuki swojej.

Jakoż pewnego razu powróciwszy z nadmorskich brzegów do domu, jął się z piórek i piór ptasich lepić skrzydła, wielce zgrabnie i dowcipnie je woskiem spajając. Choć robota była arcytrudna i żmudna, przecież szczęśliwie wykończył dwie pary skrzydeł doskonałych: jedna para była większa, a druga mniejsza. Wtedy już niewiele myśląc, przypiął sobie większe skrzydła, a synkowi Ikarowi mniejsze. ~~✓~~ Lecz w chwili stanowczej, nie mogąc ograć ojcowskiego serca od trwogi, która go wskrósł przejmowała, rzekł do Ikara: »Kochany synu! gdy się puścimy przez morze, co tak zdradne i niepewne, pamiętaj też nie latać zbyt nisko, bobyś sobie piórka zamoczył i utonął we falach wodnych; jednak nie latajże też zbyt wysoko, bo słońce mogłoby stopić wosk u skrzydełek twoich, a w takim razie spadłbyś również z wysokości w morze«. Kiedy starzec, przypinając synowi skrzydła, wymawiał te słowa, drżały mu ręce i łza spływała mu po licach. Potem ucałował chłopczynę i obaj wzlecieli w powietrze.

Zrazu syn był pamiętny słów ojcowskich. A weselił się w duszy starzec, gdy często obzierając się za siebie, widział, jak syn, słuchając rad ojca, trzymał się drogi średniej i umiarkowanej. Zatem Dedal już z otuchą, a lekkim sercem puszczał się dalej a dalej. Tymczasem Ikar, zwyczajnie jak młody, rozzuchwalony tem, że mu się tak pięknie udawało, wzbił się w górę wysoko pod obłoki, ba, pod samo słońce. Przecież niedługo było tej uciechy jego. Piórka się odlepiły skutkiem upału słonecznego, a Ikar wpadł w otchłanie morskie i utonął.

Po niejakim czasie znowu spojrzał poza siebie ojciec, a tu, jak niebo szerokie i wysokie, nigdzie nie widać syna. W rozpacz serca wyteżył wzrok i wbił go w morze, które w głębi pod nim, pieniąc się i grzmiąc, przelewało swoje fale. I niestety! obaczył, jak bałwany igrały piórkami ze skrzydeł Ikara. W strasznej boleści serca swojego spuścił się na jedną z wysp, wystających z morza, a wody wrychle przyniosły mu zwłoki ukochanego dziecięcia. Pogrzebał je ojciec na obcej ziemi, a z nimi zagrzebał pociechę całego żywota swojego. Wyspa, na której Ikar był pochowany, od tego czasu nazywa się Ikaryą, a morze, w którym utonął, przybrało imię Ikaryjskiego.

Ponieważ wielki mistrz, a bardziej jeszcze wielki mechanik wszędzie i zawsze znajdzie chętne przyjęcie, więc i Dedal znalazł przytułek u ówczesnego króla sycylijskiego, który go otwartemi

przyjął rękami. Wielu też dzieł podziwienia godnych dokonał Dedal z polecenia królewskiego, a zawsze tak się po mistrzowsku sprawił, że król obsypywał go darami i zaszczytami.

Przecież — jak mówią — nigdy już dawna wesołość nie rozchmurzyła mu czoła, bo mu zawsze przed oczyma stała postać ukochanego syna Ikara.

Józef Kremer (Grecya).

18. Małpa w kąpielu.

Rada małpa, że się śmieci,
Kiedy mogła udać człowieka,
Widząc pania raz w kąpielu,
Wlazła pod stół — cicho czeka,
Pani wyszła, drzwi zamknęła,
Małpa figlarz nuż do dzieła!
Wziąwszy pański czepek ranny,
Prześcierało
I zwierciało,
Sznuś do wanny! —

Dalej kurki kręcić żwawo
W lewo, w prawo,
Z dołu, z góry,
Aż się ukrop pusił z rury.
Ciepło — miło — niebo — raj!
Małpa myśli: w to mi graj;
Hejże kozły, nurki, zwroty,
Figle, psoty,

Aż się wody pod nią mąca,
Ale ciepła coś za wiele...
Trochę nadto... Ba, gorąco!...
Fraszka! małpa nie cieję,
Sobie poradzi:
Skąd ukrop ciecze,
Tam palce wsadzi.
Aj gwałtu! piecze!
Niema co czekać:
Małpa w nogi —

Ukrop za nią — tuż, tuż w tropy,
Aż pod progi.

Tu nie żarty, parzy stopy...
Dalej w okno... brzęk! — uciekła.
Że tylko palce popiekła,
Nadej szczęśliwa. —
Takto zwykle małpom bywa.

Aleksander Fredro.

19. Przywiązanie jaskółki do człowieka.

Pewien badacz przyrody bardzo ciekawe podaje szczegóły o przywiązaniu jaskółki do człowieka.

Było to w miesiącu czerwcu. Parka jaskółek dymówek wywiodła szczęśliwie pięcioro piskląt i wyprowadziła je już na świat. Lecz nastało wilgotne zimno, które wszystkim żyjątkom nadzwyczaj dukało. Posiadały tedy biedne jaskółczęta szeregiem na gałęzi stojącej przed domem akacyi i w smutnem usposobieniu czekały na żer, który rodzice miały im przynieść. Mijały godziny, a jaskółki mimo wysilenia nie mogły złowić owadów, które się pochowały były przed słą. Głód i zimno już tak zniszczyły pisklęta, że najmniejsze spadło na ziemię nieżywe, a drugie, żałośnie piszcząc o pomoc, spuszczały skrzydełka i z napuszonym pierzem trzęsły się wszystkie.

Badacz ów, widząc to srogie nieszczęście, które już całą rodzinę ogarnąć miało, otworzył najbliższe jaskółek okno i puścił im złowione w pokoju muchy. Ptaszki chciwie chwytaly ulatujące owady, a uczony badacz, zapomniawszy o książkach, łapał z dziećmi muchy po kuchni i po pokojach, aby je podać jaskółkom. Ptaszeta poznały to dobrodziestwo i gdy tylko otworzyło się okno, trzepotały radośnie, oczekując żeru, a stare jaskółki, okrążając okno, wdzięcznie nuciły, jakby swemu dobroczyńcy dziękując. Tym sposobem uratował ów badacz biedne ptaszki od śmierci. Odtąd przez całe lato pamiętały to okno i codziennie wlatywały, gdy im otworzono. Nadszedł termin odlotu, więc powędrowały jak inne.

Lecz następnej wiosny jakież było zdziwienie owego badacza, gdy pewnego ranka zobaczył, iż jaskółka trzepoce przed oknem, domagając się wpuszczenia. Gdy jej otworzono, wleciała, okrążyła pokój cały i siadła na ulubionem swem miejscu, na szafie, nucąc wesołą pieśń powitania. Odtąd wlatywała często, a nawet z czasem wybrała sobie miejsce do spania na szafie. W pierwszych dniach, gdy świece wnoszono, bardzo się płoszyła i latając tłukła się o ściany; ale później przyzwyczaiła się do tego i to sztuczne słońce wcale jej nie raziło.

Po tygodniu sprowadziła drugą, która zrazu nie chciała wlatywać do pokoju, lecz po jakimś czasie ośmieliła się to uczynić i usiadła przy tamtej na szafie. Odtąd bez obawy już przylatywały obie do pokoju. Niedługo trzeba było pomyśleć o gniazdeczku — a tu jak na złość ściany tapetami były obite, a drzewo gładkie tak, że nigdzie bryłki błota nie można było przylepić. Co przylepiły jedną bryłkę i po drugą poleciały, wróciwszy znajdowały tamtę na ziemi. Smutnie usiadły na szafie i nuciły z cicha, jakby radziły nad tem, czy dach ten gościnny opuścić mają. Gospodarz umiał tej biedzie zaradzić: odłupał w stajni przeszłoroczne gniazda i przybił z nich parę do deski, którą umieścił na szafie. Jaskółki wzięły się zaraz do naprawy i dalszej budowy, wykończyły gniazdo i po jakimś czasie wywiodły pięcioro piskląt.

Samiec, wdzięczny za opiekę, w szczególny sposób okazywał swe przywiązanie uczonemu przyrodnikowi: kiedy powracał do domu, luba ptaszyna leciała naprzeciwko i okrążała go kilkakrotnie, wołając „*diwit! witwit!*“ Kiedy odchodził z domu, wylatywała okienkiem i odprowadzała go dość daleko; a jeżeli czasem zamysłony na jej przymilanie się nie zważał, wówczas nad samą głową trzepotała,

okrażała go coraz bliżej i uspokajała się dopiero wtedy, gdy na nią zawołał. Nawet z pomiędzy licznych towarzyszek nad wodą lub pod obłokami, gdy na nią zawołał, przylatywała, aby go pozdrowić, poczem okrążywszy go kilka razy, dalej bujać leciała. Z końcem lata, kiedy już młode wprawione były do lotu, a czas odlotu nadszedł, powędrowały i te jaskółki z drugimi.

Trzeciego roku, ku końcowi kwietnia, spostrzegł badacz hurmę jaskółek, przelatującą nad jego ogrodem. Zawołał — i w tej chwili pędem strzały spuściła się przywiązana ptaszyna ku niemu, dając dowody swej uciechy i pamięci. Co prędzej otworzono okno i jaskółka wleciała do pokoju; obleciała każdy kącik, na dawnym miejscu usiadła i długo nuciła swe pieśni, dowodząc, że nie zapomniała. Cała rodzina, do płaczu poruszona, zbiegła się do pokoju, aby posłuchać śpiewu tak wdzięcznego i przywiązanego ptaszcica; każdy podziwiał tę pamięć serca w tak drobnem żyjątku, w tej ptaszynie, która — pomimo tylu przeciwności, mimo dalekiej wędrówki, mimo sześciu miesięcy, spędzonych za morzem między ludźmi czarnymi — nie zapomniała, że pewien Europejczyk od śmierci ją wybawił, że ją gościł, że jej ze swej opieki nie wypuścił.

I znów przez całe lato ta luba ptaszyna uprzyjemniała życie rodzinie przyrodnika i jeszcze czulszą, jeszcze bardziej przywiązaną się okazywała. Kiedy w jesieni znowu nadszedł czas odlotu, z żalem żegnano lubą ptaszynę; wszyscy posmutnieli, bo jakieś żałobne przeczucie ogarnęło ich serca, i niespokojnie pytali, czy ich miluchna towarzyszka na wiosnę powróci. Prawdziwe było przeczucie, usprawiedliwiona obawa, bo w roku przyszłym daremnie czekano jej powrotu, daremnie szukano koło stajni i nad wodami: powędrowała na obowiązkową pielgrzymkę i — niestety! — już nie wróciła.

Kazimierz Wodzicki.

20. Do skowronka.

Już ty śpiewasz skowroneczku, już też i ja orzę :
I my ludzie i wy ptaszki — wszystko dzieci Boże.
Człowiek w polu gospodarno pracować się sili;
Ptaszek bierze swoje ziarno z zimowych badyli.

Tyś skowronku, mój towarzysz, choć w nierównej doli
Ty o piosnkach jeno marzysz twemu sercu gwoli;
Tyś szczęśliwy i wesoły; gdy jutrznia poranna,
Lecisz w górę, by z anioły zaśpiewać: *Hosanna!*

Z twojej piosenki rade nieba i Pan Bóg się cieszy,
Ze ptaszce mała trzeba i dziękować śpieszy;
Ze różnymi gwarząc tony, głosisz w kraj daleki:
»Niechże będzie pochwalony — na wieki, na wieki!«

Władysław Syrokoma.

21. Dowcipne odpowiedzi.

Papież Pius IX. posiadał dowcip swobodny i miły, który zwykle zawierał głębszą naukę, a niekiedy zaprawiony był trafną ironią. Raz n. p. podano mu własny jego wizerunek, ale bardzo niepodobny, prosząc, by pod nim napisał słów kilka. Pius roześmiał się z karykatury i rzekł: »Mój synu, jestem wprowadzić brzydki, lecz tak brzydki nie jestem« — poczem podpisał: *Nolite timere, ego sum* (Nie bójcie się, to ja jestem).

W roku 1877. chorował na nogi. Kiedy zewsząd śpieszyły do Rzymu deputacje, a każdy z pobożnych pielgrzymów u stóp tronu papieża składał ofiary, rzekł Pius żartobliwie: — Mój Boże! tyle rozmaitych przywożą mi darów: czemuż mi nóg zdrowych kto nie podaruje? — A kiedy ktoś w jego obecności unosił się nad wpływem pielgrzymów i nad wywyższeniem papieża, rzekł do niego Pius: — Tak jest, papieżstwo wywyższone, ale biedny papież nie może stać prosto.

Razu pewnego posłał dworu bawarskiego, przyszedłszy na posłuchanie, cieszył się, iż Ojciec św. dobrze wygląda. — Zdaje się — rzekł — jakoby Wasza Świątobliwość odmłodził.

— Czy tylko się zdaje? — odpowiedział papież z uśmiechem. — Owszem, odmłodziłem rzeczywiście. Czyż bowiem nie wiesz, panie hrabio, że mię wpisano do »Towarzystwa młodzieży katolickiej we Włoszech?«.

22. Leszek Biały.

Od dworaków opuszczona
Helena w stroju niedbałym,
Gdy syna trzyma u łona,
Co go zwano Leszkiem Białym;
Tak szerzy skargi płaczliwe
Na swe losy nieszczęśliwe:

»Ty się śmiesz, dziecię lube,
»Bo nie znasz twojej niedoli,
»Nie znasz spisków na twą zgubę;

»Oto z stryja twego woli
»Wydarłać państwo niecnota,
»A jam wdowa, ty sierota:
»Zrodzony, byś berłem władał,
»Dziś przewrotnych ludzi winą
»Wszystkoś na świecie postradał,
»Tułasz się, biedna dziecino;
»Ja cię przytulę do łona,
»Lecz skądże inna obrona?«

»Powściągnij łzy twe, królowo»,
Zawołał Goworek stary,
»Byłem ojcu radą zdrową,
»Synowi dochowam wiary;
»Póki dłoń ta mieczem władnie,
»Zadna nań trwoga nie padnie«.

Pod czułym starca dozorem
Wzrastał w siły Leszek Biały.
I szedł chlubnym Piastów torem,
Był sprawiedliwy i śmiały:
Zreżny w rycerskich gonitwach
I sześciwy w krwawych bitwach.

Goworek przez cnoty swoje
Wzbudził nienawiść dworaków,
Przyszli na Leszka podwoje,
Mówiąc imieniem rodaków:
»Oddał Goworka, korona
»Nazad ci będzie zwrócona«.

Królowa w modrzewim dworze
W skromnej siedziąca komnacie
I w skromnym była ubiorze:
Nie miała złota na szacie;
Przy niej, poselstwem zdziwiony,
Siedział Leszek zamyślony.

Gdy mleczą, Goworek stary
Tak ich zduwienie przerywa:
»Przyjm, książę, ludu ofiary,
»Panuj kiedy lud cię wzwia,
»Niech kraj na tem nie szkodzi,
»Ze mnie zawiść prześladowie«.

»Ja stary, władzy nie chciwy,
»Do skromnej ojców zagrody
»Wróce wygnaniec szczęśliwy,
»Ty długie uśmierz niezgody;
»A rządząc krajem poleźnym,
»Bądź sprawiedliwym i mężnym«.

»Jeśli za to, żem pracował,
»Los mi usłyszeć zostawi:
»Ze tego, com ja wychował.
»Naród polski błogostawi,
»Nie umrę w cieniu mej strzechy
»Bez słodkiej sercu pociechy«.

Tu gdv płakała królowa.
Gdy we łzach wszyscy przytomni,
Książę odpowie w te słowa:
»Leszek nigdy nie zapomni,
»Co winien sobie, krajowi
»I co winien Goworkowi«.

»Nie chcę, by mąż, co mnie wspierał,
»Gdym się tułał opuszczony,
»Dla mnie wygnańcem umierał:
»Nie chcę państwa, ni korony.
»Nad blask, co berło udziela,
»Wyżej cenie przyjaciele«.

Nagrodziły nieba wojnie.
Tę szlachetność, tyle męstwa;
Leszek, zwycięzca na wojnie,
Odzyskał wydarte księstwa.
Stary Goworek przy zgonie
Oglądał Leszka na tronie.

Julian Ursyn Niemcewicz.

23. Amfion.

Do najdawniejszych miast w starożytnej Grecyi należały Teby, stolica Beocyi. Świetność tego grodu opiewali najznakomitsi poeci, a o pierwotnych jego dziejach — ~~mnogie~~ krążyły podania ludowe. Jednem z nich jest przesłiczne podanie o Amfionie i jego bracie, które tutaj opowiemy.

Amfion i Zetos byli bliźniętami, ale bardzo do siebie niepodobnymi. Już w młodości odmienne było ich życie. Amfion po całych dniach zajmował się poezją i muzyką, do czego sam Mer-

kury darował mu lutnię o siedmiu strunach; Zetos zaś, rosły i dzielny młodzian, szukał rozrywki w walkach i łowach. Z czasem objęli rządy w mieście Tebach. Obaj kochali swą ojczyznę, obaj chcieli jej służyć, ale odmienną do tego obrali drogę, każdy stosownie do swego usposobienia.

Dokoła wielkiego i obronnego zamku Kadmusa, tak zwanej Kadmei, szerokiem kołem po wzgórzach i dolinach rozłożyło się było miasto Teby; lecz właśnie z powodu tej rozległości łatwo ulegało najazdom sąsiadów. Postanowili tedy bracia wspólnemi siłami je obwarować.

Zetos pierwszy zabrał się do dzieła. Olbrzymią obdarzony siłą, dźwigał ogromne kamienie i skały i układał z nich mury. Lecz ponieważ miasto bardzo było rozległe, więc praca postępowała powoli. Ubolewał nad tem Zetos i z żalem wyrzucał bratu, że przyrzeczonej nie niósł mu pomocy, że zamiast pracą około obrony miasta zajmował się pieśniami i muzyką. Wówczas natchniony Amfion z zapałem uderzył w dźwięczne struny swojej lutni, od boga otrzymanej — i oto kamienie same poczęły się zbierać, skały, którychby ludzka siła nie podźwignęła, same układały się jedne na drugie i w krótkim czasie miasto opasane było warownym murem, z siedmiu owemi bramami, tyle w starożytności sławnemi, na pamiątkę siedmiu strun lutni Amfionowej.

24. Kalina.

Rosła kalina z liściem szerokiem,
Nad modrym w gaju rosła potokiem;
Drobny deszcz piła, rosę zbierała,
W majowie słońcu liście kąpała.

W lipcu korale miała czerwone
W cienkie z gałązek włosy wplecione.
Tak się stroiła jak dziewczę młode,
I jak w lusterko patrzała w wodę.
Wiatr codzień cesał jej długie włosy,
A oczy myła kroplami rosy.

U tej krynicy, u tej kaliny
Jasio fujarki kręcił z wierzbiny:
I grywał sobie długo, żałośnie,
Gdzie nad krynicą kalina rośnie.
I śpiewał sobie: dana! oj dana!
A głos po rosie leciał co rana.

A gdy jesienią w skrzynkę zieloną
 Pod czarny krzyżyk Jasia złożono,
 Biedna kalina znać go kochała,
 Bo wszystkie swoje liście rozwiała.
 Żywe korale rzuciła w wodę,
 Z żalu straciła swoją urodę.

Teofil Lenartowicz.

25. Narzeczeni.

Było to w Szwecyi, przeszło sto lat temu. Pewien młody górnik miał właśnie z narzeczoną stanąć przed ołtarzem; już wyszły były zapowiedzi, a za tydzień miał się już odbyć ślub młodej pary: gdy zaszedł wypadek niespodziewany. W poniedziałek rano młody górnik, idąc do roboty w kopalni, zapukał do okna swej narzeczonej, aby jej jak zwykle powiedzieć: Dzień dobry! — ale dnia tego wieczorem już jej nie powiedział: Dobra noc! — już z kopalni nie wrócił. Biedna dziewczyna wyglądała go codzienie, oczekiwała go ciągle — ale on nie wrócił już nigdy.

Odtąd pół wieku już upłynęło i wiele zmian zaszło na świecie; inni nastali ludzie, inne były stosunki: gdy pewnego razu pod wieczór, u wejścia do wspomnianej powyżej kopalni powstał ruch nadzwyczajny. Kobiety i dzieci, starzy i młodzi — wszyscy biegli w jedno miejsce, żywo rozprawiając ze sobą. Tu wśród koła osłupiałych widzów spoczywał na murawie młodzieniec, niby głębokim snem uśpiony. Nikt nie znał rysów jego i młodocianej postaci; odziany strojem obcym, miał na sobie odzież i bieliznę nową i świeżą. Znalaziono go na dnie trzysta stóp głębokiego szybu, gdzie wody siarkowo-metaliczne przesiąkły ciało jego i ochroniły je od zepsucia. Z ciemnicy podziemnej wyniesiony na powierzchnię, zadziwił zjawieniem się swoim; obce jemu pokolenie nie zasłyszało nawet wieści o tem nieszczęściu biednego górnika; niepoznany i niezrozumiany leżał on teraz wśród obcego mu świata.

Ale kiedy cichym szeptem pytano się nawzajem, ktoby mógł być ten młodzieniec; kiedy daremnie badano starców zgrzybiałych — oto jakaś matunia, złamana wiekiem, okryta siwizną, chwielejąc się i drżąc przybywa na to miejsce, jakby wiedziona natchnieniem niewypowiedzianego przecucia. Z lękiem w sercu już precisnęła się przez grono widzów i topi wzrok przygasły w blade oblicze artwego młodzieńca. Nagle twarz jej oblała się rumieńcem i z jękiem

rzuciła się na umarłego młodzieńca, skrapiając zimną twarz jego
rzewnymi łzami bolesnej radości. — To jej narzeczony! — Cały
świat go zapomniał, ale w sercu narzeczonej pamięć jego nie
wygasła . . .

Tak po latach pięćdziesięciu, dwoje tych ludzi obchodziło złote
swoje wesele. On młody i piękny, jakby w zaraniu swojego ży-
wota — lecz zimny, martwy, bez czucia i niemy: ona zgrzybiała,
przyciśniona ku ziemi — lecz z żywo bijącym sercem, pełna jeszcze
tkliwego uczucia.

Wedł. *Józefa Kremera*
(Listy z Krakowa).

26. Dziad i baba.

Był sobie dziad i baba,
Bardzo starzy oboje:
Ona kaszląca, słaba,
On skurczony we dwoje.
Mieli chatkę małą,
Tak starą jak oni:
Jedno miała okienko
I jeden był wchód do niej.
Żyli bardzo szczęśliwie
I spokojnie jak w niebie:
Czemu? ja się nie dziwię,
Bo przywykli do siebie.
Tylko smutno im było,
Że umierać musieli,
Że się kiedyś mogiła
Długie życie rozdzieli,
I modlili się szczerze,
Aby Bożym rozkazem,
Kiedy śmierć ich zabierze,
Brała oboje razem.)
— »Razem! to być nie może;
Ktoś choć chwilę wprzód skona«.
— »Byle nie ty, nieboże!«
— »Byle tylko nie ona!«
— »Wprzód umrę — woła baba —
Jestem starsza od ciebie,
Co chwila bardziej słaba.
Zapłaczesz na pogrzebie«.
— »Ja wprzód, moja miła,
Ja kaszlę bez ustanku

I zimna mnie mogiła
Pokryje lada ranku«.
»Mnie wprzód — mnie, kochanie!«
— »Mnie, mówię. — Dość tego! —
Dla ciebie płacz zostanie«.
»A tobie nie? dlaczego?«
I tak dalej i dalej,
Jak zaczęli się kłócić,
Tak się z niej porwali,
Chatkę chcieli porzucić. —
Aż do drzwi — puk! powoli . . .
»Kto tam?« — »Otwórzcie proszę;
Posłuszna waszej woli,
Śmierć jestem, skon przynoszę«.
— »Idź, babo, drzwi otwórz!«
— »Oto idź sam! ja słaba,
Ja pójdę się położyć« —
Odpowiedziała baba.
— »Fi! Śmierć na słocie stoi
I czeka tam nieboga!
Idź, otwórz z łaski swojej!«
— »Ty otwórz moja droga!«
Baba za piecem z cicha
Kryjówki sobie szuka,
Dziad pod ławę się wpycha:
A śmierć stoi i puka.
— I byłaby lat dwieście
Pode drzwiami tam stała,
Lecz znudzona nareszcie
Kominem wleźć musiała.

Józef Ignacy Kraszewski.

27. Piramidy i Sfinks przy świetle księżyca.

Niema zapewne Europejczyka, któryby, bawiąc w Kairze, nie odwiedził Piramid i Sfinksa; ale mało kto czyni tę wycieczkę w nocy. Mnie również nie przyszłoby to było do głowy, gdyby jeden ze znajomych nie był mi opowiadał, o wrażeniu, jakie czyni Sfinks, widziany przy świetle księżyca. Postanowiłem najać w Kairze powóz i jechać. Wycieczka to łatwa, musiałem jednak czekać kilka dni, albowiem nocy były chmurne. Nakoniec przyszła jedna, jeśli nie zupełnie pogodna, to przynajmniej pogodniejsza od innych; więc nie odkładając dłużej, wyruszyłem wraz z trzema towarzyszami przed północą.

Drogę z Kairu do Piramid przebywa się w ciągu półtorej godziny. Niegdyś jechało się dłużej, przez malownicze arabskie i beduińskie wioski, to blisko nad rzeką, to dalej, przez laski palm i pola bujne. Dziś wytknięto nieubłaganą linię prostą, która skraca czas drogi, ale pomija wszystko, co jest godne widzenia. Nawet w dzień wioski zostają poza granicą wzroku; w nocy nie widać nic, prócz pni akacyi przydrożnych, oświecanych przez latarki powozu. W pobliżu Piramid kończy się kraj uprawny, i kończy się, jak prawie wszędzie w Egipcie, bez żadnych przejść. Po zielonej runi zbóż, która w nocy wygląda czarno, poczyną się nagle wielka, odkryta, jaśniejsza przestrzeń: to już piaski — pustynia; na niej widać trójkątne zarysy Piramid.

Księżyc już zeszedł, ale ukrywa go szeroki pas chmur, a raczej lekkich obłoków, które w dzień wyglądają jak stada owiec, pasące się na wysokościach, a po zorzy wieczornej, rumieniącej ich wełnę, zbijają się w jedną gromadę i układają się do snu nad ziemią. Światło księżyca nie przedostaje się przez nie, ale rozświeca je od wewnątrz, więc noc nie jest zbyt ciemna — raczej szara, niż srebrna.

Piramidy, które z daleka rysowały się czarno, z bliska wydają się szare. Przychodzimy tuż do Cheopsa. Stojąc u samych stóp, nie widzi się szczytu, bo trójkątna płaszczyzna, idąc pochyło w górę, usuwa się z promienia oka, skutkiem czego piramida wygląda jak obłe wzgórze. Opodal mającżeje Chefren. W tym mroku oko dostrzega i rozróżnia przedmioty, ale kształty są niepewne; zarysy ich rozpraszają się, topnieją i zlewają z otoczeniem. Wszystko jest blade-szare: i piasek pustyni i głazy piramid i utworzone z pokruszonych odłamów stopy kamieni — wszystko jakieś widziadłowe, senne, jakby pozbawione bryłowości i ciężaru.

Cisza, aż w uszach dzwoni! Można ją nazwać grobową, bo przecie jesteśmy wśród grobów. Naokoło świat obumarły. I my mówimy cicho — i mało. Wspiąwszy się nieco na piramidę Cheopsa, siedzimy w milczeniu i każdy stara się zdać sobie sprawę z własnych wrażeń. To wszystko, co nas otacza, takie jest odmienne od tego, co się w życiu widziało, takie dziwne — wśród nocy i ciszy, że myśl onieśmielona wydaje się sama sobie tak marną, jak marnym jest człowiek wobec tych olbrzymów.

Schodzimy wreszcie, by zbliżyć się do Sfinksa, bo przez chmury widać, że księżyc wzniesie się wkrótce nad ich pas i wyjrzy na czyste niebo. Mijamy gromadkę pomniejszych Piramid. Są one grobowcami tych Faraonów, którzy panując przez krótkie lata, nie zdołali sobie wznieść równie olbrzymich mauzoleów, jak Cheops, Chefren i Menkera. Z tych mniejszych wybierano przez całe wieki kamienie, skutkiem czego zostały zrujnowane prawie doszczętnie i zwłaszcza po nocy wyglądają jak bezkształtne masy gruzu. Wszędy rozrzucone kamienie większe i mniejsze; grunt pokryty rumowiskiem, doły powybijane w piasku; wszędy ślady spustoszenia — droga niepewna i żmudna. Ale oto na tle nocnego nieba zarysowuje się coś przed nami, jakby olbrzymia ciemna plama — to Sfinks.

Przychodzimy bliżej. Niezmierna jego głowa, wykuta z czerwonego kamienia, jest zupełnie czarna, jakby skupiała w sobie noc. Rysów twarzy nie widać, ciała również, albowiem spoczywa ono w dole niżej od poziomu pustyni. Nie tak dawno, jak odrzucono na obie strony pokrywające je piaski; że zaś jest jednej z nimi barwy, więc w mroku oko nie może go wyróżnić i tylko głowa wznosi się nad pustynię, ogromna i tajemnicza.

Stanowczo Sfinks większe czyni od Piramid wrażenie. Piramidy są to, bądź co bądź, geometryczne bryły. Niema w nich duszy, natomiast jest coś tak suchego jak w matematyce. Tymczasem Sfinks, to olbrzymia istota. Stanąwszy przed nim, mimowoli przypuszczasz, że w tem głuchem milczeniu on coś rozważa i myśli o rzeczach wielkich i tajemniczych.

Księżyc wytoczył się wreszcie z za zrębu chmur na czyste niebo — i wówczas zaczęła się dla mnie jedna z najpiękniejszych nocy, jakie w życiu widziałem. Głowa Sfinksa z czarnej stała się ciemnozieloną, niby stary bronz; płaszczyzna twarzy wypełniła się ludzkimi rysami, zbudziła się jakby ze snu i roześmiała do księżyca. Sfinks staje się do tego stopnia żywym, iż próżno sobie powtarzać,

iż to tylko złudzenie światła. Niepodobna oczu oderwać od tej twarzy, która, zwrócona wprost na księżyc, uśmiecha się ciągle. Widziałem ją potem we dnie; ale przy świetle słońca dostrzedz można w niej szczerby, które porobił czas — w nocy zaś, w srebrnym blasku, jest to zupełnie twarz ludzka, która drga, myśli i czuje. W dzień widać rozkopane piaski, które pokrywały ciało Sfinksa, ale w nocy czyni to takie wrażenie, jakoby on sam je odrzucił i podniósł się z pod ziemi, aby powitać księżyc i pogadać z nim o dziejach tak dawnych, jakich nikt prócz nich nie widział, nie zapamiętał i nie zapisał.

Bo czego on nie widział, ten Sfinks — on, którego początek jest tajemniczą zagadką — on, którego już Cheops naprawiał? Stał już, gdy wznoszono Piramidy, i tenże sam Cheops chronił się zapewne w jego cień przed skwarem słońca. Potem widział Mojżesza i Kambyzesa, Aleksandra i Ptolemeuszów, Cezara i Marka Antoniusza — łunę pożaru Aleksandryi i dzikiego Amru, świętego Ludwika i Napoleona. Wszystko to widział i uśmiechał się taksamo nocami do księżyca. Wszystko to przeszło — on jeden został. Jest tak odwieczny, że się go prawie nie uważa za dzieło rąk ludzkich i mimowoli widzi się w jego ogromie coś pierwotnego, jakby był stworzony z tego samego żywiołu, co i ten księżyc, z którym rozmawia w jasne nocy.

I patrzą tak obaj na siebie, w srebrnem świetle, wśród śpiącej pustyni. Płowe jej piaski stają się teraz jasno-zielone; opodal błyszczą się Piramidy, za nimi przestrzeń pusta bez końca. Wszystko tu dobrane. Ogrom, tajemnica, samotność i wielkie groby, a prócz nich naokół nic — żadnej różnorodności przedmiotów, jeno w krąg pustynia, zalana blaskiem uroczystym i ogromnie smutnym.

Spokój na okół. Tylko księżyc wzbija się wyżej i wyżej. Z rozgranej w dzień od promieni słonecznych ziemi wstają opary i pełzną po pustyni, choć niema najmniejszego wiatru. Na chwilę przestoniły Sfinksa, ale księżyc wnet go wydobyl, opar zaś poszedł dalej i obwinał Piramidę Menkera, która ze srebrnej stała się nagle różową, potem zgasała, a potem odzyskała swą barwę księżycową.

Do świtu było jeszcze daleko; a w namiotach beduińskich, leżących w głębi pustyni, ozwało się pianie koguta, a za tym pierwszym ozwał się drugi, trzeci, dziesiąty; nagle dało się słyszeć skrzy-

pienie piasku i jakieś głosy: widocznie ktoś się zbliżał. Jakoż po chwili na piaszczystem wzniesieniu za Sfinksem pokazał się wielbłąd, a pod zgiętą jego szyją dwóch beduinów, przybranych w długie białe szaty.

Henryk Sienkiewicz (Listy z Afryki).

28. Z życia cesarzowej Elżbiety.

Cesarzowa Elżbieta przez kilka lat z rzędu przepędzała zimę w tyrolskim uzdrowisku Meranie. Mnóstwo szczegółów o jej dobroci i uprzejmości krąży z tego czasu w ustach okolicznego ludu. Między innemi znane jest zdarzenie następujące.

Jednego dnia cesarzowa odbywała przejażdżkę po okolicy Meranu. Przejeżdżając koło kościółka, stojącego samotnie na ustroniu, spostrzegła, że drzwi do niego były otwarte. Kazała więc zatrzymać się powozowi, a sama wstąpiła do kościoła. Nie zastawszy w przybytku Bożym nikogo, a pragnąc oddać cześć Bogu, wyszła po schodach na chór, zasiadła do organów i zaczęła grać pieśń nabożną. Przypadkiem przechodził właśnie tamtędy chłopiek ze wsi pobliskiej, a słysząc uroczyste dźwięki organów, zdziwił się niemało, co też organista robi o tej porze w kościele. Nie mógł też pojąć, jak to się stało, że gra tak ślicznie, jak nigdy przedtem. Wchodzi więc po cichu do kościoła, przykłęka i modli się. Po modlitwie obraca się ku chórowi, ażeby się organiście pokłonić, gdy ku wielkiemu zdziwieniu widzi na chórze jakąś nieznaną panią.

— To musi być pewnie organiścina — pomyślał sobie; — bo i któżby inny umiał grać na organach? — Przeżegnał się więc i wyszedł z kościoła.

Ale po chwili zobaczył wieśniak, że i ta pani wyszła z kościoła i wsiadła do wspaniałego powozu, jakiego on jeszcze w życiu nie widział.

— To musi być jakaś baronowa albo hrabina — pomyślał sobie; — ale skąd się tu wzięła w tej stronie?

Kiedy tak dumał, idąc tąsamą drogą, którą się powóz przed nim potoczył, usłyszał zdala odgłos dzwonka i spostrzegł kapłana, spieszącego z Przenajświętszym Sakramentem do chorego. Wieśniak przeżegnał się, przykłękał i patrzy, aż tu i powóz się zatrzymuje, owa dostojna pani wysiada z niego i kłęka na środku drogi; a dalej widzi, że i ksiądz się zatrzymuje i udziela klęczącej błogosławieństwa Przenajświętszym Sakramentem w tak uroczysty sposób, jak podczas

nabożeństwa w kościele, chociaż to było pod gołym niebem i w szczerem polu. Potem kapłan zwrócił się ku góróm do wsi, a powóz z panią szybko potoczył się dalej.

Zdumiony tem wszystkiem wieśniak podbiegł do kościelnego, który siedł przed księdzem ze światłem i dzwonkiem, i pyta się go, czy nie wie, co to za jedna ta pani, którą spotkali na drodze.

— To cesarzowa! — odrzeczł kościelny.

Oślupiał wieśniak na tę odpowiedź, chciał biedz za powozem, żeby jeszcze raz zobaczyć cesarzową, ale powóz odjechał już był daleko.

Za powrotem do domu nie mógł się naopowiadać każdemu, kogo spotkał, o bogobojności cesarzowej i o swoim szczęściu, jakto on modlił się w kościele, kiedy sama cesarzowa grała na organach, i jak potem razem z cesarzową przyklękał, ażeby otrzymać błogosławieństwo Przenajświętszym Sakramentem.

29. Relikwie św. Krzyża.

Wiadomo, jak często dzicz tatarska w głąb ziem polskich zapuszczała swoje zagony. Razu pewnego dopadli Tatarzy, jak mówi podanie, aż do klasztoru i kościoła św. Krzyża na Łysej Górze.

Bezbronny dom Boży padł ofiarą rabunku i zabrano skarby niezmierne, a z nimi najcenniejszą relikwię: drzewo Krzyża świętego, najdroższą krwią Chrystusa oblane. Tatarzy, nawiązawszy jeńców, pociągnęli w stepy swoje, nie czekając pogoni. Pomiędzy zabranymi w jasyr niewolnikami znajdowało się także jedno pobożne dziewczę z rodu Habdanków. Wszyscy litowali się nad nią, a ona szła spętana, modląc się do świętych relikwii, sponiewieranych, rzuconych na wóz ręką poganina, jak okrucieństwo niepotrzebny.

Już Tatarzyn pewien był bezkarności, bo wszedł na dzikie stepy swoje, gdy straszny padł mór na ludzi, na konie i bydło, nim jeszcze do podziału łupów przyszło. Zaraza niszczyła całe obozowiska i osady tatarskie. Dzicz przeleżała nie wiedziała, gdzie szukać ratunku; nie pomagały czary i zaklęcia ni leki ni miejsce odmiana. Wtedy dziewczę owo pobożne, przez Boga w sennem widzeniu natchnione, znalazło środek na straszną zarazę. Myśl swą wyjawiała dziewczę idącemu obok niej Litwinowi, równie jak ona pobożnemu. Ten kazał się natychmiast zawieść przed samego chana, obiecując podać sposób uniknięcia strasznej zagłady. Stanąwszy

przed chanem, oboje oznajmili mu, że dopóki świętości owe do Polski odesłane nie będą, kara Boża nie ustąpi i wszędzie ścigać będzie niewiernych. Przerażony Tatar oddał zaraz relikwie owe dziewczicy i wybrał owego jeńca litewskiego, ażeby ją do kraju z niemi przeprowadził. Zaledwie wóz obrócił się ku zachodowi, ustał mór cudem. Śpiewając pieśni nabożne, szli młodzi ludzie ze skarbem owym świętym przez puste ziemie i przez kraje ludne wciąż ku Łysej Górze, aż złożyli relikwie na dawnym miejscu. Rycerz ów, co dziewczynę odprowadzał, ożenił się z nią potem, a na znak tego związku zmieniono herb Habdank dodaniem krzyża na Dębno.

Józef Ignacy Kraszewski.

30. Święta Kinga.

Przez polskie łąny, przez zieleni niw
Cóż to ucieka, goni; aż dziw?
Czy to przed burzą, przed burzą czarną
Owieczki trwożne do dom się garną?

Oj! nie owieczek białych to ślad,
Pomiędzy które grom niebios padł;
Królowa Kinga to, biała, święta,
Wiedzie do Węgier swoje dziecięta.

A za królową, za Kingą tuż
Czy to nadeiaga sto wrogich burz?
Czy to dzień sądny świta na ziemi
Z krzykami piekła, z łąny krwawemi?

Oj! to nie burza, nie chmurzysk cień,
Ale na Polskę sądny to dzień:
Bo po raz pierwszy czarnymi szyki
Szarańczą straszną spadł Tatar dziki!

Miotły na niebie i szczerą krew;
Psy wyją, świszczą wierzchołki drzew;
A po rosistej, zielonej łące
Dzwony pływają na gwałt bijące.

Tam od Krakowa nadlata gwar,
Jęk słyhać, widać płomieni żar,
Krzyk mordowanych, jęk uwiezionych
Leci po niwach, niwach zielonych.

Zewsząd się ludek przygarnia wraz:

»Królowo Kingo, ratuj ty nas!«

A biała Kinga powiada, święta:

»Za mną do Węgier, moje dziecięta!«

W wstążkę jej szaty wiatr niebios wiał,

Z ust się jej uśmiech anielski śmiał;

Laseczkę białą trzymała w dłoni,

A z dyamentów wieniec u skroni.

Gonią dzień cały i całą noc,

A coraz bliższa tatarska moc,

A coraz bliższe kopyt tętent:

— »O ratuj, ratuj nas, Kingo święta!«

Świt ranny błysnął, straszliwy brzask —

Słychać już, słychać Tatarów wrzask!

Słońce się szybą świeciło krwawą

Za dymem zgłiszczów, kopyt kurzawą.

Ku białej Kindze, by wiatrem gnan,

Chyli się ludu szeroki łan

I w jęk boleści pani się skarży:

— »Ratuj nas, Kingo — oto Tatarzy!«

Królowa Kinga wstrzymała bieg,

Z szaty bieluchnej, jak ranny śnieg,

Niebieską wstążkę na wiatr rzuciła,

Aby w ucieczce jej nie wadziła.

Wstążka rzucona — o! cudów cud! —

Miedzy Tatarów i Boży lud

Wpadła szeroką, szumiącą rzeką

I gdzieś w kraj świata leci daleko.

Zawyła tłuszcza i w męty wód

Leciała wściekła, gdzie Boży lud;

A lud on Boży nogą skrzydlatą

Za białą pani pośpiesza szatą.

Lecz już przez fali szumiącej toń

Leci Tatara szalony koń;

Leci, dosięga ludek ubogi:

— »O ratuj, Kingo! — tam Tatar srogi!«

I oto Kinga u ludka głów

Jako Stróż Anioł stanęła znów

I z drobnej dłoni laskę rzuciła,

Aby w ucieczce jej nie wadziła.

Laska z jej ręki — o! nowy cud! —
Między Tatarów a Boży lud
Stała lasem gęstej świerczyny,
A las się rozrósł w świata kończyny.

Zawyla znów dzicz i w lasów cień
Pędziła naprzód przez długi dzień,
A ludek Boży borów odmetem
Stapał za śladem królowej świętym.

Lecz już się skończył świerkowy las:
— »O pani! Kingo! ratuj ty nas!
Bo krok za krokiem czarnymi szyki
Już nas dogania Tatarzyn dziki!«

I oto Kinga, Archanioł Stróż,
Przed swoim ludkiem stała już;
Koronę z głowy zrzuciła miłą,
Aby nic w drodze jej nie wadziło.

Korona jasna — o! cudów cud! —
Między Tatarów i Boży lud
Stała Tater czarną opoką
I gdzieś pod niebo wzrosła wysoko.

Stała — stoi jak wielki mur,
Świecącym szczytem dotyka chmur
I słońca promień jak tęcza wita,
Nieprzełamana już, nieprzebita.

Za temi skały, jak wichrów wiew,
Skonał bezsilnie Tatarów gniew,
A biała Kinga, królowa święta,
Wiodła do Węgier swoje dziecięta.

Lecz na pamiątkę świętych jej dróg
Niebieską rzekę zachował Bóg;
Wstęgą się sunie jasną, świetlaną
I nosi z dawna Dunajca miano.

I na pamiątkę świętych jej dróg
Lasy świerkowe zachował Bóg,
A drzewo w lasach proste jak świeczka,
Jako królowej Kingi laseczka.

I na pamiątkę korony jej
Bóg dał, że dotąd ziemi lśni tej,
Że u jej skroni poważnej, białej,
Dyadem Tater błyszczą wspaniały.

A gdy na Tater lodowy szczyt
Wejdzie rumiany poranka świt,
To się rozbłyszcza jak dyamenty
W koronie Kingi, królowej świętej.

Józef Szujski.

31. Zakład narodowy im. Ossolińskich we Lwowie.

Kochany Władziu!

Zapytujesz się mnie, czy się nie nudzę i czy nie tęsknię za Stanisławowem. Otóż donoszę Ci, że mi żal wprowadzie za Tobą i za dobrymi kolegami, przedewszystkiem dlatego, że nie mam się z kim podzielić wrażeniami, jakie tu codzień prawie odbieram; ale na tęsknotę, a tem mniej na nudy poprostu nie mam czasu. Żeby Ci dać wyobrażenie o tem, opiszę Ci moje wrażenia z kilku dni ostatnich.

Kiedy we czwartek (12. b. m.) wróciłem ze szkoły po godzinie jedenastej, wziął mię ojciec z sobą na doroczną uroczystość do Ossolineum. Zakład ten znajduje się na krańcu południowo-zachodniej dzielnicy miasta, zwanej Chorążczyzną, a leży u stóp wzgórza, na którem wznosi się cytadela. Jest to obszerny gmach piętrowy o dwóch skrzydłach, a na jego frontonie umieszczony jest złocisty, zdala widny napis »Zakład narodowy imienia Ossolińskich«, który niejako zaprasza do cichych przybytków tej narodowej świątyni.

Weszliśmy do wielkiej sali, zawieszanej portretami i pięknymi obrazami; niektóre z nich bardzo są wielkie. Na kilku rzędach krzesel, ustawionych w półkole, siedziało kilkadziesiąt osób, pań i panów, pomiędzy którymi znajdowali się dostojnicy świeccy i duchowni, a także wielu uczonych mężów. Zrozumiesz, jak mi mocno serce zabiło na widok tylu ludzi głośnego w narodzie imienia, z których wraz z Tobą pragnąłem choć jednego zobaczyć, a teraz poznałem ich tylu naraz. Po chwili wstąpił na podwyższenie zastępca kuratora Zakładu, pan Małecki, autor naszej gramatyki i wielu bardzo uczonych dzieł. W tej chwili ucichły szepty i wpółgłośne rozmowy. Zagajając posiedzenie, powitał uprzejmie zebranych, wspomniął o zasługach założyciela Zakładu, napomknął o znaczniejszych darach i zapisach, jakie w ciągu ubiegłego roku na rzecz Zakładu wpłynęły, poczem zaprosił sekretarza Zakładu, aby od-

czytał sprawozdanie o stanie i czynnościach Zakładu. Sprawozdanie to będzie drukowane, doniosę Ci jednak kilka ciekawych dat, które mi szczególnie utkwiły w pamięci.

Biblioteka liczy przeszło 90.000 dzieł najrozmaitszej treści, w różnych językach, najwięcej jednak w polskim. Otwarta jest we wszystkie dni powszednie, w lecie i w zimie, a pragnący z niej korzystać schodzą się do umyślnych sal, widnych, a w zimie i ciepłych, gdzie bezpłatnie otrzymują do czytania książki, jakich tylko zapragną. Osobna sala mieści się na piętrze, w której przy długim stole, obstawionym może stu krzesłami, gromadzi się publiczność różnego wieku i stanu na czytanie. W dniach wolnych od nauki zbiera się tu i młodzież szkolna tak licznie, że nieraz dla braku miejsca musi z niczem odchodzić. W ciągu ubiegłego roku było tam przeszło 11.000 czytelników. Ja sam byłem tam już kilka razy i postanowiłem sobie ani jednego dnia wolnego nie opuścić, żeby nie pójść do biblioteki. Ściany tej sali zawieszono są portretami wszystkich królów polskich i znakomitych mężów, więc przez samo przypatrywanie można się wiele nauczyć. Na dole jest druga taka sala t. z. Pracownia naukowa, w której się zbierają uczeni. Jaki tam panuje ruch, wnosić można z tego, że do użytku naukowego wydano tam z biblioteki w ciągu roku 25.000 tomów.

Po odczytaniu sprawozdania nastąpić miał jeszcze odczyt naukowy, którego jednak, choć z żalem, musiałem się wyrzec, bo już była pierwsza godzina, więc się śpieszyłem na obiad i do szkoły. Nazajutrz w południe byłem znowu z ojcem w Ossolineum, które tym razem, za uprzejmem zezwoleniem pana Dyrektora biblioteki, zwiedziliśmy dokładnie.

Właściwa biblioteka czyli skład książek mieści się w osobnym zabudowaniu, przerobionem z dawnego kościoła, w kształcie rotundy. Dokoła ścian i filarów w wysokich szafach stoją tu poustawiane książki najrozmaitszej wielkości, od drobnej szesnastki, małej jak dłoń dziecka, aż do ogromnych foliałów, formatu wielkiego arkusza.

Potem znowu zwiedziliśmy »Muzeum Lubomirskich«, które się mieści w lewem skrzydle gmachu. Jest to zbiór najrozmaitszych zabytków z przeszłości naszego narodu: obrazy, przedmioty należące do sławnych ludzi naszych — n. p. biust Mickiewicza z marmuru i jego fajka — i t. d.; najwięcej jest broni, siecznej i palnej, z różnych pochodzącej czasów. W osobnym pokoju za żelaznemi

drzwiami znajduje się zbiór kilkunastu tysięcy polskich i zagranicznych monet.

Zakład Ossolińskich ma nadto własną drukarnię, w której drukują się wszystkie książki dla szkół ludowych, a także nasze Wypisy polskie.

Jakże nie wspominać wdzięcznem sercem pamięci męża, który tak dobroczynnemu Zakładowi dał początek! Twórcą tego Zakładu był Józef Maksymilian Ossoliński, pan bogaty, uczony i zacny, który nie mając własnej rodziny, przybrał sobie niejako za dzieci cały naród. Przez całe życie gromadził książki, obrazy, zbroje i rozmaite pamiątki historyczne w tym celu, aby je oddać na użytek publiczny, ku szerzeniu w narodzie oświaty i zamiłowania własnej przeszłości. Cały swój majątek zapisał Ossoliński na utrzymanie i rozszerzanie tego Zakładu, który w rok po śmierci założyciela otwarty (1827) i coraz nowymi zapisami wzbogacany, coraz też piękniej się rozwija. Zakład ten jest dla Ossolińskiego pięknym i trwałym pomnikiem, którego żąb czasu nie zniszczy, a imię jego z wdzięcznością zawsze będzie wspomинane przez tych wszystkich, którzy będą ze skarbów tego Zakładu korzystali.

Rozpisałem się długo, a powiedziałbym Ci jeszcze więcej, gdybym mógł być razem z Tobą. Tego jednego żałuję tylko, że tych miłych wrażeń doznałem nie razem z Tobą i z moimi kochanymi kolegami. Opowiedz im przynajmniej o tem wszystkiem i pozdrów ich serdecznie ode mnie, a sam, drogi mój Władziu, przyjmij choć w myśli serdeczny uścisk

od kochającego Cię

Lwów, 15. października 1892.

Leszka.

32. Żądza wiedzy.

Nieraz zdarzało się, iż wielcy i głośni w świecie mężowie nie mieli za młodu sposobności nabycia potrzebnych nauk szkolnych, że nie uczęszczali do szkół wyższych ani nie korzystali z bibliotek i muzeów, co więcej, każdy prawie króć rozwoju swojego umysłu okupywali największymi ofiarami — a przecież wielkie około ludzkości położyli zasługi i głośną okryli się sławą. Pochodzi to stąd, iż wszystko to, czego im los odmówił, zdobyli własną gorliwą i wytrwałą pracą. Takim był między innymi Piotr Anich, który żył w połowie przeszłego stulecia.

Był on synem ubogiego górala w Alpach tyrolskich. Wzrósł pomiędzy krowami i owcami. Jak tylko dorósł, posłano go do szkółki wiejskiej, gdzie nauczył się prędzej i łatwiej czterech działań rachunkowych, niż czytania i pisania. Dlatego nauczyciel radził mu zostać kupcem, przepowiadając mu wielki majątek. Ukończywszy nauki w szkole, Anich wrócił do trzody w górach, uprawiał rolę, a w zimie pod kierunkiem ojca zajmował się misternymi wyrobami z drzewa, w czem nadzwyczaj celował. Był zawsze poważny i nieśmiały, zastanawiał się uważnie nad wszystkim i wiele myślał; najchętniej jednak przypatrywał się obszarowi nieba i krążącym po niem gwiazdom.

Po śmierci ojca nie mógł już powstrzymać gorącej chęci nauki. Umiał zaledwie czytać, pisać i rachować, a miał już lat 28! Pędzony naprzód nieprzepartą żądzą wiedzy, pewnego dnia wziął łaskę, kapelusz — i powędrował do Innsbrucku. Tam udał się prosto do profesora matematyki w uniwersytecie i zapytał go:

— Panie, czy to ty zajmujesz się uważaniem gwiazd i nieba?

— Tak jest — rzekł profesor; — ale dlaczego o to pytasz?

— Bo i ja także chciałbym poznać bieg gwiazd. Kiedym pasał bydło, z przyjemnością się im przypatrywałem.

Uczony profesor nie wierzył uszom swoim, słysząc te słowa z ust wieśniaka, którego ręce i twarz ogorzała wskazywały większą sposobność do pługów niż douczonych książek. Mimo to, celem zbadania jego zdolności, zadał mu kilka trudniejszych pytań, na które młody wieśniak odpowiedział jasno i trafnie. Prosił go tedy profesor, ażeby go w każde święto odwiedzał.

Od tego dnia w ciągu czterech lat można było widzieć Anicha bez względu na stan pogody, odbywającego w każde święto długą drogę z gór do Innsbrucku. Przychodził i pracował z tym samym porządkiem i systematycznością, jakiej coraz więcej uczył się poznawać we wzniosłym układzie wszechświata. Postępy jego w matematyce, w optyce i astronomii były tak szybkie, tak niemal cudowne, że uniwersytet, uznając jego naukę, powierzył mu wykonanie globusu niebios.

Ażeby godnie odpowiedzieć położonemu w nim zaufaniu, Anich zapragnął przewyższyć wszystko, co dotychczas w tym kierunku zrobiono. Zanim się zabrał do dzieła, w chwilach wolnych nauczył się pisać kaligraficznie i rysować. Wtedy dopiero, mając wszelkie ku temu potrzebne wiadomości, rozpoczął pracę, w której

przysłała mu się niemało wprawa mechaniczna, nabyta w ciągu długich wieczorów zimowych. Na tokarni toczył z drzewa oba globusy, na których rysował później cały zastęp gwiazd, uszykowanych w konstellacye, a do tego z mosiądzu wyrzynał pierścienie, zęby i cały potrzebny mechanizm. Wreszcie ukończył to arcydzieło, wielkością i dokładnością przechodzące wszystko, co w tym rodzaju znano. Za pomocą mechanizmu, przez Anicha wynalezionego, kula gwiazdzista obracała się zupełnie tak, jak się sklepienie niebios pozornie obraca około ziemi. Kiedy jednak globus ukończony twórca jego chciał odstawić do Innsbrucka, okazało się, iż tak ogromnej kuli nie można było przez drzwi wtoczyć; musiano aż ścianę domu rozebrać, ażeby uprzętać przeszkody. Z owocem pięcioletnich trudów Anich pociągnął do Innsbrucku tasmą drogą, którą tylekroć odbywał, nie zważając na burze i śloty, zimna lub upały.

Do dzisiejszego dnia globus Anicha znajduje się w Innsbrucku, stanowiąc prawdziwą ozdobę tamtejszego muzeum; podziwiają go uczeni i prostacczowie nie tylko jako rzecz niezmiernie ciekawą, lecz także jako wymowny dowód tego, co człowiek uczynić może, jeżeli tylko chce.

J. Szujski (S. Smolska: Prawda a praca).

33. Z życia wróbla.

Jak u ludzi, co głowa to rozum; tak co wróbel, to inny pomysł w wybieraniu miejsca na gniazdo.

W porze zimowej szuka ciepłego miejsca po miastach i po wsiach, gnieździ się na gzymsach kominów, pod strzechami i dachami, na strychach, w owczarniach i stajniach, nawet w dymnych chatkach. Gdzie w świątyniach okienko wybite lub szpary są w murach, tam się umieszcza wróbel, ściele gniazdo, hałasuje, żyje muszkami i pajakami, dziobie łój w lampach, wyszukuje pokarm przemysłem. Dzwony i organy, śpiew i muzyka, światło i ruch — nic go nie odstrasza; czasem siedzie na ołtarzu i swoim głosem wtóruje śpiewom pobożnego ludu. Na wiosnę urządza swą siedzibę po wieżach, w dziosłach między gałęziami, w koronie i po konarach drzew, wędruje na skały i umieszcza się w ich rozpadlinach, leci do lasów, gajów, pasiek, nawet do drzew, osobno po polach stojących. Najciekawsze jednak i najpospolitsze ich gniazdo bywa w rynnach przy dachu. Pojąć nie można, jak ten przezorny i rozumny, a tak praktyczny ptak, może narażać swą rodzinę na to nieustające niebez-

pieczeństwo, że przy każdym ulewnym deszczu woda gniazdo zaleje i materiały w niem popsuje; po klęsce doznanej z wielkiem wysileniem znowu w temsamem miejscu gniazdo zakłada.

Ptak to czasem odważny nad miarę, ale i przemysłny. Znajdujemy go niekiedy tam, gdziebyśmy nawet nie śmieli przypuścić, żeby wśród zgłętku ludzi i hałasu wychował pisklęta. Nie podobają mu się niskie krzaki i ziemia, natomiast opuszczone gniazda srok, wron i wiewiórek wysoko ceni; nawet drobniejszych ptasząt gniazda przywłaszcza sobie, a czasami siłą mocą je zdobywa; najwyżej ceni gniazda jaskółcze, chroniące od przeciągów, bo dobrze zamknięte, które sobie podług potrzeby i zachcianki urządza. Ciśnie się do gołębników, ściele gniazda wśród gałązek gniazd bocianów, orłów i innych ptaków drapieżnych: wszędzie umie bezpieczną wynaleźć kryjówkę. Podziwienia godny jest w tych ostatnich razach. Zdarza się, że go te ptaki porządnie nastraszą i poczubią, lecz on jak mysz włązi i wyłązi, szydząc z gniewu właścicieli; wie dobrze, że go się pozbyć nie mogą — istny, natrętny pasożyt. Gdy tylko miarkuje, że już na siebie uwagi nie zwraca, natychmiast wybiega lub wylatuje na zwiady; a trzyma się gniazd tych dlatego, że w nich mnóstwo bywa robactwa i niespożytego mięsa, wróbel zaś niczem nie gardzi i każde pożywienie na swój pożytek obraca. Zabawny widok wróbla, gdy wśród orląt i bocianiąt biega, kręci się i szuka, jakgdyby był do biesiady zaproszony; zdarza się wszakże, iż życiem łakomstwo przepłaci lub ugodzony dziobem z bolesną raną odejdzie.

Jak jest ostrożny aż do podziwienia, tak znowu natrętny jest i zaślepiony, gdy nie przypuszcza i nie zna niebezpieczeństwa; to prowadzi go często do zguby. Widziałem dwa razy, jak wróble wypędziły z gniazda jaskółki i wróblica jaja w nie zniosła; tymczasem jaskółki, zgromadziwszy mnóstwo mścicielek, zalepiły otwór i udusiły napastnicę. Częściej jednak wróble bez przeszkody zabierają gniazda jaskółek, nim jeszcze powrócą; a gdy nadlecą te biedne, nieśmiałe ptaszęta, nie mają ani siły ani odwagi do odebrania swej własności i lepią świeże.

Powieśmy wysoko na pniach, po ogrodach lub laskach garnki nakryte, z otworem na boku, albo małe koszyczki, a niebawem można zobaczyć stare wróble nadlatujące, by obejrzeć tę nowość; z początku z ostrożnością, z oddalenia je badają, później się zbliżają, zacierają do środka, włączają, próbują i wkońcu ścielają w nich gniazdo. Nieraz umyślnie im sporządzają koszyki i pudełeczka z gontów

lub też z bardzo cienkich desek porobione, aby ułatwić tak wróblom jak szpakom gnieźdzenie się po sadach i ogrodach i sprowadzić jak największą ilość tych ptaków, celem wytopiania owadów.

Mimo swojego sprytu, nie okazuje wróbel zdolności jako budowniczy; gniazdo jego budowy niekształne jest i wiotkie. Są to źdźbła słomy i siana i różne korzonki, niedbale splecione. W środku musi być pierze; nie gardzi jednak wróbel wełną ani drobnymi szmateczkami, sierścią, szczecina ni mchem: wszystko to razem układa, przeplata i ugniata. Sprytny w wynajdywaniu potrzebnego materiału, wie, gdzie gęsi gubią pierze, zna wszystkie kurniki, chodzi za kurami i ptastwem domowem. Zabawną bywa rzeczą, gdy znajdzie długie pióro koguta lub kapłona i, uszczęśliwiony zdobyczą, próbuje je zabrać; nie mogąc znaleźć równowagi, dopóty niem obraca, dopóki z piórem nie uleci i do gniazda go nie włoży.

Rodzice usiłują jak najprędzej wykarmić i wypędzić żarłoczne pisklęta, którym trudno nastarczyć pożywienia; straszliwie też z głodu piszczą, na brzeg gniazda wylażą i wołają o pożywienie. To tłómaczy, dlaczego tak często znajdujemy pod domami i drzewami młode wróble zabite: biedactwo, piszcząc i nachylając się ustawicznie, wypada z gniazda. Nadchodzi nareszcie chwila, w której uznają rodzice, że młodzież dorosła może już dom rodzicielski opuścić; wypędzają je więc przemocą, same bowiem siedziałyby pomimo lichej strawy jeszcze dni parę. Z krótkim, niedorośniętym ogonkiem, z żółtym przy nasadzie dzióbem — już bywa wróbel wygnany. Najpierwej skakać muszą po dachu lub po gałęziach, ojciec zachęca je do lotu, najmłodszego jeszcze dzień lub dwa karmi, starszym przyniesie zmiekkzone ziarneczko, to muszkę lub gąsieniczkę i poczwarkę, lecz im to kładzie opodal; wróble zgłodzone lecą na ponętę, i tak coraz dalej ojciec wprawia je do lotu i szukania żeru. W kilka dni leci z nimi na kwatery jarzyn, w pole na kupy nawozu, uczy ich i ćwiczy, a przekonawszy się o zdolności wróbłat, puszcza je samopas. Cała ta rodzina trzyma się razem, bieduje z początku, lecz że to potrzeba jest matką wszystkich wynalazków, więc się wróble dosyć prędko wyuczają zaspokajania swych potrzeb. Czwooro lub pięcioro wróbłat, rzuconych na los szczęścia bez opieki i pomocy, tuła się po miejscach, wskazanych przez ojca; razem nocują, tuląc się jedno do drugiego; a jak w każdym gronie jakichkolwiek żyjatek znajdzie się zawsze przewodnik, który siłą i zdolnością zajmie sta-

Nowisko kierownika i zdobędzie posłuch, tak i w tej gromadce któryś wróbel bierze towarzyszy w swą opiekę i w świat prowadzi.

Na tych wędrówkach spotykają w temsamem położeniu będące inne sieroty, więc się kojarzą i tworzą spółkę, która się z każdym dniem powiększa, aż nareszcie tworzy owe liczne w sierpniu i wrześniu stada, nawiedzające nasze łąny pszenicy, jęczmienia i prosa. Dni i nocy razem spędzają do zimy, dając nam na dachach czy na drzewach hałaśliwe koncerty. Gdy zaś zima przycisnie, gdy uspi świat owadów, zakryje pola swym całunem, otrząsie jagody i nasiona: wygnane z lasów wróble stadami cisną się do domów, do gumien, miast i wsi, aby przy człowieku znaleźć ciepły kącik i potrzebne pożywienie.

Gdziekolwiek człowiek co wybuduje, zaraz zjawia się wróbel, bada, ogląda, sam i z drugimi; a jeżeli budowę uzna za stosowną, zaraz tam młodzież osadza lub sam się przenosi. W górach przejął zwyczaj górali: w zimie na dołach bawi i po wsiach, w lecie towarzyszy góralom do kolib*) i szałasów, umiając się stosować do ich zwyczajów. Gdy pług ziemię pruje, zaraz i wróbel tam zaziera, pewny, że znajdzie pędraka lub poczwarkę. Wszędzie go pełno, od Stockholmu do Neapolu, od Lizbony do Tobolska; żyje w ciepłym i zimnym klimacie, między dobrymi i złymi ludźmi.

Ptastwo, żyjące w bliskości człowieka, na przykład drób domowy, przyznaje wyższość wróblowi. Z drapieżnych ptaków mało który rzuca się na wróble, czasem krogulec go złowi, kuna lub tchórz w gnieździe schwyci, lecz i to nie często bywa. Człowiek tylko jeden sieci nań zastawia w zimie i pisklęta mu w lecie wybiera, pomimo że jego mięso czarne i dosyć twarde. Z dziwną zręcznością ucieka wróbel przed krogulcem; wpada w gęste krzaki, pod strzechę lub w snopki, życie ratując, a kiedy się już bezpiecznym czuje, zaraz się obraca, główkę wychyla i świegoce tonem radosnym, jak gdyby mówił: »O to mi się udało!«.

Na wolności można go przyswoić podrzucaniem pożywienia, jednak rzadko kiedy z ręki przyjmuje pokarm. Bezczelny w swej natrętej śmiałości, w mieście pcha się pod nogi przechodniów, na wsi szuka pożywienia wśród robotników i psów; młocków pilnuje i znajdzie chwilę, w której zdoła ukraść ziarno; lecz raz zdradzony, pamięta to długo i z doświadczenia korzysta. W niewoli

*) Koliba, chata.

nieczem niepokieszony. Tłucze się po klatce, dziobie i rozbić chce swoje więzienie; nawet czas, ten lekarz wyborny, uspokoić go nie zdoła; najczęściej też tak się potłucze, że i ginie. Pragnie i potrzebuje wolności, bo na nią zasłużył, bo jej używać umie; wśród ludzi wychowany, zna wartość życia bez kajdan i pętów.

Kazimierz Wodzicki.

34. Wróbel.

Wróbel pstry, iż był jeden pomiędzy szaremi,
Ledwo się tykał ziemi,
Tak był zhardział: rozumiał bowiem, iż nad niego
Piękniejszego
Natura wydać nie zdoła

Nie tylko wróbla, ale i sokoła.

Gdy więc wszystkimi gardził, rzekł mu jeden z szpaków:
Kto jest pierwszym wśród wróblów, nie jest pierwszym z ptaków.

Ignacy Krasiński.

35. Połów ryb na Pojezierzu Bałtyckiem.

Na Pojezierzu całe okolice trudnią się prawie wyłącznie połowem ryb, bo zwierciadła wielkich jezior lądowych są charakterystyczną cechą tego kraju.

Niektóre z tych jezior mają po kilka mil kwadratowych — i tylko sinym pasem przeciąga się na widnokręgu brzeg przeciwległy... Na niektórych utworzyła sama natura wyspy i ostrowy, gdzie się znajdują osady i ruiny starych zamków. Na innych widać pośrodku setki i tysiące pali nabitych pod wodą, poczerniałych i skamieniałych prawie dębów. Na palach tych w zamierzchłych czasach były pobudowane wsi i świątynie lub grody, w których się miejscowa ludność chowała w czasie nieprzyjacielskich na kraj napadów.

Trzeba się do tych jezior spuszczać jak w kotlinę — a czyto kępy nadbrzeżnych drzew, czy całe puszcze, czy sioła, czy dwory, czy kościoły, czy zamki, czy bloki ruchomych granitów: wszystko jest wówczas w zwierciadle jezior odbite i tworzy bardzo malowniczy obraz.

Z jakimże urokiem palą się tu na zwierciadle jezior poranne i wieczorne zorze! jakże wesoło tańczy po niem słup słonecznego światła lub srebrna dróżka księżyca!

Kiedy się niebo gwiazdami wyiskrzy, zdają się tonie jeziorne roztwierać swe głębie, aby te gwiazdy pochłonać. A kiedy się z łodzi patrzy w jezioro, nie widać pomiędzy niebem i ziemią przedziału, bo nie wiedzieć, gdzie się kończy a gdzie zaczyna woda. Odległe brzegi mierzchną i nikną dla oka, a łódź zdaje się szybować po morzu gwiazdzistym... Cicho dokoła — czajka tylko nie śpi w nocy i bąk wodny odzywa się w trzcinach!...

Jakiż to prześliczny widok, gdy się łodzie rybackie w wielkiem półkolu uszykują na jasnem zwierciadle jeziora, ciągnąc niewód i spuszczać matnię jego do najgłębszych toni!... Rybak patrzy w ton milcząc i podaje znaki od łódki do łódki.

Na znak jeziornego, który połowem kieruje, powolne są wszystkie łodzie i łukiem po jeziorze płyną, kierując się na główne tonie jeziora; a choć głosu nie słysząc, widać to już na oko, że jakiś tajemny rozkaz kieruje całą wyprawą połowu. Szczególniej, gdy się już poły niewodu zamknąć mają, szybują łódki niewodu z pośpiechem i przybijają w pędzie do brzegu. Wówczas dopiero potrzeba rybackiego rozumu i mądrego kierowania matnią, z której już całe ławy ryb wyjścia szukają. Nierzadkie są wypadki, że się przerwie przeciążona matnia; albo znów gdy grubsze ryby, jak na przykład sumy, zbiją się w wielką ławę, to i najbliższe łódki nie dotrzymają liny, lecz wypuszczają ją albo idą pod wodę.

Nie powierzą też łada komu połowu, bo niełatwa to sprawa po wielkiem jeziorze i po rybnych toniach przejść wielkim niewodem.

Największa panuje cisza, gdy się sieć w jeziorze zatapia; rośnie zaś pośpiech, energia i wrzawa, gdy się już poły niewodu zawiną, a rybacy, wyskakując na brzeg lub na mieliznę, wyciągają matnię z rybą na ląd!

Cóżto za błogosławieństwo nieba, gdy cały wał ryby osiedzie na brzegu; zaledwie pojąć można, czem się to zrobiło! Kupcy z furami czekają już od doby na wysokim lądzie i chcą na niewidziane zapłacić wszystko srebrem i złotem na miejscu; ale właściciel jeziora zrozumiał w czasie połowu, po znakach rybaków i po tem, jak ciągnięto niewód, że połów będzie niezwykły: więc się na niewidziane nie godzi.

Na wysokim brzegu, przy ogniskach, stoi grono domowników, gości i sąsiadów w milczeniu i w oczekiwaniu. Gdy już dolną linę matni pochwycą rybacy na brzegu, wówczas ściągają i kupią się łodzie — a w matni aż kipi, tak się ryba mocuje i rzuca!

*myśl
początek
skoro*

Jeszcze teraz chcą kupcy na niewidziane kupić cały połów, a zagorzałość ich rośnie, bo dają dwa lub trzy razy więcej niż zrazu dawali; ale właściciel jeziora nie odpowiada nawet na to, tylko odprawia ich ręką, a dopiero, gdy wał ryby bije się na brzegu, krzyczy jeziorny: »Teraz bierz, waż i płać!«

Grubą rybę bierze kupiec, drobniejsza idzie dla ludzi do łodzi, a tę, która jeszcze nie ma miary, puszczają napowrót w jezioro.

Teraz dopiero przy roznieconych na brzegu ogniskach wesołe toczą się rozmowy: rybacy opowiadają sobie nawzajem, co się w czasie całego połowu działo; wszyscy zadowoleni, wszyscy cieszą się z tak obfitego połowu.

Wincenty Pol.

36. Dowcip Mozarta.

Glaidn

U jednego wielkiego miłośnika muzyki byli raz na obiedzie dwaj najgłośniejsi swego czasu mistrze, Mozart i Haydn. Pomiedzy zebranymi gośćmi toczyła się ożywiona rozmowa, oczywiście o muzyce. Mozart był usposobienia nadzwyczaj żywego i wesołego, a był także wielkim zwolennikiem szampana. Ponieważ tego nektaru gościnny skądinąd gospodarz tym razem poskapił, dowcipny Mozart ułożył sobie, aby zebranych uraczył szampanem skąpy zazwyczaj Haydn. Tak więc kierował po obiedzie rozmowę, aby zadrasnąć miłość własną Haydna, który uważał się za pierwszego muzyka w świecie.

— O zakład! — odezwał się w tym celu Mozart do Haydna — że skomponuję utwór, którego od razu nie zagrasz.

— Zgoda! — odrzekł zaczepiony — o co?

— O koszt szampana.

— Przystaję.

Mozart poszedł do biurka i napisał pośpiesznie kilka linii, poczem wręczył nuty Haydnowi. Ten ledwie rzucił okiem na rękopis, zdumiony w pierwszej chwili łatwością kompozycji, zawołał:

— Musi mieć dzisiaj Mozart dużo pieniędzy do stracenia; widocznie ma ochotę zapłacić za szampan.

— Zobaczymy to zaraz! — odparł Mozart, zacierając ręce.

Haydn pewny siebie, zasiadł do fortepianu i od razu wykonał preludjum bardzo łatwe; zaczął grać utwór; wtem nagle zatrzymał się w połowie taktu i, zwracając się do Mozarta, zapytał:

— Jakże możesz żądać, abym to zagrał? Powinienem w tem miejscu obie ręce trzymać na końcach klawiatury, a równocześnie uderzyć w klawisz na środku tejże.

— A więc sprawia ci to trudność? — zapytał Mozart. — No, to patrz, jak to trzeba zagrać!

Zasiadł na jego miejscu, powtórzył przygrywkę, a gdy doszedł do trudnego miejsca, nie zatrzymując się ani sekundy, wziął ową środkową nutę, uderzając w klawisz — nosem. Wszyscy obecni roześmiali się w głos i przyklasnęli dowcipnemu muzykowi. Mozart więc wygrał oczywiście zakład, a Haydn musiał zaprosić obecnych do najbliższej winiarni, gdzie wypito kosz szampańskiego, wnosząc po kolei zdrowie obu znakomitych muzyków.

Dodać należy, że natura obdarzyła była Mozarta długim, a cienkim nosem, Haydn zaś miał nosek małego i zadarty.

37. Licyjscy wieśniacy.

W głębi gór licyjskich w Azji Mniejszej znajduje się bagno, w pośród którego na zielonej kępie wznosi się ołtarz ofiarny, poświęcony Latonie. Zapytasz może, co znaczy ten ołtarz, zielonym opasany szuwarem, tu na dalekim wschodzie, między górami? Posłuchaj, co głosi okoliczne podanie.

Zaledwie na wyspie Delos przyszedł na świat Apollo i Dyana, musiała ich matka Latona, prześladowana przez Junonę, opuścić ziemię grecką i szukać przytułku w świecie. Tuląc więc dzieci swe do łona, chodziła po całej kuli ziemskiej, napróżno szukając bezpiecznego schronienia. Razu pewnego w gorący dzień letni, strudzona długą podróżą, przybyła do ziemi licyjskiej. Promienie słońca paliły jej czoło, a język wysechł od pragnienia. Wtem spostrzegła w dolinie małe jezioro, u którego brzegu wieśniacy zbierali trzcinę i szuwar.

Bogini z radością przystąpiła do brzegu, uklękła na ziemi i pochyliła się, ażeby zaczerpnąć trochę wody na ugaszenie pragnienia; gdy wtem z dziką gwałtownością przyskoczyli owi wieśniacy i zabronili jej tego. Ze zdziwieniem spoglądnęła na nich bogini i, klęcząc na ziemi, rzekła spokojnie:

— Dlaczego mi bronicie napić się wody? Wszakże to jest wspólna własność wszystkich ludzi jak słońce i powietrze. Błagam was, pozwólcie mi się napić. Ja wam jej nie zbrukam, nie zmączę;

wszak nie myślę w niej nóg mych obmywać, długą podróżą zmęczonych. Chciałabym tylko ugasić pragnienie, bo wyschły usta moje i ledwie głosu z gardła dobyć mogę. Pozwólcie mi się napić, a życie będę wam winna. O patrzcie, jak te biedne moje dzieci wyciągają ku wam omdlałe rączka, jakby i one was prosić chciały. Zlitujcie się ludzie!

Kogożby te rzewne prośby biednej matki nie wzruszyły? A przecież nieludscy wieśniacy nie słuchają prośby, odpędzają Latonę od wody, łają ją nawet i grożą jej srodze, jeżeli natychmiast nie odejdzie od brzegu. Co więcej, niektórzy z nich wskoczyli do jeziora i, poruszywszy muł na spodzie, zmącili jego wodę zupełnie tak, iż wyglądało jak bagno. *~~~~~*

Gniewem zawrzało serce Latony; nie prosiła już ludzi niegodziwych o współczucie, boby to niegodnem było bogini, lecz podniósłszy oczy ku niebu, zawołała:

— A więc życie wiecznie w tem bagnie!

Spełniła się klątwa bogini: nieludscy wieśniacy zamienili się w żaby. To skaczą po brzegu, to kąpią się w brudnej wodzie, wystawiając z niej głowy; a przytem skrzeczą bez przerwy, jakby kogoś łajały.

Wedł. *Owidego* *Metamorfoz*.

38. Maciej Zerwikaptur.

Najechali raz Krzyżacy na ziemię polskie. Król Władysław Łokietek, który to niewiele wyrósł ciałem, ale zato wielki był duszą i sercem, zebrał wielkie wojsko, aby od swoich granic odpędzić wroga. Mnóstwo tam było panów i szlachty i żołnierzy dzielnych wokoło króla, a za panami, jak zwyczajnie, ciągnęło na wszelakie usługi wielu chłopków, którzy mieli tylko pilnować koni i wozów pańskich, i zwali się po dawnemu ciurami. A był między nimi niejaki Maciej, nie tyle rosty, co krępy i podsadkowaty, żeby sam na sam i z niedźwiedziem nie bał się pójść w zapasy. Szedł daleko za wojskiem, a ciągle przyśpiewywał.

Pewnego dnia stanęło wojsko w polu, a niebawem król każe trąbić na bitwę. Ledwie był czas, zmówić parę Zdrowaś Marya, a już straszliwy wszczął się krzyk i wrzawa. Nadciągnęli Krzyżacy, a nasi dalej na nich. Ale Krzyżaków siła wielka, nie dają się zrazu, biją się z naszymi. Brzęczą tylko szable i dzidy i okrutny rozlega się hałas. Sprzykrzyło się Maciejowi stać za plecami i nie widzieć

nawet, jak tam nasi kropią wrogów. Więc odezwie się do jednego ze swych towarzyszków :

— Hej Marcinie, potrzyjcie tu mego konia, a ja pójdę się przypatrzeć trochę, jak tam nasi biją Krzyżaków.

Zasadił magierkę na ucho, wąs podkręcił na ostro i z gęstą miną posunął naprzód. A że, jak to mówią, strzeżonego Pan Bóg strzeże, więc po drodze chwycił bardysz, to jest topór z szerokim ostrzem, który snąc jakiś Krzyżak upuścił na ziemię, i stanął sobie na boku pod drzewem, aby się rozglądnąć dokoła. Ledwie jednak rzucił okiem po swoich, aż tu jakiś sążnisty Krzyżak w żelaznej zbroi z ogromną dzidą bieży prosto ku niemu, a z boku dwóch innych jeszcze.

Maciej wzruszył ramionami i zawołał z daleka :

— Wróćcie się, wróćcie się, panie wojak, boć ja nie żaden szlachcic, tylko prosty ciura, a na wasze skóry to szlacheckiej potrzeba ręki.

Ale oni obces na niego, ba nawet dzidami zmierzają mu wprost do gardła. Zasłania się Maciej bardyszem jak może, ale już mu krew zaczyna kipieć w żyłach. Zachmurzył czoło i mówi groźnie :

— Ejże, panie Krzyżak, nie zaczepiaj mnie, bo dalibóg, że cię palnę.

Ale oni nie słuchają, tylko godzą na niego dzidami. Tego już było za wiele Maćkowi; wpadł w gniew straszny i — jak nie odskoczy w tył, jak nie huknie z całego gardła, a potem jak nie zawinie bardyszem! — a owe trzy Krzyżaki stoją jeszcze chwilę na nogach, ale ich głowy leżą już na ziemi.

— »A widzicie, samiście chcieli« — rzekł — »pamiętajcie sobie na drugi raz, jak to zaczynać ze mną. A kiedyście mię już raz rozzłościłi, to wam pokażę, gdzie raki zimują!« i puścił się za drugimi na wroga. Ale nie było już po co, bo ich nasi tymczasem odparli. Uciekali Krzyżacy, a nasi pędzili za nimi i bili uciekających. Nabił się ich i Maciej nie mało, aż się zmęczył i zasapał, a potem wolnym krokiem powrócił do swoich koni. Ledwie stanął, aż tu wołają go do króla.

Przestraszył się Maciej na razie i myśli sobie :

— Może król jegomość gniewać się będzie, żem trochę poturbował tych Krzyżaków; ale Bóg świadkiem, żem ich nie zaczepiał, tylko jeszcze przestrzegał z daleka. Pokręcił więc wąsa, poprawił rzemień w pasie i sunie śmiało do króla.

A król Łokietek w świecącej zbroi stoi na drodze, na około niego panów ciżba, a mnóstwo chorągwi krzyżackich leży mu pod nogami, i gromada pojmanej starszyny krzyżackiej w pokornej postawie czeka na boku. Przyszedł Maciej między tych to panów, a król odezwał się do niego:

— Toś ty zuchu, coś za jednym zamachem trzem Krzyżakom uciął głowy?

Widzi Maciej, że król wesół i bardzo łaskawy w twarzy, więc też pokręcił wąsa i rzecze śmiało:

— A dlaczego, proszę króla jegomości, nie słuchali, kiedym ich przestrzegał z daleka; niech sobie pamiętają na drugi raz!

Król zaśmiał się łaskawie i panowie zaśmiali się w głos, a Maciej, widząc taką łaskę, dalej prawi:

— Nakłuci ja i innym jeszcze karku — ale to się nie rachuje, proszę króla jegomości, bo już wtedy uciekali.

Na to król przychodzi blisko do Maćka i ręką pogłaskał go po brodzie.

— Tyś Mazur? — pyta.

— A Mazur, Maciej się nazywam, proszę króla jegomości.

— A gdzieżeś się ty tak rąbać nauczył? — pyta król dalej. — Trzy głowy ściąć za jednym zamachem, to rzecz nielada.

— Co mi to za głowy! — powiada Maciej. — Siedziały tak lekko na karku, jakby przylepione; ledwom machnął, a opadły jak kaptury od oponczy.

Król znowu w śmiech, potem rzecze z powagą i łagodnością:

— Kto tak dzielnie umie kropić wrogów ojczyzny, nie może być prostym ciurą. Od tej chwili jesteś szlachcicem na wieczne czasy, a na pamiątkę będziesz miał trzy głowy na swej pieczęci i będziesz się zwał Zerwikaptur.

Padł Maciej do nóg królowi dziękować za tę łaskę, a król prócz szlachectwa udarował go jeszcze i ziemią szeroką.

Po skończonej wojnie Maciej Zerwikaptur osiadł we dworze — i ciągle tylko prosił Boga, aby się rychło trafiła jaka okazyja, żeby mógł się wywdzięczyć królowi i ojczyźnie za te łaski.

39. Giermek.

Złoci wieczór łan Podola;
Ciagną wojska, tabor, wozy;
Tętnią całe lasy, pola,
Stoją groźne dwa obozy:

Z jednej strony sztandar wiary,
 Siwy hetman, młodzież dziarska;
 Z drugiej wściekłość, krew, pożary
 I straszliwa czerń tatarska.

Jutro, jutro z rannym brzaskiem
 Dzień gonitwy, dzień rozprawy.
 Słońce krwawym zaszło blaskiem;
 Bój to będzie straszny, krwawy.

Ledwie pierwszy mrok zapada,
 Polski hetman kord przypasze,
 Z młodym giermkim na koń siada
 I objężdża czaty nasze.

Jedzie — patrzy w obóz dziczy,
 Słucha gwaru, rżenia koni,
 Pyta, zważa, ognie liczy
 I już w myśli łamie, goni.

O! nie ciesz się wodzu stary:
 Zmienne wojny są koleje,
 Nie tak łatwo to z Tatary;
 Słuchaj, patrzaj, co się dzieje!

— Hura! hura! — pędzi horda,
 Nocny napad w obóz leci;
 Giermek za broń, wódz do korda:
 — Na koń! woła, na koń, dzieci!

Śpieszą, biegną do swych szyków,
 Wśród nocnych pędzą cieni,
 Gdy wtem z grzmotem nowych krzyków
 Zewsząd czernią otoczeni.

Tną i walczą na przebicie:
 Rąbie hetman, giermek łamie,
 Całą młodzież, ogień, życie
 W wojujące przelał ramię.

I już słyszą, słyszą w dali,
 Jak nadbiega polska wiara;
 Ale już ich nie ocali,
 Już nie wyrwie z rąk Tatara.

Wzięty giermek, hetman wzięty;
 Krzyczy, huczy, motłoch dziki,
 Bucha gniewem chan zacięty,
 Patrząc na swe niewolniki.

Wre i zemstą ryczy srogą;
Każe jednym skuć żelazem
Nogę giermka z wodza nogą
I tak obu więzić razem.

Smutnie wzrok ich wzniosł się, zwrócił
Na wysokie gwiazd sklepienia;
Ale na cóżbym wam nucił
Ich boleści, ich marzenia?

Kto w półdzikim, podłym tłumie
Nie włókł ciężkich lat niedoli,
Nie — nie pojmie nie zrozumie,
Jak jest gorzkim chleb niewoli!

Zasnął hetman siwobrody,
Zasnął, jakby między swemi;
Nie śpi, czuwa giermek młody,
Długo o swej duma ziemi.

I łza tryska mu z źrenicy,
Żal i rozpacz serce tłoczy,
Gdy wtem nagle w swej ciemnicy
Zapomniany topór zoczy.

Patrzy, duma, drży i marzy,
Serce szczytnym ogniem płonie,
Wielki w duszy zamiar waży,
Topór w obie chwyta dłonie.

I podnosi rękę śmiałą,
Mężnie ku swym pętom zwróci —
Tnie — odcina nogę całą
I hetmana swego cuci.

— Wolnyś, rzecze; straż zaspana:
Uchodź, ocal twą krainę,
Śpiesz i pobij wojsko chana!
Ja z radością tutaj zginę. —

Powstał hetman i wzniosł dłonie,
Rzewnemi się łzami zalał,
Żegnał, Boskiej zdał obronie,
Ścisnął, uszedł i ocalał.

I straż nagle z snu się zrywa,
Wieść ucieczki wodza szerzy,
I sam wreszcie chan przybywa
I zaledwie oczom wierzy.

Długo, długo wzrok swój wryty
W śmiałych topi mu zrenicach,
Stoi, jakby gromem zbity,
Po dostojnych czyta licach.

I odpycha wszystkie strażę;
— Cnota dzikość zwyciężyła. —
Każe leczyć, darzyć każe
I do Lachów go odsyła.....

W świetnem dworzan, wodzów gronie,
Szkarłatnemi szaty odzian,
Siadł król polski na swym tronie,
Wdzięczny przed nim stanął młodzian.

W miejscu nogi prosta kula
Ujmującą postać wspiera,
I dwór cały się rozczula,
Z szmerem dziwu nań spoziera.

I dwaj wiodą go rycerze
Kornie przed tron przystępuje;
Król z wezgłowia Szczerbiec bierze
I rycerzem go pasuje.

Gdy wtem z pośród wodzów koła
Hetman nogę niesie złotą:
— Oto herb twój! — król zawoła —
Wysłuszony twoją cnotą.

Franciszek Morawski.

40. Ofiarny wieśniak.

Podczas ciężkiej wojny, jaką prowadziła Austria z Francją w końcu przeszłego stulecia, znalazło się państwo w bardzo przykrem położeniu, nie mając środków do dalszego prowadzenia wojny. Wtedy poddani sami stosownie do sił swoich dobrowolnie składali ofiary, ażeby ułatwić obronę monarchii. Miły był cesarzowi Franciszkowi II. ten dowód przywiązania poddanych; ale jeden wypadek szczególną mu sprawił przyjemność.

W r. 1793. przybył na dwór cesarski prosty wieśniak, chcąc się rozmówić z cesarzem. Ponieważ monarcha ten najniższym swym poddanym nie odmawiał nigdy posłuchania, więc wpuszczono i owego wieśniaka.

— Miłościwy Panie — rzekł przybyły, pokłoniwszy się nisko; — i ja wam tutaj coś przynoszę.

To mówiąc, położył worek z tysiącem złotych na stole.

Zdziwił cesarza ten dar tak znaczny, przez człowieka tak prostego i w taki sposób złożony.

— Jak się nazywasz? — zapytał dobrotliwie; — skąd jesteś?

— Tego ja nie powiem — rzekł wieśniak krótko i odszedł.

Zajęła cesarza ta prostota i szczerłość; wysłał tedy swoich dworzan za owym wieśniakiem, ażeby go jeszcze raz zapytali, kto on jest. Lecz wieśniak rzekł, śmiejąc się: — Czy wy myślicie, że ja wam to powiem, czegom nie powiedział cesarzowi?

41. Język.

Filozof grecki Xantus chciał dać ucztę dla swych uczniów. »Idź na targowicę — rzekł do Ezopa, swego niewolnika — i kup co tylko może być najlepszego«. Ezop pomyślał sobie po drodze: »Nauczę ja mego pana, wyraźniejsze dawać rozkazy«. Kupił więc kilka ozorów, zgotował je dla gości i postawił przed każdym na talerzu ozór z sosem. Uczniowie byli zadowoleni z tego pierwszego dania, które zdawało się wskazywać na język, jako najgłówniejsze narzędzie do wyrażenia naszych myśli. Na drugie danie zastawił Ezop ozory pieczone. Żądano innych potraw, on znowu dawał ozory.

— »Jakto! — zawołał nareszcie znudzony Xantus, widząc niezadowolenie swych gości — nicze nie masz więcej prócz ozorów?«

— »Nic« — odpowiedział spokojnie Ezop.

— »Jakże, niegodziwce, nie dałem ci rozkazu, abyś najlepszych rzeczy nakupił?«

— »Bardzo ci, panie, dziękuję, że mi dajesz sposobność usprawiedliwienia się w przytomności tylu filozofów. Czyż może być na świecie co lepszego nad język? Za pomocą języka uczymy się filozofii i wszystkich nauk. Za pomocą języka dajemy i odbieramy, prosimy, dziękujemy, bronimy niewinności, karcimy zbrodnie. On kojarzy małżeństwa, buduje miasta, czuwa nad bezpieczeństwem człowieka i zachowuje mu życie. Możeż więc być co lepszego nad język?«

Wszyscy uczniowie uznali słuszność mowy Ezopa i przypisali winę panu jego, nie bardzo zadowoleni z tak filozoficznego obiadu.

Xantus wymawiał się złościwością sługi i przyrzekł nazajutrz lepiej ich uraczyć. Zawoławszy w ich obecności Ezopa, rzekł do niego: »Jutro nagotujesz drugi obiad; ale kiedyś taki przewrotny,

że najlepsze moje zamiary przekręcasz, kupże nam na ten obiad, co tylko znajdziesz najgorszego«. Ezop nakupił znów ozorów i dał na stół. Goście na pierwsze danie szemrać zaczęli: »Jako — mówili do siebie — zawsze te przebrzydłe ozory?«. Rozgniewany Xantus wpadł na Ezopa z wielką furią: »Cóż ty robisz, szkaradna poczwaro? Gdy ci kazałem kupić co najlepszego, kupiłeś ozorów; gdy ci znowu kazałem kupić co najgorszego, ty nas znowu ozorami traktujesz?«

— »Mój panie — odpowie Ezop — a cóż może być gorszego, niż język? Co zburzyło tyle miast, zgładziło tyle ludzi, popęliło tyle kłamstw, złorzeczeń, niegodziwości? Język niszczy kraje, napełnia życie goryczą i trwogą i do rozpaczury przywodzi«.

42. Klasztor na Jasnejgórze.

Któż u nas nie słyszał o Częstochowie i o sławnym obrazie Najświętszej Panny w kościele OO. Paulinów na Jasnejgórze? Któż, przyciśniony nieszczęściem, nie westchnął zbolalą piersią ku tej najwyższej orędowniczej utrapionych? Ze wszystkich ziem dawnej Polski, a nawet z dalszych krajów, od wielu wieków rokrocznie śpieszą tutaj pobożni, ciągną liczne tłumy pielgrzymów, szukając ulgi w cierpieniu lub składając dzięki za doznane od Opatrzności łaski. Tu królowie polscy we wszystkich ważniejszych chwilach dążyli z modlitwą i prośbami do najwyższej Królowej niebios i ziemi; tu hetmani po szczęśliwie ukończonych wyprawach składali dziękczynienia jakoteż zdobyte na nieprzyjaciółach sztandary i różne bogate wota; tu wreszcie cały naród zwracał się z ufnością w chwilach nieszczęścia i radości, pewien opieki i łaski Królowej swej i Pani.

Na północny zachód od Krakowa, na drodze, wiodącej z Śląska ku Warszawie, nad rzeką Wartą, wśród szeroko ciągnących się równin leży Częstochowa, której założenie sięga niepamiętnych czasów. O pół mili od tegoż starożytnego miasta wznosi się Jasna Góra, na której szczycie są warowne mury klasztoru OO. Paulinów i kościół, gdzie się znajduje ów słynny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Wszystkie te zabudowania tworzą razem niby małą warownię, otoczoną murem, z poza którego baszty i wieże kościoła wybiegają w górę niby kwiaty z kamiennego wazonu. Mury klasztoru były niegdyś silną warownią i niejednokrotnie oparły się szturmom wojsk nieprzyjacielskich; lecz w nowszych już czasach warownię zniesiono,

a mury wraz z basztami zniżono o połowę. Pozostały więc dziś już tylko szczątki dawnych fortyfikacyi.

Przez cztery bramy i mosty, niegdyś zwodzone, wchodzi się w dziedziniec klasztorny. Wejście to zachowało do dzisiaj wejrzenie obronnej warowni. Nad pierwszą bramą, zbudowaną z kamienia, wymalowany jest obraz Matki Boskiej z podpisem łacińskim: »Pod Twoją obronę«. Nad drugą bramą wykute jest na marmurowym medalionie popiersie króla Stanisława Augusta, nad trzecią bramą ustawiono figurę Matki Boskiej, a nad czwartą, głęboko sklepioną w ostatnim wale, wymalowany jest wizerunek Władysława, księcia opolskiego, który na dłoni trzyma kościół częstochowski na znak, że on to kościół ten założył i w nim sławny ów obraz umieścił.

Przy każdej z tych bram wzdłuż całej drogi rozłożone stoją kramy z obrazkami świętych, medalami, różańcami, książkami do nabożeństwa, które wszyscy przybywający tutaj pobożni kupują na pamiątkę swej pielgrzymki na Jasnągórę. Wszedłszy na dziedziniec wewnętrzny, mamy przed sobą rozliczne zabudowania, częścią klasztorne, częścią należące niegdyś do fortyfikacyi i do obrony służące. Najobszerniejszem z tych zabudowań jest sam klasztor dwupiętrowy z sześciu wybiegającemi ponad mury basztami. Obok wznosi się wspaniały kościół z wieżą o sześciu stopniowaniach; przy kościele znajduje się kaplica, w której umieszczony jest obraz, będący celem modlitw i piegrzymek, odbywanych do tego miejsca. Wokoło kościoła i klasztoru ciągną się zabudowania różnego kształtu i przeznaczenia, jakoto sala do bierzmowania, zbrojownia, pokoje królewskie, apteka, stajnia — słowem niby małe miasteczko, pancernem obronnego muru objęte.

Wejdzmy do kościoła. Wspaniała ta świątynia ma kształt po-
dłużny. Ściany jej mozaikowane, sklepienie rzeźbą okryte, drzwi zaś, do bocznych kaplic prowadzące, wykładane marmurem. Szczególnej piękności jest wielki ołtarz, złożony z grupy posągów naturalnej wielkości, z jednej sztuki ciosowego kamienia wykutej. Grupa ta wyobraża wniebowzięcie Najsw. Panny Maryi, którą trzech aniołowie do nieba unoszą. Jest to szczególne w swoim rodzaju arcydzieło sztuki rzeźbiarskiej. Niema w tym ołtarzu, jak zwykle w innych, ani malowideł ani gzymsów ani filarów.

Ale pobożny pielgrzym, wszedłszy do kościoła, dąży jak najspieszniej do kaplicy, w której znajduje się cudowny obraz Matki Boskiej, wymalowany na cyprysowej desce, według podania, przez

św. Łukasza. Tłok pobożnych, którymi zawsze przepelniona jest kaplica, z trudnością dozwala zbliżyć się do jej wnętrza. Przed obrazem odprawiają się msze św. od rana do godziny dwunastej; o dwunastej przy odgłosie muzyki, trąb i kotłów spuszcza się srebrna zasłona, zakrywająca obraz święty; o godzinie trzeciej znów się podnosi i rozpoczynają się nieszpory: taki jest codzienny porządek nabożeństwa. Kaplica przedzielona jest kratą. Pobożni na klęczkach obchodzą ołtarz, składają dary i wota. Przed ołtarzem wisi ośm lamp srebrnych, z których jedna jest darem króla Jana III. Sam obraz owieszony jest kosztownymi darami, klejnotami i drogimi kamieniami tak, że z poza nich widać tylko twarze Matki Boskiej i Pana Jezusa. Głowy obie ukoronowane są złotemi koronami, a cały obraz odziany w sukienkę, drogimi kamieniami i perłami szytą. Trzy są takie sukienki kosztowne: perłowa, dyamentowa i rubinowa; wyszyto je jeszcze przed dwustu prawie laty i dotąd co roku w Wielki Czwartek w inną z tych sukienek obraz ubierają. Takto tem, co się po ludzku najdroższem i najświetniejszym zdawało, zdobiono obraz Królowej swojej dla okazania jej jak największej czci i poszanowania.

Równie bogate są mnogie dary królów i panów, z czcią największą przechowywane w skarbcu klasztornym. Jest tam krzyż srebrny i takąż monstrancya, dar Zygmunta I.; pomiędzy wielu ornatami szczególną na siebie uwagę zwraca ornat, perłami wyszyty własną ręką królowej Jadwigi; znajduje się sztandar turecki i zegar brązowy, ofiarowany przez Sobieskiego jako zdobycz z wyprawy pod Wiedeń. Są tam kosztowne buławy hetmanów, n. p. Stanisława Rewery Potockiego, a obok nich widzieć można także skromny kij pielgrzymi, z którym Mikołaj Radziwiłł, zwany Sierotką, odbył pielgrzymkę do Ziemi Świętej, do grobu Zbawiciela.

Takto łaskami i przywilejami monarchów i hojnymi datkami i ofiarami pobożnych pielgrzymów wzbogacany, wzrastał klasztor coraz bardziej i stał się z czasem najświętszem i najdroższem miejscem dla wszystkich ziem polskich. Przez rok cały dążą pobożni gromadami ku temu miejscu świętemu; od świtu do nocy przepelniony jest kościół i dziedzińce klasztorne, rozlegają się śpiewy pobożne, z tysiąca piersi wznoszą się ku niebu modlitwy i głosy błagalne; a kiedy zmrok padać zaczyna, pielgrzymi rozchodzą się po gospodach; nad kaplicą, w której umieszczony jest obraz, zapalają w górze lampę, migocącą widnem z daleka światłem. Wśród

zapadających coraz bardziej cieni nocnych jeszcze szarzej tu i ówdzie
klęczące postacie pobożnych, jeszcze rozlega się echo pieśni, na
cześć Maryi śpiewanych — aż ku północy wszystko cichnie, noc
ciemna wszystko ogarnia i tylko światełko gorejącej w górze lampy
pozostaje niby świadectwo nieustającej nad ludem i krajem opieki
najwyższej Królowej nieba i ziemi.

43. Pieśń do Najśw. Panny.

O Maryo, moja miłości,
Moja nadziejo złota!
Słońce w ciemności,
Źródło żywota!

Gdy spojrzę w Twoje niebiosy,
Zaraz weselszy być muszę;
Szczęście jak rosa
Spływa mi w duszę.
Z Twej Jasnogóry zdroje łask biją...
Błogosław Maryo!

Kto się do Ciebie poleci,
Choć w burzy na oceanie,
Jak nie przeleci
Wiry, otchłanie.

Kogo wziąć raczysz w obronę,
Ten lekko na tym padole
Z cierni koronę
Nosi na czole.
Z Twej Jasnogóry zdroje łask biją...
Błogosław Maryo!

Jak pokos w polu ucięty
Prosi, by związał go rolnik,
Tak włoż mi pęty —
Jam Twój niewolnik.

I przyjm to serce w ofiarze,
Którym Ci dawno poślubił,
Bo w świata gwarze
Łatwobym zgubił.
Z Twej Jasnogóry zdroje łask biją...
Błogosław Maryo!

Lucyan Siemieński.

44. Cudowne ocalenie.

Cieężka nam kiedyś była bieda z napaścią Tatarów. Człowiek ani w nocy spać spokojnie ani w dzień pracować nie mógł swobodnie z obawy przed tymi barbarzyńcami. Za każdym ich najazdem mnóstwo wsi leżało spalonych, wiele miast opustoszałych, a ilu ze sobą uprowadzili w jassyr ludzi, tego się i doliczyć nie można. Waleczni obrońcy kraju opierali się im dzielnie, ale nie zawsze mieli dostateczne siły, by ich zagony powstrzymać.

Razu jednego ksiązę Konstanty Ostrogski, uniesiony szlachetną chęcią odparcia najeźdźcy, nie zważając na małą liczbę swego wojska, uderzył na przemagające siły Tatarów. Lecz nagle obkoczony przez nieprzejrzane ich hordy, mimo całej waleczności swojej i swoich towarzyszy, został pobity i dostał się do niewoli.

Co to była za uciecha dla tych pohańców, dostać w ręce tak sławnego wojownika i tak wielkiego pana; jakże się radowali na myśl wielkiego okupu, jaki im będą musieli złożyć Polacy, ażeby wydostać księcia z jassyr. Mimo to jednak ksiązę Ostrogski na równi z innymi brańcami musiał z skrupowaniem rękami odbyć piechotą całą drogę. Oplakany był los tych brańców tatarskich: głodzono ich, bito bez miłosierdzia i zamykano w ciemnych lochach lub przykuwano do ciężkiej pracy. To też wielu z niewygód, niedostatku i tęsknoty za ziemią rodzinną umierało prędko, nie doczekawszy się upragnionego okupu.

Właśnie ta nadzieja okupu kazała się Tatarom lepiej nieco obchodzić z księciem. Osadzony był w Bakczyseraju w wysokiej wieży, której małe zakratowane okienko wychodziło na jakiś pusty dziedziniec. Tylko raz na dzień przychodził do niego dozorca z jadłem i napojem, poczem drzwi żelazne na klucz zamykał.

Samotność, bezczynność i tęsknota za krajem i rodziną dręczyły księcia; ulgi w cierpieniach szukał tedy w modlitwie, to odmawiając pacierze, to pucąc pieśni nabożne lub hymny, a zwłaszcza »Kto się w opiekę poda Panu swemu«.

Nie tajną było w osadzie tatarskiej rzeczą, kto to na wieży tak śpiewa, bo sam chan tatarski doniósł królowi polskiemu o wzięciu Ostrońskiego do niewoli i naznaczył niezmiernie wysoką cenę za jego wyzwolenie.

Po niejakim czasie zauważył ksiązę, że jakiś człowiek regularnie o tym samym czasie przesuwa się przez dziedziniec i spo-

gląda w jego okienko. Zrazu sądził, że to śpiew jego budzi tylko prostą ciekawość u jakiegoś mahometanina. Aż tu pewnego dnia o zmierzchu wpada przez okno do jego izdebki kamień, owinięty zapisanym papierem. Z powodu ciemności nie mógł już odczytać pisma, więc je schował, tem bardziej, że o tej porze właśnie przychodził codziennie dozorca. Już ani oka nie zmrużył tej nocy; a skoro tylko dzień zaświtał, z bijącym sercem przystąpił do samego okienka i wyczytał na karteczce następujące wyrazy: »Ufaj w Bogu i nie trać serca, może niezadługo będziesz wolny; wszystko już do ucieczki gotowe; a skoro nadejdzie stosowna pora, uwiadomię cię o niej«.

Uradował się książkę niezmiernie tą wieścią i dziękował Bogu za niespodziewanego wybawcę. Tymczasem mijały dnie, mijały tygodnie, a nie otrzymywał powtórnego zawiadomienia. Książkę gubił się w domysłach, co mogło być tego przyczyną, już nawet wątpić poczynił w spełnieniu śmiałego zamiaru, lecz wreszcie zdawał się we wszystkim na wolę Boską.

Kiedy tak jednego wieczora już po odejściu dozorca głęboko się zadumał, usłyszał stuknięcie w izdebce. Był to oczekiwany kamień, owinięty jak za pierwszym razem w zapisany papier, w którym się nadto znalazł mały pilniczek.

Już ten widok napoił go radością, że chwila wybawienia się zbliża, co także i wiadomość na karteczce, którą dopiero nazajutrz odczytał, potwierdzała.

Zaraz za nadejściem nocy wziął się do przepiłowania kraty, jednak czynił to z wielką ostrożnością. Za każdym głośniejszym skrzyknięciem żelaza wstrzymywał się przełknięty, żeby go kto nie usłyszał. Po kilkugodzinnej pracy udało mu się wyłamać dwie nadpiłowane sztaby, potem podarł na kawałki część ubrania, zrobiony z nich sznur przywiązał do pozostałej kraty i czekał już tylko umówionego sygnału, odmawiając w myśli modlitwy.

Niebawem dał się słyszeć w odległości głos puhacza: Ostrogskiemu zadrżało serce z radości, bo ten głos był umówionym właśnie znakiem. Cekał już tylko powtórnego odezwania się, jako chwili stanowczej, poczem przeżegnawszy się, wylazł otworem i spuścił się po sznurze na ziemię szczęśliwie. W załomku muru dostrzegł nieznanomego swego oswobodziciela, który, przyłożywszy palec do ust na znak milczenia, ujął Ostrogskiego za rękę i prowadził długo za sobą krętymi ścieżkami pośród zarośla; aż przeszedłszy przez głęboki rów, stanęli na otwartem polu, gdzie czekały dwa osio-

dłane konie, a na jednym z nich przywiązany był tatarski ubiór dla księcia.

Książę przebrał się co śpieszniej i zdjętą odzież chciał w rów rzucić, ale milczący przewodnik zwinął ją i zabrał, a księciu dał znak skinieniem do wsiadania. Ostrogski jechał w milczeniu za swym przewodnikiem znowu przez zarośla aż do rzeki. Tutaj przewodnik wrzucił odzież Ostrońskiego, którą woda zaraz uniosła, poczem zwrócił się w przeciwną stronę i popędził co koń wyskoczy, a książę za nim. Dopiero gdy się rozwidniło i gdy dotarli do miejsca, które już można było uważać za bezpieczne, przewodnik zwolnił biegu koniowi, poczem odezwał się do księcia po polsku:

— Tutaj, mości książę, możemy chwilkę odpocząć i konie nasze nakarmić.

Książę posłuszny wezwaniu zsiadł z konia, a przystąpiwszy do swego wybawiciela, zawołał z uniesieniem:

— Pozwól, bym ci naprzód podziękował za wyświadczone mi dobrodziejstwo, a potem proszę, powiedz mi, kto jesteś, jak ci się będę mógł odwdziżyć za wyświadczoną przysługę.

— Niema o czem mówić — odrzekł zagadniony — taka usługa należy się każdemu rodakowi.

Potem dobył ze skórzanej torby chleba i baraniny i podał je Ostrogskiemu, który z chciwością wziął się do jedzenia; nie ustawał jednak nalegać na swego wybawcę, żeby zaspokoił jego ciekawość.

— Jestem szlachcic herbu Poraj — odrzekł zagadkowy wybawca — nazywam się Piotr Muławski; wstyd mnie wyznać przed tak zacnym panem, żem nędzny i grzeszny człowiek.

Potem opowiedział, jak dostał się w niewolę tatarską, jak nie mogąc znieść pastwienia się Tatarów nad nim, przyjął wiarę mahometańską i imię Abasa, jak zyskał sobie zaufanie ich do tego stopnia, iż mu powierzyli nadzór nad jeńcami. Dalej wyrzucał sobie zapomnienie o Bogu i ojczyźnie, wkońcu nadmieniał, jak głośnie modlitwy i śpiew Ostrońskiego obudziły w nim pamięć lat dziecinnych i żał dotychczasowego życia, jak wreszcie postanowił odpokutować za swe grzechy, a poprawę rozpocząć od wybawienia księcia.

Nie czekając odpowiedzi i unikając podziękowań księcia, poszedł okiełznać konie i puścili się w dalszą drogę. Jechali najczęściej nocą i manowcami, aż po kilku dniach dotarli szczęśliwie do Dniepru, który wpław przebyli i stanęli na ziemi ojczystej. W pierwszej zaraz chwili, nie dbając o możliwą pogoń tatarską, zsiadli

z koni, umieścili je w szopie, a sami udali się do kościółka, aby złożyć Bogu korne dzięki za to, że im pozwolił stanąć szczęśliwie na ziemi rodzinnej.

Sądny dzień był tymczasem w Bakczyseraju. Kiedy dozorca swoim zwyczajem następnego wieczora przyniósł jadło, a księcia nie zastał, nie chciał zrazu własnym oczom wierzyć. Dopiero ujrzawszy wyłamaną kratę, zrozumiał, co zaszło, i dał znać do chana. Chan w pierwszym gniewie z powodu utraty takiego jeńca kazał uwięzić dozorcę, choć ten nic zgola nie był temu winien, i przywołać do siebie Abasa. A gdy mu doniesiono, że i Abas znikł, zrozumiał wszystko i rozkazał licznej straży puścić się natychmiast w pogoń za zbiegami.

— Tylko mi złapcie tych nikczemników — wołał do odjeżdżających — a dam wam kiesę złota; ale jeśli bez nich wróćcie, każę was na pal powbijać.

Zagrzany obietnicą i groźbą, która łatwo mogła być wykonaną, oddział tatarski ruszył za zbiegami. Ale szczęściem pogoń została wysłaną dopiero w kilkanaście godzin po ucieczce, nadto znaleziona w rzece odzież Ostrońskiego zbiła z tropu goniących, którzy zamiast wprost dążyć ku Polsce jeszcze przez kilka godzin szukali zbiegów w okolicy, sądząc, że się gdzie ukrywają. Mimo to nad samą granicą byli już bliżej ich dogonienia, jechali bowiem prosto drogą i daleko śpieszniej, nie potrzebując się kryć jak tamci. Po drodze wypytawali się przechodniów i dowiedzieli się tuż u granicy Polski, że dwóch jeźdźców tatarskich pędziło żwawo w tę stronę. Byli to właśnie nasi zbiegowie, którzy czując się już blisko ziemi ojczystej, nie zachowywali takiej jak poprzednio ostrożności.

Niedługo też wpadli do ziemi polskiej, a nawet do tejsamej wioski. Kiedy przejeżdżali mimo kościoła, skąd dolatywały ich śpiewy pobożnych, ozwał się jeden Tatar do swych towarzyszy:

— Słyszycie, jak te psy niewierne piszczą w tym gmachu. Wartoby ich napaść i pozabierać im sprzęty kosztowne. Ale ofuknęli go towarzysze, że szkoda czasu tracić; zresztą, jak zbiegów pochwyć, to z powrotem i tutaj pogospodarują sobie do woli. Puścili się więc śpiesznie w dalszą drogę. Tak więc pobożność powtórnie wyratowała z niebezpieczeństwa Ostrońskiego, którego pogoń byłaby niechybnie dosięgnęła.

Po nabożeństwie puścił się Ostrogski z towarzyszem w dalszą drogę i szczęśliwie minął się z pogonią, która tymczasem zaslepiona żądzą dostania w ręce tak pożądanego jeńca zapędziła się za daleko w granice Polski, aż wpadła na podjazd kawalerii narodowej, który wszystkich schwytał i rozbroił.

Gdy nareszcie Konstanty Ostrogski ku wielkiej całego narodu radości stanął szczęśliwie w domu, zaczął się zaraz gotować do nowego najazdu na Tatarów. Muławski zaś, stosownie do powziętego postanowienia, wstąpił do zakonu Braci Trynitarzy, którzy się trudnili wykupem niewolników, gdzie jako władający językiem tatarskim niejedną narodowi wyświadczył przysługę, i tak w ostrej pokucie dni swoich dokonał.

45. Obyczaje dzięcioła.

Dzięcioły są ptakami nadzwyczaj pożytecznymi, gdyż niszczą ogromną ilość owadów lasom szkodliwych; bez nich właściwie gospodarstwo leśne prawieby istnieć nie mogło. A jednak niewdzięczni ludzie źle im odpłacają to dobrodziejstwo, gdyż prześladują je na każdym kroku, i to nie tylko lud wiejski, który niszczy ich gniazda, ale i myśliwi, nie mający pojęcia o ich pożyteczności. Niedorzeczne jest mniemanie, że one przebijając korę drzew zdrowych, psują je zupełnie; właśnie wytępiając gąsienice i poczwarki owadów drzewo niszczących, nadzwyczaj są pożyteczne. Dlatego powiada jeden z największych u nas badaczy przyrody: »Kto chce mieć urodzajne sady i lasy dobre, niech hoduje (wszystkie ptaki śpiewające i) dzięcioły; od nich nasza roślinność zależy.

Bardzo ciekawy jest sposób jego życia.

Pewien uczony z szczególnem zamiłowaniem badał obyczaje dzięcioła, którego w tym celu sam wychował i własnymi odkarmił rękoma. Był ów dzięcioł od samego początku tak łaskawy, iż na każde zawołanie, t. j. świshnięcie, natychmiast przylatywał i z ręki przyjmował pożywienie. Widząc wyciągniętą ku sobie rękę z jakąś łakocią, n. p. z migdałem, z kawałkiem twardego sera lub piernika, brał nastawiony przedmiot w dzióbek i, nie oddalając się, wbijał go podającemu między palce, jak gdyby mu go trzymać kazał. Jeśli palce za słabo trzymały, tak, iż migdał wypadł, uderzył je kilka razy dziobem, podnosił migdał z ziemi i kładł go powtórnie między palce; jeżeli zaś po kiku próbach nie chciano mu go trzymać

jak należy, oddalał się zniechęcony i wkładał przysmak w jakąkolwiek szparę, już poprzednio przygotowaną.

Przynoszono mu umyślnie ścinane gałęzie i utwierdzano je mocno, ażeby się nie chwiały. Ptak natychmiast zabierał się do roboty i pracował tak usilnie, iż rozbijał gałęzie w niedługim czasie.

Nie czynił tego bynajmniej z głodu, gdyż miał podostatkiem wszelkiego pożywienia; jeśli jednak znalazł wypłoszoną z drzewa gąsienicę lub jaki owad, cieszył się widocznie i zjadał go z największym smakiem.

Niekiedy nie można było wyjść z podziwu, przyglądając się jego pracy; uderzał bowiem dziobem w drewno z taką siłą i z takim zamachem, a przytem uderzenia te powtarzał tak często, że pojąć było trudno, jak mu to nie szkodziło. Lecz im więcej pracował, tem weselszy był i zdrowszy, a napracowawszy się, przylatywał do obecnych w pokoju domowników i siadał albo na ich ramieniu lub piersiach albo też na stole.

Towarzystwo lubił niezmiernie; sam nigdy długo nie wytrzymał. Jeśli był w klatce zamknięty, a w pokoju nie było nikogo, to krzyczał bez ustanku i kuł w drzewo z taką natarczywością, że aż klatka się chwiała. Jeżeli zaś wtedy wszedł kto do pokoju i zbliżył się ku niemu, podbiegał z rozpostartemi skrzydełkami do ściany klatki i całym swem zachowaniem wielką okazywał radość. Kiedy znów ktoś obcy wchodził do pokoju, a on bawił się na środku, natychmiast w głąb umykał i chował się za nogę stołu albo poza inny jaki sprzęt domowy, skąd wyglądał ciekawie i ostrożnie. Unikając zbliżających się do niego gości, krył się ciągle, dopóki sam gospodarz nie zbliżył się ku niemu i nie wyciągnął doń ręki; w takim razie natychmiast przylatywał do niego i jakby z radości wsuwał dziób pomiędzy palce lub uderzał w nie z lekka.

Razu pewnego wszedł do pokoju mosiężnik z twarzą żółto-brunatną, oddawna zapewne nie mytą. Dzieciół swoim zwyczajem wskoczył za nogę stołu. Spostrzegł go jednak mosiężnik, a zaciekawiony niezwykłością ptaszka, zbliżył się nieco i zaczął mu się uważnie przyglądać. Dzieciół zachowywał się spokojnie i tylko przestępując z nogi na nogę, chował się poza stół; dopóki mosiężnik trzymał ręce przy sobie, nie zdradzał ptak żadnym ruchem skrytych swych zamysłów. Lecz gdy ów, okazując swoje zdziwienie, wyciągnął rękę w stronę ptaka, choć nie postępując naprzód ani się schylając, ten z ogromnym krzykiem w lot rzucił się na rękę,

uderzając w nią z całej siły dziobem, a gdy człowiek cofnął ją do kieszeni, dzięcioł rzucił mu się na twarz, na głowę i z taką zapalczywością uderzał, że go ledwie można było odpędzić od przestraszonego mosiężnika. Nawet po odejściu mosiężnika nieprędko udało się uspokoić ptaka, który się takim gniewem zapalił na widok tak niezwykle ciemnego oblicza.

Ponieważ najczęściej latał swobodnie po całym mieszkaniu, a okna w lecie były prawie zawsze otwarte, wylatywał więc na podwórze i do ogrodu i tu siadał na chwilę na drzewach, rozglądał się naokoło i zaraz wracał do domu; jeśli zaś zabawił nieco dłużej, przylatywał natychmiast, gdy się go zawołało znanem mu świnięciem. Raz tylko jeden odleciawszy znacznie dalej do wielkiego w sąsiedztwie ogrodu i znalazłszy tam wiele zajęcia na starych gruszkach, nie wrócił zaraz ani nie dał się przywabić wołaniem, potem zaś zmyliwszy drogę, już nad wieczorem do obcego wleciał pomieszkania, skąd go przyniesiono. Od tego czasu nie puszczał się już na dalsze wędrówki.

Zajmowały go bardzo wszelkie drobne, szczególnie błyszczące przedmioty, które chwycił, a pobawiwszy się nimi nieco, zanosił je do jednej ze swoich kryjówek (miał ich kilka) i tam je chował w szparę. Jeśli w jego nieobecności wyjęto się kilka takich przedmiotów z kryjówki, podlatywał i brać ich nie dozwalał, wydzierając je mocno z pomiędzy palców; był też nad wyraz uszczęśliwiony, gdy mógł taki przedmiot napowrót otrzymać i do kryjówki zanieść.

Psów i innych mniejszych zwierząt domowych nie obawiał się wcale, a tylko będąc na środku pokoju, chował się przed nimi poza nogi sprzętów, a prześladowany podlatywał na wyższe przedmioty. Jeśli pies zbliżył się do klatki wtedy, gdy dzięcioł w niej siedział, poczęstował go dziobem jak się należy, poczem pies natychmiast odskakiwał i zaczynał szczekać z odległości kilku kroków. Obawiał się jednego tylko stworzenia i niemało się przeląkł przy pierwszym jego widzeniu. Był niem rak. Zapewne dziwaczna postać i wielkie kleszcze musiały się dzięciołowi tak strasznymi wydawać: zaraz rzucił się w tył z rozpostartymi skrzydełkami, latał po całej klatce, wyciągając na przód szyję i wznosząc się wysoko na nogach, śledził uważnie każdy najmniejszy ruch raka. Zaledwie zwolna uspokajał się potem.

Codziennie jego życie bardzo było proste. Jadał niemal wszystko to, co i człowiek, szczególnie rzeczy gotowane, groch, bób, ziemniaki i t. p. Bardzo lubił orzechy, migdały, pestki wiśniowe lub śliwkowe, niemniej także robaczki, owady, gąsienice i pająki. Kąpiel zimna sprawiała mu wielkie zadowolenie, toteż kąpał się codziennie, latem i zimą, a kąpał się tak, że jednego piórka suchego nie pozostało na nim. Wodę na to miał na obszernej misce na środku pokoju, ażeby sobie nie zalewał klatki. Wykąpawszy się, natychmiast uciekał do klatki i zawieszał się u jednej ze ścian, pozostając w tem położeniu, dopóki nie wysechł. Sypiał zawsze, schowawszy z lekka główkę pod skrzydełko, albo u góry klatki na dół zwieszony albo w położeniu pionowym u tej ściany klatki, która w stronę okna była zwrócona.

Razu pewnego nad wieczorem, kiedy ptaszek już zasnął w postawie pionowej, a wszyscy domownicy wyszli byli z pokoju, wpadł przez otwarte okno wielki kot i udusił dziecięcią łapą, zanim służba na krzyk jego zdążyła z pomocą. Wypadek ten wielkim smutkiem okrył dom cały, bo wszyscy nadzwyczaj przywiązani byli do pocziwego ptaszka.

46. Filemon i Baucyda.

Na jednym z pagórków frygijskich stoją dwa okazałe drzewa, otoczone wciąż całej okolicznej ludności; jest to dąb odwieczny i stara lipa. Tuż obok wznosi się wspaniała, choć niewielka świątynia, u stóp zaś pagórka połyskuje zwierciadlana szyba jeziora. Mieszkańcy sąsiednich stron dziwne opowiadają rzeczy o tem cichem jeziorze, o tej kapliczce na wzgórzu i tych dwóch starych drzewach rosnących w pobliżu.

W miejscu, gdzie dzisiaj rozlewają się wody jeziora, stało niegdyś ludne i bogate miasto, którego mieszkańcy, w zbytkach pogrążeni, zapomnieli o Bogu i cnocie. Ażeby się o tem przekonać, zstąpił z nieba sam Jowisz i w towarzystwie Hermesa, wzięwszy na się postać ludzką, chodził od pałacu do pałacu, od chaty do chaty, prosząc o przytułek i gościnę. Napróżno jednak pukali do drzwi tysiąca domów — nigdzie ich nie przyjęto. Wyszli więc z niegościnnego miasta i już opuścić mieli ziemię, gdy na wzgórzu w pobliżu ujrzeli ubogą, słomą poszytą chatę, której pochylone od starości ściany podparte były belkami. Tutaj jeszcze postanowili

wstąpić goście niebiescy. Schyliwszy głowy, weszli w niskie drzwi chaty, prosząc o gościnę.

Mieszkało tam dwoje staruszków, sędziwy Filemon i równie stara żona jego Baucyda. Bardzo byli pobożni i poczciwi. Chatkę tę zamieszkali w dniach swojej młodości, w niej całe spędzili życie, w niej też pozostali na starość, zadowoleni ze siebie i nie czując ciężaru ubóstwa. Nie mieli służby, lecz zawsze jedno drugiemu z przyjemnością usługiwało.

Kiedy w progi tej chaty wstąpili nieznajomi wędrowcy, Filemon powitał ich uprzejmie i przysuwając ławę, prosił, ażeby spočzęli, a usłużna Baucyda co rychlej odgarnęła na kominku popiół, dobyła z pod niego żarzących się węgli, a przykrywszy je suchą korą i trzaskami, sędziwym podmuchem roznieciła ogień; zniosła potem ze strychu suchych gałęzi, poprzelaamywała je i położyła na ogień, ażeby co prędzej ogrzać wodę w kotle. Tymczasem Filemon dwuzębnymi widłami zdjął kawał wędzonki, który wisiał na okopconej u powały belce, odciął sporą jego część i włożył w kipiącą wodę. Podczas tej roboty, ażeby się goście nie nudzili, starali się staruszkowie bawić ich rozmową.

Kiedy już jadło było gotowe, Baucyda wiązką woniejącej mięty starła stół dębowy, a że jedna jego noga nieco była krótsza, podłożyła pod nią skorupkę; przysunęła do stołu ławę, przykryła ją starym, ale odświeżnym kobiercem i zaprosiła gości, aby spożyli, czem chata bogata. Na glinianych naczyniach podano dorodne oliwki, dar łaskawej Minerwy, ser świeży i jaja, w letnim przypieczone popiele. Po takiej przekąsce podano jako drugie danie świeżo ugotowaną wędzonkę, a do tego dzban młodziutkiego wina z drewnianymi kubkami. Wreszcie na wety podano w otwartych koszyczkach orzechy, figi, daktyle, jabłka i winogrona — wszystko to ułożone dokoła świeżego plastra miodu. Skromne to było jadło, ale umilała je nadzwyczajna uprzejmość i otwarte serca gospodarstwa.

Naraz spostrzegli staruszkowie, iż pomimo częstego napełniania kubków, w dzbanie nie wina nie ubywa; osłupieli na ten widok i, złożywszy ręce jak do modlitwy, tak przemawiają do swoich gości:

— Cud ten świadczy, żeście bogowie, nie ludzie! Darujcie nam biednym, iż was tak skromnie w domu swym przyjmujemy. Oddamy wam wszystko, co mamy.

To rzekłszy, przypomniała sobie Baucyda, iż ma jeszcze jedną gęś, która była stróżką ich ubogiej chaty; postanowiła ją zabić na ofiarę dla bogów. Chciała więc gęś złapać, ale ta, przeczuwając zapewne, co ją czeka, żwawo uciekała, krzycząc przeraźliwie. Aż się zadychała staruszką, goniąc za gęsią, która wreszcie schroniła się pod nogi samego Jowisza.

— Dajcie jej pokój — rzekł bóg łaskawie; — aż nadto gościnnie przyjęliście nas w swoim domu. Otrzymacie też za to nagrodę, podczas gdy wasi sąsiedzi ciężką ponieśli karę. Zobaczcie sami!

Wyszli więc staruszkowie przed chatę i spojrzeli przed siebie na dolinę. Straszny ich oczom przedstawił się widok. W miejscu, gdzie było miasto ludne i bogate, rozlało się wielkie jezioro. Długo patrzali z żalem i współczuciem na grób tylu znajomych i sąsiadów; potem obrócili się ku bogom, ażeby im hołd oddać i cześć należną — gdy oto nowe spostrzegli dziwo! Ich uboga chatka przemieniła się w wspaniałą świątynię: stare podpórki zmieniły się w kształtne filary, drzwi niziutkie w wielką sztucznie rzeźbioną bramę, dach słomiany w blachę złotą, a podłoga w posadzkę marmurową.

Na twarz tedy upadli staruszkowie przed obliczem boga, a ten rzekł do nich dobrotliwie:

— Powiedzcie, poczcivi ludzie, czego sobie życzycie; powiedzcie, a wszystko wam uczynię!

Niedługo namyślali się staruszkowie.

— Ojcie bogów i ludzi! — rzekł Filemon — pozwól nam w tej świątyni służyć sobie do śmierci; a żeśmy tak długie lata w zgodzie przeżyli i miłości, spraw, abyśmy też razem pomarli, abym ja nie patrzył na śmierć mej żony, a ona nie musiała mnie grzebać.

Bóg spełnił ich życzenie i długie jeszcze lata służyli mu w kapliczce na wzgórzu. Aż raz, kiedy zgrzybiali od starości, wieczorem wyszli przed domek boży i, patrząc na ciche jezioro, przypominali sobie dawne czasy i szczególną dla siebie łaskę bogów — naraz patrzy Filemon, a jego żona korą się pokrywa; i Baucys spostrzega ze zdziwieniem, że małżonek jej zmienia się w drzewo. Ledwie jeszcze czas mieli zawołać ku sobie: »Bądź zdrów!« »Bądź zdrowa!« — a już kora zasłoniła im usta, ręce zmieniły się w konary, a ponad głowami rozpięta się szeroka z liści korona. I dotąd jeszcze stoi tam na wzgórzu dąb okazały i stara lipa — to Filemon i Baucys!

Wedł. *Owidyusza* *Metamorfoz*.

47. Świtez.

(Ktokolwiek będziesz w Nowogrodzkiej stronie,
Do Płuzyn ciemnego boru
Wjehawszy, pomnij zatrzymać twe konie,
Byś się przypatrzył jezioru.

Świtez tam jasne rozprzestrzenia łona
W wielkiego kształcie obwodu,
Gęsta po bokach puszcza oczerniona,
A gładka jak szyba lodu.

Jeżeli nocną przybliżysz się doba
I zwrócisz ku wodom lice:
Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą
I dwa obaczysz księżyce.

Niepewny, czyli szklana z pod twej stopy
Pod niebo idzie równina,
Czyli też niebo swoje szklane stropy
Az do nóg twoich ugina,

Gdy oko brzegów przeciwnych nie sięga,
Dna nie odróżnia od szczytu,
Zdajesz się wisieć w środku niebokręga,
W jakiejś otchłani błękitu.

Tak w noc, pogodna jeśli służy pora,
Wzrok się przyjemnie ułudzi...;
Lecz żeby w nocy jechać do jeziora,
Trzeba najśmielszym być z ludzi.

Bo jakie szatan wyprawia tam harce!
Jakie się larwy szamocą!
Drzę cały, kiedy bają o tem starce,
I strach wspominać przed nocą.

Nieraz wśród wody gwar jakoby w mieście,
Ogień i dym bucha gęsty,
I zgiełk walczących i wrzaski niewieście,
I dzwonów gwałt i zbrój chrzęsty.

Nagle dym spada, hałas się uśmierza,
Na brzegach tylko szum jodły,
W wodach gadanie cichego pacierza,
I dziewic żałosne modły.

192
190
203

Co to ma znaczyć? różni różnie plotą:
Cóż, kiedy nie był nikt na dnie;
Biegają wieści pomiędzy prostotą,
Lecz któż z nich prawdę odgadnie?

18 Pan na Płużynach, którego pradiady
Były Świtezi dziedzice,
Z dawna przemysłał i zasięgał rady,
Jak zbadać te tajemnice.

19 Kazał przybory w blizkiem robić mieście
I wielkie sypał wydatki:
Związano niewód, głęboki stóp dwieście,
Budują czołna i statki.

24 • Ja ostrzegałem, że w tak wielkiem dziele
Dobrze, kto z Bogiem poczyną;
Dano więc na mszę w niejednym kościele,
I ksiądz przyjechał z Cyryna.

20 Stanął na brzegu, ubrał się w ornaty,
Przeżegnał, pracę pokropił:
Pan daje hasło, odbijają baty,
Niewód się z szumem zatopił.

23 Topi się, pławki nadół z sobą spycha,
Tak przepaść wody głęboka;
Prężą się liny, niewód idzie z cicha,
Pewnie nie złowią ni oka.

16 Na brzeg oboje wyjęto już skrzydło,
Ciągną ostatek więcierzy:
Powiemże, jakie złowiono straszidło?
Choć powiem, nikt nie uwierzy.

20 Powiem jednakże. Nie straszidło wcale:
Żywa kobieta w niewodzie!
Twarz miała jasną, usta jak korale,
Włos biały, skąpany w wodzie.

20 Do brzegu dąży. A gdy jedni z trwogi
Na miejscu stanęli głazem,
Drudzy zwracają ku ucieczce nogi,
Łagodnym rzecze wyrazem:

17 • Młodzieńcy! wiecie, że tutaj bezkarnie
Dotąd nikt statku nie spuści:
Każdego śmiałka jezioro zagarnie
Do nieprzebrnionych czeluści.

- »I ty, zuchwały, i twoja gromada
Wrazbyście poszli w głębinie;
23 Lecz, że to kraj był twojego pradziada,
Że w tobie nasza krew płynie;
- »Choć godna kary jest ciekawość pusta,
Lecz żeście z Bogiem poczęli:
21 Bóg wam przez moje opowiada usta
Dzieje tej cudnej topieli.
- »Na miejscach, które dziś piaskiem zaniósł,
Gdzie car i trzcina zarasta,
2 Po których teraz wasze biega wiosło,
Stał okrąg pięknego miasta.
- »Świtez, i w sławne orężem ramiona
I w kraśne twarze bogata,
20 Niegdyś od książąt Tuhanów rządzona,
Kwitnęła przez długie lata.
- »Nie émił widoku ten ostęp ponury:
Przez żyzne wskrós okolice
18 Widać stąd było Nowogrodzkie mury,
Litwy naówczas stolicę.
- »Raz niespodzianie obległ tam Mendoga
Potężnem wojskiem car z Rusi;
21 Na całą Litwę wielka padła trwoga,
Że Mendog poddać się musi.
- »Nim ściągnął wojsko z odległej granicy,
Do ojca mego napisze:
19 »»Tuhanie! w tobie obrona stolicy,
Śpiesz, zwołaj twe towarzysze!«
- »Skoro przeczytał Tuhan list książęcy
I wydał rozkaz do wojny,
20 Stanęło zaraz mężów pięć tysięcy,
A każdy konny i zbrojny.
- »Uderzą w trąby, rusza młódź, już w bramie
Błyska Tuhana proporzec;
22 Lecz Tuhan stanie i ręce załamię,
I znowu jedzie na dworzec.
- »I mówi do mnie: »»Jaz własnych mieszkańców
Dla obcej zgubię odsiecz?
24 Wszak wiesz, że Świtez nie ma innych szanów
Prócz naszych piersi i mieczy.

»Jeśli rozdzielę szczupłe wojsko moje,
Krewnemu nie dam obrony;

20 A jeśli wszyscy pociągniem na boje,
Jak będą córzy i żony?«

»Ojcze, odpowiem, lękaś się niewczesnie.

Idź, kędy sława cię woła!

21 Bóg nas obroni: dziś nad miastem we śnie

Widziałam jego anioła.

»Okrzyżył Świtez miecza błyskawicą

I nakrył złotemi pióry,

20 I rzekł mi: Póki męża za granicą,

Ja bronię żony i córzy.

»Ustuchał Tuhan i za wojskiem goni;

Lecz gdy noc spadła ponura,

23 Słychać gwar zdala, szczęk i tentent koni,

I zewsząd straszny wrzask: ura!

»Zagrzmiały tarany, padły bram ostatki.

Zewsząd pocisków grad leci;

19 Biegna na dworzec starce, nędzne matki,

Dziewice i drobne dzieci.

»Gwałtu, wołają, zamykajcie bramę!

21 Tuż, tuż za nami Ruś wali.

Ach! zgińmy lepiej, zabijmy się same!

Śmierć nas od hańby ocali.

»Natychmiast wściekłość bierze miejsce strachu:

19 Miecą bogactwa na stosy,

Przynoszą żagwie i płomień do gmachu,

I krzyczą strasznymi głosy:

»Przeklęty będzie, kto się nie dobije!

23 Broniłam, lecz próżny opór:

Kłęczą, na progach wyciągają szyje,

A drugie przynoszą topór.

»Gotowa zbrodnia, czyli wezwać hordy

18 I podłe przyjąć kajdany,

Czy bezbożnymi wytępić się mordy.

Panie — zawołam — nad Pany!

»Jeśli nie mogę ująć nieprzyjaciela,

O śmierć błagam u Ciebie:

20 Niechaj nas lepiej twój piorun wystrzela,

Lub żywych ziemia pogrzebie!

22

Wtem jakaś białość nagle mię otoczy,
Dzień zda się spędzać noc ciemną :
Spuszczam ku ziemi przerażone oczy . . .
Już ziemi niema pode mną ! . . .

»Takeśmy uszły niewoli i rzezi. —

Widzisz to ziele dokoła ?

To są małżonki i córki Świtezi,
Które Bóg przemienił w zioła.

»Białawem kwieciem, jak białe motylki,
Unoszą się nad topielą ;

19 Liść ich zielony, jak jodłowe szpilki,
Kiedy je śniegi pobielą.

12 »Za życia cnoty niewinnej obrazy.

Jej barwę mają pó zgonie,

22 W ukryciu żyją i nie cierpią skazy,
Śmiertelne nie tkną ich dłonie.

»Doświadczył tego car i wrogów zgraja.

21 Gdy piękne ujrzawszy kwiecie,

Ten rwie i szyszak stalowy umaja,

Ten wianki na skronie plecie :

»Kto tylko ściągnął do głębiny ramię —

20 Tak straszna jest kwiatów władza —

Że go natychmiast choroba wyłamie,
I śmierć gwałtowna ugadza.

»Choć czas te dzieje wymazał z pamięci,

22 Pozostał sam odgłos kary :

Dotąd w swych baśniach prostota go święci

I kwiaty nazywa *cary*.

22 To mówiąc, pani zwolna się oddala ;

Topią się statki i sieci,

Szum słychać w puszczy, poburzona fala

Z łoskotem na brzegi leci.

Jezioro do dna pękło nakształt rowu,

24 Lecz próżno za nią wzrok goni :

Wpadła i falą nakryła się znowu —

I więcej nie słychać o niej.

Adam Mickiewicz.

48. Wisła.

I.

Ze wszystkich rzek, które do Bałtyku wpadają, największą
jest Wisła, królową rzek polskich zwana. Jej dorzecze tak szeroko

i gałęzisto jest rozłożone, iż daleko na wszystkie strony sięgają źródła tych strug i potoków, które z nią razem do morza uchodzą.

Źródła Wisły wytryskają na północnych stokach góry Baraniej, leżącej w zachodnim Beskidzie na Śląsku. Pośród górskiego boru sączą się tam dwa strumyki: jeden zwany »Czarną«, drugi »Białą Wisłą«. Przelewając się po ogromnych złomach kamieni, lecą one z szumem w głęboką, lesistą dolinę; niebawem łączą się razem i już jako znaczniejszy potoczek dopływają do wsi, noszącej także miano Wisły. Tutaj zasilają nurt rzeki inne leśne strumyki, a wszystkie razem złączone w jeden strumień spadają z szumem ze skały, tworząc wspaniały wodospad. Taką jest kolebka królowej rzek polskich.

Koło Dziedzic zbliża się Wisła ku granicom Galicyi i przyjmuje od prawego brzegu rzekę Białą, która tworzy granicę między Galicyą a Śląskiem austriackim. Dalej płynie Wisła wzdłuż granicy pruskiej. Naprzeciw Oświęcima wpada do niej z lewego boku Czarna Przemsza, nadpływająca ze Śląska pruskiego. Odtąd staje się już Wisła rzeką poważną. Płynie wśród okolic pagórkowatych aż do Podgórza. Stąd prawy jej brzeg wygląda się w równinę, gdy lewy aż po Sandomierz jest jeszcze miejscami pagórkowaty. To też począwszy od Krakowa rozlewa się już Wisła szeroko, a w czasie wezbrania zatapia nieraz nadbrzeżne okolice, pustosząc pracę rolnika.

Koryto rzeki często się zmienia. Dzieje się to mianowicie, kiedy woda wzbiera, albo raczej, kiedy powódź już opada; stąd też dwojake bywa łoże Wisły: stare, zwane Matką, i nowe, zwane Lachą. Matką płyną statki w każdym czasie, Lachą tylko na większej wodzie. Jedno z takich dawnych koryt oddzielało Kraków od przedmieścia Kazimierza, lecz dziś jest zasypane i w ulicę zamienione.

Dno Wisły jest przeważnie piaszczyste, rzadko gdzie żwirowate i kamieniste. Drobne laski olszyny, topoli, osiczyny lub gęste zarośla wikliny porastają miejscami pobrażne jej piaski; tu i ówdzie ciągną się wzdłuż rzeki podmokłe łąki i pastwiska, a wśród nich stawy lub ślady byłych stawów i starych koryt. W czasie wylewów wyrывa Wisła w miękkiej ziemi odnogi, podmula i odrywa brzegi, odsypuje niskie ławice piasku w środku koryta i dzieli się na wiele ramion. Stądto w łożu Wisły napotyka się często na wyspy, które zazwyczaj leżą pomiędzy nowem a starem korytem Wisły (Wiślickiem), pomiędzy Lachą a Matką albo też na ujściu rzek wpada-

jących do Wisły w górnym jej biegu. Wyspy takowe są dwojakie: kędy z dawna porasta dębina i nadwiślańska topola, nazywają to ostrowem; kędy zaś nagie odmiały piasku lub żwiru i kamieńca wikliną i wierzbą z czasem dopiero porastają, wyspę taką nazywają kępą. Czem bliżej do ujścia, tem większe są te wyspy; od samej Warszawy tylko do Gdańska jest na Wiśle takich kęp i ostrowów 52.

Wisła wzbiera często, najbardziej zaś o wiośnie, podczas topnienia lodów i znoszenia kry, potem około św. Jana w czerwcu (wylew świętojański) i w lipcu około św. Jakóba (Jakóbówka).

Namuł żyzny, którym się po powodzi okrywają porzecza Wisły, jakoteż doliny wszystkich jej dopływów górskich, pokrywa jałowe kamieńce i piaski. Puchy wierzb, wiklin i topól posiewają te namuły i jeszcze z końcem tegosamego roku porasta cały obszar zieloną trawą brzegowych łąk i posiewem wiklin, które poziom gruntu na Powiślu z laty coraz wyżej podnoszą.

Długość biegu Wisły w naszym kraju wynosi 34 mil (258 km.), a szerokość łożyska przy ujściu Sanu, gdzie Wisła już opuszcza Galicyę, przeszło 280 metrów.

Począwszy od Sandomierza płynie Wisła w północnym kierunku, skręca się zwolna ku zachodowi, przybywa pod Warszawę, a dalej pod Toruń.

Szeroką wstęgą, poważnie snuje się tutaj Wisła, a jej łoże całe zasiane jest rozkosznymi ostrowami. Miejscami wznoszą się gliniaste, urwiste i dosyć wysokie zabrzeża, a zamiast samego brzegu ciągną się wzdłuż rzeki groble i tamy, które od Torunia aż do ujścia Wisły zajmują przestrzeń 45—48 mil. 350 km.

Poniżej miasta Gniewa rozdziela się Wisła na dwa ramiona z których wschodnie czyli prawe, zwane odtąd Nogatem, płynie na Malborg i dwudziestu odnogami wpada do zatoki Fryskiej — lewe zaś czyli zachodnie, znacznie głębsze, jeszcze raz rozdzielone, dwiema odnogami uchodzi do morza (Leniwką czyli Gdańską Wisłą i Szkarpową czyli Elbląską Wisłą). Długość całego biegu od źródeł do ujścia wynosi 141 mil. 1060 km. prz.

Wszystkich większych i mniejszych dopływów jest około 120. Najważniejsze z nich są: od lewego brzegu Przemsza, Rudawa, Prądnik, Pilica; od prawego brzegu: Biała, Soła, Skawa, Raba, Dunajec, Wisłoka, San z Wisłokiem, Narew z Bugiem.

Nic więc dziwnego, że Wisła rośnie coraz bardziej; pod Warszawą szerokość jej łożyska dochodzi już do 1000, a pod Toruniem 1500 metrów.

II.

Splaw i żegluga na Wiśle rozpoczyna się już od ujścia Przemszy. Od Krakowa szły dawniej galary, szkuty, dubasy, berlinki, krypy i innych nazw statki i tratwy. Mniej ich teraz chodzi w górnym biegu, zato między Warszawą a Gdańskiem jest obecnie stała żegluga parowa. Z dawien dawna krakowska ziemia i Mazowsze dostarczają żeglarzy wiślanych, którzy się zowią flisakami. Flisak w słomianym kapeluszu lub magierce mazowieckiej, w siermiędze, przepasany rzemiennym pasem, a z odkrytą piersią, stoi na galarze, wsparty na rękojeści drygawki (wiosła) i wywołuje swe hasła: »Na wodę! do łądu! wara! prądowina! i t. p.«.

Z pierwszymi dniami wiosny, gdy lody na Wiśle pękają i spłyną do Bałtyku, a nad polami zacznie dzwonić swą piosenkę szary skowronek i ziemia powoli rozmajać się zielonością zaczyna, cała okolica Powiśla i wybrzeża nadrzeczne pod Warszawą ożywiają się niezwykle. Jeszcze rolnik wygrzewa się przy ciepłym kominie, i nie myśli o pługu, żeby niwę orać, a już flis i oryl, z ożywionem obliczem oczekują hasła swego retmana, aby dosiąść tratwy i z wesołą pieśnią uderzyć w takt drygawkami.

Malowniczą i pełną ożywienia jest chwila, gdy kłocę drzewa, powiązane wiciami i ułożone jedne na drugich w warstw kilka, przybierają nazwę tratwy, na którą się ładują dopiero wory ze zbożem i innymi produktami rolniczymi, drzewa w sągach i węgle.

Na jednej z takich tratw jest budka drewniana, z desek zbita i nakryta, którą zajmuje pisarz, co wypłaca należne myto flisom i orylom, a nadto rozdaje potrzebną żywność. Zdarza się bowiem nieraz, że tratwy muszą przybić na spoczynek nocny do takiej przystani, gdzie nie znajdują ani wioski ani osady w pobliżu. W tej samotni pożywienie biorą z owej budy, którą skarbonką nazywają. Spiżarnia ta niezbyt urozmaicone ma zapasy; kasza jęczmienna i jaglana, groch polny, słonina i wódka — oto przybory do kuchni orylskiej. O zmierzchu w różnem oddaleniu na wodzie błyszczą ognie na tratwach i słychać głos skrzypiec, bo dawnym flisów zwyczajem na każdej tratwie bodaj jeden skrzypek być musi. Z dźwiękiem skrzypiec miesza się zazwyczaj wesoła piosenka mazo-

wiecka, bo flisak, nie darmo nazywany „gębatym“, z zamkniętą gębą nie usiedzi. Dopiero gdy zmrok gruby osiedzie ziemię, a księżyc na niebo nie wypłynie, przycicha gwar, ognie zbliżają się do brzegów, przygasają i statki stoją w zatokach. Lecz gdy nazajutrz pierwszy promień wschodzącego słońca zarumieni wzgórze, znów duże, do statków przytwierdzone wiosła uderzają w wodę. Czasem pomiędzy powolniej idącymi statkami przemknie się szybki parowiec, buchając kłębami dymu i ciągnąc za sobą kilka leniwych galarów i tratwę.

Wisła była dawniej najgłośniejszym gościńcem handlowym dla Polski. Wszystko zboże, sprzedawane Niemcom, Holendrom i Anglikom, wywożono na galarach Wisłą do Gdańska. Odkąd bite drogi i koleje żelazne rozpowszechniono, ma handel inne środki przewozu; przecież taniego przewozu Wisłą nie zarzucono całkowicie. Jak dawniej, tak i teraz przewożą na galarach i tratwach drzewo, węgiel kamienny, zboże, owoce, ryby, jaja, gips, kamienie, żelazo i t. p. Przewóz ten daje flisakom dobry zarobek, a rybakowi dostarczają nurty Wisły wiele bardzo cennych, a nieraz i nadzwyczaj wielkich ryb.

49. Grzesznik nawrócony.

Papież Pius IX. miał dziwny dar nawracania ludzi; urokowi słów jego trudno się było oprzeć.

W r. 1860. dwóch Francuzów wysokiego rodu miało posłuchanie u papieża. W tym samym zajeździe zamieszkał także młody ich rodak, o którym wiedzieli, że jest niedowiarkiem. Nie zważając na to, namawiali go, by szedł z nimi do Watykanu. On wymawiał się, iż go raziło klękanie przed Ojcem św. Ale oni naprzykrzali się, mówiąc:

— Pójdź z nami, jeżeli nie z innego powodu, to przynajmniej z ciekawości. Nie można papieża widzieć codziennie.

Niedowiarek ustąpił i z rodakami swymi poszedł na posłuchanie. Po jego ukończeniu papież swoim zwyczajem zapytał przytomnych, czy mają jakie życzenie do przedłożenia. Jedni dali sobie poświęcić koronki i medale, inni prosili o jaką pamiątkę: niedowiarek ów stał niemy i obojętny. Pius IX., milczeniem tak butnem uderzony, postąpił o krok ku niemu i zapytał:

— A ty, mój synu, nie masz nic takiego, o cobyś mnie prosił?

— Nic.

— Nic? doprawdy nic, mój synu?

— Nic.

— Synu, czy ojciec twój żyje jeszcze?

— Żyje.

— A matka?

— Matka moja umarła.

— Otóż dobrze, moje dziecko; skoro ty nie nie masz takiego, o co byś mnie prosił, to ja mam do ciebie prośbę. Zrób mi tę łaskę, uklęknij tu ze mną i zmów jedno Ojcze nasz i jedno Zdrowaś za duszę twojej matki.

To mówiąc, papież padł na kolana — młodzieniec prawie bezwiednie uczynił to samo. Wstając miał twarz zalaną łzami i szlochając opuścił salę: łaska Boska zrobiła wyłom w jego sercu.

50. Niezwykła pokora.

Dzieje kościoła katolickiego w Polsce wykazują długi szereg kapłanów, którzy najpiękniejszymi jaśniejąc cnotami, wielce się zasłużyli około utrwalenia i rozkrzewienia w Polsce prawdziwej wiary i pobożności. Jednym z najślawniejszych był przed trzystu laty Bernard Maciejowski, który za młodu świeckiej szukał chwały, służąc wojskowo, lecz wkrótce potem, obrawszy sobie stan duchowny, wszystkich oczy zwrócił na siebie rozlicznymi cnotami.

Będąc biskupem łuckim, przechadzał się raz koło domu, gdy wtem nadbiegł wieśniak z sąsiedniego sioła, szukając księdza. Zdarzyło się, iż właśnie żadnego z księży nie było w domu ani go tak prędko nie można było znaleźć. Wieśniak zwrócił się tedy do biskupa, błagając, ażeby pośpieszył do umierającego w jego domu grzesznika. Pobożny pasterz nie wymawiał się wcale, lecz z chęcią poszedł za wieśniakiem, ażeby duchowną pomoc dać nieszczęśliwemu. Gdy powrócił z tej świętej posługi, pytali go domownicy, gdzie przebywał. — Na jarmarku — rzekł żartobliwie — gdzien zyskał wiele, bo duszę jedną dla Pana Boga.

Tenże sam mąż świętobliwy, będąc później biskupem krakowskim, równie piękny dał przykład pokory. Zgrzybiała pewna kobieta z prostego gminu nikomu się spowiadać nie chciała, tylko samemu biskupowi. Tem śmiałym żądaniem oburzyli się wszyscy; lecz pobożny kapłan, dowiedziawszy się o tem, z największą ochotą poszedł

do ubogiej chaty; a gdy według zwyczaju prostych ludzi kobieta owa po spowiedzi ofiarowała mu bochenek grubego chleba, przyjął go wdzięcznie i do stołu sobie podać go kazał, mówiąc, że »pasterskiej swej pracy chlebem żyje«.

51. Przy pracy.

Śnieg zasypał ulicę, a człowiek ubogi

Zmiał go z drogi.

A był to człowiek obarczony wiekiem.

Przechodzień, litując się nad biednym człowiekiem.

»Żal mi cię — rzeczce; — to praca niemała!«

Staruszek na to: »Ręka ją Boska zesłała.

Na to nas Pan Bóg stworzył, byśmy pracowali!«

I zmiał go sobie śnieg dalej.

Stan. Jachowicz.

52. Szlachetność uczonego.

Wilhelm Humboldt, głośny badacz przyrody i podróżnik niemiecki, wracając z naukowej podróży, którą po środkowej Azji odbył, zjechał do Orenburga. Tu się zatrzymał czas dłuższy, dla porównania spostrzeżeń astronomicznych i wykończenia dziennika podróży podług wrażeń świeżo doznanych.

Ta jego wyprawa naukowa należy niezawodnie do największych wypraw naukowych w naszym wieku. Wielki orszak wojskowych i uczonych otaczał Humboldta. Cały ten tabor był do wielkiej karawany podobny, która z namiotami, pod strażą wojskową, posuwała się przez pustynie środkowej Azji. Jakoż i rezultaty naukowe są niemałe, jakie Humboldt z tej podróży wraz z towarzyszami swymi wyniósł, i niemałe są skarby, których przysporzył Rosyi, wskazując formacje drogich kamieni i szlachetnych kruszców.

Jak w całej podróży tak i w Orenburgu było tedy wszystko na rozkazy Humboldta. Ale Humboldt znalazł tu jednego człowieka tylko, który mu potrafił odpowiadać na jego pytania naukowe i który odtąd stał się nieodstępny jego towarzyszem. Był nim Tomasz Zan, Polak, kolega i przyjaciel Mickiewicza ze studyów w uniwersytecie wileńskim. Ponieważ był przewodnikiem związków pomiędzy młodzieżą litewską, która w tym czasie odznaczała się wielkim zapalem do nauk i gorącą miłością kraju, naraził się rządowi rosyj-

skiemu. Skazany za to w roku 1824. na wygnanie do Orenburga, nie upadł na duchu, owszem ufność w Opatrzność Boską i zapal do pracy wzmogły się w nim jeszcze. Oddawał się astronomii i geologii, która jako nauka nowa, bardzo go zajęła i, wyprowadzając go z koła smutnych wspomnień na pole rzeczywistości, ożywiała go świeżym tchem przyrody. Obserwatorium astronomiczne uniwersytetu orenburskiego, w którym został profesorem, posiadało doskonale instrumenta astronomiczne. Otóż w związku z gwiazdami i z tajemnicami w łonie Ziemi ukrytymi przeżył Zan twarde lata swego wygnania, ceniony od wszystkich, co na jego życie i na jego zatrudnienia patrzyli.

• Zan był więc teraz bardzo użytecznym Humboldtowi. Przez wdzięczność za wyświadczone sobie przysługi na polu naukowem, Humboldt przy pożegnaniu darował mu rękopis dziennika swojej podróży i przyrzekł za powrotem do Europy starać się o jego uwolnienie.

Jakoż uczynił to, przybywszy do Berlina. Dano tutaj na jego cześć wielki wieczór na dworze królewskim. Cała rodzina królewska, ambasador rosyjski i wiele znakomitości naukowych zebrało się tego wieczora na wezwanie króla i wszyscy byli w oczekiwaniu tego, co Humboldt o swojej podróży opowiadać będzie.

Humboldt nie zaniedbał korzystać z chwili stosownej. Gdy go w czasie rozmowy następca tronu, lubiący się popisać dowcipem, zagadnął: »A cóż ludzie, gdzie tyle osobliwych rzeczy dała natura? jakże tych znalazłeś?« — Odpowiedział Humboldt: — »Znalazłem człowieka znakomitego bardzo, tak pod względem głębokiej nauki jak i szlachetności charakteru, godnego lepszego losu. Jest to Polak, wygnaniec, profesor w Orenburgu, Tomasz Zan. Po widokach pustyń środkowej Azji był on dla mnie w Orenburgu reprezentantem całej Europy«. — A potem, zwracając się do króla, dodał: — »Przyrzekłem mu przy odjeździe, że będę u króla mego prosił o wstawienie się do cesarza o łaskę dla niego«.

Ambasador rosyjski pojął znaczenie tej prośby w chwili tak niepowszedniej i nie omieszkął uwiadomić o tem swojego dworu. Jakoż po jakimś czasie ogłoszono ukaz cesarski na Litwie, iż Tomasz Zan może powrócić do ojczyzny i że wszystkie jego dawniejsze przewinienia mają być puszczone w niepamięć.

Wedł. *Wincentego Pola.*

53. Zjazd sąsiedzki.

Peryodycznie w każdą niedzielę i przypadkowie w dniach świąt rodzinnych lub uroczystości kościelnych, cała okolica nasza zgromadzała się zwyczajnie do któregośkolwiek po kolei domu w sąsiedztwie i dzień ten wesoły, a częstokroć i dni kilka, razem przepędzano. Latem szczególnie, gdy pora roku pogodna i miła, żyta i jarzyny piękne, zbiory obfite, wróżąc intratę i dostatek, ożywiały dobry humor w gospodarzach — gdy po dziesięciomiesięcznej nauce młódź udatna, żywa, pięknie ukształcona, chluba i nadzieja rodziców, wracała z miasta do domu: — natenczas wszystkie familie, połączone i pomieszane razem i codziennie, grały jakby w grę jaką bieganą, w której żywa i swawolna młodzież ciągnęła starszych do koła.

Z daleka przewidziane i niecierpliwie oczekiwane imieniny, zazdroszczone częstokroć, lecz niemniej przeto huczne, wesela, dożynki, wiejskie podwieczorki — oto coraz nowe podniety i powody do prostej, szczerzej, niewymuszonej a serdecznej wesołości, na której skrzydłach czas leciał.

Święty Jan był patronem jednego z naszych sąsiadów w parafii, dzień więc dwudziesty czwarty czerwca obchodzony u nas bywał i rześisto i wspaniale. Pan prezydent solenizant był ojcem licznej rodziny: kilku synów, młodzieńców z dzieciństwa wychodzących, i kilku córeczek. Co rok zatem weselej było na imieninach pana prezydenta.

Z okien domu prezydenta i ganku, na ogród wychodzących, widać było długi nurt Wilii promem przejęty i na szerokiej z obu stron łące kilkakrotnie zwężowany; z okien więc tych i z ganku w jednym z tych dni solennych liczyli gospodarze i wcześniej poznawali przybywających i przewożących się na promie gości swoich z za Wilii, a w tymże czasie z ganku zajezdnego i z okien frontowych, z daleka w ulicy brzozowej, rozpoznawano przybywających bliższych parafialnych sąsiadów, w których liczbie ja i przyjaciel mój akademicki, pan Hipolit, niedawno w moje sąsiedztwo, do spadłego nań po śmierci ojca folwarku przybyły, w jednym pojeździe przyjeżdżaliśmy.

Podjechalśmy pod ganek i po zarekomendowaniu przeze mnie pana podkomorzyca — taki bowiem miał tytuł Hipolit — gospo-

darzowi i solenizantowi razem, złożyliśmy jemu nasze powinszowania. Trudno mu było wystarczyć na powitanie tłumnie ze wszystkich stron napływających gości, trudniej jeszcze zdobywać się na podziękowania za rozmaite różnej długości i różnych sensów oracye, a najtrudniej może mnie, lubo mającemu w dobitnej pamięci całą tę scenę, opisać ją dokładnie i wyobrazić. Bo z wyrazów, by najżywszych i najtrafniejszych, nie złożysz podobnego obrazu naszych zjazdów i zgromadzeń przyjacielskich, owych tłumów bezładnych a hucznych, w których jedna myśl, jedno uczucie radosnego spotkania się, obaczenia się i powitania obejmuje wszystkich, jaśnieje na wszystkich twarzach, rozpromienia wszystkie źrenice i w wesołych śmiechach i odgłosach wszystkiemi ustami wykrzyka. Literchybaby na to żywych potrzeba, któreby czarnoksiężką ręką sypnięte, mieszały się naprzód bezładnie, cisnęły się w rozmaite zmienne grupy i kształty, brzęczały jak pszczoły w ulu, i nakoniec porządkując się w wyrazy i okresy, przedstawiały razem dla oka i myśli pełne ruchu i życia chwil tych wyobrażenia. Jest to mimowolne, naturalne objawienie się i wyłanie naszego szczerego, uprzejmego i kochającego charakteru, niezatartego dotąd czasem ani naśladownictwem, jest to gałązka jedna, żyjąca jeszcze, wędniejącego obyczajów naszych drzewa.

W przeciągu półgodziny kilkadziesiąt osób różnego stanu, wieku i płci obojej napełniło pokoje obszernego wiejskiego domu pana prezydenta i od półgodziny zgiełk ochoczy nie ustawał najmniej; nowe coraz zajeżdżały pojazdy.

Na ganku i w pokojach odbywały się gęsto w tłumie między mężczyznami serdeczne i dobitne pocałunki, którebyś, jak godziny na repetyerach kieszonkowych, mógł zliczyć; kilkaset także lat na kopy rachowanych zebrałoby się z powitań nie widzących się od dawna przyjaciół. — Kopa lat! kopa lat! Mościa Dobrodziejko! — wykrzykiwał pan skarbnik do mojej sąsiadki, pani regentowej, niechętnie słuchającej komplementów, do których kopa lat się mieszała. — Kopa lat! kopa lat! — wołał na wszystkie strony pan Tadeusz, tytułem koniuszyc, stary kawaler, ale jeszcze rzeźwy, żywy i wesoły, poufały każdego i w każdym domu przyjaciel, wyborczy nakoniec towarzyszy każdej kompanii. — Kopa lat! panie Józefie! kopa lat panie Władysławie! — wołał, a przecież pan Józef i pan Władysław razem swoje lata dodawszy, kopy jeszczeby

nie złożyli. Nie czekając odpowiedzi, pan Tadeusz wciskał się już w drugą gromadę i znowu lata na kopy rozliczał.

Powoli wszystko się szykuje i ucisza, po chwilach serdecznych następują chwile grzeczne; tłumy się rozwinęły, formują się i osiadają grona dam, mężczyźni naprzeciw gęstym je otoczyli wieńcem. Upowszechniła się zabawa, a gdy do ogrodu podwoje otworzono, całe towarzystwo ze wszystkich pokoiów, jak rzeka przepływając przez salę, w ogrodzie po ulicach i ścieżkach na liczne rozlało się strumienie i tam każdy, jak za pędem wody, szedł za skłonnością, interesem lub zabawą.

Ignacy Chodźko.

54. Śniadanie myśliwskie.

. . . . Na Wojskiego rozkaz pęki wrzосу,
Suche chrósty i pniaki rzucono do stosu;
Bucha ogień, wyrasta szara sosna dymu
I rozszerza się w górze nakszałt baldakimu.
Nad płomieniem, oszczepy złożono w koziołki,
Na grotach zawieszono brzuchate kociołki;
Z wozów niosą jarzyny, mąki i pieczone
I chleb. — Sędzia otworzył puzderko zamczyste,
W którym rządami flaszek białe sterczą głowy;
Wybiera z nich największy kufel kryształowy —
Dostał go Sędzia w darze od księdza Robaka —
Wódka to gdańska, napój miły dla Polaka:
»Niech żyje!« krzyknął Sędzia w górę wznosząc flaszkę,
I lał srebrzysty likwor w kolej, aż na końcu
Zaczęło złoto kapać i błyskać na słońcu.
W kociołkach bigos grzano. W słowach wydać trudno
Bigosu smak przedziwny, kolor i woń cudną;
Słów tylko brzęk usłyszysz i rymów porządek,
Ale treści ich miejski nie pojmie żołądek.
Aby cenić litewskie pieśni i potrawy,
Trzeba mieć zdrowie, na wsi żyć, wracać z obławy.
Przecież i bez tych przypraw, potrawą nielada
Jest bigos, bo się z jarzyn dobrych sztucznie składa.
Bierze się doń siekana, kwaszona kapusta,) 201
Która wedle przysłowia sama idzie w usta;
Zamknięta w kotle, łonem wilgotnem okrywa
Wyszukanego cząstki najlepsze mięsiwa;
I praży się, aż ogień wszystkie z niej wycisnie
Soki żywne, aż z brzegów naczynia war pryśnie,
I powietrze dokoła zionie aromatem.
Bigos już gotów. Strzelec z trzykrotnym wiwatem,

Zbrojni łyżkami, biegą i bodą naczynie,
 Miedź grzmi, dym bucha, bigos jak kamfora ginie;
 Zniknął, uleciał; tylko w czeluściach saganów
 Wre para, jak w kraterze zagasłych wulkanów.

A. Mickiewicz.

55. Tatry w zimie.

Nie dosyć jest widzieć Tatry w godowej szacie cienistych buczyn, strojnych smukłych świerków, w uroczem oświeceniu letniego słońca, owiane lekką mgłą letniej zasłoną, odbrmiewające szumem wód górskich, potoków i wodospadów, ożywione echem skał, pieśnią pasterzy, odgłosem ligawek i hukaniem rzeszy, która się roi po reglach, po halach i turniach. Chcąc poznać ich piękność w zupełności i ocenić ich właściwość, koniecznie trzeba je widzieć w zimie.

Było to w r. 1834. Był prześliczny, zimowy, słoneczny ranek po burzliwym dniu poprzednim. Jednostajnym całunem śniegu okryta, leżała Nowotarska dolina u stóp naszych, a za nią wznosiły się Tatry, całe na jeden rzut oka widoczne; owiane puchami śniegu, paliły się całe w różowym świetle zimowego wschodu. Nigdy już później nie widziałem ich w tak pięknym świetle. Złudnemi barwami tęczy jaśniały uroczu, chociaż mróz dochodził do 15 stopni i ostry wiatr pociągał ze wschodu.

Sanna była wyborna; w czterech więc godzinach przelecieliśmy przestrzeń całej Nowotarskiej doliny w poprzek i stanęliśmy w Zakopańskiej debrze, która już w samych Tatrach leży.

W zimowej szacie śniegów i lodów nie było wszystko zrozumiałem i raczej się tylko domyślać wypadało, że to skały, a tamto łąs, bo tylko pionowe skały występowały czarnymi i szarymi plamami, a drzewa były tak okryte lodem i śniegiem, żem po raz pierwszy w życiu widział lasy białych świerków. Tożsamo i wody, tożsamo i górskie potoki były prawie wszystkie lodem pokryte i tylko na wodospadach wyrwały się z pomiędzy lodów szумы górskich wód, jak chmurki przemykały po tych wodospadach puchy świeżego śniegu, uroczu niesione . . .

Mieszkania w Zakopańskiej debrze były stosownie do tatrzańskiej zimy i postawione i zaopatrzone na zimę; wygodnie można się w nich było pomieścić i przebyć zimę. Codzień prawie trochę przypadało śniegu, co kilka dni srożyła się wielka burza i tak miotło śniegiem, że coraz nowe powstawały zasy i z budynku do

budynku potrzeba było drogi przekopywać. Żaden Góral nie wyruszy zimą z domu za żadną cenę; jak tylko burza albo śnieg miecie, zamyka się w chacie z rodziną i czeka, aż się na świecie uciszy.

Jeszcze z dniem pół biedy, ale co robić z długimi wieczorami i nocą? Wszystkie hydry legły nam się w mózgu, kiedy wycie nocnej burzy spać nie dawało. Gdzieś aż od szczytu najwyższych turni urywały się te burze i spadały w dolinę z taką gwałtownością, łamiąc się po pionowych skałach debry, iż za każdym nowem uderzeniem, zdawało się, że burza dom zabierze od węgła, bo dach trzeszczał, okna, choć nieladajako opatrzone okienicami, drżały, a drzwi odskakiwały co chwila, choć były dobrze zamknięte na zasuwki i klamki. Od czasu do czasu czesała burza przez lesiste zbocze tak silnie, iż się zdało, że całe wyłamała lasy; a kiedy na chwilę ucichła, dolatywał tylko gwałtowny szum Dunajca i głuche, ponure bicie olbrzymich młotów po sąsiednich kuźniach, poruszanych pędem Białego Dunajca.

Ziemia drżała, a drżało i serce; dziś jeszcze straszno mi wspomnieć te nocy niespane wśród zimowej burzy.

Wincenty Pol.

56. Grzegorz z Sanoka.

Na szerokiej drodze, ciągnącej się wśród pól, ukazały się dwie postaci: mężczyzna w wieku podeszłym i chłopię niedorośłe. Stary podpierał się grubym, sękatym kijem, od czasu do czasu wzdychał ciężko; chłopiec rozglądał się ciekawie wokoło.

— No — rzekł stary — to i rozstać się nam trzeba; ja dalej iść nie mogę, choćbym i chciał. Ciężka ci dola naznaczona, lecz sam się do niej rwiesz; ja ci nic dać nie mogę, bo w chacie jeszcze pięcioro żywić trzeba. Nie zapomnij, żeś synem prostego kmiecia, nie zapomnij braci twoich i tej wioski, gdzie pierwszy raz słońce ujrzał, gdzie stoi chata twoja, gdzie mogiła twej matki. Gdy nad książkami zasiądziesz i mądrości się z nich nauczysz, nie pogardzaj tymi, co z pługiem po roli chodzą, bo i oni uczciwie pracują, i oni potrzebni na tej ziemi. Niechaj nauka uczyni cię tylko mądrym i dobrym, abys mógł przez nią kiedyś bliżnim twoim drogę do szczęścia otwierać.

Chłopak płacząc pochylił się do kolan ojca, uściśnął je, poczem rozstali się; stary podążył ku wsi, której chaty teraz z poza mgły

się ukazały, chłopak poszedł naprzód dalej. Kilkakrotnie przystanęli, by popatrzeć na siebie, nakoniec stracili jeden drugiego z oczu.

Po wielu dniach pieszej podróży, w której Grzesz niemało zaznał znużenia i głodu, ujrzał wieczora jednego jakieś mury, jakieś wieżycy i dachy przed sobą; a gdy zapytał przechodniów, co to za miasto, powiedziano mu, że to Kraków. Więc dobił się wreszcie do celu... Gdy dostał się w gwarne ulice miasta, sam nie wiedział, co się z nim dzieje. Błady ze zmęczenia, obdarty, mógł litość budzić i budził ją istotnie. Przechodzący przypatrywali mu się z ciekawością i ze współczuciem. Niespodzianie uczuł czyjąś rękę na ramieniu. Obejrzał się: za nim stał młody ksiądz. Taka dobroć, taki spokój, taka powaga malowały się na jego twarzy, iż chłopiec odrazu nabrał zaufania do tego nieznajomego. Ksiądz ten był właśnie przełożonym szkoły przygotowującej do akademii. Wdawszy się z chłopcem w rozmowę, dowiedział się, że pochodził on z pod Sanoka, gdzie uczęszczał do szkoły parafialnej, i że pragnienie nauki sprowadziło go aż do Krakowa, choć nie miał żadnych zapasów pieniężnych ani środków do życia. Roztropne odpowiedzi chłopca podobały się księdzu, więc postanowił się nim zaopiekować; ale wprzód poprowadził go do egzaminu wstępnego.

Na jednej z bocznych ulic wznosił się piękny murowany budynek, schludny i duży. Gdy weszli do niego, znalazł się Grzesz w obszernej izbie. Stały tutaj ławy, w których siedzieli chłopcy; naprzeciwko wznosiła się katedra. Zasiadł w niej ów ksiądz i podał Grzesiowi księgę. Malcy nadstawili uszu, czekając, jak Grzesz jąkać się zacznie, gdy ku ogólnemu zdziwieniu chłopak przeczytał gładko całą stronicę. Ksiądz go pochwalił, kazał mu potem pisać; i z kaligrafią się powiodło.

Tegoż więc jeszcze dnia syna ubogiego kmiecia z pod Sanoka zapisano do grona uczniów szkoły św. Anny. Skoro dziatwa szkołę opuściła, przełożony przywołał chłopca i powiódł go z izby szkolnej do swej celi, która na tymsamym korytarzu się znajdowała.

— O mieszkanie się nie troszcz — rzekł — dam ci kąt do spania; tylko o obiedzie pomysleć trzeba. Ale i na to poradzimy; będziesz żył, jak wielu, z jałmużny.

Na bladą twarz Grzesia wybiegł rumieniec.

— Z jałmużny? — powtórzył pytającym głosem.

— Zaraz ci to objaśnię; teraz południe, pójdziesz po obiad. Ci wszyscy, którym z domu nie przysyłają pomocy, żyją tu z jał-

mużny; mieszczaństwo krakowskie jest litościwe. — To powiedziawszy, zakrzętała się po celi i niebawem podał Grzesiowi glinianą miskę, łyżkę drewnianą i jakąś kartkę.

— Idź z tem na ulicę, zastukaj do pierwszego domu za kościołem, pokaż kartkę, a jeść ci dadzą. Znam ludzi, którzy tam mieszkają; liczną mają dziatwę, więc i ty pożywisz się przy niej.

Grześ patrzył na księdza, spoglądał na miskę i nie odpowiadał; nagle z jego oczu łzy trysnęły.

— I czegoż płaczesz? — spytał ksiądz -- wszakże życzenia twoje spełnione, uczyć się będziesz.

Chłopak połknął łzy, skłonił się do nóg księdza, wziął miskę, łyżkę, kartkę i wyszedł z celi. Jeść mu się chciało, ale myśl, iż żebrać ma, przykrą mu była, więc nie śpieszył; szedł zwolna z głową smutnie ku piersiom opuszczoną. Wtem ujrzał kilku kolegów z łyżkami i miskami, wysuwających się z bramy szkolnej i dążących do domków, położonych wśród zielonych ogrodów. Gdzie tylko zastukali do drzwi, roztwierały się podwoje: i z jednych wysunęła się jakaś mała dziewczynka z garnuszkim w ręku, uśmiechnęła się do stojącego u progu żaka i naląła mu ciepłej zupy na miskę; z drugich wyszła jakaś sędziwa niewiasta, z innych grzeszne chłopię; ani jeden z chłopców z próżną miską nie odszedł. Grześ patrzył i czuł miłe wzruszenie w sercu: piękny bo też to był obraz patrzeć, jak miasto pomaga dziatwie, by na ludzi wyrosła. Teraz już go nie bolało tak, iż prosić musi; posunął się w ulicę i do domu wskazanego przez księdza zastukał, ale bardzo lekko; otworzono mu wszakże natychmiast, a w progu ukazała się rumiana, uśmiechnięta dobroliwie kobieta.

— Cóż tak kołacesz nieśmiało? — spytała — czy się boisz, czy się wstydzisz? Pewność w Krakowie nieoddawna.

Grześ w miejsce odpowiedzi podał kartkę księdza. Kobieta na nią nie spojrzała.

— Nie masz się czego bać — mówiła dalej — i wstydzić się nie masz czego... My wam dziś dajem, potem wy nam dawać będziecie; wprowadzie nie strawy na miskę, lecz coś droższego, czego złotem nie opłacisz... dacie nam naukę, mądrość, światło. Kto wie, może ty kiedyś wnuki moje uczyć będziesz.

To powiedziawszy, pociągnęła chłopca za sobą przez drzwi, do sieni wiodące, i za chwilę Grześ siedział w dużej izbie za stołem, białym obrusem zasłanym, nad miską pełną krup, suto okraszonych.

Najgorętszemu pragnieniu Grzesia stało się tedy zadość. Znalazszy cudem prawie opiekę, nie potrzebując już troskać się ani o kawałek chleba ani gdzieby mógł złożyć głowę do spoczynku, wziął się szczerze do nauki. Szybko mijały lata, spędzone nad księgami i wśród ustawicznej pracy; aż wreszcie jego pilność, wytrwałość i gorąca miłość nauki zostały uwieńczone. Grzegorz z Sanoka, syn ubogiego kmiecia, z ucznia akademii krakowskiej został jej nauczycielem, a później nawet doradcą królewskim. Zasłużył się ojczyźnie także przez swą naukę, gdyż niejedno złe usunął, niejednen błąd sprostował. Dzięki swym zasługom został wkońcu arcybiskupem lwowskim. Umarł w 1477. roku, mając lat 70.



57. Niespodziewana obrona.

Było to w wieku XVI w porze zimowej.

Książę Konstanty Bazyli Ostrogski, wojewoda kijowski i marszałek wołyński, pan sławny ze swych bogactw i pobożności, gotował się sprawić w zamku swoim dubieńskim wesele księżnie Beacie Dolskiej, wychowanicy swojej, którą wydawał za księcia Sołomereckiego. Liczny zjazd gości, sproszonych z daleka, krewnych, przyjaciół, sąsiadów i drobnej szlachty, domowi Ostrogskich życzliwej, zapełnił całe podwórze zamkowe mnóstwem koni i kolebek, ciżbą pacholąt i czeladzi. W komnatach gwarно było i wesoło. Mężczyźni przechadzali się, rozprawiając o wojnie, turniejach i koniach.

Naraz stanął u progu komnaty zbrojny kozak, Ukrainiec, widocznie z ważnemi wieściami przybyły. Wszyscy otoczyli go kołem, a książę zapytał:

— Jakież wieści przynosisz? mów!

— Słysząc — rzekł kozak — iż skoro rzeki zamarzną, nadciągną Tatarzy.

— Którędy?

— Bóg to jeden wie, co tę plagę zsyła. Póki idą, cicho się przekradają; ale jak przyjdą, będzie się dymić za nimi i mogiłami drogę wysypią. Teraz ryją się gdzieś jak krety, że ich spostrzedz nie można.

— Wieluż ich jest? czy wielki zagon? jeden czy więcej?

— Pewnie, jak zawsze, tyle co szarańczy. Po stepie ludzie poznali, że ich idzie wielu i że zagon pociągnął w tę stronę po cichu. Na tem urwała się rozmowa.

Książę zaraz polecił kilkudziesięciu kozaków wysłać na zwiady dolinami, ażeby zasięgnąć języka, w domu zaś zakazał wspominać o Tatarach przed kobietami. Ale wieść straszna, spadłszy tak niespodzianie wśród przygotowań weselnych, prędko po całym rozniosła się zamku; bo Tatarzy, co tyle razy ogniem i mieczem zniszczyli tę ziemię, straszniejsi byli dla niej nad wszystkie plagi zagniewanego nieba. Kiedy więc mężczyźni szablę ostrzyli i broń opatrywali, doszła wieść o groźnym niebezpieczeństwie i do kobiet: dowiedziała się o niem i księżna Beata.

— Ach, ja się tak boję — mówiła družka — ja się tak strasznie boję Tatarów! Takie to poczwary ogorzałe, z przypłaszczonymi nosami, z czarnymi ślepiami kocieimi i z odstającymi uszami, co żyją końskiem mięsem i w św. Trójcę nie wierzą. O! jak ja się ich boję!

— A ja nie — odpowiedziała panna młoda odważnie.

— Ależ nasz zamek nie oprze się ich przemocy — mówiła drżąc ze strachu družka.

— Kto? my? — odpowiedziała znowu księżna. — Alboż tu niema murów, dział i ludzi?

— Ale ich tylu!

— Nas mało, ale z nami Bóg nasz! I walczyć będziemy na naszych śmieciach!

Na te słowa wszedł książę wojewoda.

— Vivat Beata! — zawołał, całując ją w czoło. Tak myśleć, tak mówić powinniśmy wszyscy, a nigdy by u nas Tatarowie nie postali. Ale, moja panno, jeszcze oni daleko, bo są tylko głuche o nich wieści. My tymczasem myślimy o weselu.

W istocie nie było bardzo bać się czego w Dubnie, bo na ówczesny sposób wojowania ta warownia była dość mocna. Dokoła oblana wodą Ikwy, wielkimi stawami otoczona, niezbyt wprawdzie wyniosła, ale dla murowanych a wysokich rowów niedostępna, mogła się długo bronić wojsku, któreby jej burzyć działami polowemi nie mogło. Trudno także było zapaśne zameczysko wziąć gładem, a Tatarzy, którym zawsze śpieszno było na powrót, nigdy tego próbować nie mogli.

Łatwo więc uspokoili się wszyscy zebrani goście i na zaproszenie gospodarza poszli do biesiadnego stołu, z książęcym przeplechem zastawionego.

Już trzecie wniesiono danie, już rozpoczęto toasty na pomysłność państwa młodych, już ozwała się muzyka: gdy nagle z dziedzińca rozległ się krzyk przestrachu, który stłumiwszy wszystko, skamieniał gości i wytrącił z rąk kielichy. Wybladły kozak wpadł do sali.

— Książę — zawołał — Tatarzy! — I padł osłabiony znużeniem i przestrachem.

Wszyscy porwali się od stołu. Gwar, krzyk, zamieszanie, ścisk, zgietk — zajęły cały zamek. Wszyscy wołali: Tatarzy, Tatarzy!

Książę wyjrzał oknem. Na błoni, za wodami Ikwy pod lasem warczał rozwijając się niepoliczonych Tatarów zagon, który doszedłszy pod Dubno niepostrzeżony, nagle posunął się pod miasto, pędząc przed sobą kozaków, wysłanych przez wojewodę dla dostania języka. W oddaleniu rozeznac nie można było liczby; szarżał tylko ten tłum, posuwając się coraz bliżej.

Książę zbiegł w dziedziniec. Tu siodłano konie, wyciągano działa, zwodzono mosty. Lud z miasta i przedmieść cisnął się w bramy tłumnie, krzycząc i wiodąc ze sobą bydło, konie, wozy. Tymczasem w monasterze św. Krzyża bił dzwon na trwogę, ponuro a spiesźnie. Przestrach był nie do opisania.

A tłuszcza tatarska coraz zbliżała się pod zamek, z krzykiem, a raczej piskiem okropnym postępując naprzód. Jedni z wrogów podbiegali pod mury, a strzały ich, jak posłańcy boju, padały nawet w podwórzec zamkowy; inni grozili stojącym na murze żołnierzom, potrząsając długimi sznurami, przygotowanymi do wiązania jeńców.

Gdy się to dzieje, gdy strzały tatarskie coraz gęściej padają oblężonym pod nogi, gdy wszyscy w zamku, czekając szturmu, stoją w milczeniu i modlą się po cichu: — nagle ze wschodów, wiodących z zamku w podwórzec, zbiega panna młoda, wpada między stojących i woła:

— Strzały świszczą koło was, a wy stoicie z założonemi rękoma!

Wszyscy zwrócili się ku niej, a ona środkiem tłumów bieży prosto do działa ogromnego, stojącego z otwartą na dolinę paszczą.

Przed nią rozwija się cały ten straszny obóz tatarski; do jej uszu dolatują głosy ich dzikie; widzi ich łuki napięte i szable błyszczące i wozy i konie i wśród tej zgrai wznoszący się namiot chana, który w blasku pogodnie zachodzącego już słońca świeci się purpurą i rozsiada się z księżycem na czole, grożąc krzyżom kościółów i cerkwi.

Na ten widok staje księżna Beata, patrzy długo i myśli i zdaje się, jakby się po cichu modliła. Wszyscy milczą, tylko stary kozak nabija działo; księżna sama niem celuje z natchnienia, wyrwa lont zapalony z rąk puszkarza, przykłada... i wystrzał głośny rozbija się w powietrzu, huczy, grzmi, a kula świszcząc leci w dolię! Za dymem nic nie widać. Lecz wiatr zachodni rozpędza kłęby dymu. Księżna Beata klasnęła w dłonie i padła na kolana: niema namiotu chana, złoty księżyc leży na ziemi — obaliła go pierwsza kula... może nie kula, lecz modlitwa kobiety.

Z obozu Tatarów słyszeć się daje wrzask okropny; widać, jak się kupią, zbiegają, gromadzą i jak wrzeszcząc, z nową wściekłością rzucają się ku zamkowi. Ale po kilku wystrzałach z dział, zaczęli się ściągać, kupić, nareszcie tabor łamać, wozy zaprzęgać — i popędzili dalej z zagonem.

A kiedy w oddaleniu przy świetle księżycy widać już tylko było czarniejącą ich zgraję, księżna, otrząsając pył z sukni i ocierając czoło, rzekła do wojewody:

— Teraz można do cerkwi!

— Idźmy do ślubu — rzekł książę i, spoglądając na nią z rozrzewnieniem, dodał: — Tyś nas ocaliła!

Józef Ignacy Kraszewski

(Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy).

58. Kanarek.

Któż nie zna kanarka, tego poufałego towarzysza ludzi, jego śpiewu, wesołej i żwawej jego natury! Każdy wie, jak mało potrzeba, aby go uszczęśliwić: wystarczy kilka ziarenek rzepaku, siemienia lnianego lub konopnego. Już to dla niego dzień uroczysty, kiedy do jego klateczki dostanie się listek jarmużu lub sałaty, kawaleczek cukru lub biszkokcika.

Kanarek — to prawdziwe dziecko pokoju. W pokoju wykluł się na świat, tu wzrósł, tu śpiewa aż do śmierci, a często nawet i po śmierci pozostaje wypchany w szafie za szkłem — jako miła pamiątka. Mimo to kanarek nie jest ptakiem naszym, krajowym, ale sprowadzonym do nas z dalekich krajów.

Na północno-zachodniej stronie Afryki leżą wyspy Kanaryjskie, od których ta ptaszyna otrzymała nazwisko. Wznoszą się one z fal oceanu w postaci wysokich gór, otoczonych dokoła płaskimi i żyznymi wybrzeżami. Liczne wąwozy i doliny spuszczały się z gór

ku morzu. W głębi wysp dojrzewają wspaniałe pomarańcze, tam też wznoszą swe pierzaste korony palmy daktylowe. Na wzgórkach wawrzynowe gaje pokrywają urwiska, a dalej w górze wznoszą się ciemne lasy sosnowe.

Oto jest ojczyzna kanarka. Tutaj żyje on dziko i przelatuje stadami wzdłuż i wszerz wyspy, od kwitnących krzaków pomarańczowych na nizinie aż do cichych borów sosnowych. Tu i tam ściele sobie gniazdko, zwykle na pół metra nad ziemią, dobrze ukryte w jakim ciernistym krzaku. Kilku grubszymi słomkami utwierdza je między widełkami gałązek; większą część materiału budowlanego dobiera z puszek kanaryjskiej wierzby, ostu lub t. p. roślin; z nich wznosi okrągły budynek, który ku górze znacznie się zwęża. Tutaj składa samiczka pięć jajek, blado-zielonych lub czerwono-brunatno nakrapianych i wysiaduje je w trzynastu dniach. Kiedy już pisklęta przebiją skorupkę, rodzice karmią je ziarnkami nasion, które wprzód sami rozmiękczają w dzióbku. Zresztą chowają się kanarki, uczą się latać i pożywienia. sobie szukać tak samo jak nasze ptaszki.

Lubują się one w życiu gromadnem, dlatego zwyczajnie łączą się w stada. Podczas dnia zbierają się w małe oddziały i trzymają się najczęściej w bliskości świeżej wody. Tu kąpią i muskają ładne swe piórka; stąd robią wycieczki na sąsiednie pola i wypatrują, gdzieby coś pożywnego znaleźć mogły. Rośnie tam w wielkiej ilości ostrzyca kanarkowa, t. j. taka trawa, która daje siemię kanarkowe, służące za pokarm nawet oswojonym kanarkom. Pomiędzy kukurudzą na polach rosną rozmaite zielska, na nic człowiekowi niezdatne, dające jednak kanarkom za pożywienie kolejno listki, pączki, kwiatki i nasiona. Dojrzewają tam także makówki, których ziarenka również służą za pokarm. Prawdziwe jednak święto bywa dla takiego stada, kiedy odkryje drzewo figowe z dojrzałymi owocami; wtedy łakome towarzystwo opada je i urządza sobie ucztę królewską z cukrowego owocu i małych ziarenek nasiennych.

Przez jasne, słońcem ogrzane gaje, coraz dalej i dalej odbywa się wesole polowanie, dokoła brzmią wabiące głosy, samce idą w zawody swym śpiewem, bębnią, gwizdzą i brzmią ochoczo, siadając na gałęziach, woniejących kwieciem lub uginających się pod ciężarem owoców.

Śpiew dzikich kanarków taksamo bywa rozmaity jak i domowych; niektóre okolice wyróżniają się od innych swymi śpiewakami.

Około wieczora zwykle wiele mniejszych stadek zbiera się w jedną gromadę większą, która wybiera sobie jakie ulubione drzewo na miejsce nocnego spoczynku. Tu wesołe ptaszęta przez jakiś czas wyprawiają gwar śpiewaniem i świegotaniem, dopóki przy zapadającej ciemności jeden po drugim nie zamilknie i nie schowa główki pod skrzydło.

Ubarwieniem piór dziki kanarek o wiele się różni od naszego pokojowego. Temu ostatniemu słońce i powietrze skąpo są wydzielone; dlatego piórka jego są tylko żółte lub białawe. U dzikiego kanarka tylko brzuszek jest biały; czoło, okolice oczu i piersi błyszczą świetnym, złoto-zielonym kolorem; płaszczyk ma szaro-zielony, a grzbiet popielaty. Lotki i sterówki w ogonie są matowo-czarne i mają zielonawą obwódkę.

Bardzo już dawno przywieziono pięknego tego ptaszka z jego ojczyzny do Europy. Tu w niektórych okolicach, n. p. w Harcu, hodowla tych ptaków stanowi oddzielną gałąź przemysłu; tysiącami tam wożą z miasta do miasta i sprzedają młode śpiewaki, ażeby ludziom pobyt w domu uprzyjemniały. Do naszego kraju rzadko kiedy dostaje się dziki kanarek, sprowadzony wprost z wysp Kanaryjskich. Wszystkie te niezliczone kanarki, śpiewające po miastach i po wsiach, to już wychowane w pokoju: pokój — to ich ojczyzna. Jeżeli który z nich ucieknie swemu właścicielowi i dostanie się na wolność, znajduje się w obcym dla siebie świecie. Nie znosi ostrego klimatu europejskiego, nie zna sposobu wyżywienia się, nie umie unikać grożących mu niebezpieczeństw — i ginie, jeżeli nie dostanie się napowrót do klatki.

59. Ptaszki.

— Kupuj pan! kupuj te ptaszki wraz z klatką!
 Leśni poeci — śpiewają... jak rzadko!
 Jam kupił, puścił: lećcie w imię Boże!
 Kto śpiewa w lesie, w więzieniu nie może.

L. Siemieński.

60. Miłosierdzie.

Wiekopomną sławę zjednał sobie w Polsce Piotr Gabryel Baudouin*), Francuz z urodzenia, który w młodych latach do

*) Czyt. Boduę.

ziemi naszej przybywszy, szczerze się do niej przywiązał i pracował dla niej przez całe życie. Nie przestanie on być dla nas wzorem odwagi, umiejacej z niczego stwarzać potężne środki ku pomocy i obronie nieszczęśliwej ludzkości.

Jako kapłan misyonarz przybył on w r. 1717. z Francyi do Polski i osiedlił się w Warszawie, a pierwszą pracą, ku której skierował swe usiłowania, było dokładne nauczenie się języka polskiego. Wkrótce też znajomość ta języka stała mu się wielce użyteczną. Pewnego razu bowiem, kiedy zatopiony w pobożnych rozmyślaniach przechodził ulicą, spostrzegł nagle wielkiego psa, unoszącego pokrwawioną główkę niemowlęcia. Ten widok przeszył go zgrozą, a zarazem rozbudził pierwszą myśl, pierwszy zaród szlachetnego przedsięwzięcia, które na resztę życia stało się jego zadaniem. Nie trudno mu było dociec przyczyny tego strasznego wypadku, jaki miał przed sobą; biedna bowiem istota, opuszczona przez ojca i matkę, stała się pastwą zgłodniałego zwierzęcia.

Baudouin, wróciwszy do klasztoru, zwierzył się przełożonemu ze swego postanowienia.

— Ależ bracie — rzekł przełożony — nie zważasz na trudności wykonania tego zamiaru.

— Dozwólcie mi tylko działać — rzekł z zapalem Baudouin — a ufam Opatrzności, że czego nasz założyciel św. Wincenty a Paulo dokonał w Paryżu, tego synowie jego w Polsce dokonać zdołają.

Widząc tak silną wolę Baudouina, przełożony udzielił mu pozwolenia i błogosławieństwa, czem wsparty zacny kapłan zabrał się do pracy. A była to praca niemała, należało bowiem samemu wszystko stworzyć. Ale to nie zrażało Baudouina. Z puszką w rękę jak prosty kwestarz obchodził możnych i ubogich, żebrząc dla tych, co nic nie posiadają — dla niemowląt opuszczonych. A nie zawsze datek był owocem jego prośby, bo nie wszyscy rozumieli cel szlachetny, bo nie wszyscy posiadają miłosierdzie. Częstość jednak najtwardsze samolubów serca umiał Baudouin zwyciężać. Sławna jest jego przygoda z graczami. Pewnego razu podczas pobożnej pielgrzymki od progu do progu domów Warszawy, w jednym z nich natrafił na liczne towarzystwo zajęte grą hazardową. Kupy złota przesuwaly się z rąk do rąk chciwych i namiętnych graczy. Nie zrażony tem Baudouin, korzystając z chwilowej ciszy, wystąpił z prośbą o jałmużnę, objaśniając jej przeznaczenie. Ofuknięty po grubijańsku, nie ustępuje zacny kapłan, spodziewając się, iż sło-

wami miłości zmiękczy serca zatwardziałe; ale jeden z graczów, oburzony zuchwałą w jego oczach natarczywością kapłana, uderza go w policzek, dodając szyderczo:

— Oto masz jałmużnę!

— To dla mnie — odzywa się ksiądz Baudouin — a cóż dla moich dzieci?

Słowa te, pełne pokory i zaparcia się prawie nadludzkiego, stłumiły namiętność graczów i złoto posypało się do rąk ubogiego zakonnika.

Trudnoby było wdawać się w szczegóły tych wszystkich prac i niezliczonych poświęceń; najlepiej to może każdy ocenić, gdy powiemy, jakie owoce one przyniosły. Za pieniądze zebrane kupił Baudouin dom osobny, osadził w nim Siostry Miłosierdzia i otworzył przytułek dla dzieci najuboższych rodziców i dla pozbawionych wszelkiej opieki sierot. Gdy jednak liczba tych dzieci i sierot, których stał się opatrnością, ciągle wzrastała, zamierzył wybudować gmach obszerny, do ich pomieszczenia przeznaczony.

W tym celu wsparty pomocą kilku zamożnych a dobroczynnych osób, zakupił plac i wybudował do dzisiejszego dnia istniejący w Warszawie szpital »Dzieciątka Jezus«. Często w ciągu robót murarskich zdarzało się, iż brakło pieniędzy na najnaglesze potrzeby. Wtedy Baudouin brał puszkę i żebrał. W tem jednak był szczęśliwy, iż miłosierdzie mieszkańców stolicy przychodziło mu z chętną pomocą. Wkrótce więc stanął gmach, w którym tyle tysięcy już ludzi znalazło ulgę w cierpieniach, tyle biednych sierot uratowano od niechybnej śmierci lub poniżenia.

Powszechną czcią otoczony, ostatnie lata życia swego spędził Baudouin w zakładzie, ciesząc się dziełem swoim. Zmarł 10. lutego 1768. roku.

J. Szujski (Smilesa: Prawdą a pracą).

61. Zgon Pelopidasa.

Aleksander, tyran miasta Fer, zaczął nękać Tessalczyków. Wszedłszy w ich kraj, niektóre miasta opanował i ludźmi swoimi osadził. Tessalczycy udali się tedy do Tebanów, prosząc o pomoc i wojska posiłkowe; żądali jednak, ażeby je sam Pelopidas przywiódł. Nie omylili się w nadziei: jemu oddano dowództwo naczelne.

Cybulski

Gdy przyszedł czas iść na nieprzyjaciela, wybrał Pelopidas tak z ziomków jak i z cudzoziemców trzystu konnych, a chociaż go wielu ostrzegało, iż z tak małym poczem stawając przeciw gromadnym wojskom tyrana, podaje się w niebezpieczeństwo jawne, nie zważał na przestrogi i wyprawiał się tak, jak sobie ułożył. Ufał on, iż wesprą go sami Tessalczycy, którym szedł na pomoc, a walczyć będzie miał z ludem, który łatwo odstąpi tyrana, ażeby się uwolnić od rządów jego nieznośnych.

Stanąwszy w Farsalii, po krótkim odpoczynku szedł przeciw Aleksandrowi. Ten, widząc małą garstkę przeciwników, powziął dobrą otuchę i szedł śmiało. Widząc to jeden z towarzyszków Pelopidasa, zaczął mu przekładać nierówność sił wobec dwójnasób i więcej jeszcze mocniejszego nieprzyjaciela. Wysłuchał go wódz mężny i taką dał odpowiedź: »Lepiej że ich wielu; tem więcej zwyciężymy«.

Miejsce, gdzie się wojska spotkały, zwało się »Psie głowy«. Dwa wzgórki przykre dzieliła dolina. Obadwa wojska chciały ubiedzić i opanować te wzgórki. Postrzegłszy Pelopidas, iż go Aleksander uprzedził, rozkazał jeździe swojej na Aleksandrową uderzyć. Gdy się to stało, nieprzyjaciele tył podali, a Aleksander, rotę swoją na wzgórku mając, spadł z niego nagle na Tessalczyki. Ci po żwawym odporze cofać się i z pola ustępować zaczęli. Przybył im na pomoc z jazdą swoją Pelopidas i, złączywszy się z nimi, tak żwawo natarł na nieprzyjacioły, iż wytrzymawszy dwa ataki mężnie, za trzecim, lubo w porządku, i oni też ustępować byli przymuszeni. Widząc w tym stanie nieprzyjacielskie wojsko Pelopidas, upatrywał pilnie, gdzieby się znajdował sam Aleksander, chcąc się z nim wręcz spotkać, aby śmiercią tyrana zwycięstwo swoje uwieńczył. Postrzegł go nakoniec u prawego skrzydła, gdzie posiłkowe rotę do boju zachęcał, i naówczas, zbyt uwiedziony zapalem, porzuciwszy swoich, skoczył prosto ku niemu. Skrył się tyran między swe pułki. Pelopidas na nie wpadł i wielu położył trupem; lecz sam nakoniec kilkakrotnie został raniony. Skoczyli, widząc go upadającego z konia, Tessalczykowie; ale gdy go ratować chcieli, już nie był żywy. Pogrom naówczas wszczął się wielki. Rozjuszeni śmiercią wodza swego Tebanie wraz z Tessalczykami nieprzyjaciół rozprószyli, a pole bitwy trupami usłali.

Zacowne zwłoki tak znakomitego męża odniosło strapione wojsko do obozu, gdzie zamiast zwycięskich okrzyków płacz rzewny

powstał. Jęk powszechny i narzekania oznaczały wielkość straty i jak był czczony i kochany. Gdy się zabierali do powrotu, niosąc urnę z jego popiołami, lud ze wszystkich miast i osad pobliskich gromadnie wychodził, mając na czele urzędników i niosąc w rękach wawrzyny, wieńce i wyobrażenia znamienitych czynów zmarłego bohatera. Gdy zaś za powrotem przyszło do obchodu pogrzebowego, wyprosilili to sobie u Tebanów Tessalczykowie, iż im go dopełnić pozwolono. Jakoż odprawili ten obchód z wielką uroczystością.

Ziomkowie poległego bohatera jeszcze lepiej uczcili jego pamięć. Skoro bowiem doszła ich wieść, iż zginął, natychmiast nowe wojsko posłali, które zgębiwszy moc tyrana, przymusiło go do oddania tego wszystkiego, cokolwiek był przeszłymi czasy na sąsiadach zyskał.

Ignacy Krasicki

(Żywoty zacnych mężów, według Plutarcha).

62. Epaminondas.

W chwili zwycięstwa, wśród walczących tłoku,

Żelazny grot utkwiał w jego boku

I przeszył pierś i pozostał w ranie...

Na tarcze swe wzięli go Tebanie

I do namiotu zanieśli. Obficie

Krew uchodziła, a z nią razem życie,

Wódz podniósł głowę i na orszak zbrojny

Badawczo wzrok zwrócił niespokojny.

Trwoży go boleść na twarzach wyrta:

»Czy ustał bój? — niecierpliwie pyta —

»Czy z rąk nam pewne zwycięstwo wydarto?«

Odrzekli: »Wszystko skończone ze Spartą

I nadal jej dziś zwycięskie Teby

Nie będą miały lękać się potrzeby«.

»Skądże więc żal w waszych sercach gości

»Zamiast tryumfu dumy i radości?«

A na to w głos rzekną mu rycerze:

»Najszlachetniejszą los nam zdobycz bierze,

Gdyż żywot twój, tak ojczyźnie drogi,

Uciekające zabrały nam wrogi...

I szkoda nam twych dni pełnych chwały,

Pod których tarczą Teby zwyciężały;

I smutno nam, że tak bez potomków,

Którymbyś sławę przekazał wśród ziomków,

Odpywać masz na posępnej łodzi...

Wszak cenić życie wszystkim nam się godzi!«

•I ja też cenię — z dumą wódz odpowie —
 Ów życia dar, który nam bogowie
 Zsyłają na to, by wśród przeszkód wielu,
 Wytknąwszy cel — prosto iść do celu
 I zbierać słodycz po drodze rozlaną
 I jasność niebios podziwiać różaną.
 Jam ten dar ceniał; bo kto w swojej dumie
 Pogardza nim, pewnie ten nie umie
 Żyć i umierać. Lecz dlatego właśnie,
 Żem ceniał życie, teraz, kiedy gaśnie,
 Bez żalu mogę rzucać jasność słońca,
 Widząc je czyste i piękne do końca.
 Ginać w sam czas, wśród walki zwycięskiej,
 To najpiękniejszy koniec pracy męskiej;
 I bardzo mnie obdarzyły nieba,
 Dając i żywot i zgon, jaki trzeba.
 Pięknie mi przeszedł cały wiek młodzieńczy,
 A teraz jeszcze najpiękniej go wieńczy
 Chwalebna śmierć, która pracownika
 Strudzone oczy pod wieczór zamyka.
 Nie schodzę przytem z świata bezpotomnie:
 Mam córki dwie — te zostaną po mnie...
 Leuktra jedną, Mantinea drugą —
 Te będą żyć po mym zgonie długo«.

Adam Asnyk.

Adam Asnyk

63. Las pierwotny w południowej Afryce.

W drodze do Mandery musieliśmy przejść przez rozległy las pierwotny, którego środkiem płynie rzeka Wami. Niezwykły urok ma taka podróż.

Gdy się ze szczytu wzgórza spogląda w dal, zdaje się, że przed nami — puszcza i puszcza. Ale to tylko złudzenie. Drzewa tam stoją rzadko, tylko mniejsze zarośla tworzą zbite szmaty gąszczów, rozrzucone tu i ówdzie między wielkimi drzewami. Doliny, w których zbiera się wilgoć, porośnięte są tatarakiem, nieraz dwa razy tak wysokim jak człowiek. Ludzie pełznąc ścieżką naksztalt mrówek, pogrążają się w tę zieloną toń, jakby w jezioro — i tylko po chwianiu się trzciny można poznać, że nurkuje wśród nich karawana.

Rankami na zdźbłach i liściach zbiera się obfita rosa; ubrania nasze przemakają w niej do nitki, a nagie plecy i ramiona towarzyszących nam murzynów świecą się, jakby dopiero co wyszli

z kąpiel. Zresztą i im i nam sprawia to tylko przyjemność, bo gdy ranny powiew przychodzi na mokrą skórę lub mokre ubranie, czyni się człowiekowi chłodno — a w tym klimacie katar nie grozi, zwłaszcza gdy się jest w ciągłym ruchu.

Idąc tak to dolinami to po wzgórzach, stajemy nad rzeką Wami. Bieży ona wartko środkiem koryta, bliżej zaś brzegów łamie jej bieg ogromne głazy, wskutek czego rozdziela się i tworzy niewielkie zalewy, napelnione niemal stojącą wodą. Wysokie piramidy drzew przeglądają się spokojnie w tych zalewach, które, odbijając razem i błękit nieba, wydają się bezdenne.

Upięcia ljanów, poprzerzucane z drzewa na drzewo, zwieszają się — i tuż nad wodą i dalej w głębi tworzą pozór kotar nad drzwiami mrocznych świątyń leśnych. We wnętrzu ich światło jest uroczyste i przyćmione, jakby przechodziło przez gotyckie okno; pnie drzew majaczeją nakształt kolumn w ołtarzach, głębi całkiem jest zakryta dla oka; wszędy spokój, milczenie, wody ocembrowane murem drzew — dziwne, jakby czarodziejskie zacisze.

Pogrążony w niem, mniema człowiek, że wdziera się w jakąś tajemnicę i że kogoś obraża. Wszelka nadprzyrodzona istota wydałaby się tu rzeczywistą. Mimowoli słuchasz, czy w głębinach leśnych nie rozlegnie się krzyk dryady. Zdaje ci się koniecznie, że tu ktoś czasem śmieje się, woła, i że gdy żadne oczy ludzkie nie szpiegują lasu i rzeki, wówczas z pod firanek ljanów wysuwają się jakieś nadzwyczajne twarze, naprzód oglądają się bystro naokół, a potem dziwaczna rzesza wyskakuje z gęstwiny i pluska się rozkosznie w zacienionych wodach.

Gdzieniegdzie z drzew kapią kwiaty i tuż nad zwierciadłem wodnem leżą w cieniu płatki krwawe i różowe. W miejscach, gdzie lasu nie podszywa zbita gęstwina krzaków, widać grunt czarny i wilgotny, podobny do ziemi, używanej w cieplarniach; wyżej nad nim wisi leciuchna koronkowa zasłona paproci, jeszcze wyżej pnie, pookręcane jakby okrętowemi linami i wreszcie jedna wielka kopuła liści zielonych, czerwonych, złotych, wielkich i małych, o kształtach wachlarzów, mieczy, piór, ostrzów od włóczni.

Las składa się, jak zwykle podzwrotnikowe, z wszelkiego rodzaju drzew: rosną tu palmety, draceny, drzewa gumowe, sykomory, tamaryski, mimozy — jedno przysadkowate i grube, drugie strzeliste, całe w smukłych pędach. Czasem niepodobna rozpoznać, jakie liście do którego drzewa należą, bo wszystko to miesza się

ze sobą i z liśćmi ljanów, przepycha się, obejmuje, idzie w zapasy i przygniata, by tem swobodniej dostać się do światła.

Tam, gdzie las jest podszyty, na krok nic widzieć nie można. Człowiek w tych ostępach, gdzie każda paproć wznosi się nad nim jak baldachim, maleje we własnych oczach i wydaje się sam sobie lichym ślimakiem, który niewiadomo dlaczego tam załazł....

Przeprawiwszy się przez rzekę, idziemy dalej. Nieznaczną ścieżynką wije się wciąż wśród lasu, w głębokim cieniu. Gałęzie i liście tworzą w górze siłepienie, przez które słońce nie przenika.

Twarze nasze wyglądają zielonawo, a ciała murzynów, jakby czerniały ze starości brązy. Na prawo i na lewo słychać czasem łopot skrzydeł pantarek lub innych ptaków, których nie można dojrzeć oczyma. Czasem który zagwiżdże jak nasz kos lub zawoła jak dziecko; gdzieniegdzie zaszeleści coś w paprociach, gdzieniegdzie zakołyszą się upięcia ljanów — zresztą powaga, spokój i mrok.

Nagle las się urywa, jak nożem uciął. Oczy nasze mrużą się pod nadmiarem światła. Przed nami kraj jasny i wesoły: rozległe wzgórza kąpią się w blasku; z daleka widać gromady drzew jak przy naszych wsiach. Na jednym wzgórzu, hen, daleko, coś bieli się niby domek, niby kapliczka... To Mandera!

Henryk Sienkiewicz

(Listy z Afryki).

64 Powrót Zana na Litwę.

W czasie wygnania swego w Orenburgu, Tomasz Zan bogobojnem życiem i głęboką nauką budował wszystkich, co nań patrzyli. Pomiedzy tymi był pewien kupiec, człowiek zacny, który z podziwieniem patrzył na Zana, jakby na świętego. W szczęśliwem natchnieniu uczynił on ślub, iż część dóbr, jakich mu Bóg udzielił, poświęci na wsparcia dla nieszczęśliwych wygnańców. Zwierzył się z tem Zanowi i odtąd wspólnie z nim się naradzał, jakby osłodzić niedolę wygnańców, i corocznie na ten cel składał część swego dochodu w ręce Zana.

W czasie wakacyi Zan pilnie odbywał wycieczki w góry i czynił poszukiwania naukowe. W jednej z takich wycieczek odkrył żyły złota. Zebrał piękne okazy złotego kruszcu, a powróciwszy do Orenburga, rzekł do przyjaciela kupca:

— Bóg cię nagradza przeze mnie za cnotę twoją. Oto odkryłem kopalnię złota i oddaję ci je z wdzięcznością za rodaków moich, których miłosiernie wspierasz.

Wkrótce też za wpływem i pośrednictwem Zana kupiec uzyskał pozwolenie na kopanie złota i otworzył kopalnię w oznaczonym miejscu. Kopalnia okazała się bardzo obfitą w kruszec, a kupiec stał się od razu milionowym panem. Chcąc odwdzińczyć Zanowi jego dobrodziejstwo, kupiec chciał go przyjąć do spółki lub przynajmniej hojnie go wynagrodzić. Stale jednak oparł się temu Zan i ledwo na to zezwolił, że z pierwszego z tej kopalni добыtego złota ofiarował mu kupiec pięknie wyrobioną tabakierkę i że w swojej kopalni wielu wygnańcom dał zatrudnienie.

Wkrótce potem zakończyły się lata niedoli dla Zana, który za wstawieniem się znakomitego uczonego niemieckiego Humboldta uzyskał wolność i pozwolenie powrotu do kraju.

Gdy wracając do swoich, przybył Zan do pierwszej wioski na ojczystej ziemi, ujrzał przy drodze kościółek katolicki. Kazał więc stanąć woźnicy, bo chciał w pierwszym domu Bożym, który po powrocie zobaczył, podziękować niebu za odzyskanie wolności. Było to już dobrze z południa i kościółek był zamknięty. Udał się więc do kościelnego i prosił, aby mu otworzono kościół; wszedłszy, ukląkł na stopniach ołtarza i modlił się do Boga. Uderzyło to wszystkich we wsi i na plebanii, że ktoś z Rosyi jadący o tak niezwykłym czasie kazał kościółek otworzyć. Sam proboszcz udał się do kościoła i spotkał już we drzwiach wychodzącego Zana. Spojrzeli sobie w oczy i rzucili się sobie w objęcie. Był to ksiądz Lwowicz, dawny towarzysz jego nauk i wspólnych cierpień, za karę na pogranicze do ubogiego probostwa zasłany — pierwszy Polak, który na ojczystej ziemi Zana powitał i za całą Litwę przycisnął do serca swego.

Po przywitaniach i ugoszczeniach pierwszych oglądali obadwaj znowu ubogi kościółek i Zan ubolewał nad opuszczeniem jego i ubóstwem.

— Czyż tu ludzie w Boga nie wierzą, że kościół tak opuszczony?

— Nie — rzekł mu Lwowicz — i owszem, pobożni bardzo, ale tak ubodzy, że nawet nie śmiem wzywać ich do ofiar na kościół.

— Słuchaj bracie! — rzekł mu Zan. — Ty tu wymurujesz kościół — a na początek daję ci tę złotą tabakierkę w tem przekonaniu, że Bóg błogosławieństwo przywiązuje do tego złota.

Tu opowiedział księdzu, jak do tej tabakiery przyszedł i że ma to przecucie, iż ona będzie węgielnym kamieniem kościoła.

Wychowańcy jednej szkoły, tąsamą myślą natchnieni, zrozumieli się — i ksiądz Lwowicz dobył złotówkę i rzekł do Zana:

— Nie masz ani kawałka ziemi. Otóż daję ci tę złotówkę z tą wiarą, że wieś za nią kupisz, abys miał gdzie głowę po tem tułactwie położyć.

Wkrótce rozeszła się po całej Litwie wieść o powrocie Zana i o spotkaniu jego z księdzem Lwowiczem na pograniczu w ubogim kościółku. Posypały się hojne datki na cel tak piękny i stało się, że po upływie lat kilku postawił ks. Lwowicz okazały kościół w miejscu drewnianego, i równocześnie prawie kupił sobie Zan wioskę na Litwie. Wszyscy wierzyli, że ks. Lwowicz postawił kościół za ową tabakierę Zana — a Zan kupił wieś za ową złotówkę Lwowicza.

Wedł. Wincentego Pola.

Wedł. Wincentego Pola

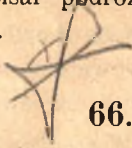
65. Książę Sierotka.

Niepocieszonym był król Zygmunt August po stracie ukochanej swej żony, Barbary Radziwiłłówny. Nieraz starano się go rozrywać i bawić, wymyślano dla niego rozmaite widowiska i festyny; jednakże wszystkie te usiłowania były daremne: w smutku pogrążony król unikał wrzawy towarzyskiego życia i najchętniej szukał samotności.

Na królewskim jego dworze w Krakowie przebywał często brat zmarłej królowy, Mikołaj Radziwiłł, Czarnym zwany, u którego król nieszczęśliwy niejednokrotnie rady szukał i pomocy. Przy boku księcia bawiła także żona jego Elżbieta z małym synkiem.

Otóż zdarzyło się razu pewnego, iż na wielką ucztę u jednego z najwyższych dostojników państwa polskiego zaproszono króla Zygmunta Augusta, jakoteż bawiącego u niego księcia Radziwiłła z żoną. Uczta miała się zakończyć bardzo pięknymi ogniami sztucznymi, które wtedy do najulubieńszych należały rozrywek. Wszystko, co żyło w mieście, niecierpliwie oczekiwało tego widowiska; przez kilka dni o niczem innem nie mówiono, jak tylko o tych ogniach. Przeto skoro zapadł mrok wieczorny, kto mógł, dążył na miejsce, gdzie się niezwykle owo widowisko odbyć miało. Zdjęci ciekawością pobiegli tam i ludzie dworscy księcia Mikołaja Czarnego, zapomniawszy w pośpiechu o synu książęcym, który w domu pozostał bez żadnej opieki.

Król Zygmunt August, znużony widowiskiem, w towarzystwie kilku panów wcześniej niż się go spodziewano, powrócił do domu, aby w ciszy i samotności oddać się zwykłemu swym myślom. Przechodząc obok pokojów księcia Radziwiłła, usłyszał rzewny płacz dziecka. Wszedł więc do komnaty i ujrzał chłopaka zachodzącego się od płaczu, a obok niego nie było nikogo. Dobry król wziął więc dziecko na ręce, tulił je i pieścił, powtarzając: »Biedny sierotka! biedny sierotka!« Słowa królewskie pochwycili przybyli z królem panowie i odtąd nazywano zawsze »Sierotką« najstarszego syna Radziwiłła Czarnego, Mikołaja Krzysztofa, który w późniejszym życiu odbył i opisał podróż do Ziemi Świętej i słynął z zamiłowania w naukach.



66. Z życia kuropatwy.

Nie tylko dla badacza, lecz i dla zwykłych ludzi nadzwyczaj ciekawe jest życie kuropatwy.

Miłuje ona ojczyznę i miejsce swego urodzenia nad wszystko. Płoszenie, dziesiątkowanie i prześladowanie nie zmuszą wiernej córy naszej ziemi do opuszczenia rodzinnego zakątka. Zmieniają wprawdzie kuropatwy miejsce pobytu pod jesień, w zimie emigrują, lecz na wiosnę na swe miejsca powracają; — niestety, powracają tylko w części, bo gdy łany ręka ludzka ogołoci, mróz rośliny powarzy, wiatr lodowaty liście otrzęsie, a zima rozścieli swój całun po ziemi i przykryje zimowe zboże: wtedy biedne kuropatwy, jakby na białym talerzu wystawione na łup drapieżnych ptaków, bywają przez nie dziesiątkowane. Rzadko kiedy cała rodzina powróci, i śmiało twierdzić można, że połowa kuropatw do wiosny zginie, szczególnie w razie głębokiego śniegu z twardą skorupą, nie pozwalającą zakopania się ani też znalezienia potrzebnego żeru. Ta ich wierność jest tak wielka, że przezimowane w izbie, a wypuszczone na oziminę, pod krzaki, przy krynicy, a zatem przy wszystkich sprzyjających warunkach — jeżeli się je wypuści nie na miejsce, gdzie je złowiono — z pewnością powrócą do swej ojczyzny, częstokroć jałowszej i niewygodniejszej od miejsca, wypatrzonego przez człowieka.

Kuropatwa zna swych wrogów doskonale i z daleka ich poznaje. Według okoliczności szuka ratunku, czyto szybkim lotem szyjąc do gąszczów, czy wykradając się chyłkiem, czy też warowaniem udając bryłkę ziemi. Posiada pamięć znakomitą, dozwała-

jąca jej trafić i powrócić na te same miejsca w znacznem nawet oddaleniu, wynaleźć pożywienie i bezpieczne schronienie. Rozpoznaje ludzi, i tak nie płoszy się przed pracującymi w polu, przed pastuszkami, jeźdźcami i wozami; na nogach nieco odbiegnie i znowu szuka pożywienia; — gdy zaś myśliwy lub w ogólności ktoś surdutowy się zjawi, ona zaraz szybkim lotem ucieka. Niebezpieństwo i prześladowanie wzmacnia jej baczność i ostrożność. Kuropatwy, często strzelane lub przez drapieżne ptaki gonione, stają się tak płochliwemi, że na strzał myśliwemu zbliżyć się nie dozwolą lub też dzień cały przesiadują w niedostępnych trzcinach lub gąszczach i dopiero przy zachodzie słońca lotem lub na nogach opuszczają swe kryjówki. Jest to prawdziwie polny ptak, opuszczający ziemię chyba tylko, gdy jest do tego potrzebą zmuszony; nie lubi krzaków i lasów i, dopóki łąny ozdobione roślinnością, zamieszkuje w zbożach.

Koło św. Michała kuropatwy, zupełnie już wypierzone, zmieniają pole, t. j. z miejsca, gdzie się wychowały, w inną przenoszą się stronę.

Czynią to z braku żeru i z potrzeby szukania pożywienia po polach, świeżo pszenicą zasianych. Niebawem jednak nadchodzi smutna dla nich pora, gdy śnieżek prószyc zaczyna i stopniowo cała przestrzeń całunem zimowym się okrywa, zostawiając płochliwe i ostrożne kurki bez dachu i bez schronienia. Dziwna rzecz, że w tej porze stronią od krzaków i zarośli, a szukają trzcin, szuwarów i bagien z kępinami. Gdy śnieg sypać zaczyna, zniżają się na nóżkach do ziemi, przysiadają, pozwalają się zupełnie przysypywać. Co jeszcze dziwniejsza, że siedząc pod śniegiem, wiedzą doskonale, kiedy tenże padać przestaje. Wtedy, pracując dziobem i pazurkami, wydobywają się jakby na komendę wszystkie razem; chociaż zasypane były każda z osobna, przecież jedna jak druga wie, kiedy się wydobyć trzeba.

Gdy nawalne śniegi pokryły ziemię, wtedy kurki taksamo jak cietrzewie kopią sobie dołki, wygrzebują nory i każda w swej celi tak twardo spoczywa, że ledwie ją nogami można wydeptać. Dziurkowatość śniegu, jak się zdaje, dozwala im słyszeć, co się dzieje na świecie; i gdy matka lub ojciec w przestrachu zawabia, wszystkie gwałtownie się wydobywają i ulatują.

Jest to pora dla biednych ptasząt najniekorzystniejsza i najniebezpieczniejsza: jastrzębie je dziesiątkują, a lisy w jamkach wyłapują; gdy zaś odwilże i deszcze zimowe gładką utworzą skorupę,

wtedy nieszczęśliwe kurki, głód straszny cierpiąc, lecą w dalsze okolice szukać pożywienia i częstokroć giną nie z mrozu, lecz z niedostatku żywności. Nasza kuropatwa, twarda i wytrzymała, znosi kilka dni głód i wielkie mrozy; w ostateczności ciśnie się na wierzchołki stawów i jezior, gęstą trzciną zarosłych, i tam w zaciszu zimuje, żywiąc się lichem i niepożywnym ziarnkiem; a przecież wiele z nich ginie śmiercią głodową.

Równie niebezpiecznym jest dla nich i człowiek. W takich bowiem śnieżnych zimach tłoczą się biedne kurki pod płoty, do ogrodów i na gumna wiejskie; wtedy chłopci nęcą je plewami do szop i stodoł — i tak całe stada wyłapują.

Kazimierz Wodzicki.

67. Bekas i kuropatwa.

»Co to za nudne kraje tych Polaków!
Nic nie zobaczysz, jak szyszki na drzewie
I nie spotkasz innych ptaków
Jak tylko same cietrzewie!«

Tak sobie na pińskim błocie,
Siedząc w słonecznej spiekocie,
Ów włóczęga, wszędzie znany,
Rozmawiał bekas obłany.

Nikt nie uważał na tego próżniaka:
Lecz kuropatwa,
Do gniewu łatwa,
Tak go łajała, wyszedłszy z pod krzaka:

»Skądże to właści taki tonik wzniosły?
Powiedzże przecie pod czyjemto niebem
Takie ci piórka porosły
I czyimto tak wypasteś się chlebem?
Wtenczas, pamiętam, nie brały cię nudy,
Kiedyś przyleciał tu jak czapla chudy«.

Niepocziwe to są ptaki,
Które mają zwyczaj taki,
Że choć naszym chlebem żyją,
Choć nas objedzą, opiją —
Toć jednak, niewdzięczne przecie,
Spotwarzają nas po świecie.

Antoni Górecki.

68. Demostenes i Ateńczycy.

X Demostenes był najsławniejszym w starożytności mowcą ateńskim. Gdy razu pewnego do zgromadzonego na rynku ludu miał mowę, dotyczącą się najważniejszych spraw kraju, zauważył, że zgromadzeni nie słuchali go z należytą uwagą. Przerwał więc mowę i zaczął opowiadać następującą powiastkę:

»Podczas letnich upałów młodzieniec pewien, chcąc udać się z Aten do Megary, najął sobie osła. Właściciel osła, przyjął zarazem na siebie obowiązek, prowadzić osła aż do celu podróży. W południe, gdy skwar słoneczny zaczął podróżnemu straszliwie dokuczać, ten chcąc się ukryć przed prostopadłymi promieniami słońca, zawołał na właściciela, aby się chwilę zatrzymał. Przewodnik tak uczynił, a młodzieniec zsiadł z osła i położył się pod nim. Lecz właściciel nie chciał na to zezwolić, mówiąc, że wynajął mu samego osła, lecz nie cień także jego; w takim bowiem razie byłby żądał większej zapłaty. Przeciwnie młodzieniec utrzymywał, że skoro zapłacił za osła, to i za cień, jaki tenże rzuca.

Powiedziawszy to Demostenes, zaczął schodzić z mownicy. Lecz lud go otoczył i zmusił do powrotu na mownicę, dopytując się niecierpliwie, w jaki też sposób i kto spór ich rozstrzygnął. Wówczas nieporównany mowca wykrzyknął piorunującym głosem: »O, bogowie litościwi i sprawiedliwi! opiekunowie Aten! Spójrzcie na upadek i małoduszność tego ludu, który z chciwością przysłuchuje się bajeczkom i powiastkom, a z karygodną obojętnością przyjmuje rady i nauki, dotyczące się najważniejszych spraw naszej drogiej ojczyzny!«

69. Uczczenie poety.

W Wiśniczu, na zamku, gości huk! Znać, jakąś ucztę wyprawia jaśnie wielmożny wojewoda, bo huczno i dworno zjechali się panowie senatorowie, kasztelanowie, starostowie i innych magnatów wiele. Aż się trzęsą wiśnickiego zamku mury, a i w czeladnych izbach ludno i rojno jak w mrowisku.

Wojewoda z Wiśnicza, Piotr Kmita, był to pan wielki i możny; w podziw wprawiały jego dostatki i bogactwa wszelakie.

I dla kogóż on wyprawia ten bal suty i wspaniały?

Nad tem od godziny już łamią sobie głowy i Grześ kuchcik i Sołowij kozak i pajuk Walenty.

— Wiem już, na co to wszystko — rzecze Grześ; — to pewno arcybiskup przyjedzie ze Lwowa.

— Prędzej pan kasztelan krakowski — mruknie Sołowij.
A stary pajuk pokiwał głową i machnął ręką.

— Nic nie wiecie obadwaj — szepnie; — nie dla arcybiskupa ani dla kasztelana ten bal w naszym dworze. Mnie się zdaje, że pan wojewoda spodziewa się dziś samego króla jegomości.

Aż na to wysunął się z dworu pan Szczeczuga, dworzanin pana wojewody.

— Nad czem tak radzicie? — zapytał.

— Ot, panie — odpowie kozak — zgadujemy, dla kogo to pan wojewoda taką huczną wyprawia biesiadę.

Pan Szczeczuga uśmiechnął się i poważnie ruszył głową.

— Nie zgadnie z was ani jeden — rzekł. — Pan wojewoda i wszyscy tu zebrani panowie spodziewają się dziś sławnego gościa. Klemens Janicki ma dziś wrócić z włoskich krajów.

— Klemens Janicki? Klemens Janicki? — mruknął pod nosem kozak Sołowij. — Jeździłem ja z panem dwa razy na sejm do Krakowa i poznałem wszystkich panów, ale żadnego Klemensa Janickiego nie widziałem.

— Bo Klemens Janicki nie pan żaden — powie Szczeczuga — lecz syn prostego chłopca ze wsi Januszkowa, co leży koło miasta Żnina.

— Syn prostego chłopca! — krzyknął Grześ zdziwiony.

— Ale człowiek uczony wielce — dodał pan Szczeczuga — układa takie cudne śpiewki po łacinie, że człeka chwyta za serce, jakby śpiew słowika albo skowronka na wiosnę.

— A skądże on się nauczył po łacinie? — zapytał Sołowij.

Podparł się pan Szczeczuga i ozwie się na to:

— Trzeba wam wiedzieć, że ten Klemens czyli Klimek Janicki pasał bydło za młodu i raz siedział sobie przy drodze, gdy w sutej kolasie nadjechał ksiądz arcybiskup z Gniezna. Podobał mu się na oko chłopczyzna, bo był ładny jak aniołek z jasnymi włosami i niebieskimi oczyma. Ksiądz arcybiskup kazał stanąć kolasie i pytał chłopczyzny, co za jeden i jak się nazywa? Dowiedziawszy się zaś, że ma ojca kmiecia we wsi, śle zaraz pajuka do starego Janickiego i rzecze do niego: »Oddajcie mi w opiekę swego syna, a ja mu przyszość zapewnię«.

Ucieszył się wielce Janicki, jak każdy ojciec, co pragnie szczęścia dla swego dziecka; rad przystaje na wszystko, a ksiądz

arcybiskup bierze z sobą chłopczynę i oddaje go zaraz do szkół w Krakowie.

Zaczął się uczyć Klimek i wnet prześcignął w rozumie najpierwszych towarzyszków. Wkrótce potem począł już układać owe cudowne śpiewki łacińskie, co to aż sam król je czyta i raduje się nimi niezmiernie. Już wtedy stał się głośnym młody Klemens; ale wnet dotknęło go nieszczęście. Jego opiekun i dobrodziej, ksiądz arcybiskup, rozstał się z tym światem, a Klemens miał zostać bez pomocy i zabierał się już napowrót do wieśniaczej zagrody. Ale kóżto w Polsce nie znajdzie pomocy i opieki, kto jeno na nią zasługuje? Zaledwie ksiądz arcybiskup oczy zamknął, a już kilku panów wadzi się z sobą, bo każdy na swój koszt chce brać Janickiego. Otrzymał nareszcie pan wojewoda pierwszeństwo i on to nadal opiekował się Klemensem.

Tymczasem Klemens tak chciwie brał się do nauki, że już niebawem nie było mu się czego uczyć w kraju. Więc pan wojewoda, nie żałując pieniędzy, wyprawił go do obcych krajów, szczególnie do Włoch, gdzie było wtedy najwięcej ludzi uczonych. Pojechał Janicki, ale po kilku latach i tam już uczeni ustępować musieli mu pierwszeństwa; a już co do tych śpiewek, to mu nikt nie mógł sprostać. Dowiedział się o nim sam Ojciec święty w Rzymie; więc też kazał ze złota zrobić koronę i w mieście Padwie ukoronować Klemensa Janickiego, jako najpierwszego na wszystkie kraje poetę.

— Więc syna prostego chłopca polskiego kazał sam papież koronować! — zawołał Grzesz kuchcik.

— Tak, tak, chłopcze! — rzecze pan Szczeczuga. — Ukoronowany w Padwie, wraca do swej ziemi milej i dziś jeszcze ma przybyć do dworu. Dlatego to dziś zebrali się panowie u naszego wojewody, aby tak sławnego człowieka powitać na swojej ziemi.

Zaledwie skończył pan Szczeczuga swoje opowiadanie, aż tu zadudniła kolasa i z hukiem i stukiem zajeżdża przed zamek.

— Otóż i on! — zawołał pan Szczeczuga.

Patrzą wszyscy, a toć młode paniątko, takie ładne i układne, jakby nie widziało nigdy nic na oczy, jeno same pańskie pałace. I kóżby to poznał, że to tensam Klimek, co przed kilkunastu laty paść było w Januszkowie koło Żnina.

Staje kolasa przed gankiem, Klemens wysiada, a tu otwierają się drzwi pałacowe i naprzód postępuje z otwartymi ramionami

jaśnie wielmożny wojewoda, a za nim panów i pań co niemiara — a wszyscy poważni i wspaniali, wszyscy w złocie i aksamitach, pierwsi po królu senatorowie, wojewodowie, kasztelanowie.

Kłania się pokornie Janicki, a oni wszyscy wołają:

— Witaj nam, ukoronowany, witaj, Klemensie Janicki!

I witają go, ściskają, całują i prowadzą naprzód do komnat i na pierwszym sadzają miejscu. I rozpoczęła się zaraz wesoła zabawa, zagrała muzyka od ucha i wino płynęło — a wszystko to na cześć Klemensa. Jemu aż się łyzy leją po ładnej twarzy z rozczulenia, wszystkim tedy serdecznie dziękuje. Długo w noc przeciągnęła się zabawa, a na całym zamku i w pańskich komnatkach i w czeladnych izbach o nikim nie było mowy, jak tylko o wielkim poecie z ludu.

70. Straż pożarna.

Dzisiaj z rana przemyślałem nad tem, coby tu obrać za przedmiot do ćwiczenia piśmiennego, którego treść zostawił nam nauczyciel do wyboru. Wtem usłyszałem niezwykły gwar na ulicy, potem głosy na schodach, a po chwili weszło do naszego mieszkania dwóch ludzi ze straży. Jeden z nich, z galonami u munduru, widocznie starszy, ostrzegłszy, że nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, poprosił mego ojca, żeby im pozwolił obejrzeć piece i kominy; na dachu bowiem paliło się w kominie, a nie wiadomo było, do którego mieszkania ten dymnik należy. Chociaż nie rozpalaliśmy jeszcze wcale ognia od wczoraj, mój ojciec przystał na to najchętniej, sam poszedł naprzód, otwierał im drzwi od pokojów, a nawet od pieców i kominów. Oni przykładali ucho do ścian i pieców, aby słyszeć, czy płomień nie huczy w szyjach komina, które idą na wyższe piętra domu. Nie znalazłszy nic podejrzanego, wyszli szybko drugimi drzwiami do innych pomieszczeń. Kiedy u nas nie było niebezpieczeństwa, a strażnicy dalsze odbywali oględziny, przystąpił ojciec do mnie i rzekł: Oto masz przedmiot do twego wypracowania — »Straż pożarna«. Spróbuj opisać to, co ci opowiem.

Widziałem ich przy pracy, pewnego wieczora przed dwoma laty, wracając z teatru. Wchodząc na ulicę Kościuszki, zobaczyłem światło niezwykle i fale ludu, nadbiegającego ze wszystkich stron: jedna z wyższych kamienic stała w płomieniach. Języki ognia i chmury dymu wydobywały się z okien i dachu; kobiety i mężczyźni uka-

zywali się w oknach wyższych piątr, wydając rozpaczliwe okrzyki, to nikli znowu; przed bramą był wielki tłok ludzi, którzy wołali: »Żywcem się spalą! Ratunku! Straży!«

W tej chwili nadjechał wóz ze strażą: wyskoczyło zeń czterech strażników i wpadli do płonącego domu. Nim nadjechały sikawki i wozy z przyrządami do ratowania, oczom naszym straszny przedstawił się widok. Przez kraty żelazne, sięgające do pół okna, na trzeciem piętrze przelazła jakaś kobieta z krzykiem przeraźliwym i uczepiwszy się jej, zawisła niemal w powietrzu. Nad jej głową wybuchał dym i ukazywały się ogniste języki, które prawie lizały ją po głowie. Z sąsiednich okien także co chwila wychylali się ludzie.

Wtem strażnicy, którzy pierwsi wpadli byli do płonącego domu, ukazali się w oknie drugiego piętra. — »Na trzecie piętro! prosto po nad siebie!« zagrzmiało ze stu piersi. Strażnicy wyjrżeli przez okno, ujrzeli ową kobietę, usłyszeli krzyki nad sobą i w jednej chwili znikli. Na trzeciem piętrze panował zamęt piekielny: płonące belki spadały z dachu, korytarze były pełne ognia, dym dusił. Aby się dostać do pokoiów, w których się znajdowali zagrożeni mieszkańcy, nie było innej drogi, jak tylko przez dach. Natychmiast wdrapali się strażnicy na dach i wkrótce ukazał się człowiek jak czarne widmo uwijający się wśród dymu. Był to sierżant, ten co się tam dostał najpierwszy. Sierżant zbliżył się do krawędzi dachu: wszyscy drgnęli i, dech zatrzymując w sobie, nie spuszczały zeń oka. Spojrzał w dół, szukając okiem kobiety, która ciągle jeszcze wisiała u okna; ogień huczał nad jej głową — jeszcze chwila, a spadłaby na bruk ulicy. Okno to było oddalone o kilka metrów od niego na lewo. — »Niepodobna, aby się tam dostał!« — wołał tłum na dole. Tymczasem sierżant zaczął biedz po gzymsie, zwinnie jak kot, a potem rąbać toporkiem belki, deski, tynk w suficie, aby sobie otworzyć przejście do środka. Po chwili zanurzył się w morzu ognia i dymu. Za nim przybiegli inni towarzysze i znikali jeden po drugim.

W tym samym czasie olbrzymia drabina ratunkowa, przywieszona przed chwilą, ustawiona została i oparta o mur, skąd dobywały się płomienie i krzyki. Ale sądzono ogólnie, że już będzie zapóźno... »Nikt się nie uratuje, to darmo!« — wołano. — »Strażnicy się spalą. Musieli się podusić! Już po nich!«

Wtem ukazała się w oknie, na którego poręczy zawisła kobieta, czarna postać sierżanta, oświecona od góry do dołu płomieniem;

pochwycił w pół kobietę, podniósł ją i wciągnął za sobą do gorejącego pokoju.

Tłum wydał okrzyk olbrzymi, który zagłuszył trzask i huk pożaru. — »No, ale inni! I jak tu zejść? — wołano. Jak się do drabiny dostać!« — Tymczasem na okno najbliższe od drabiny ratunkowej wyskoczył znowu tensam sierżant, przechylił się w bok, chwycił się drabiny, stanął na niej lewą nogą a prawą na żelaznej poręczy od okna. W takiej postawie, wysoko w powietrzu, brał w ramiona jednego po drugim nieszczęśliwych mieszkańców, których mu podawali towarzysze ze środka domu, i oddawał ich towarzyszowi, który z ulicy dostał się po drabinie w górę, aby wyratowanych z płomieni sprowadzić na dół przy pomocy strażników, znajdujących się niżej, stopniowo w pewnej odległości. Tą drogą przeszła kobieta, która była uciepiona u okna, potem dziecko, za niem drugą kobietą i starzec. Wszyscy byli ocaleni. Po starcu zeszli strażnicy, którzy byli w płonącym domu, a na ostatku sierżant, ten który pierwszy na ratunek pośpieszył.

Tłum witał wszystkich wybuchem oklasków i wiwatów; a kiedy zeszedł ostatni, przywódca zbawców, okrzyki uwielbienia i wdzięczności nie miały granic. W kilka chwil imię jego, dotąd nie znane nikomu, było już na ustach wszystkich. — »Wiwat, Rembacz! Niech żyje!« rozlegały się długo okrzyki w powietrzu.

— Oto jest męstwo! Rozumiesz, Adasiu? — mówił ojciec dalej. Oto odwaga, co z serca płynie, która nie rozumuje, nie waha się, ale śpieszy na oślep tam, gdzie słyszy wołanie ginących. Zaprowadzę cię kiedyś na musztrę straży ogniowej i pokażę ci sierżanta Rembacza.

Gdy tych słów domawiał, ujrzelśmy tychsamyh strażników, którzy byli przed chwilą w naszym mieszkaniu, wracających po ugaszeniu sadzy w kominie na drugim końcu domu.

Ojciec wskazał mi mniejszego z nich, który miał galony, i powiedział:

— »Pójdźmy uścisnąć rękę sierżantowi Rembaczowi« — i pociągnął mię za sobą. Wyciągnęliśmy do przechodzącego dłonie: sierżant się zatrzymał, ojcu dłoń uściśnął, podał i mnie rękę z uśmiechem, którą ja uściśkałem serdecznie, potem uklonił się i wyszedł.

Był to mężczyzna średniego wieku, trochę już szpakowaty, średniego wzrostu, silnie zbudowany, z wąsem zakręconym z węgierska.

— A dobrze go sobie zapamiętaj! — dodał jeszcze ojciec po jego odejściu. — Z pośród tysięcy rąk, jakie w życiu uściśniesz, może nie wiele będzie takich, coby jego ręki były warte.

71. Cerkiew Wołoska we Lwowie.

Z pomiędzy grecko-katolickich kościołów czyli cerkwi we Lwowie wyróżniają się szczególnie dwie: metropolitalna cerkiew św. Jura czyli św. Jerzego i cerkiew Uśpienia Bogarodzicy czyli Wniebowzięcia, powszechnie zwana wołoską. Pierwsza odznacza się pięknem położeniem na wyniosłym wzgórzu w zachodniej stronie miasta, druga zaś starożytną i oryginalną budową. Jest to wspaniały gmach, zbudowany z ciosowego kamienia, dziś wiekiem zczerniałego, a pokryty trzema bizantyńskimi, w karpia łuskę złożonemi niegdyś kopułami; wznosi się on we wschodniej stronie śródmieścia, przy ulicy Ruskiej, wiodącej z rynku ku Namiestnictwu. Nazywa się ta cerkiew także stauropigijską od tego, iż jest własnością bractwa, noszącego nazwę Instytutu stauropigijskiego.

Różne nazwy tej cerkwi i dzieje jej budowy wiążą się ściśle z losami dość znacznej części mieszczaństwa lwowskiego.

Około roku 1450. zawiązało się we Lwowie bractwo kościelne, złożone z mieszczan i szlachty obrządku greckiego, celem opieki nad dwiema cerkwiemi, mianowicie cerkwią św. Onufrego na przedmieściu Żółkiewskiem, i drugą w mieście, pod wezwaniem Matki Boskiej, stojącą na miejscu dzisiejszej wołoskiej. Bractwo to wyjęte było z pod zwierzchnictwa biskupa, a zostawało pod bezpośrednią opieką patriarchy konstantynopolitańskiego; dlatego na swoich kościołach umieszczało jako godło krzyż patryarszy i takim krzyżem się pieczętowało; stąd też poszła nazwa grecka stauropigijskiego bractwa i kościoła. Bractwo to otrzymywało liczne od królów polskich przywileje, utrzymywało niegdyś własną szkołę grecko-słowiańską; obecnie zaś posiada kilka kamienic do cerkwi przyległych, własną drukarnię, litografię i księgarnię. Dochody z nich obraca na wydawanie ksiąg liturgicznych, na utrzymanie cerkwi i bursy dla młodzieży, do szkół publicznych uczęszczającej, i na Muzeum starożytności cerkiewnych.

Przed trzystu przeszło laty bractwo to postanowiło na miejscu dawnej cerkiewki wymurować nową. Budowę jej rozpoczął Paweł Włoch, Rzymianinem zwany, potem prowadził ją teść jego, mie-

szczanin lwowski, Wojciech Kapinos, a ukończył ją w roku 1629. Szymon Przybylski. Do kosztów jej budowy przyczyniła się w znacznej części rodzina Mohylów, głośna w dziejach Wołoszczyzny, i stądto otrzymała cerkiew nazwę wołoskiej.

Ponieważ cerkiew położona była niegdyś na krańcu miasta, tuż pod murami miejskimi, naprzeciw furty Bosackiej, dla oszczędności miejsca przybudowano do niej bezpośrednio, od zachodu i północy, domy stauropigijskie, które z nią razem tworzą czworobok, z obszernym wewnątrz dziedzińcem. Gmach cerkiewny łączy się od strony północnej z zabudowaniami stauropigijskim krużgankiem, wspartym na kolumnach, na których zbudowany jest skarbiec bractwa. Ściany tego krużganku ozdobione są obrazami, nie tyle pięknymi, co osobliwymi swą starożytnością.

Ponieważ front cerkwi przytyka od strony zachodniej bezpośrednio do budynków, a cerkiew sama stoi bokiem do ulicy: wchód do wnętrza umieszczony jest z boku, co znacznie odejmuje okazałości budowie.

Ponad drzwiami wchodowymi z boku zwraca na się uwagę piękny obraz Matki Boskiej, który pomimo szkodliwych wpływów powietrza zatrzymał świeżość barw pierwotną. Obraz ten, dziś już za szkłem, bywa podczas znaczniejszych uroczystości rzęsiście oświetlony lampami.

Wnętrze świątyni jest dosyć ciemne, pomimo że ściany i kolumny, podtrzymujące sklepienie, pomalowane są obecnie na jasno, w sposób marmur naśladowujący. Nade drzwiami umieszczony jest obszerny chór dla śpiewaków, a od niego ciągną się do połowy świątyni przestronne galerye. Ołtarze i carskie wrota są złocone. Na carskich wrotach zwracają swą pięknością uwagę znawców obrazy Zbawiciela i Matki Boskiej. Zastępuje także na wzmiankę ambona z lanego żelaza, złocona, z obrazami czterech ewangelistów. Przy odnawianiu świątyni usunięto z niej wiele innych jeszcze poczerńiałych wiekiem starożytnych rzeźb na drzewie i zapyłonych malowideł, przezco wnętrze świątyni pozbawione zostało swej starożytnej cechy.

Na prawej (od wielkiego ołtarza) ścianie i na galeryi zawieszono są trzy stare gobeliny i wspaniały dywan we wschodnim stylu, z obrazami, ręcznie tkany, o barwach jaskrawych i dziś jeszcze świeżych. Na tejże ścianie zwraca uwagę na siebie stary portret naturalnej wielkości, przedstawiający mężczyznę w podeszłym

wieku, w delii podbitej czarnem futrem, z rękami złożonemi do modlitwy przed krucyfiksem; a pod chórem wiszą dwa jeszcze podobne portrety. Przedstawiają one ojca, syna i wnuka Korniaktów, dobrodziejów kościoła.

Przez wysokie drzwi oszklone w prawej ścianie wchodzi się do obszernej kaplicy, Bałabano wską zwanej. Była to pierwotnie osobna cerkiewka, wzniesiona kosztem wspomnianego Korniaкта, która przed dwustu laty została odnowiona przez bogatego kupca Bałabana, pochodzącego z Janiny w Grecyi, i połączona z cerkwią główną; stąd jej nazwa.

Podobnie jak Bałaban, także ojciec rodziny Korniaktów, Konstanty, był z rodu Grekiem; pochodził z Krety, a osiadł z rodziną we Lwowie za czasów ~~Zygmunta~~ Augusta, przez którego udarowany został klejnotem szlacheckim. Dorobił się tu znacznego majątku, za co »na podziękowanie Bogu« własnym kosztem zbudował wspomnianą cerkiewkę i znajdującą się obok niej wspaniałą wieżę, Korniaktowską zwaną. Jest to najwyższa (po ratuszowej) ze wszystkich wież kościelnych we Lwowie. Dokoła niej ciągną się galerye, a szczyt jej wieńczy cztery narożne iglice, w górę wystrzelające. Pomiedzy pięciu zawieszonymi w tej wieży dzwonami, znajduje się jeden z największych u nas po Zygmuncie wawelskim, Kiryło. Po pożarze w drugiej połowie zeszłego wieku przelany, waży dziś 120 *ctn*, czyli 6000 *kg*, a jest tak ogromny, iż po jego kresach dokoła obejść można. Głos jego tak jest donośny, iż deskami zabijano okna wieżowe, aby przytłumić nazbyt silny huk, który przeszkadzał nabożeństwu w poblizkim kościele OO. Dominikanów.

Oprócz licznych uroczystości, na które do tej cerkwi zbierają się tłumy pobożnych mieszczan i włościan z wsi okolicznych, odbywa się w niej dwa razy do roku, na uroczystość Jordanu i Bożego Ciała, pod przewodnictwem metropolity i w asystencji licznego duchowienstwa, wspaniała procesya na rynek, w której biorą udział dostojnicy cywilni i wojskowi oraz liczne zastępy wiernego ludu. Okazały to widok, kiedy kilkotysięczny tłum pośród lasu chorągwi różnobarwnych i obrazów, pośród tysiąca gorejących świateł przewija się przez ulicę Ruską ku rynkowi i napowrót ku cerkwi, wznosząc z tysięcy piersi ku Panu nad Pany nabożne pienia, którym wtóruje donośny dźwięk Kiryły i jego towarzyszy, przygłoszany tylko od czasu do czasu wystrzałami z broni ręcznej wojska lub muzyką wojskową.

Wedł. *Izydora Szaraniewicza*.

72. Na cześć Boga-Rodzicy.

O! potąd dobrze, błogo na świecie,
 Pokąd na ziemi matkę ma dziecię!
 I pod jej sercem nowy świat wita,
 Jak polny kwiatek w życie rozkwita;
 Od niej się uczy znać Boga w niebie,
 U Niego szukać rady w potrzebie,
 Świętej się Jego poddawać woli,
 Wielbić i wierzyć, choć serce boli;
 I zawsze wołać w pokorze: Panie!
 Jak Ty rozrządzisz, tak niech się stanie!

O! potąd dobrze, błogo na świecie,
 Pokąd na niebie matkę ma dziecię!
 Pod jej opieką nieć życia przędzie,
 Kocha ją zawsze, widzi ją wszędzie.
 I tęskniąc do niej, do niej się zbliża,
 I z krzyżem w ręku, śpieszy do krzyża,
 By krzyża bole z tą matką dzielić,
 I z nią zapłakać, z nią się weselić!
 Gdy o niej myśli, myśl tak pogodna;
 Gdy jej zaufa, dusza swobodna;
 A gdy się w życiu sercem z nią złączy,
 To na jej sercu życie zakończy!

Karol Antoniewicz.

73. Ludzkość.

Było to przed pięciuset laty. Między panującymi ówczesnymi słynął z mądrości Albrecht, książę austriacki, i dlatego od współczesnych był Mądrym nazwany, któryto przydomek zaszczytny i dzieje mu przechowały.

Książę ten był w wojnie z miastem szwajcarskiem Bazyleą. Ale właśnie kiedy obie strony do nieprzyjacielskich gotowały się kroków, straszne nieszczęście nawiedziło miasto. Dnia 18. października 1356. r. wieczorem zegar na wieży starożytnej świątyni właśnie dziesiątą uderzył był godzinę, mieszkańcy zabierali się na spoczynek, kiedy nagle czuć się dało kilkakrotne wstrząśnienie, w bardzo krótkich odstępach czasu. W mieszkaniach zachwiały się sprzęty i z miejsca się ruszyły; obrazy, zegary, zwierciadła ze ścian spadały, a w tejsamej chwili zatrzęsły się w posadach i domy murowane, a nawet najznacniejsze i najtrwalsze gmachy. Nie

upłynęło kilka minut, a już prawie wszystkie kościoły i wieże, zamki możnych, domy i mury miasto opasujące z przerażającym hukiem runęły w gruzy. Trzysta osób przeszło grób pod zwaliskami znalazło!

Kłęska była okropna; tem bardziej przerażająca, że nikt się jej nie spodziewał. A ponieważ, jak już mówi przysłowie, nieszczęście rzadko kiedy chodzi samo, lecz rade szuka pary, tedy i tu, jakby na przepełnienie miary nieszczęścia, prędko znalazło sprzymierzeńca. Jeszcze niewszędzie wygasł był ogień na ogniskach i światła paliły się po domach w chwili trzęsienia: toż łatwo wszczął się pożar i wnet groźną nad nieszczęśliwym miastem i okolicą zaświecił łuną. Pożar się wzmaczał, bo któż pod brzemieniem tak strasznej dwojakiej klęski mógł myśleć o ratunku! Szczęśliwy był każdy, kto z życiem uchodził. Srożył się więc pożar przez cały tydzień i, co z trzęsienia ocalało, do reszty pochłonał. Leżały więc w gruzach lub sterczały okopcone resztki miasta, przed chwilą jeszcze kwitnącego i zamożnego, jako przerażające straszego dopustu Bożego świadki; harde mieszczaństwo, niedawno potędze możnego księcia urągające, szczęśliwe, że z życiem uszło, tułało się w nędzy jako żywe zmienności doli ludzkiej świadectwo!

Była to więc nader pomyślna i ponętna chwila na upokorzenie zuchwalców. Tak też rozumieli niektórzy panowie na dworze Albrechta, rozdrażnieni butą Bazylejczyków. — »Panie!« — mówili oni — »teraz właśnie pora, uderzyć na miasto, nauczyć zuchwalców pokory; Bóg sam w ręce ci ich oddaje«.

Ksiązę wysłuchał tej mowy, a westchnąwszy, rzekł do otaczających go panów: »Uchowaj mnie Boże! abym wojował z nieszczęśliwymi, których Bóg tak ciężko nawiedził! Zostawmy im czasu! niech się odbudują; a jeśli wówczas nie zawrą z nami zgody, tedy możemy w uczciwy sposób wziąć się znów do broni«. — A nie tylko na tych pięknych słowach poprzestał ludzki książę; owszem, natychmiast nakazał sprowadzić z Czarnego Lasu czterystu robotników, aby na jego koszt pomagali Bazylejczykom do uprzątnięcia gruzów i odbudowania jakichtakich pomieszek.

74. Z życia Benjamina Franklina.

Było to w roku 1721. W małej drukarni w mieście Bostonie kilku tamtejszych literatów odczytywało właśnie artykuły nadesłane

do dziennika, którego wydawcą był właściciel owej drukarni. Nieopodal od nich stał szesnastoletni drukarczyk, pochylony nad swoim pulpitem i zajęty składaniem czcionek, oczekując z niepokojem chwili, w której z kolei odczytać miano i osądzić artykuł dobrze mu znany. I on bowiem nie mógł się oprzeć pokusie; napisał także artykuł do dziennika swego pryncypała i wrzucił go do skrzynki redakcyjnej. Ale nie chcąc się narazić na śmiech i drwiny, artykułu nie podpisał, a nawet pismo swe do niepoznania odmienił.

Właśnie w tej chwili — bo już tytuł przeczytano — następuje z kolei ów artykuł. Według zwyczaju jeden z redaktorów go czyta, a inni słuchają. Drukarczykowi serce mocniej uderza. Żaden z redaktorów nawet nie przeczuwa, co się dzieje w młodzieńcu, nad czcionkami pochylonym. Skończono czytanie — nastąpiła mała przerwa, a twarz drukarczyka pokryła się trupią bladością. Był on bowiem nie raz już świadkiem, jak artykuły, nadesłane redakcyi, po przeczytaniu »tonęły w zapomnienia fali«, czyli ginęły w wielkiej skrzyni, na ten cel umieszczonej w drukarni. Zdawało mu się nawet, jakoby słyszał szelest, który zwykle powstawał, gdy nieudały utwór literacki pomnożyć miał zasób owej złowrogiej skrzyni. Ale nagle krew uderzyła mu do głowy i rumieńcem oblała czoło i policzki. Czy tylko dobrze słyszy? czy go słuch własny nie myli? Oto jeden z redaktorów chwali artykuł i to nawet z niezwykłą żywością. Drugi zgadza się z nim w zdaniu, a trzeci zdania obudwu potwierdza. — Ktoby to mógł być autorem tej niepospolitej pracy? — każdy zadaje pytanie. Na różne wpadając domysły, redaktorowie wymieniają nazwiska osób, znanych w mieście ze zdolności i nauki.

Gdyby drukarczyk zwrócił się był twarzą ku mówiącym, a redaktorowie byli się z uwagą przypatrzyli tej twarzy młodzieńczej, radością rozpromienionej: natenczas, zdziwiwszy się zapewne niemało, byliby niezawodnie wpadli na trop autora. Ale uszczęśliwiony autor wcale nie myślał się z tem wydawać, tylko jeszcze skwapliwiej chwycił i układał czcionki; a robota tak szła mu szybko, jak gdyby ukryta jakaś sprężyna ruch jego rękoma nadawała.

Któżto był tym uczniem drukarskim, co go właśnie tak błoga ożywiała radość?

To Benjamin Franklin, tensam, który później zasłynął głośno jako obywatel i uczony. Franklin znany jako wynalazca gro-

mochronów czyli konduktorów piorunowych i czczony powszechnie na obu półkulach obrońca wolności; tensam, o którym powiedziano, iż

»Wydarł grom niebu, a berło tyranom«.

Franklin ujrzał świat w Bostonie w roku 1706. Ojciec jego był biednym mydlarzem i miał liczną rodzinę, nie stać go więc było na to, aby dać synowi staranne wychowanie. Ponieważ Benjamin okazywał wielkie zamiłowanie do książek, oddał go ojciec na naukę do drukarza. Tutaj znalazł sposobność do zaspokojenia swej ciekawości; czytał też, co mu tylko do rąk wpadło; nieraz jadł tylko suchy chleb, a za oszczędzone pieniądze kupował sobie książki. Niestrudzoną usilnością zdobył też sobie wkrótce znaczne wiadomości, został pisarzem, a prace jego literackie życzliwego doznały przyjęcia. W 21. roku życia przeniósł się do Filadelfii, gdzie założył własną drukarnię. Dewizą jego tu było: »Tylko cnotliwy człowiek może być prawdziwie szczęśliwym«. Więc też pilnością, prawością i oszczędnością, zjednał sobie w krótkim czasie powszechne zaufanie, dorobił się znacznego majątku i poważania u współziomków. Wiadomości swoje i doświadczenia składał w pismach, które były rozchwytywane i rozchodziły się szeroko, a majątku swego używał na cele, powszechnemu użytkowi służące: założył wielką bibliotekę i szpital dla rzemieślników; a tak dbając o dobro ciała i duszy swoich współobywateli, został ich prawdziwym dobroczyńcą.

Jako wynalazca gromochronu zasłynął w całym świecie. To też, kiedy w roku 1776. przybył do Paryża w poselstwie od swojej ojczyzny, całe miasto się poruszyło, każdy bowiem chciał zobaczyć sławnego obywatela nowego świata. Do sędziwej starości Franklin pozostał niezmordowanie czynnym, około dobra swojej ojczyzny. Ostatnią jego czynnością publiczną było podpisanie petycji o zniesienie handlu niewolnikami w Ameryce. Umarł w roku 1790. syt wieku i sławy; a choć już wiek upłynął od jego śmierci, pamięć jego żyje u potomnych pokoleń całego świata, a czyny jego służą za wzór, czego to człowiek przy pracy i prawości dokonać może, choć w trudnych warunkach krwawo dobijać się musi dopiero na świecie mienia i znaczenia.

Wedł. *Zygmunta Sawczyńskiego.*

75. Bąk i pszczoła.

Mówił raz bąk do pszczoły, widząc jej robotę:
»Dobrze być pracowitym, chwałę w was tę cnotę;
Lecz na cóż na porządek tyle sił nateżać,
Tyle pracy marnować i czasu zmitręzać?
Ileżbyście to razy z miodem powróciły,
Gdybyście w tych robotach mniej staranne były!
Nie przeszkadzaj nam, bąku — powiedziały pszczoły; —
Sowiecie się nagrodzą trudy i mokoły;
Porządek pracę skraca — zdanie to nie nowe;
Kto przywykł do porządku, wykonał połowę.

Stanisław Jachowicz.

76. Wręczenie medalu zasługi.

(Opowiadanie ucznia).

Wczoraj w południe byłem z całą naszą szkołą przed ratuszem, aby widzieć wręczenie medalu zasługi chłopcu, który uratował życie swemu towarzyszowi z nurtów wezbranej rzeki. Gdyśmy przybyli na miejsce dla nas wyznaczone, dziedziniec ratusza już był pełen ludzi. W głębi widać było stół, zielonem suknem nakryty, na nim papiery, a za nim szereg krzeseł dla burmistrza i członków rady miejskiej. Do koła stołu wóźni miejscy przestrzegali porządku, z prawej strony uszykowany był oddział weteranów wojskowych z medalami na piersiach, po lewej straż ogniowa w odświętnem ubraniu; poza nimi z jednej i drugiej strony tłumy ludu różnego stanu i wieku, cywilnych i wojskowych. Wszystkie okna zajęły kobiety i dzieci. Wszyscy rozmawiali wesoło, co chwila poglądając w stronę zielonego stołu, w oczekiwaniu pojawienia się rady miejskiej. Muzyka przygrywała z cicha w głębi krużganku, wysokie mury w górze oświecało słońce: widok był piękny prawdziwie.

Naraz wszyscy w oknach, na krużgankach, na dziedzińcu zaczęli bić w dłonie. Ja podniosłem się na palcach, żeby lepiej widzieć. Tłum, który stał za stołem, rozstąpił się na obie strony, dając wolne przejście kobiecie, mężczyźnie i chłopcu, którego ów mężczyzna prowadził za rękę. Był to właśnie ów chłopiec, który uratował towarzysza, a prowadzący go ludzie, jak poznać było z ubrania, z miejskiego stanu, byli jego rodzice. Chłopak był mały, jasnowłosy, najwyżej lat dwunastu; miał na sobie szarą kurteczkę;

rodzice jego ubrani odświętnie, ale skromnie. Na widok takiego tłumu ludzi, słysząc rześiste oklaski, wszyscy troje stanęli jak wryci, nie śmiejąc ani patrzeć przed siebie ani się poruszyć. **Dopiero** jeden z woźnych przystąpił do nich i zaprowadził ich przed stół na prawo. Tymczasem chłopcy z tego przedmieścia, z którego był ów chłopiec, wysuwali się na przód z tłumu, aby się dać widzieć swemu towarzyszowi, a **oraz** pochwalić się przed zebranymi, że są jego znajomymi; poruszali rękami i wołali go z cicha **po** imieniu. Chłopiec spojrzał na nich i zastonił się kapeluszem, aby ukryć uśmiech.

Naraz strażę zaprezentowały broń: wszedł burmistrz w towarzystwie wielu panów, wszyscy strojnie przybrani. Burmistrz stanął przed stołem, a panowie koło niego z obu stron. Muzyka grać przestała i dokoła zaległo uroczyste milczenie.

Burmistrz zaczął mówić. Pierwszych wyrazów nie mogłem dobrze dosłyszeć, ale zrozumiałem, iż opowiada o bohaterskim czynie chłopca. Potem głos jego się podnosił i tak dobitnie, tak dźwięcznie rozchodził się po całym dziedzińcu, że już ani słówka nie stracił.

— Kiedy z brzegu — powiadał — spostrzegł towarzysza, który z ostatnim wysiłkiem walczył ze śmiercią w wartkich nurtach rzeki, zerwał ze siebie ubranie i rzucił się naprzód bez wahania. Kiedy wołali na niego drudzy: »Stój! co robisz? i ty utoniesz!« — nie odpowiadał; chwycono go w pół — wyrwał się; krzyczano nań po imieniu — już był w wodzie. Rzeka pieniała się wezbrana, niebezpieczeństwo groziło nawet dorosłemu człowiekowi. Lecz on, gardząc śmiercią, całą siłą swego małego ciała i swego wielkiego serca, rzucił się w jej fale. Dopłynął do tonącego i pochwycił go za rękę w samą porę, gdyż jeszcze chwila, a byłby znikł w odmęcie. Wyciągnął towarzysza na wierzch jedną ręką, a drugą walczył rozpaczliwie z falami; po kilka razy pogrążał się wraz z nim pod wodę, to znowu ukazywał się na powierzchni, i tak z nadludzkim prawie wysiłkiem walcząc ze strasznym żywiołem, dobił, szczęśliwie do brzegu, na który zdumieni towarzysze obu wyciągnęli. Snąc Bóg nie dozwolił, żeby czyn taki mężny, taki wzniosły poszedł na marne. Dziecko-pływak wyrwał ofiarę rozhukanym falom, a nadto udzielił omdlałemu wraz z innymi pierwszej pomocy. Potem powrócił do domu, sam jeden, spokojny, aby opowiedzieć rodzicom, jakby rzecz najzwyczajniejszą, czego dokonał.

Panowie! Pięknem, godnem poszanowania jest bohaterstwo w człowieku dorosłym. Ale w dziecku, w którym nie odzywa się jeszcze żadna chęć wyniesienia się nad drugich; w dziecku, po którym bohaterstwa nikt się nie spodziewa, które już uważamy za dobre, skoro tylko odczuwa i szanuje poświęcenie się drugich; w dziecku, które potrzebuje mieć tem większy zapas odwagi, im mniej ma sił fizycznych; w dziecku, powiadam, bohaterstwo jest rzeczą tak wielką, tak wzniosłą, iż żadna mowa ludzka wyrazić jej dostatecznie nie zdoła.

Nie chcę przeto ozdabiać krasnomówczemi pochwałami czynu, tak wielkiego w swej skromnej prostocie. Oto tu stoi przed wami mężny i szlachetny zbawca życia człowieka. Żołnierze! pozdrówcie go jak brata. Matki! pobłogosławcie go jakby wasze własne dziecko. Dzieci! wraźcie sobie w pamięć jego imię, jego twarz, aby się już nigdy nie zatarła w waszym umyśle i w waszem sercu. Zbliź się, chłopcze! W imieniu Najjaśniejszego Pana daję ci medal za odwagę cywilną.

Huczne »niech żyje!« zagrzmiało razem z tysiąca piersi, odbiło się od murów ratusza i rozległo się po mieście. Burmistrz wziął ze stołu medal i przypiął go do piersi chłopca, potem go przycisnął do siebie i ucałował. Matka chłopca zakryła sobie twarz dłonią i płakała z radości, ojciec miał głowę spuszczoną na piersi. Burmistrz uścisnął rękę obojgu, potem wzięwszy ze stołu dyplom, potwierdzający nagrodę chłopca, związany wstążką, wręczył go jego matce. Wkońcu zwrócił się do chłopca i rzekł:

— Niech wspomnienie dnia tego, tak pełnego chwały dla ciebie, tak radosnego dla twojego ojca i dla twojej matki, nie da ci nigdy, przez życie całe, zboczyć z drogi honoru i cnoty. Bywaj zdrów, dzielny chłopcze!

Burmistrz odszedł z panami do ratusza, muzyka zagrała, i wszystko zdawało się być skończonem. Naraz oddział straży ogniowej rozstał się i chłopczyk ośmio czy dziewięcioletni, popchnięty naprzód przez jakąś kobietę, podbiegł ku nagrodzonemu medalem i rzucił mu się w objęcia. Nowy wybuch okrzyków i oklasków odbił się o mury ratusza: wszyscy zrozumieli od razu, że to chłopiec uratowany od śmierci dziękuje swemu zbawcy. Po uściskaniu, po ucałowaniu go, uczeplił się jego ramienia, aby mu towarzyszyć przy wyjściu. Obaj więc chłopcy szli naprzód, a za nimi ojciec i matka. Tłum ludu rozsuwał się przed nimi z uszanowaniem, choć

wszyscy cisnęli się naprzód, podnosili się na palce, aby zobaczyć chłopca. Ci, co stali najbliżej, ściskali go za rękę. Kiedy przechodził obok chłopców ze szkół, wielu wyrzucało czapki w górę. Jego towarzysze z przedmieścia podnieśli wielki hałas, a ciągnąc go za ramiona to za kurtkę, wołali:

— Pawulski! Niech żyje Pawulski! Wiwat Pawulski!

Stałem tak blisko, że gdy przechodził, mogłem się mu dobrze przypatrzeć. Twarz miał zaognioną, wzrok rozpromieniony: medal wisiał na wstążce białej i czerwonej. Matka jego płakała i śmiała się razem; ojciec pokręcał sobie wąsa, ale ręka drżała mu tak silnie, jak gdyby miał febrę. Z okien ratusza i krużganków posypyły się teraz kwiaty, bukiety i grzmiały oklaski; prawdziwy deszcz bratków, róż, fijołków, niezapominajek spadał teraz na głowę chłopca i jego rodziców i rozsypywał się po ziemi. Obecni rzucili się skwapliwie za spadającymi kwiatami i podawali je matce chłopca. Muzyka grała przesłicznego marsza; wielu odprowadziło chłopca z okrzykami aż do domu; wreszcie cały ten różnobarwny tłum rozprószył się po mieście.

77. Lew Lorencowicza.

Głośną sławą znaczenia i zasług okryło się we Lwowie nazwisko mieszczańskiej rodziny Kampaniów, którzy od r. 1560. przez wiek cały wielkie temu miastu oddawali usługi, po których też wiele do dziś w tem mieście cennych pozostało pamiątek. Już Paweł Kampian posiada pociąg do zaznaczenia swojej pamięci pomnikami dziełami: funduje kaplicę rodzinną w archikatedrze łacińskiej, ustanawia zakład zastawniczy, przebudowuje okazale dom swój w rynku (dziś kamienica przechodnia w zachodniej jego połaci) przy pomocy najznakomitszego architekta lwowskiego. Syn jego Marcin posunął się jeszcze dalej w tem zamiłowaniu monumentalności: wykończył kaplicę i okrył jej wnętrze bogatymi rzezbami doskonałego dłuta; a kiedy ojciec przeznaczał ją zarazem na skarbiec Montis Pietatis (zakładu zastawniczego): on ją wyłącznie uważa za mauzoleum rodowe, a na pomieszczenie fantów buduje osobny sklep ze strony południowej katedralnego kościoła. Ratusz lwowski nie miał wieży — Kampian przystąpił do jej budowy z całą energią sobie właściwą i dokonał dzieła z pośpiechem, niezwyčajnym w owych czasach, jakby pragnął ukoronować nią swoje własne rządy, patrzeć

jak najprędzej na szczyt połyskujący złotym lwem herbowym, widny z daleka zbliżającym się do miasta czy to gościom czy wrogom, jako dumny symbol siły i straży. Na jednej stronie wieży umieszcza kamienną płaskorzeźbę, wyobrażającą łódź z sterującą załogą — godło handlowego znaczenia Lwowa; galeryę opiera na pięknie rzeźbionych lwach, trzymających tarcze z herbami wszystkich społecznych rajców miasta, a ci znowu przekazują potomności nazwisko i zasługi swego znakomitego kolegi, umieszczając na innej ścianie stosowny napis.

Z wieży kampianowskiej nie pozostało do dziś i śladu, ale zachował się do dni naszych inny kamienny świadek jego czasów i charakterystyczny pomnik tej górnolotności jego umysłu, która sięgała nawet po starożytne wzory klasyczne, ale przecież nie była bez pewnej rzetelnej treści, bo miała być wyrazem poczucia dumy i siły mieszczańskiej. Jest to duży lew kamienny, niegdyś strzegący wstępu głównego do ratusza, dziś niszczący bez celu na Wysokim Zamku pod kopcem, gdzie go wywleczono w r. 1869. przy rozpoczęciu sypania kopca na pamiątkę dwóchsetnej rocznicy Unii lubelskiej. Lew ten, zwany w dawnym Lwowie Lorencowiczowskim, ma swoją osobną historję; jest to tensam, który miał uwiecznić zdarzenie, swego czasu bardzo rozgłośne nie tylko w samym Lwowie.

Szlachcic Niemirycz, za popełnienie gwałtu publicznego w mieście w r. 1619. za burmistrzostwa Bartłomieja Uberowicza, został pojmany i stawiony przed sąd. Jakkolwiek puszczony bezkarnie, Niemirycz poprzysiągł zemstę burmistrzowi, który jego, szlachcica, śmiał ująć przez służalców miejskich, wsadzić do więzienia i stawić na ratuszu — i zemstę też zuchwale i zręcznie wykonał. Uberowicz, trzymając w dzierżawie miejski folwark Skniłówek, przemieszkiwał tam czasem. Otóż pewnej nocy ktoś zapukał do dworku i prosił pokornie o nocleg. Uberowicz otworzył — i w tej chwili został uchwycony, skrępowany i na konia rzucony. Była to sprawka Niemirycza, który pojmanego starca uwiózł z sobą, obchodząc się z nim w drodze nielitościwie.

Gwałt ten wywołał niesłychane oburzenie wśród mieszczan; ale byłby uszedł bezkarnie, gdyby nie mieszczanin i rajca Jan Julian Lorencowicz. Ten uprosiwszy sobie od księcia Zasławskiego, wojewody bractawskiego, rotę wojska, przechodzącą właśnie przez Lwów, rzucił się z nią w pogoń za Niemiryczem, dopędził go o trzy

mile za Zasławiem, Uberowicza odbił, samego szlachcica pojmał, okuł i na zamek zasławski odstawił. Wielki był we Lwowie tryumf, gdy Lorencowicz wrócił z uwolnionym starcem, którego już opłakano. Uradowane miasto obdarowało i wybawcę i wybawionego: Uberowiczowi dano w dożywocie część dochodu z wagi miejskiej, a synowi jego stypendyum z fundacyi Łojeckiego; Lorencowicz otrzymał dom w rynku na lat dwadzieścia, a nadto z inicjatywy Kampiana doznał uroczystej owacyi w obec wszystkich „stanów i narodów”: zwyczajem starożytnych Rzymian otrzymał wieniec obywatelski *ob civem servatum* (za uratowanie obywatela). Chcąc upamiętnić zdarzenie i jego bohatera, kazał Kampian wykuć pomnik z kamienia, który ciekawi i dziś jeszcze oglądać mogą: jest to lew, trzymający tarczę z herbami Rzeczypospolitej (orzeł i pogoń i Lwowa*); a wśród nich umieszczony był niegdyś wieniec laurowy, w którym mieścił się napis: *Ioanni Iulio Lorencowicz S. P. Q. L.***).

Wedł. Wład. Łozińskiego.

78. Mazury.

Za dawnych czasów spierano się nieraz, która prowincya stanowi najlepszą część Rzeczypospolitej Polskiej; każdy za najlepszą uznawał tę, w której się urodził lub w której zamieszkał. Były to spory niewinne i nigdy nie rozstrzygnięte, boć oczywista rzecz, że wszystkie prowincye były zarówno dobre. Ze wszystkich plemion, składających Polskę, najruchliwsi byli Mazurzy, którzy zamieszkiwali szeroki pas ziemi, od ich imienia nazwany Mazowszem.

Cenieni byli zawsze w Polsce jako ludzie pracowici, zapobiegliwi, a w służbie wojskowej nieporównani żołnierze. Mówiono też o Mazurach, że są ślepi, a ten przydomek powstał im stąd, że w bitwie zacięcie walczyli, choćby przeciw nie wiem jak liczniemu nieprzyjacielowi. Nazywano ich jeszcze prawowiernymi Mazurami, gdyż byli do wiary katolickiej dawniej, tak jak i teraz, żarliwie przywiązani.

*) Herb Lwowa powtarza się tu dwa razy: w jednym lew zamiast w branie, znajduje się na jej szczycie, skąd jakby w śmiałym skoku chciał się rzucić w pole — zapewne na znak, że i po za mury miasta umie sięgnąć jego siła i odwaga.

**) *Senatus Populus Que Leopoliensis* = rada miasta i mieszkańcy Lwowa.

Na Mazowszu nie było nigdy wielkich magnackich majątków ; kto miał dwie wioski albo jedną, ten już był bogatym. Najczęściej wioski były porozdzielane na części i częściczki. Tu sobie mieszkała drobna szlachta, tu znowu kmiecie, albo też razem w jednej wiosce i jedni i drudzy obok siebie żyli, jak Bóg dał. A że gruntu nie mieli wiele, więc rozchodzili się Mazury po świecie za szczęściem i osiadali po różnych stronach Polski, gdzie często nadawano im obszerne, jeszcze niezaludnione ziemie za zasługi na wojnie. Stądto spotykamy Mazurów i na Podlasiu i na Litwie i na Ukrainie i w Kurlandyi i w wielu innych stronach, gdzie zamieszkiwali jużto pojedynczo, jużto całemi osadami, jak n. p. na Litwie.

Lud to wesoły, hoży, odważny i bitny. Dawniej na odpusty i jarmarki każdy strzelbę ze sobą nosił, skąd wiele zdarzało się kalectw i zabójstw. Teraz strzelby już się nie nosi, ale często przy zwadzie koły z płota w wielkiem są użyciu. Zresztą jest to lud, zdatny do wszelakiej roboty i ochoczy do niej. Umie się też i wesoło zabawić i lubi śpiewać, tak przy pracy, jak i przy odpoczynku. Ma też aż dwa swoje własne tańce narodowe: Mazura i Obertasa. Mazur jest huczny i wesoły. Każdy z nas zna te świetne melodye, co to, kiedy je usłyszysz, to aż krew jakoś raźniej płynie ci w żyłach. Muzyk potrafi jednakże nadać mazurowi i odrobinę smutku, niby przypomnienie minionego szczęścia. Jako taniec jest mazur marszem nieporównanego wdzięku, niby pochodem wspa-
niałym, trochę wojennym albo tryumfalnym. Patrzmy : oto ruszyły już pary mazura. Jak zgodnie mkną długi ich szereg, para tuż za parą ! Wszyscy tak robią, jak przodujący prowadzi. Stanęli i przytupnęli, jakby im coś na przeszkodzie stanęło ; więc razem się biorą do dzieła i już znowu naprzód biegną.

Z czasem z mazura wyrobił się inny taniec, który nosi nazwę tańca polskiego czyli poloneza. Ten, z melodyi podobny do mazura, okazuje wielkie do niego podobieństwo w wykonaniu, jakkolwiek wolniej postępuje. To już nie pochod młodości, to marsz ludzi dojrzałych, pełen powagi i taktu.

Obertas wreszcie, przeciwny niemieckiemu walcowi, tańczy się u nas w lewo, a z wielką zręcznością i życiem.

Ale Mazurzy dali całej Polsce nie tylko tańce tak piękne ; obdarzyli ją jeszcze wybornym gatunkiem placków, które się od ich imienia mazurkami zowią.

Ubiór włóścian mazurskich składa się z siwo-białej kapoty sukiennej, która u bogatszych jest koloru granatowego, a w każdym razie ma pętle czyli szamerowanie na piersiach. Sukmana jest przepasana czerwonym włóczkowym pasem, co przy kolorze granatowym wcale pięknie odbija. Przytem noszą buty długie, a czapka wielka i wysoka, z siwego baranka, z dnem aksamitnem i z kokardami ze wstążek z boku, kończy ubranie. Kobiety na Mazowszu ubierają się pięknie, a nawet porządniej, niż w innych stronach kraju. Noszą granatowy kaftanik z guziczkami, spodnicę różnobarwną i fartuch. Na głowie noszą niby zawój, z chustki zrobiony, pod który mężatki kładą jeszcze czepek. Do ubioru należy jeszcze noszenie na szyi paciorków wielkich z bursztynu.

Pięknie i o ziemi i o ludzie mazurskim śpiewa Wincenty Pol w »Pieśniach Janusza« :

Piękna nasza Polska cała,
Piękna żyzna i niemała!
Wiele krain, wiele ludów,
Wiele stolic, wiele cudów;
Lecz najmilsze i najzdrowsze
Przecież człeku jest Mazowsze!

Bo gdzież takie cudne stroje
I śpiewanki i dziewoje?
Kto w podkówki tak wykrzesze?
Komu miłe tak pielesze,
Jak ojczyste Mazurowi?
Niechaj cała Polska powie!

Mówią, że tam na Podolu
Rośnie żyto bez kłólu;
Ale u nas dary Boże
Płyną Wisłą aż za morze!
Przyśpiwują jej flisaki,
A grosz człek ma jakitaki.

Poza Niemnem puszcza sroga,
A na Rusi błotna droga,
Góral zbyt podkasały,
A Odraki lud zniemczały;
A więc nasza — nasza góra,
Nie masz w świecie nad Mazurą!

79. Aleksander Wielki i Focyon.

Aleksander Wielki, stawszy się panem Azji, lubił świadczyć łaski przyjaciółom swoim: posłowie tedy jego, przybywszy do Aten, przynieśli Focyonowi imieniem króla sto talentów. Zapytał ich natychmiast, dlaczego Aleksander tak wielkie śle dary nie komu innemu z pomiędzy tylu Ateńczyków, ale jemu tylko samemu.

— Dlatego — rzekli — iż ciebie Aleksander najpocześniejszym być mniema.

— Jeżeli tak jest, jak wy mówicie — rzekł Focyon — niechże mnie tem zostawi, czem jestem, a dary swoje nazad odbierze.

Zdziwili się na taką odpowiedź niezmiernie, widząc w domu jego wielkie ubóstwo; albowiem żona jego właśnie wtenczas chleb

piekła, a on ze studni wodę ciągnął. Przekładali mu więc nieprzyzwoitość, iżby zaszczycony przyjaźnią tak wielkiego króla, zostawał w ubóstwie. Wtem postrzegłszy idącego przez ulicę w lichej sukni ubogiego człowieka, Focyon rzekł:

— Czyli mniemacie, iż on lepszy ode mnie?

— Bynajmniej — odrzekli.

— A przecież, choć mniej ma niż ja, przestaje na swoim stanie. Na co mi się zda wasze złoto, gdy go używać nie będę? A jeślibym go używał, i sobiebym zaszkodził i waszemu panu.

Powróciło więc złoto do Aleksandra, a ten poznał, iż był od niego bogatszym, kto się bez jego bogactw mógł obejść.

Pisał do Focyona Aleksander, uskarżając się na to, iż darami jego wzgardził; ale on, stały w przedsięwzięciu, prosił, iżby jeze-liby mu łaskę wyświadczyć chciał, uwolnił niektórych Greków w więzieniu trzymanyh — co natychmiast Aleksander uczynić rozkazał.

Tenże, gdy już po zwyciężeniu Daryusza słał do Macedonii Kratera, przykazał mu, aby Focyona odwiedził i jego imieniem ofiarował mu do wyboru jedno ze czterech najcenniejszych miast Azji; ale i w tej okoliczności równą wzgardę bogactw okazał Focyon, przestając na swoim ubóstwie.

Ignacy Krasicki

(Żywoty zacnych mężów, wedł. Plutarcha).

80. Istotne bogactwo.

Bogactwo ducha — to mi prawdziwy skarb życia;
W wszelkiem innem strapienia więcej niż użycia.

Lucyan Siemieński.

81. Zgon hetmana.

Nieszczęśliwy był schyłek życia hetmana Stanisława Żółkiewskiego. Sławą tylu zwycięstw okryty, zmuszony był sędziwy hetman zawrzeć z Portą (r. 1617.) niekorzystny traktat w Buszy, za który podniosły się zjadliwe skargi przeciw niemu i obmowy. Bohaterski zwycięzca z pod Kłuszyna musiał oczyszczać się z podejrzenia, iż nie śmiał stawić czoła wrogowi. Wytlómaczywszy pobudki tego czynu, prosił starzec króla, ażeby wolno było omdlałym rękom złożyć buławę; król jednak nie chciał uwolnić sługi wiernego. Hetman pocieszał się tylko nadzieją, iż zdarzy się jeszcze sposobność zawstydzić

złe języki i dostąpić, czego pragnął przez całe życie — słodkiej śmierci za ojczyznę i wiarę.

Gdy tedy gospodar wołoski Gracyan zażądał (r. 1620.) pomocy Rzeczypospolitej przeciwko Turcyi, a szlachta cała gorąco domagała się tego, hetmanowi Żółkiewskiemu zdawało się słuszną rzeczą powodować się tym razem głosem powszechnego żądania. Walka z niewiernymi miała zawsze niepowściągnięty urok dla starca, który od młodości marzył o rycerskiej śmierci za wiarę. Chętnie przeto spełnił życzenie króla i narodu i stanął na czele szczupłego wojska, które na prędkę zebrać zdołał.

W dniach 2. i 3. września przeprawił się hetman przez Dniestr i, wkroczywszy w granice państwa otomańskiego, obwarował się pod Cecorą, o dwie mile od Jass. Atoż po wielkiej bitwie z Turkami dnia 19. września najznamienitsi panowie i rycerze, jak Kalinowski, Odrzywolski, Chmielecki i inni, uszli przez Prut, w najniebezpieczniejszy sposób pozostawiając hetmana w obliczu wroga.

Hetman wielki Żółkiewski z hetmanem polnym Koniecpolskim i pozostałą resztką rycerstwa jeszcze przez cały tydzień utrzymali się w swoim obozie cecorskim przeciw oblegającej zewsząd potęgze. Dopiero w dzień św. Michała wieczorem wyszło wojsko polskie taborem, t. j. otoczone zewsząd wozami, aby przez środek nieprzyjaciół utorować sobie drogę ku brzegom Dniestru.

Trwała ta droga siedm noc i tyleż dni. Nocy oddane były głównie trudnemu pochodowi, dni zaś trawiono najczęściej na odpieraniu ponawiających się ustawicznie szturmów tureckich. Wszakże od mili do mili wzmagало się znużenie wojska. Wreszcie z głodu, z unużenia, osobiwie zaś z bezsenności upadała większa część wojska z nóg. Kiedy nareszcie w taki sposób zbliżył się tabor (dnia 6. października) o dwie mile od Dniestru, zdawało się wszystkim rzeczą pewną, iż zdołają osiągnąć brzegi ojczyste. Skutkiem tego obawa nieprzyjaciela stała się mniejszą. Przemogła tedy żądza długo wzbranianego spoczynku, zaczęto powszechnie domagać się zatrzymania pochodu. Napróżno przedstawiali hetmani, że teraz właśnie należy podwoić usiłowania, gdyż nieprzyjaciele tem zażarciej będą nastawali na zgubę wojska. Nie dało się przekonać żołnierstwo, lecz szemrząc coraz głośniej przeciw rozkazom wodzów, porywało się do otwartego buntu. Jedni żądali wypoczynku, drudzy chcieli opuścić tabor i dopadać Dniestru kupami. Tymczasem nieprzyjaciele coraz bliżej i tłumniej otaczali obóz wędrowny. W takim

stanie rzeczy nie można już było myśleć o obronie taboru w razie silniejszego natarcia nieprzyjaciół.

Wtem daje się słyszeć w obozie tentent cwałującej z daleka jazdy. Przestraszona tłuszcza porwała się na koń z obozu, w rozsypkę po stepie. Nie pomogło przekonanie się wkrótce, iż to byli swoi, wracający z pomyślnego podjazdu. Rozwarte raz wrota taboru nie dały się zawrzeć żadnym rozkazem.

Niebawem też na prawdę uderzyli z tyłu Tatarzy i wdarli się do taboru. Co żyło, pierchnęło cwałem w pole otwarte, aby się ratować ucieczką. Tylko ze 300 rycerstwa zostało przy hetmanach, ustępujących pieszo z taboru. Żółkiewski wobec wszystkich przebił konia swojego na znak, iż w żadnym razie uchodzić nie myśli, poczem oparłszy się na ramionach dwóch towarzyszy, puścił się w drogę.

Szli tak wszyscy z ćwierć mili, aż nadleciała chmura Tatarów. Natenczas z ostatnich trzechset towarzyszy hetmańskich kto się tylko dorwać mógł konia, wyskoczył na niego i pierchnął. Wkońcu nie więcej jak jedenastu wiernych wytrzymało przy hetmanie. Złamany tym ostatnim zawodem starzec blizkim był opadnięcia na siłach. Obskoczyli go więc przyjaciele, błagając, aby chciał wsiąść na konia. Przyprowadzono mu z kolei trzy konie do ocalenia drogiego ojczyźnie życia. Kiedy mu podawano pierwszego, rzekł:

— Nie wsiędę! Miło mi przy was umierać. Niechaj Pan Bóg nade mną wyrok Swój, który uczynił, kończy!

Drugiego konia podał mu ukochany przyjaciel jego, hetman polny Stanisław Koniecpolski. Temu odpowiedział kanclerz:

— Proszę cię, ty wsiądź nań a uchodź. Zachowaj się na lepsze czasy, a ja swym tułowem do ojczyzny nieprzyjacielowi niechaj drogę zawalę!

Trzeciego konia przysłał mu własny syn jego Jan, błagając, aby się ocalił. Ale kanclerz kazał mu odpowiedzieć:

— Gdzie owce giną, tam powinien zginąć i pasterz, boby się go spytano, gdzie podział owce.

• W tej chwili gwałtownie zewsząd natarli nieprzyjaciele.

Krzyk powstał i zamieszanie. Co się dalej stało, nie widzieli już wierni towarzysze hetmana.

Dopiero nazajutrz po bitwie znaleziono ciało hetmana pokaleczone na pobojuwisku między trupami...

Wedł. *Karola Szajnochy* (*Mściel*).

§2. Wytrwała praca.

Co znaczy silna wola i wytrwałość, na siłach własnych oparta, dowodzi niejaki Majer, ubogi żydek polski. W połowie bieżącego wieku przybył on do Paryża, nie mając złamanego szeląga przy duszy. Zmuszony potrzebą, udał się do kilku znajomych o pomoc; lecz ci, na nieszczęście taksamo jak on ubodzy, zdobyli się zaledwo na kilka franków. Na długo to Majerowi wystarczyć nie mogło; atoli miał on jedno, co się stało podstawą jego powodzenia — miał silną wolę.

Za uzyskane pieniądze zakupił kilka starych płaszców i w ubogiej izdebce, o głodzie pracując dniem i nocą, wyrobił parę tuzinów czapek. Sprzedał je korzystnie, a zarobek przy oszczędności szybko wzrastał. Wkrótce potem przyjął jednego pomocnika, po jakimś czasie drugiego, aż w lat parę jego warsztat czapniczy liczył do 60 czeladzi.

Lecz nie było przeznaczeniem Majera zostać prostym czapnikiem. Jednego dnia wszedł do pobliskiej cukierni, aby — jak to zwykle czynił — przeczytać dzienniki. Naraz wpadło mu w oczy ogłoszenie amerykańskiego fabrykanta Howego o maszynach do szycia. Jakaś myśl niejasna, ale uporczywa opanowała jego głowę; coś mu do ucha szeptało: kup maszynę. Nie mógł się temu oprzeć; na drugi więc dzień poszedł do sklepu i kupił maszynę do szycia.

Było to niezłe narzędzie, oszczędzające niemało pracy, ale przecież nie tyle, ile się spodziewał. Jako wprawny robotnik krawiecki spostrzegł natychmiast wady — i postanowił je poprawić. Chociaż nigdy nie uczył się mechaniki, z ufnością wewnętrzną wziął się do tego dzieła. Kupił sobie narzędzia, rozebrał maszynę na części i zaczął próbować. Z początku robił to w chwilach wolnych, za pieniądze od potrzeb życia oszczędzone; ale powoli ogarnęła go jakby namiętność do tej pracy. Poświęcił jej cały czas, wszystkie zasoby — zadłużył się nawet; ale nareszcie doszedł do ważnych ulepszeń, na które otrzymał wyłączny przywilej we Francyi, a po różnych wystawach przemysłowych otrzymał siedm medali. Szczęście więc uśmiechnęło mu się po raz drugi w życiu; sprzedaż maszyn postępowała pomyślnie — i Majer znów ujrzał się w posiadaniu pięknego majątku.

Atoli na tem jasnem niebie pomyślności przemknęła się chmura grożąca zniszczeniem. Przyszło Majerowi walczyć z zazdrością i złośliwością ludzi. Wytoczono mu proces, utrzymując, że żadnego ulepszenia nie dokonał, że przeto nie wolno mu swych maszyn

wprowadzać. Trzeba się było bronić. Kosztowna to była sprawa i niebezpieczna; dobre imię i majątek w pocie czoła zarobiony były zagrożone. Zawistni przeciwnicy w pierwszej instancji otrzymali wyrok przychylny, ale w wyższym sądzie Majer wygrał zupełnie.

Był to dla dzielnego wynalazcy jeden z najpiękniejszych dni jego żywota, stanowczo utrwalający jego los i pomyślność. Największem jego zasługi zwycięstwem było to, iż sławny wynalazca amerykański wszedł z nim potem w spółkę i powierzył mu sprzedaż maszyn swego pomysłu.

J. Szujski

(Smileś: Pomoc własna).

83. Kradzione.

(Gawęda szlachecka).

W samym końcu zaścianka, pilnując swej niwy,

Żył sobie szlachcie pocziwy,

A miał syna wyrostka z wąsem wyżej nosa.

Chłopiec dobre miał serce, ale w głowie za to

Okropnie było pstrokato;

Zwyczajnie jak u młokosa.

A tuż, mój mospaneńku, obok ich stodoły

Ciągnął się wygon sąsiada,

Na którym pasły się stada,

Konie, owieczki i woły.

»Czy wiecie co, tatulu? — tak mówił raz młody —

Fraszki to — praca i cnota.) *At.*

U nas, panie, pocziwość, trudy, niewygody,

A w domu wieczna hołota.

Czy to Pan Bóg uważa, że ludziska giną?

Pocziwym nie da talarka,

Dla jednego pomyślność odmierza ośminą*),

Drugiemu liczy na ziarnka.

Na przykład choćby u nas: ot, idą zapusty,

A w domu ni to ni owo.

Hola! jakby to dobrze, by na czwartek tłusty

Utuczyć pieczeń wołową«.

— »A skądże weźmiesz wołu?« — »Czy to wielka sztuka?

Nibyto dostać nie możemy!

Chodzą woły sąsiada — po gardlisku nożem...

Niech potem sąsiad poszuka!«

— »Cóż to — zawołał ojciec — to kradzież wyraźnie,

To jakaś sztuka zbójcka;

A siódme przykazanie? a sumienie? — błźnie!

A nasza wiara szlachecka?...«

*) Ośmina, miara litewska. = 50 l.

— »At, myśleć, co się godzi, a co się nie godzi?
 Za cóż my biedni i głodni?
 Nas jeden wół przeżywi przez kilka tygodni;
 Czy to po ludziach nie chodzi?«
 Na takie argumentum ojciec mruknął z cicha:
 — »Cóż robić? szatan cię uczy;
 Ukradnem jutro wołu, lecz pomnij do licha —
 Nigdy kradzione nie tuczy!«
 Wieczorem stary ojciec poszedł do sąsiada,
 Cichaczem kupił wołu, napił się borysza*);
 Nazajutrz bierze syna, niby się podkrada,
 I z wołem . . . het! do zaciasza.
 Zaraz nożem po gardle nieszczęsnego byka.
 Rozćwiertowali w stodole,
 I jak słowo powiedzieć, już u czynszownika
 Wołowa pieczeń na stole.)
 — »Wiesz co teraz, mój synku? — odmierzym się w pasie:
 Zjadając mięso tak cudnie,
 Będziem wiedzieć, mospanie, po jakim czasie,
 Kto z nas utyje, kto schudnie«. —
 Zmierzyli się i każdy na swojej poprzedzie
 Naznaczył kreskę czerwoną.
 — »Co to gadać, tatulu! schudzeni przez nędzę,
 Teraz utuczym się pono!«
 Przez całe trzy tygodnie gody u szlachcica,
 Codzień przysmaczek z wołu:
 Dzisiaj rura do barszczu, jutro poledwica,
 Pojutrze pieczeń u stołu.
 A tu rozruch w zaścianku, sąsiad niby jęczy,
 Nibyto szuka wołu, niby ludzi zowie.
 Syn dręczy się obawą, jak duch potępięczy,
 Już mu i jadło nie w głowie.
 Czy kto skrzypnie we wrotach, on w nocy i we dnie
 Marzy o przyjsciu sąsiada;
 W obiedzie . . . strach, zgryzota, co chwila poblednie,
 A ojciec smaczno zajada.
 Syn był młody i zdrowy, jak dębina krzepka,
 Ojca wiek zniszczył i znoje;
 Lecz kiedy zjedli wołu, syn wysechł jak szczepka,
 A ojciec utył we dwoje.
 — »A co, błaznie, rzekł stary, pamiętaj przysłowie,
 Że *male parta*** do czarta:
 Ja kupilem wołu — toć mi szkło na zdrowie;
 Ty kradnąc, schudłeś na charta«.

Wład. Syrokomla.

*) Borysz, napitek po dokonanych kupnie.

**) Żle nabyte. .

84. Śmierć Focyona.

Smutny był los Focyona, który w całym życiu pasował się o wolność ojczyzny, a jednak przy schyłku dni swoich widział ją w ostatnim stopniu nieszczęścia i poniżenia. Nie mogąc jej służyć inaczej, używał więtości, którą miał u Antypatra, na ulżenie przynajmniej ciężaru jarzma, którego skruszyć nie mógł. Uprosił więc u niego powrót wielu wygnańców, a dla tych, którym Antypater do Aten wracać nie pozwolił, wyjednał takie osady, w którychby wygodniej i bezpieczniej żyć mogli niż przedtem. Przeniesiono zatem wielu z odleglejszych krajów do Peloponezu, gdzie jeżeli nie w własnej ojczyźnie, przynajmniej wśród Greków mieszkali.

Menyllus, któremu Antypater straż portu powierzył, szacując wielce Focyona, posłał mu raz wspaniałe dary. Odesłał mu je Focyon z tą odpowiedzią, iż ani on nie jest panem większym od Aleksandra ani Focyon teraz innym, niż był wówczas, gdy Aleksandrowi złoto jego odesłał. Gdy zaś Menyllus usilnie go prosił o to, aby synowi swemu wziąć co od niego pozwolił, tak na to odpowiedział:

— Jeżeli mój syn chce być dobrym, wystarczy mu ojcowski majątek; jeżeli złym, choćby wziął jak najwięcej, będzie to dla niego mało.

Kiedy po śmierci Antypatra dwóch wodzów macedońskich spierać się zaczęło o rządy państwa, jeden z nich, chcąc sobie pozyskać pomoc Ateńczyków, obiecywał im przywrócić dawną wolność. Przejrzał skryte jego zamysły Focyon i sprzeciwił się jego namowom. Dlatego oczerniono go, iż jest nieprzyjacielem własnej ojczyzny, chcąc ją mieć w niewoli.

Widział on wprawdzie wzmagającą się przeciw sobie niechęć, ale tylekroć niewinnością ocalony, zbyt zaufał w cnocie swojej; tymczasem tyle na niego zjadłych obmów jawnie i pokątnie miano, iż go porwano i oskarżono przed sądem, jakoby miał znowę z nieprzyjaciółmi i wraz z nimi czyhał na zgubę Rzeczypospolitej.

Skoro przed sądem stanął, pokazało się jawnie, iż się wszyscy zmówili na jego zgubę. Nie dano mu nawet czasu do usprawiedliwienia, skępowanego na wóz wsadzono i do więzienia publicznego odwieziono. Lepszych obywateli przeraził ten widok bolesny; płakali, patrząc na takowe zhańbienie — ale mała ich była liczba, a lud niewdzięczny i płochy natrząsał się jeszcze ze swego wybawiciela.

— Ateńczykowie! — błagał Focyon — jeśli ja mam ginąć, pocóż tylu niewinnych wraz ze mną gubić chcecie? Osądźcie mnie samego na śmierć, ale tym, którychście ze mną do sądu stawili, a którzy są niewinni, darujcie życie!

Na to lud krzyknął:

— Zginą, bo byli twymi przyjaciółmi!

Umilkł zatem, czekając wyroku. Skazano go na śmierć wraz z kilku towarzyszami. Z tych jeden, widząc iż truciznę przyprawiono, płakał rzewnie, iż z Focyonem umierać musi.

— Niech ci to pociechą będzie! — rzekł Focyon.

Pytano go, czy nie ma jakiego zlecenia dla syna.

— Powiedzcie mu — rzekł — niech zapomni o tem, że ojciec jego niewinnie zginął.

Nie stało trucizny, gdy przyszła kolej na Focyona, a kat nie chciał jej przyprawiać, póki by mu za nią nie zapłacono. Gdy więc rzecz szła w odwłokę, zawołał do siebie jednego z przyjaciół i prosił go, ażeby zapłacił, kiedy bez pieniędzy i umierać w Atenach nie wolno.

Niedość było jeszcze nieprzyjaciółom na tem, iż mu odebrano życie; wypadł wyrok, aby zwłoki jego wywieziono za granicę, a tam żeby się żaden z Ateńczyków nie ważył być na jego pogrzebowym obchodzie. Stało się tak. Wtedy niewiasta jedna z Megary, widząc, iż je blisko jej domu prowadzono, zdjąć je kazała i, wielbiąc nieszczęśliwą cnotę, u siebie pogrzebła.

Ignacy Krasicki

(Żywoty zacnych mężów, wedł. Plutarcha).

85. Siła woli.

O losie człowieka rozstrzyga siła jego woli. Uczy nas tego życie jednego z najslawniejszych dziś mężów, Tomasza Edisona.

Urodził on się w r. 1847. w małym miasteczku Ameryki północnej. Ojciec jego był tak ubogi, że syna swego zaledwie przez ośm tygodni posyłać mógł do szkoły. Na szczęście miał Tomasz matkę wykształconą, która dokładała wszelkich starań, ażeby go nauczyć tyle, ile sama umiała. Już w dziesiątym roku życia znajdował Edison upodobanie w poważnych dziełach historycznych, ale nadewszystko z wielkiem zamiłowaniem czytywał dzieła z zakresu chemii i fizyki, jakie tylko do rąk dostał.

Mając lat dwanaście, musiał już sam pracować na życie. Nie wiedząc, co począć, jął się sprzedawania dzienników i cygar na stacyach pewnej amerykańskiej kolei żelaznej. Krzątał się tak zapobiegliwie około swojego przedsiębiorstwa, że już w pierwszych miesiącach musiał wziąć sobie czterech pomocników. Przed upływem roku — a miał wtedy zaledwie lat trzynaście — oddał swemu ojcu, którego ubóstwiał, sumę dwóch tysięcy dolarów jako czysty zysk ze swej pracy. »Była to — powiada sam o tem — pierwsza wielka uciecha w mojem życiu«.

Pomimo swych zajęć Edison uczył się ciągle. Przez czytanie dzieł ważniejszych nabył wiele wiadomości, a przez rozważanie tego, co przeczytał, nauczył się myśli swe jasno wyrażać. Założył dziennik, który sam redagował i sam drukował na małej ręcznej prasie podczas jazdy pociągiem. Dziennik jego bardzo wielkie miał powodzenie. Gdy jednakże zamiłowanie jego do chemii i fizyki wzrastało, zamienił swój wagon drukarski na laboratorium chemiczne. Na nieszczęście podczas pewnego doświadczenia, które wykonywał, wszczął się ogień, a konduktor prowadzący pociąg, wyrzucił z wagonu młodego drukarza i chemika wraz z jego przyborami.

Edison nie zraził się tem niepowodzeniem, lecz założył dziennik w innem miasteczku, przy innej linii kolejowej. Z narażeniem własnego życia wyratował on tam pewnego razu z niebezpieczeństwa syna naczelnika stacyi kolejowej. Ojciec, odwdzięczając się Edisonowi za to dobrodziejstwo, pozwolił mu badać urządzenia telegraficzne na stacyi kolejowej. Teraz dopiero trafił Edison na właściwe pole dla swoich zdolności. W dwóch miesiącach został biegłym telegrafistą, co więcej, w przyrządach telegraficznych, które były na stacyi, wprowadził takie ulepszenia, iż one zwróciły uwagę ludzi uczonych. Miał wtedy lat zaledwie piętnaście, a przecież wynalazkami swymi taką już zdobył sobie sławę, iż go przezwano małym Franklinem.

Od tego czasu uczył się Edison bez wytchnienia i ciągle badał różne zjawiska elektryczne, a praca ta doprowadziła go do wielkich i niespodziewanych wynalazków. Udoskonalił telefon, t. j. przyrząd, za pomocą którego można przesyłać głos swój na znaczną odległość, jak n. p. ze Lwowa do Krakowa, z Wiednia do Pragi, i t. p. Wynalazł fonograf, który wiernie zapisuje wszystkie tony, nawet głosy mowy ludzkiej i każdej chwili tony te może odtworzyć. Wynalazł lampę elektryczną, która będąc wielkości

zaledwie jaja kurzego, wydaje światło tak silne, jak pięćdziesiąt świec. Lampa ta świeci w dowolnem położeniu i miejscu, nawet pod wodą. Światło w tej lampie powstaje w ten sposób, że prąd elektryczny przechodzi przez małą bańkę szklaną zupełnie prózną (bez powietrza) i rozżarza umieszczony w niej węgiel do białości. Najsilniejszy wicher światła takiego zgasić nie zdoła.

Mnóstwo jeszcze innych ważnych i zajmujących wynalazków poczynił Edison, przeto należy do rzędu najuczeńszych i najsławniejszych ludzi teraźniejszości. Jest on też największą ozdobą swej ojczyzny. Stoi on obecnie na czele największej na świecie fabryki przyrządów elektrycznych.

86. Do młodzieży.

na
ozw
Z małycho częśćkę życie się składa —
Z chwilek na pozór bez ceny;
Lecz komu częśćka marnie przepada,
Życie rozplywa się w treny.

Więc zbieraj, bracie, te drobne karty,
Którymi żywot Bóg pisze;
Na świat i niebo miej wzrok otwarty,
Ukochaj pracę i ciszę!

Jeśli zeszyjesz karty żywota,
To księgą żywot się stanie —
I będzie miłość, pożytek, cnota
Bogu i ludziom na danie.

Zeszyj ją, bracie, oprav ją szczelnie,
Podдай pod zakon ją Boży —
A pójdziesz prosto po ziemi, dzielnie
I księga Bogu się złoży!...

Wincenty Pol.

87. Młodzież krakowska w 1655. r.

Ścigany przez Szwedów, a opuszczony przez swoich, musiał król Jan Kazimierz ustąpić z Krakowa i udać się na Śląsk, pozostawiając obronę miasta dzielnemu wojownikowi, Stefanowi Czarneckiemu, kasztelanowi kijowskiemu. Dumny Szwed, który już wówczas całą prawie Polskę w swoich miał rękach, pewny był, że Kraków opierać mu się nie będzie. Stanąwszy tedy pod murami

miasta, zażądał poddania się dobrowolnego, grożąc straszną zemstą, gdyby go nie usłuchano. Lecz nie uląkł się zuchwałych pogroźek dzielny wojownik, który oświadczył, iż miasta nie odda, poprzysiągłszy wierność królowi. Rozjuszony tą odpowiedzią, król szwedzki Karol Gustaw postanowił więc wszelkich użyć środków, ażeby szturmem wziąć miasto.

Ale i obłożeni wszelkich dokładali starań, ażeby stawić czoło dumnemu najezdcy. Kto mógł, chwycił za broń i śpieszył na mury miasta, ażeby bronić starodawnej Piaśtów stolicy. W chwili tak wielkiego niebezpieczeństwa i młodzież krakowska, pomna na swe obowiązki względem ojczyzny i króla, zebrała się w znaczną gromadę i prosiła Stefana Czarnieckiego, ażeby jej walczyć pozwolił. Wódz przyjął niesioną mu pomoc, a rozkazawszy dostarczyć dzielnym uczniom potrzebnej broni, posłał im zarazem chorągiew czerwoną z białym krzyżem jako znak wojenny.

Młodzi obrońcy ojczyzny zaczęli swą służbę od Boga, prosząc go o pomoc i błogosławieństwo, a wkrótce potem wysłano ich wraz z częścią zamkowej załogi na nieprzyjaciela, podsuwającego się pod mury miejskie. Odważnie natarli studenci na wrogów, bili się mężnie i wielu Szwedów trupem położywszy lub poraniwszy ciężko, wrócili do miasta z dwoma zabranymi działami. Ludność w mieście zebrana witała powracających obrońców głośnymi okrzykami radości.

Odtąd odbywali młodzi wojownicy ciągłą straż na murach miasta, a ilekroć tego było potrzeba, czynili odważnie wycieczki poza obręb twierdzy, aby odpierać nieprzyjaciela. W jednej z takich wycieczek tak się im poszczęściło, iż mnóstwo Szwedów położyli trupem, resztę zaś w taki wprawili popłoch, iż sam król Karol Gustaw musiał dosiąść konia i powstrzymać ucieczkę starych i w tyłu bitwach doświadczonych żołnierzy przed dzielną krakowską młodzieżą.

Cztery tygodnie wytrzymał Stefan Czarniecki oblężenie miasta, a lubo wreszcie poddać się musiał, mężna jego obrona zawsze chlubą będzie dla niego samego, jakoteż dla tych wszystkich, którzy go w tych usiłowaniach wspierali.

88. Jarmark w miasteczku.

Janówka, to mała miejscina wołyńskiego Polesia. Mało kto ją zapewne zna prócz sąsiadów, bo bardzo mała, zasuniona w lasy

i ustronie, siedzi na piasku cały rok spokojna, a ożywia się dopiero na wielki jarmark w dzień św. Szymona i Judy w październiku. Sławny jej jarmark przynajmniej na 6 mil dokoła ściąga żydów, wieśniaków, ekonomów i drobnych właścicieli, przybyłych z wołami, końmi, lub po woły, konie i t. d. Woły jednakże, zowiące się tu wszędzie »towa-rem«, w istocie najważniejszą część targu stanowią.

Nie zachwyca wcale położenie Janówki; trudno, aby w niem najbardziej uprzedzone oko znalazło piękność jaką; trzeba by się było chyba urodzić w Janówce, żeby się komu piękną wydała. Kilkanaście chat na piaszczystem polu rozłożonych, jedna karczma pusta, pusty także a dość obszerny kościół z klasztorem Bernardynów, rynek szeroki, który rok cały trawą zarasta, nim go w październiku wydepta, kramiki drewniane raz w rok tylko zajęte, młynek mały nareszcie — wszystko to nie jest malowniczem na równinie i piasku wśród karłowatych i pokrzywionych sosen. Lecz dzień jarmarku, tej jakoby wielkiej uroczystości gminnej, nadaje tej pustyni poleskiej pozór niezwykle ożywiony.

Po wszystkich drogach wiodących do miasteczka, ciągną się liczne furmanki, wozy, bryczki kryte i niekryte, jeźdźcy, piesi, budy płócienne nadziewane żydami i rodziny Poleszuków. Rynek cały napęlnia się aż pod kościół, aż poza płoty. Liczne wozy ściskają się jedno koło drugich, a te — jak łatwo się domysleć — stają się ogniskiem jarmarku, mianowicie przy karczmie, gdzie pożądanymi spija się »mohorycz«. Mohorycz, gdzieindziej zwany borysz, jest to dodatek do ceny towaru, poczastka, bez której wieśniak nie sprzeda nigdy, a gdy go kupujący odmówi, targ nawet zrywa.

Około południa zgiełk się powiększa, ze wszystkich stron słychać żywe rozmowy i najrozmaitsze odgłosy. Tam wół ryczy, tu koń rży i wierzga w bok ku przechodzącym, piszczą i rzucają się wieprze poprzywiązywane na wozach, a wielka liczba kóz, które się tu dobrze płacą, łączy swój głos z tysiącem innych, w których jednak głos pana świata, człowieka, zawsze prawie górę trzyma. Trudno jest odmalować rozmaitość postaci, głosów, rozróżnień, twarzy, ubiorów, jaka się tu ściska i kręci. Żydzi z workami na plecach włączają się za lnem, grzybami i woskiem; Poleszucy w białych sukmanach z pasami czerwonymi lub z czarnej skóry, z kaletką, krzesiwem i nieodstępna fajką w zębach, kopczą im nieustannie pod nos i gasnącą co chwila; żydówki brudne i obdarte; kobiety poleskie w chustkach, z uśmiechem na ustach, a kurami na ręku;

cyganie z czarnymi, rozczochranymi włosami; nareszcie nieocenione figury panów ekonomów w czapkach uszatyh, w surdutach szarych, z kijami w ręku, z pogardliwą miną — a wszystko to w ustawicznym ruchu i w ożywieniu; wszędzie brzęczą pieniądze, na twarzach pali się chęć i nadzieja zysku lub radość z odniesionych korzyści.

Pod namiotem w rynku kupiec z Łucka rozwiesza swoje kolorowe towary, z daleka mile jaśniejące oczom Poleszaniek. Tu ciśnie się ciekawie niewieścia połowa jarmarku, chciwie pożera oczyma chustki i perkale i rozwiązuje starannie węzélki u chustek dla kupienia niedrogiego stroju.

Obok przemysłne żydki, w kramikach siedząc, nie odurzeni natłokiem osób, wrzawą i krzykiem, wszystkich wołają, nęcą, proszą, ciągną do siebie, klócą się, targują i razem zdają jeszcze resztę, z zadziwiającą przytomnością wszechstronną i talentem nieocenionym. Żyd przyciągając do kupna, lechce próżność, wabi oczy, pociąga serce i durzy głowę nieboraka. Niejeden sam nie wie, dlaczego i naco kupuje, a nie umie się oprzeć urokowi żydowskich zachęceń.

— Nu! Czy to wy zginiecie, jak kupicie? Aj, aj! tak mała rzecz! Tu wasza ekonomowa kupowała tensam perkal i drożej zapłaciła, a ja wam taniej oddam po znajomości. Bodajem zginął, jeżeli nie sprzedaję ze stratą; ale to reszotka. Albo to wy nie możecie mieć tego, co ekonomowa? Aj, aj! A wy siebie nie poznacie, jak się ubierzecie. Nu, nu, bierzcie; już ja odmierzył — macie!...

Nieco dalej kupa sukman, świtek, burek, płaszczów, przy wielkiej skrzyni leżąca, otoczona jest gromadą kupujących, którzy się dziwią sobie, ubrawszy się i uśmiechają się na zwodnicze pochwały sprzedającego.

— Aj, aj! to wy inszy człowiek! to wy dom kupujecie, nie suknię! A jaka to ciepłość, a jaka to moc — aj, aj! Nu, co wy targujecie? ja tylko dla was za tę cenę sprzedaję. Wy stary znajomy! Nu, nu — bierzcie a płacie!

Trochę dalej znowu stoi wóz z kozuchami, gdzie podobna powtarza się scena. Za nim drugi, nad którym wytknięto wysoką tyczkę z parą butów; ten jest sklepem na prędcie urządzonym rozmaitego obuwia, gdzie bogatsi Poluszucy długie, czarne, za kolana zachodzące buty kupują.

Wielki sklep czapek rozmaitych, rozwieszony na ścianie karczmy, zachwyca chłopów, otwierających przed nim usta. Stoją przed nim w swoich obdartych białych czapeczkach sukiennych lub wyszarzanych barankowych, próbują nowe, patrzą, zaglądną, uśmiechają się, naradzają, a kupiwszy wreszcie, odchodzą ciesząc się, poprawiając i oglądając się, czy cały jarmark patrzy na ich nową czapkę.

U płotów stoi większa część wołów przeznaczonych na sprzedaż, żując chciwie zarzuconą im garść słomy; koło nich kręcą się żydki i panowie wolarze. — Droga, idąca od młynka do klasztoru, zowie się uliczką końską. Przez nią nieustannie chłopci ze swoimi konikami, ekonomowie z odpasionemi kalekami, żydzi z zapracowanemi szkapami przejeżdżają się, klaskając z bicia. Kiedy niekiedy targ ich zatrzymuje; znawca opatruje nogi, zęby, uśmiecha się i targuje...

Około południa zwiększa się liczba ichmościów, którzy z fajkami w ustach, z laskami w ręku najpoważniejszą część jarmarku stanowią — także pań i panienek kapeluszykowych. Niektóre twarze ożywia dobrze dokonana sprzedaż, inne dobre kupno, inne jeszcze dobry trunek; smutnie tylko ziewają ci, którym na wyjeździe z domu stara baba z próżnem wiadrem przeszła drogę i którzy dlatego — jak im się zdaje — nic zrobić na jarmarku nie mogli.

Na końskiej uliczce i koło wołów ku wieczorowi dopiero brzęczą pieniądze, bo każdy kupujący w nadziei, że sprzedający spuści z ceny, czeka z kupnem do wieczora.

Wieczorem obraz jarmarku całkiem się odmienia. Żydzi śpiesznie pakują resztę towarów — zmierzch pada. Na rynku drzemają przygasłe ogniska, walają się szczątki jadła, stare łapcie i szmaty; tam i ówdzie krew zabitych baranów psy liżą spokojnie. Koło płotów, przy których niema już wołów, leżą kołki powyrywane; gdzie-niegdzie ziemia wytrатовana, gdzie-niegdzie resztki niedojedzonego siana. Wszystko się pakuje, wyjeżdża i śpieszy do domu; przed chatami mieszczan żegnają się z nimi ich krewni, powinowaci, kumy, swaty i znajomi ze wsi sąsiednich, całują się i rozchodzą. Na drodze, wiodącej ku młynowi, rozmijają się bryczki, wózki, konni i piesi — bo wszystko opusza miejsce jarmarku, na cały rok puste znowu jak przedtem, aż do św. Szymona i Judy.

Józef Ignacy Kraszewski

(Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy).

89. Igrzyska olimpijskie.

Pomimo rozdrobnienia politycznego, pomimo licznych zatar-gów i krwawych wojen, jakie Grecy częstokroć staczali ze sobą, uważali się wszyscy za jeden wielki naród, a w chwili groźnego niebezpieczeństwa zapominali nawet sąsiedzkich waśni i rozterków i stawali w jednych szeregach, aby bronić wspólnej ojczyzny.

Cóż było tym potężnym węzłem, który to poczucie jedności narodowej utrzymywał? Co godziło wszelkie sprzeczności i jednym wszystkim ożywiało duchem?

Obok wspólności języka i religii jednym z najważniejszych środków, służących do tego zjednoczenia narodowego, były igrzyska olimpijskie, zwane tak od miejscowości w prowincyi Elidzie, poświęconej Jowiszowi olimpijskiemu. ✕

Grecy nie mniej dbali o zahartowanie i uszlachetnienie ciała, jak o rozwój umysłu. Zdrowie ciała i piękność postawy, wytrzymałość w bieganiu i zręczność w zapasach, jasne i śmiałe oko, tudzież przytomność umysłu, jakiej się tylko przez codzienne przyzwyczajenie do niebezpieczeństw nabywa — oto przymioty, które w Grecyi ceniono na równi z trafnością sądu, wykształceniem umysłu i biegłością w sztukach pięknych. Dlatego obok muzyki niepoślednie miejsce zajmowała gimnastyka; dlatego wszystkie państwa greckie popierały ćwiczenia, mające na celu wyrobienie siły fizycznej.

Gimnazya, t. j. wielkie, otwarte place, otoczone portykami i szeregami drzew, zwykle poza murami miast wpośród pól zakładane, znajdowały się w każdym niemal mieście helleńskim. Kto chciał dojść do znaczenia i wpływu pomiędzy współobywatelami, ten większą część swojej młodości musiał spędzać w gimnazyach, a niektóre państwa nawet wyraźnie zastrzegały, że ten tylko może w nich uzyskać prawo obywatelstwa, kto przejdzie cały szereg ćwiczeń gimnastycznych.

Ochotę do tych ćwiczeń zwiększała jeszcze chęć odznaczenia się, gimnazya bowiem nastreślały młodzieży codzienną sposobność mierzenia rosnących sił swoich w zapasach wzajemnych. Lecz co to było za współubieganie się, ilekroć z powodu jakiej uroczystości lud zgromadzony patrzył na popisy dzielności męskiej i młodzieńczej siły! ✕

Zresztą nie lubili Grecy bezczynnego spokoju; w swobodnych ćwiczeniach pod otwartem niebem, wśród ciepła słonecznego, wi-

dzieli oni jeden z najskuteczniejszych środków do podtrzymywania nie tylko zdrowia ciała, lecz i pogody umysłu. Stądteż igrzyska były najwyższą uciechą Hellenów. Żadna uroczystość obyć się bez nich nie mogła; lecz wszystkie inne przewyższały igrzyska olimpijskie, które do takiego doszły były znaczenia, iż podług nich (od r. 776. przed Chr.) Grecy czas liczyli, nazywając czteroletni okres czasu od jednych igrzysk do drugich olimpiadą.

Początek ich sięga bardzo odległej przeszłości; pewną wszakże jest rzeczą, że im Ifitus, władca Elidy, i spartański prawodawca Likurg nowe nadali znaczenie. Zrazu więc tylko Spartanie wyprawiali uroczyste poselstwo na igrzyska, a każdy Lacedemończyk, jeżeli tylko chciał, mógł się do niego przyłączyć. Wkrótce inne państwa peloponeskie zyskały dla siebie tesame warunki, i w sto lat spotykamy już w Olimpii przedstawiciele wszystkich plemion i miast greckich. Uroczystość olimpijska była odtąd uroczystością ogólnohelleńską i pozostała nią aż do r. 394. po Chr.

Prawo uczestnictwa w igrzyskach miał każdy Grek czysto helleńskiego pochodzenia i niczem nie splamionego życia. Cudzoziemcy i niewolnicy mogli być tylko widzami. Sędziami bywali tylko mężowie z Elidy; zrazu bywał jeden tylko sędzia, z czasem liczba ich rosła, aż wreszcie wybierano ich dwunastu.

Przepisy, obowiązujące przy gonitwach i zapasach, wyraźnie były określone, a za ich przekroczenie wymierzano kary surowe. Przedewszystkiem nikomu nie wolno było wstępować wszranki, na czyjem życiu ciążyła hańba lub zbrodnia, albo kto pochodził z miasta, dla jakiegobądź przyczyn wykluczonego od udziału w uroczystości narodowej. Kto oświadczył, że chce uczestniczyć w igrzyskach i nazwisko swoje wniósł na listę, ten musiał się stawić w oznaczonym czasie. Los rozstrzygał, kto z kim miał występować do zapasów. Przekupywanie przeciwnika równie surowo karano, jak złośliwe i umyślne uszkodzenie lub podejsście. Zwycięstwo miało być odnoszone w sposób prawy, uczciwy.

Igrzyska odbywały się podczas święta najwyższego boga helleńskiego i wobec ludu całego; dlatego chwała zwycięstwa była tak wielka. Nagrodą zwycięzcy był od czasów Ifitusa prosty wieniec oliwny, upleciony z gałązek drzewa, które, jak podanie głosiło, sam Herakles zasadził. Drzewo to stało w gaju świętym; umyślnie w tym celu wybierany chłopiec nożem złotym ścinał z niego tyle gałęzi, ile miało być nagród. Wienice leżały na stole, zrobionym ze

złota i kości słoniowej. Sędziowie wkładali zwycięzcy wieniec na głowę, którą poprzednio obwiązywano wełnianą przepaską; jednocześnie herold głosił ludowi imię zwycięzcy, jego ojca i miasta rodzinnego.

Wieniec olimpijski był najwyższym zaszczytem dla Greczyna; więcej on nawet znaczył, niż pochód tryumfalny dla Rzymianina. Zwycięzca pomnażał chwałę swojej ojczyzny. W Atenach otrzymywał on w darze znaczną sumę pieniężną, a nadto na jego cześć kosztem państwa wydawano ucztę; w rocznicę zwycięstwa mógł odbywać uroczystą procesję po mieście. W Sparcie zwycięzcy olimpijscy otrzymywali na polu bitwy zaszczytne miejsce obok królów; posągi ich umieszczano w palestrach, gimnazyach, u wejścia do świątyń.

Uroczystość olimpijska odbywała się każdego piątego roku w jesieni i trwała przez siedm dni. Heroldowie głosili wtedy zawieszenie broni najpierw w Elidzie, potem w innych krajach Peloponezu; zapraszano także na uroczystość narodową państwa greckie, poza Peloponezem leżące. Kto złamał zawieszenie broni, tego wyłączano od uroczystości.

Można sobie wyobrazić, jakito ruch panował wówczas w Peloponezie, kiedy pielgrzymi ze wszech stron, lądem i morzem, dążyli do Olimpii! Każde państwo starało się wyprawić jak najwspanialsze poselstwo; każde poselstwo przywoziło ze sobą swój namiot okazały, swoje zwierzęta ofiarne, swoje kadzielnice; każde pragnęło blaskiem szat i wielkością świty inne państwa prześcignąć. Osobni urzędnicy przyjmowali posłów, którzy następnie, ustawivszy namiot dla siebie i swojej świty, w uroczystej procesji udawali się do świętego gaju, aby tam złożyć ofiarę najpierw na ołtarzu Jowisza, a potem innym bogom i półbogom.

W dniu oznaczonym przybywali sędziowie w szatach purpurowych i z wieńcami wawrzynowymi na głowie, za nimi szli bojownicy. Każdy z nich musiał poprzednio przysiąc, że przez czas najmniej dziesięciu miesięcy należycie przygotował się do igrzysk; potem składał ofiarę i przy ołtarzu Jowisza przyrzekał, że nie okaże się winnym żadnej nieuczciwości, żadnego podstępu w walce.

Widzowie dawniej zajmowali wszystkie wyżyny naokół placu igrzysk; później urządzono dla nich siedzenia amfiteatralnie.

Najpierw odbywały się wyścigi w bieganiu, a imieniem zwycięzcy oznaczono bieżącą olimpiadę. Postępowano w sposób następujący: Heroldowie wprowadzali bojowników na arenę, wywoły-

wali ich nazwiska i nazwiska miast, z których pochodzili, poczem pytali się obecnych, czy kto nie może zarzucić zapaśnikom albo niewolniczego pochodzenia albo złej sławy albo kradzieży lub innego jakiego przestępstwa. Usłyszawszy jakiś zarzut, sędziowie natychmiast rozstrzygali o dopuszczeniu lub niedopuszczeniu zapaśnika do igrzysk. Stawiano srebrną urnę z losami, a każdy zapaśnik modlił się przed wyciągnięciem losu. Zaraz potem sędzia wołał: »Zaczyna się walka! Stańcie do zapasów! Nagrody zwycięstwa Jowisz udzieli!« Natychmiast dawano znak trąbą. Przy dźwiękach fletów zapaśnicy biegli grupami po czterech. Zwycięzcy każdej grupy musieli jeszcze walczyć ze sobą, dopóki jeden z nich nie pokonał wszystkich; tego obwoływano jako ostatecznego zwycięzcę.

Bywała i podwójna gonitwa (diaulos), polegająca na tem, że zapaśnik nie tylko mety dobiegał, lecz napowrót wrócić musiał do szranek; w długim wyścigu (dolichos) trzeba było siedm razy przebiec stadyum. x

Do wyścigów z bronią stawano z tarczą, w hełmie i nagolemicach, później z samą tylko tarczą na ramieniu. »Pięcioraka walka« (pentatlon) składa się ze skoków, rzucania dyskiem*), biegu, pasowania się i kułakowania.

Wyścigi konne odbywały się w (hippodromie), który był dwa razy dłuższy od stadyum i miał 400 stóp szerokości. Drogę około mety trzeba było dwanaście razy objechać w najszybszym pędzie; nieraz też drogę tę pokrywały szczątki rozbitych wozów, nieraz można było widzieć samopas biegnące rumaki. Nie woźnicę jednak, lecz właściciela czwórki obwoływano zwycięzcą.

Po ukończonych wyścigach zwycięzca udawał się na pagórek Kronion, gdzie Jowiszowi składał ofiarę, a towarzysze śpiewali hymn uroczysty. Potem obchodzono ołtarze innych bogów i półbogów, wkońcu odbywała się uczta, przy której śpiewano pienia zwycięskie. Niekiedy bogaci zwycięzcy z własnych funduszków ugaszczali wszystkich obecnych. Ostatniego dnia składano wielką ofiarę dzięczynną, poczem miasto Elis wyprawiało wspaniałą ucztę.

Na uroczystość olimpijską śpieszyli pobożni, aby uczcić najwyższe bóstwo Hellady; udawali się ludzie żądni sławy, aby ozdobić skronie swoje wieńcem zwycięskim; napływały tłumy ciekawych,

*) Dysk był to płaski krąg metalowy z dziurą w środku i rzemieniem do ujęcia.

aby na wspaniałe widowisko popatrzeć; do Olimpii podążali malarze, aby obrazy swoje wystawić; poeci, aby nabrać natchnienia; politycy, aby nawiązywać tam stosunki; kupcy, aby korzystnie sprzedąć swoje towary. Państwa kazały w Olimpii ogłaszać swoje przymierza albo je na miedzianych tablicach spisane wystawiały na widok publiczny, gdyż tym sposobem łatwiej wszelkie umowy i akta dyplomatyczne dochodziły do wiadomości powszechnej. Uczeni, przybywający do w Olimpii, zyskiwali sobie rozgłos i zwolenników; tak n. p. Herodot miał w Olimpii odczytywać ustępy ze swego dzieła historycznego, a sławni sofiści miewali tutaj wykłady.

Była tedy Olimpia środkowym punktem publicznego życia sta-
rożytnych Greków, także ogniskiem wymiany ich myśli.

90. Stół marmurowy.

Wszystkie do grodu spuszczone mosty,
Nikt bram rozwartych nie strzeże;
Ciśnie się szlachta, ciśnie lud prosty,
Konno wjeżdżają rycerze.

W szańcach czekają na znak pancerni,
By z wieścią pomknąć nawalnie;
Przy każdym dziale puszkarz się czerni,
Tylko lont spuścić — a palnie.

Jeden po drugim kapłan wychodzi
W jasnej kaplicy z mszą świętą;
A taka cisza z tłumów powodzi,
Jakby głos ludziom odjęto.

Cisza — wśród dworca wszystek lud stoi
Z wlepionym w okno to wzrokiem,
Co nad zamkowych herbem podwoi
Wklęśło sklepieniem wysokiem.

A i tam wewnątrz, tylko szmer cichy
Wpółśród szerokiej komnaty,
Niestrojnej w żadne zbytku przepychy,
Jeno w rynsztunek bogaty.

W środku ogromny stół marmurowy,
Po bokach dębowe sprzęty,
W głębi alkowa, a łuk alkowy
Ciężką makatą opięty.

Patrz stoi w oknie od dworca strony
Mąż wzniosły, jasnej tak twarzy,
Że, zda się, na szkłe Święty złożony,
Kiedy szkło słońce rozżarzy.

Wsparty na mieczu — różaniec trzyma
Cisnąc pobożnie do łona,
I tylko wodzi ciągle oczyma
Tam, gdzie drga czasem zasłona.

Cisza — wtem nagle dźwięk tam coś wieści,
Jak gdy zakwili dziecina,
I z za kotary wnet głos niewieści
Ozwie się: »Bóg ci dał syna!«

Wraz mąż na ziemię padłszy jak długi,
Takie śle w niebo orędzie:
»Przyjm go, o Maryo, między twe sługi,
»Niech niewolnikiem Twym będzie«.

Zegna się, wstaje, idzie w alkowę —
Wynosi dziecię na tarczy;
Unieść je — takie ciężkie i zdrowe —
Nielada siła wystarczy.

Składa je na stół w środku komnaty.
Lecz ledwie spuści je ręka —
Gdy grzmiały armaty, huczą wiwaty —
Stół się na dwoje rozpeka.

»Coż to mu wróży? — jęknie — na Boga!
»Nieszczęście czy niecne dzieła?«
Nikt się nie ozwał długo, bo trwoga
Wszystkim duch w piersiach zatknęła.

Aż wreszcie kapłan, który z daleka
Przedarł się przez tłum struchlały:
»Żaden — zawoła — »srom go nie czeka,
»Lecz owszem chwała nad chwały«.

»Tylko, że dzieła, które to dziecko
»Drogą tryumfów powiodą,
»Wnet niewdzięcznością obcych zdradziecką
»A ziomków zgina niezgoda.

»Zgina, jak stół ten wskrós się rozpadną
»I kraj się cały rozboli;
»Co miało zbawić, strąci go na dno
»Ciężkiej i długiej niedoli.

- »Niemniejszą przeto ten syn zasługą
- »W zwycięzców stawi się rzedzie,
- »Bo całe życie Maryi on sługą
- »I niewolnikiem jej będzie«.

Gdzie to się działo? W jakim narodzie?

Powiem wam, jeśli nie wiecie:

Działo się w wielkim Oleska grodzie,

A Jan Sobieski — to dziecię.

Stanisław Koźmian.

91. Zamek w Podhorecach.

Ze wszystkich zamków w Galicyi Podhorce są najciekawszym pomnikiem bogactwa, oświaty i gustu dawnych panów polskich, a raczej są skarbcem najdroższych pamiątek narodowych.

Zamek podhorecki, wzniesiony przez Koniecpolskich w XVI. w., a sławny jako miejsce urodzenia matki Jana III., leży w oddaleniu 75 *km* od Lwowa przy głównym gościńcu wiodącym do Brodów. Dojeżdżając do Podhorcec, widać po stronie północnej równinę zamkniętą pasmem gór; po drugiej wioskę, dalej pola orne, a za temi na płaskowzgórzu 400 *m* nad powierzchnią morza dominuje wspaniały zamek. Przed nim leży okazały ogród z grabowymi żywopłotami, do których równolegle ciągną się aleje z lip starożytnych. Z ogrodu wchodzi się przez bramę na dziedziniec zamkowy. Tu zwraca na siebie uwagę znajdująca się po prawej stronie studnia, z której czerpie się wodę wiadrem, wyciąganem zapomocą koła deptakowego w ten sposób, że zamiast obracać je rękami, stąpa się po umieszczonych na niem szczeblach. Ten rodzaj maszyneryi należy także do pamiątek zeszłych wieków.

Zamek jest dwupiętrowy i tworzy prostokąt o dwóch bocznych pawilonach (skrzydłach). Część środkowa występuje jako pół sześcioboku, a mieści w sobie kaplicę i ozdobiona jest zewnątrz obrazem i zegarem słonecznym. W jedenastu salach pierwszego piętra nagromadzone są nieocenionej wartości zabytki sztuki i starożytności. Zbiór obrazów liczy w sobie niemało arcydzieł malarstwa, jest tu bogata biblioteka, zbrojownia i wiele pamiątek historycznych, jedynych w swoim rodzaju, jakich gdzieindziej nie spotkać. Sale są obszerne, o marmurowych, nieraz różnobarwnych posadzkach; ściany ich obite kosztownymi materjami lub zawie-

szone zwierciadłami, a stropy (sufity) ozdobione obrazami olejnymi lub złoceniami. Na ścianach porozwieszane są obrazy, przedstawiające portrety właścicieli i ich rodzin, obrazy treści religijnej, historycznej lub mitologicznej; między nimi liczne arcydzieła pędzla polskich i obcych mistrzów. Starożytne sprzęty, jak n. p. meble przysłane z Francyi królowej Maryi Kazimierze, są wcale dobrze zachowane.

Do najważniejszych pamiątek, jakeimi jedynie zbiory podhoreckie poszczycić się mogą, należą następujące:

Wstępując w progi sali rycerskiej, czuje się mimowolnie wielkość i potęgę przodków naszych: zda się, że lada chwila, a usłyszymy szum skrzydeł husarskich i szczęk zbroi. Oto widzisz się otoczonym czterdziestu rycerzami husaryi w pełnym rynsztunku, jak występowali do boju. Dalej — widzisz rozwieszone pancerze, hełmy, proporce, buławy hetmańskie, łuki w srebro oprawne, miecze, sztandary nieprzyjacielskie i wiele innych zdobyczy z pod Wiednia. A jeśli się jeszcze doda, że na ścianach pełno portretów sławnych wojowników, a na sali starożytnych sprzętów, zegarów, mebli rozstawionych — to ta poważna całość musi obudzić w widzu podziw i uszanowanie.

Inny pokój, zwany sypialnią króla Jana III., nie zawiera nadzwyczajności; ale na samą myśl, że tu spoczywał ongi pogromca Turków i Tatarów, że się dotykał i używał tych sprzętów, że tu niejedną noc może bezsennie przepędził — owłada nami dziwne uczucie czci i poszanowania. Obok tego pokoju na prawo rośnie drzewo orzecha włoskiego, na które własnoręcznie król Jan III. w tem miejscu ziarno zasadził; tak przynajmniej głosi podanie i kronika zamkowa.

W kaplicy zamkowej zwraca na się uwagę po prawej stronie ołtarza, stół marmurowy, na którym odbył się chrzest Jana III. W chwili, gdy położono na nim niemowlę — głosi podanie — stół, jak gdyby zrysowany piorunem, na dwoje się przepęknął. Stół ten przeniósł tutaj królewicz Jakób z odległego o milę Oleska, rodzinnego gniazda oswobodziciela Wiednia.

W prywatnem mieszkaniu właściciela znajdują się zdobycze z pod Wiednia, jak: namiot wielkiego wezyra, dywany tureckie i inne pamiątki, zabrane śmiałym orężem Jana III., które same dla siebie mogłyby stanowić muzeum.

Quare

Widok nie do opisania przyjemny, pyszny i daleki na okolicę, zasianą ośmnastu wioskami, rozłącza się z balkonu zamkowego lub z kopuły pobliskiego kościółka. Wzniósł go hetman Wacław Rzewuski (1766.), bezpośrednio przed wywiezieniem go do Kaługi, w podobiznie miniaturowej podług modelu kościoła św. Piotra w Rzymie, a tak pięknie, że mógłby służyć za ozdobę dla największego miasta.

Całe drugie piętro, obecnie odnawiane, a wstęp dla zwiedzających nieprzystępne, zawiera także niemało rzeczy cennych, skarbów pamiątkowych. Składały się na nie liczne pokolenia różnych tego zamku właścicieli, jak Koniecpolskich, Sobieskich, Rzewuskich aż do teraźniejszego właściciela, którym jest ks. Eustachy Sanguszko, obecnie Marszałek krajowy.

Opuszczając zamek uczuwa się w duchu cześć dla tych, którzy nagromadzili tak piękne pamiątki narodowe, jako też uznanie i wdzięczność dla tych, którzy je uchronili od zniszczenia i zatrażenia. Niejeden ze zwiedzających wyjdzie stąd wzmocniony na duchu, oraz nauczony, jak czczyć te świętości, które były świadkami naszej potęgi i chwały.

92. Dawni rycerze.

W żelazie chodzili od stopy do głowy,
 Ich konie w żelaznem okryciu
 Na boje ich niosły, turnieje lub łowy,
 A strój ich był równy ich życiu.

Bo życie to było i twarde i krwawe,
 A głośnie jak bitew fanfary;
 Do świętej szli ziemi po śmierć lub po sławę
 Pod krzyża białymi sztandary.

Na twierdze pogańskie po trupach się darli,
 Zatknęli swój znak na wieżycy;
 A kiedy spoczęli, to dłonie oparli
 Na krwawych swych szabel głowicy.

A jeśli wracali w obronne swe dworce,
 To z blizną na piersiach, na twarzy;
 Ze złotym księżcem pogańskie proporce
 U Pańskich składali ołtarzy.

Adam Pajgert.

93. Zgon bohatera.

W powiecie złoczowskim, na wschód od miasteczka Pomorzan, znajduje się wioska Hodów, bardzo malowniczo położona. Gęsto po dolinie rozsiane mogiły każą się domyślać, iż toczyła się tu niegdyś krwawa bitwa, a ziemia niemało pewnie poległych ukrywa w swem łonie. Domyśl ten stwierdza pomnik kamienny, wznoszący się w samej wsi, na stromem wzgórzu, wśród włościańskiego ogrodu. Pomnik ten, zbudowany w kształcie piramidy, z żelaznym krzyżem u góry, zaopatrzony jest w napis łaciński, zaledwie w połowie czytelny; bo wszelkie, choćby najtrwalsze dzieła ludzkie pochłonie czas wszystko niszczący, a tylko sława pięknego czynu przetrwa wieki całe.

Było to w r. 1694. Na tronie polskim siedział Jan III., głośny pogromca Turków. Mimo licznych jego zwycięstw nie ustały przecież zupełnie srogie najazdy niewiernych na sąsiednie kraje polskie. I w tym właśnie roku wkroczyli Tatarzy w granice Polski, zapuszczając swe zagony szeroko po Rusi Czerwonej. Mieli oni zasłaniać wozy, które żywność wiozły do Kamieńca, a przytem rabowali kraj i uprowadzali ludność w niewolę. W noży krwawe na niebie łuny, a we dnie słupy kłębiącego się dymu wskazywały drogę, którą się posuwała horda nieprzyjaciół.

Na wieść o strasznym napadzie wysłał ówczesny hetman wielki koronny Stanisław Jabłonowski kilka oddziałów konnicy, a umieściwszy je w miejscach stosownych, kazał bronić kraju przed łupieństwem Tatarów.

Jeden z takich oddziałów jazdy, z trzystu towarzyszków złożony, zastąpił drogę czerni tatarskiej w wiosce Hodowie. Na czele oddziału polskiego stał Stanisław Zahorowski, mąż szczególnie dzielny.

Kiedy nieprzyjaciele szli obarczeni zdobyczą i mnogimi jeńcami, w jasyr pędzonymi — nagle napadła na nich jazda polska, a wyswobodziwszy branców, wielu Tatarów położyła trupem. Lecz na wieść o niespodziewanym napadzie przyszyły nieprzyjaciółom na pomoc nowe tłumy rozwścieklonej czerni. Zewsząd obskoczony, Zahorowski nie upadł jednak na duchu, lecz bronił się dzielnie z poza wiejskich zapłotków, ścieląc trupem wielką liczbę Tatarów. Gdy go do poddania się wezwano, odpowiedział:

»Myśmy po śmierć w te wąwozy przyszli! Sześć godzin trwała bohaterska walka, wreszcie za zbliżeniem się nocy poczęli się cofać Tatarzy.

Powodzeniem tem ośmielony, puścił się Zahorowski za nimi w pogoń i jeszcze nie mało im szkody wyrządził. Ale wreszcie strzałą tatarską śmiertelnie raniony, musiał dalszej pogoni zaniechać. Ze łzami w oczach odwieźli żołnierze bohaterskiego wodza do pobliskiego miasteczka, lecz ratunek był już niemożliwy: trzeciego dnia po tem zwycięstwie umarł Zahorowski.

Król Jan, przybywszy następnego roku do Pomorzan, oglądał pobojowisko hodowskie, na którem trzystu Polaków cztery tysiące Tatarów położyło trupem, i na uczczenie pamięci bohaterskiego dowódcy, którego współcześni z Leonidasem greckim porównywali, jakoteż na pocieszenie matki, która w poległym bohaterze straciła jedynego syna, wzniosł ów pomnik, dotychczas jeszcze zachowany.

Na pomniku umieszczono następujący napis: »Bogu najlepszemu i najwyższemu na chwałę, potomności na pamięć, polskim bohaterom na przykład, nieprzyjaciółom ojczyzny na hańbę wzniosł pomnik ten Jan III. Sobieski, król polski, na tem miejscu, na którem Polacy pod wodzą Zahorowskiego, między płotami zamknięci, siedmdziesiąt tysięcy Tatarów odparli z niezmierną klęską nieprzyjaciół a swoją żadną dnia 5. czerwca 1694. r.«.

94. Pożar w Rumianie.

Pan Graba z synem bawili w gościnie u dobrych znajomych o jakie dwie mile od domu. Wśród ożywionej rozmowy, jakby tknięty przecuciem, syn pana Graby wstał i wyjrzał od niechcenia przez okno; zastanowił się w niem przez chwilę i zbliżył się ku ojcu ze źle pokrywaną niespokojnością; lecz widząc, że na niego nie uważa, powrócił do okna raz jeszcze i począł coraz pilniej wpatrywać się; potem zakręcił się, udając obojętnego, przeszedł raz i drugi po pokoju i nie mówiąc, wymknął się. Graba zwrócił się magnetycznym jakimś ruchem do okna, spojrzał w nie, wstrząsnął się, zerwał i podbiegł bliżej. Za nim wszyscy się z miejsc swoich ruszyli, nie wiedząc, o co chodzi, ale wnosząc z poruszenia, że żywe rzucenie się do okna nie było bez powodu.

— Cóż to jest? — spytano. Graba poglądał w milczeniu, błąd, i w myśli zdawał się coś rachować. Słup gęstego dymu, krwawe od spodu przybierający barwy, wznosił się na północnej stronie ponad lasy, otaczające zewsząd okolicę.

— Gore! pożar! — Pożar! — powtórzył Graba — i zdaje mi się, że u mnie. Ale gdyby i nie tak było, zarówno obowiązkiem jest każdego, co ma zdrowe ręce, śpieszyć na pomoc nieszczęśliwym. — Chwycił za czapkę i rzucił się ku drzwiom.

— Pozwól pan — rzekł ktoś — i mnie towarzyszyć! Mam ręce zdrowe, choć dotąd do pracy nieprzywykłe; dadzą mi konia, pojedę z wami; sam nie trafiłbym może, nie znając okolicy.

— Chodźmy, śpieszmy! — rzekł, poglądając to ku stajni, to na pożar, coraz się rozszerzający. Nareszcie rozległ się tętent koni, które kłusem prowadzono ze stajni. Graba stary i młody mieli swoje, na których przyjechali, a wszyscy dworscy ludzie, wedle wprowadzonego obyczaju, dosiedli każdy, jakiego kto pochwycił, konia i gotowi byli towarzyszyć.

Ze wsi też widać było w polu mnóstwo konnych, na wyścigi biegnących w stronę pożaru; każdy rzucał robotę, dosiadał konia i gnał na łunę. W orszaku dworskich Grabowie puścili się cwałem ulicą. Wszyscy milczeli, konie gnały zasapane. Po drodze coraz się zwiększał orszak ludźmi, śpieszącymi od wsi do pożaru.

Oczy wszystkich w ogromną łunę wlepione były. Ogień, rozdęty jesiennym wiatrem, który nad wieczorem się zerwał, szerzył się widocznie. Słup czarnego dymu, wśród którego wyskakujące iskry świeciły gwiazdami, leniwo posuwał się w górę, rozsiadając się szeroko na prawo i lewo. Niekiedy przypadł nieco, lecz jakby tylko dlatego, żeby po chwili buchnąć potężniej jeszcze i roztoczyć się po widnokręgu.

Wioska pana Graby leżała za lasem, a droga kręta i wyboista dla śpieszących a niepewnych nóg koni była prawie niebezpieczna. Wielu też zmuszonych było zwolnić biegu. Grabowie tylko śpieszyli po manowcach pędem, dowodzącym odwagi i zapału, z jakim lecieli na ratunek. Niekiedy wśród mroku mignęła tylko kałuża, rozprysło się błoto z pod stóp koni, zachrząściła gałąź, zaszeleściły liście i który z wierzchowców parsknął przestraszony.

Gdy las rozrzedzać się począł, przez popłątane gałęzie krwawo przeświecającą ujrzeli łunę pożaru. Wioska za łąką i groblą leżała jeszcze o małe pół mili, a już ogień oświecał kraj cały i drogę, którą przebywać mieli śpieszący na ratunek. Wyjechawszy z lasu, postrzegł stary Graba, że to, czego się dotąd domyślał, było na nieszczęście prawdą: wioska jego paliła się, a wicher gnał płomienie ze stodoł na stodoły, i rząd gumien włościańskich, napel-

nionych zbiorem jesiennym, cały prawie wystawiony był na paśnię ognia.

— O, wołałbym sto razy, żeby moje stodoły i toki spłonęły! — zawołał z uczuciem Graba. — Biedni ludzie! biedni ludzie! —

I wyprzedzając drugich, zaciął silnie konia, który sił ostatnich dobywszy, poskoczył naprzód i parszcząc posunął się znajomą sobie groblą.

Straszny, lecz majestatycznej piękności widok pożaru! Czarne już niebo rozświecało się kłębamii krwawego dymu; lasy pobliskie, wieżyczka cerkwi, biały front kapliczki jaśniały oblane jaskrawym blaskiem. Gumna pałały to żółtym, to czerwonym, to sinym płomieniem i dymem. Czerwone kłęby, jak wielka zasłona, wahały się nad wioską, rozdierane wiatrami i posuwane na różne strony. Trzask upadających budowli, po którym płomień z nową gwałtownością wybuchał, krzyk ludzi, żałobny dźwięk odzywających się dzwonów i głuchy szum wichru jesiennego — towarzyszyły chórem tej klęsce. Im bardziej zbliżali się jadący, tem jaskrawiej oblewało ich złowrogie światło, tem wyraźniej dochodziły uszu krzyki, na które serce się poruszało w piersi. Te zdala dochodzące jęki, których przyczynę każdy zgadywał, a może od rzeczywistej wystawiał ją sobie straszniejszą, przejmowały niepojętem uczuciem trwogi i boleści.

Już byli pod wsią: ciepły wyziew ognia obejmował ich dookoła, dym duszący zalewał piersi. Dla pośpiechu ojciec i syn, ostatkiem sił koni swych goniąc, przesadzali niskie płoty i puscili się w poprzek ogrodowych zagonów.

Wiatr pędził im w oczy dym i iskry, a konie rzucały się przerażone ognistymi pociskami, które leciały jak zapalone żagwie, roznosząc daleko zniszczenie. Ziemia posypana była dogorywającymi snopkami i skwarzącym się węglem. Doścignęli już stodołę; a że z tej strony pożar jeszcze ich był nie objął, właśnie tu żwawy ratunek stawał się najpotrzebniejszym. Koń pana Graby, puszczonej wolno, bo jeździec stanął u celu, pędził parszcząc znajomą sobie drożyną ku dworowi i stajniom.

— Pan! pan! — ozwały się głosy prawie radosne.

— Dzieci! na dachy! — zakrzyczał Graba, podnosząc rękę. — Rozrzucić stodołę Wasyla! przerwiemy ogień! — I w mgnieniu oka lud miejscowy i przybyły drapał się już na budowlę; ale w tejże chwili dał się słyszeć jęk bolesny:

— Chaty się palą! chaty goreją!

Graba wyrwał się, przelatując ciasnym zaułkiem między dwiema palącemi się stodołami, i przesunął się szybko w ulicę ku domostwom. W istocie rząd chat, stojących wedle zwyczaju naprzeciw stodoł, poczynął płonąć już także.

Tu kupa największa zgromadziła się ludzi, bo każdy ratował, co mógł, albo płakał z załamanemi rękoma nad tem, co już stracił, albo truchlał, obawiając się o to, co zagrożone.

Jedna chata, cała objęta płomieniem, paliła się nad inne silniej i prędej. Ludzie w podwórku zrzucali uratowane sprzęty; wtem dał się słyszeć przeraźliwy, górujący ponad wrzawą krzyk kobiety, która leciała ku domostwu, trzymając nad głową wzniesione i załamane ręce. — Dziecię moje! moje dziecko! gdzie dziecko?

Mąż ze spuszczoną głową stał milczący, ona wiała się rozpaczającą. Płomień przez sieni rozpaloną już sięgał do wnętrza, pełnego dymu.

Posłyszeć krzyk ten, obejrzeć się i w mgnieniu oka poskoczyć do drzwi chaty, nie kosztowało chwili namysłu staremu Grabie. Syn, który za nim śpieszył, ujrawszy to, osłupiał na moment, zastanowił się i zdrętwiał na miejscu. Ale gdy ojca powracającego nie widział, pędem rzucił się we drzwi domostwa i zniknął w kłębach dymu.

Ludzie, kochający pana jak ojca, z krzykiem przerażenia otaczać poczęli chatę. Wtem syn i ojciec z dziecięciem na ręku ukazali się we drzwiach i wyskoczyli z nich osmaleni, okopceni, ale zdrowi. Ogromny odgłos radości jakby z jednych ust razem się wyrwał.

A matka? — Matka padła przed zbawcą dziecięcia na kolana, załamała dłonie i chwytając jedynaka, a tuląc go do piersi, omdlała. Tymczasem Graba już był daleko i biegł na drugie podwórko, ustawiając ludzi 'rzędem od studni do ogniska, sam podając wiadra, zachęcając, prosząc, rozkazując.

Przykład Graby ożywił ludzi i dodał im odwagi. Młodzi i starzy z zapalem rzucili się rozrywać zagrożone domostwa, aby przeciąć drogę dalszym klęski postępom. Ojciec i syn przodowali wszędzie.

Pożar, któremu teraz silna wola i rozum a przytomność kilku przodowników postawiła silne zapory na drodze, osiadać poczynął widocznie. Na dachach, obmokłych od zlewania wodą, siedzieli parobcy i dworscy ludzie, łańcuchem zaś podających wiadra w dwóch kierunkach rozrządzał sam, pracując zarówno z innymi, młody Graba. Zmniejszał się blask krwawy, dym przerzedzał się poczynął

i te tylko budowle, które wprzód rozgorzały, dojadł jeszcze płomień. Rozstawiwszy straż u ognia, rozporządziwszy wszystkim, Graba, przeprowadzony przez błogosławiących mu ludzi, okryty żużlami, popiołem, sadzą, osmolony, czarny od dymu, ale nie znudzony, widząc, że niema niebezpieczeństwa, pośpieszył do swoich gości, których dla spoczynku i pokrzepienia się zapraszał do dworu.

Józef Ignacy Kraszewski.

95. Poświęcenie.

Dzieje starożytnych Greków i Rzymian są nieprzebraną prawie skarbnicą najpiękniejszych przykładów miłości ojczyzny, męstwa i poświęcenia, jednym słowem, szczególnych zasług i cnót obywatelskich. Ileżto głośnych imion takich mężów zasłużonych wypełnia karty dziejów, przyświecając przykładem wszystkim wiekom i ludom! Ale obok tych głośnych i powszechnie znanych imion niemało znajdzie się takich, których cicha zasługa i cnota obywatelska albo całkiem poszła w zapomnienie albo jak fijołek kryje się w cieniu.

O jednym z takich, prawie zapomnianych mężów i o cichej jego zasłudze krótką tutaj uczynimy wzmiankę.

Było to w czasie pierwszej wojny punickiej. Dowódca wojska rzymskiego, konsul Aulus Atylius Kalatynus, nieostrożnie w górskie wszedł wąwozy, chcąc obejść nieprzyjaciela. Tutaj na niewielkiej, wśród gór położonej dolinie zamyslał nieco odpocząć, gdy naraz ujrzał się zewsząd otoczonym przez nieprzyjaciół, którzy wszystkie naokół pagórki zajęli. Strach padł na wojsko rzymskie, bo klęska zdawała się nieuniknioną. Wszyscy potracili głowy, sam konsul upadł na duchu. Wtem stanął przed konsulem pewien trybun wojskowy i rzekł:

— Wodzu! jeżeli chcesz ocalić siebie i swoich, śpiesznie ci działać potrzeba. Widzisz tam u końca doliny ową wyniosłą skałę, w pośrodku nieprzyjaciół sterczącą? Wydadź niezwłocznie rozkaz, ażeby czterystu żołnierzy udało się w to miejsce i starali się je zająć. Skoro nieprzyjaciele to spostrzegą, będą się śpieszyli uprzędzić naszych w zajęciu tego wzgórza. Przyjdzie do walki, nasi niewątpliwie wszyscy w pień będą wycięci; ale ty, wodzu, będziesz tymczasem mógł wojsko swe wyprowadzić z tej tak niedogodnej doliny. Innego sposobu ocalenia niema.

Konsul pochwalił radę trybuna, lecz smutnie zapytał, kto będzie tym, któryby tych czterystu żołnierzy na owo miejsce poprowadził. Na to rzekł ów trybun: »Jeżeli nikogo innego nie znajdziesz, użyj mnie do tego; chętnie oddam życie swoje za braci i ojczyznę«.

Rozrzewniony podziękował konsul trybunowi za tę szlachetną ofiarę i wydał stosowne rozkazy.

Stanąwszy na czele czterystu najdzielniejszych żołnierzy, zawołał trybun z zapalem: »Towarzysze broni! Mamy zdobyć ową wśród nieprzyjaciół sterczącą skałę, a ocalimy naszych braci! Wódz nasz patrzy na nas — ojczyzna od nas wygląda pomocy. Dalej więc naprzód!« Żądzą sławy zagrzeni, wszyscy ochoczo rzucili się za nim.

Nieprzyjaciele zobaczyli to i zrazu z ciekawością patrzali, nie rozumiejąc, co to ma znaczyć. Lecz skoro już widocznem było, że Rzymianie mają zamiar obsadzić ową skałę, wódz Kartagińczyków wysłał na nich najlepszą w całym swym wojsku piechotę i częścią jazdy. Otoczono Rzymian zewsząd, bój zawrzał zacięty. Nieprzyjaciele przeważali liczbą, Rzymianie bohaterskiem męstwem. Długo trwała walka gorąca; wreszcie przemogli nieprzyjaciele, tylekroć liczniejsi: Rzymianie wszyscy do jednego polegli, albo mieczami przeszyli albo pociskami zasypani.

Tymczasem konsul wyprowadził swe wojsko na najbliższe wzgórze; a tak, zajmując miejsce dogodniejsze i bezpieczne, uszedł zagłady.

Dzielny ów trybun wojskowy nazywał się Kwintus Cedycyus. Pisarz rzymski, który ten bohaterski czyn jego pamięci przekazał, słusznie dodaje następującą uwagę: »Wychwalano niegdyś Lacedemonńczyka Leonidasa, że pod Termopylami śmierć poniósł za ojczyznę; cała Grecja głosiła jego zasługę posągami, obrazami: a trybunowi wojskowemu drobna tylko dostała się chwała, chociaż i on ocalił ojczyznę«.

96. Lwów.

Lwów, stolica niegdyś Rusi Halickiej, a dziś królestwa Galicyi, leży w głębokiej kotlinie, którą jakby wieńcem otaczają dokoła wzgórza.

Żołnierzem jego był według jednych król Daniel, według innych syn jego, książę halicki Lew I, od którego imienia miasto przy-

brało nazwisko (około r. 1250). Zbudowawszy tu dwa zamki, jeden na szczycie wysokiej góry, wówczas Łysą, a dziś Zamkową zwanej, a drugi u stóp jej w dolinie, gęstym wówczas zarostem borem, oba drewniane, książę Lew tutaj stolicę swą przeniósł z Halicza. Wnet zaczął się z różnych stron kraju garnać lud rozmaity, a książę dawał przybywającym przytułek pod bokiem obronnych zamków swoich. Rusinom wyznaczył na osiedlenie dzielnicę miasta od wschodu, gdzie do dziś ciągnie się ulica Ruska; od południowej strony zamku kazał się osiedlić Żydom, a stronę północno-wschodnią, gdzie dziś ulica Ormiańska, wyznaczył Ormianom i przybywającym tu dla handlu Tatarom. Wzrastała więc nowa stolica i zaludniała się szybko, a przywileje dane miastu przez księcia coraz więcej ściągały do niej mieszkańców.

Koleje, jakie Lwów przechodził za czasów książąt ruskich, mało dzisiaj są znane; to jednak pewna, że kiedy ostatni z tychże Lew II, umarł bezpotomnie, objął rządy nad krajem siostrzeniec jego Bolesław Trojdenowicz, książę mazowiecki, po nim zaś najbliższy krewny jego, król polski Kazimierz Wielki (1340).

Onto, o którym powiadają, że »zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną«, pozostawił i tutaj ślad swej dbałości o dobro poddanych. W miejsce obu zamków drewnianych kazał zbudować murowane, warowne, z których szczątek pozostał do dziś na szczycie góry Zamkowej. Zaczął także budować wspaniałą kościół, dzisiejszą katedrę i obdarzył hojnie miasto nowymi łaskami i przywilejami. Ciągłe więc przybywało ludności, zakwitł przemysł i wkrótce stał się Lwów ogniskiem handlu, ożywionego i daleko sięgającego. Od Czarnego morza ze Wschodu przybywali tu Ormianie, Wołosi i Turcy, przywożąc drogie tamtejsze wyroby i płody strefy gorącej, a wywozili to, czego im ziemia tutejsza i przemysł Zachodu dostarczały. Od tego czasu datują się dzieje pomyślności tej nowej stolicy halickiej. Mieszkańcy Lwowa, a zwłaszcza trudniący się handlem Ormianie, doszli wnet do wielkiej zamożności.

Po śmierci Kazimierza następcą jego Ludwik, król węgierski i polski, przyłączył chwilowo Ruś halicką do korony węgierskiej, ale córka jego królowa Jadwiga wróciła Polsce Lwów, który już odtąd nieprzerwanie pozostał z Polską złączony. Królowie polscy często Lwów odwiedzali, za każdym przybyciem darząc go nowymi łaskami. Tu odbierali po wielokroć hołdy od gospodarów wołoskich; tu umarł król Michał Korybut Wiśniowiecki, puściwszy się na wy-

prawę turecką pod Chocim; tu mieszkał często we własnym domu pogromca Turków z pod Chocimia i Wiednia, hetman a później król Jan Sobieski; tu się urodził król Stanisław Leszczyński; tu światło dzienne ujrzało wielu zasłużonych obywateli i pisarzy, których pamięć cześci miasto po dziś dzień, nazywając place i ulice ich imionami.

Wszelako Lwów tamtoczesny mało był podobny do dzisiejszego. Było to miasto małe, ujęte w ramy muru fortecznego, zamykającego czworobok dość regularny, oddzielony murem, wałami i fosami od przedmieść. Szczątek tych murów stoi jeszcze do dziś dnia poza kościołem OO. Bernardynów. Lwów bywał celem częstych napadów nieprzyjacielskich i niejedno wytrzymał oblężenie. W dwóch ostatnich stuleciach, w czasie ciągłych wojen, Lwów podupadł i zubożał, a dopiero w nowszych czasach zaczął się podnosić i przyozdabiać pięknymi gmachami. Po zniesieniu murów fortecznych połączyło się miasto z przedmieściami i rozszerzyło się znacznie.

Z dawnych czasów pozostało tu kilka pięknych kościołów, do których w nowszych czasach przybyło wiele okazałych budowli. Było tu niegdyś czterdzieści świątyń. Najwspanialszą jest katedra obrządku łacińskiego. Główna jej nawa wspiera się na wysmukłych filarach; po bokach kościoła jest siedm kaplic, z nich szczególnie kaplica Kampianów pełna nagrobków i pomników. Obok katedry stoi prześlicznej budowy kaplica Ogrojcowa czyli Męki Pańskiej, fundacya Boimów. Najpiękniejszym po katedrze jest z ciosowego kamienia zbudowany i bogato złożony kościół OO. Bernardynów. Za wielkim ołtarzem w marmurowej trumnie spoczywają zwłoki błogosławionego Jana z Dukli, przed kościołem zaś wznosi się kolumna, a na niej umieszczony jest posąg klęczący błogosławionego Jana z twarzą zwróconą ku miastu, nad którem w modlitwie wznosi ręce. W takiej postaci bowiem, jak mówi podanie, pojawił się błogosławiony Jan w obłokach nad miastem przez Kozaków i Tatarów oblężonem, a zjawiskiem tem przerażeni nieprzyjaciele odstąpili od oblężenia. Na szczególną wzmiankę zasługuje jeszcze cerkiew Wołoska, odznaczająca się wysoką i kształtną wieżą; i wspaniała, prześlicznie położona cerkiew św. Jerzego. Z pomiędzy innych świątyń lwowskich odznacza się jeszcze kościół OO. Dominikanów, zbudowany na wzór kościoła św. Piotra w Rzymie, w kształcie rotundy, z kopułą okrągłą, spartą na filarach. Nad drzwiami wchodowymi widnieje na tle niebieskiem napis złotemi głoskami: »Soli Deo honor et gloria« — Jedynemu Bogu

część i chwała. W bocznej kaplicy znajduje się tu posążek alabastrowy Matki Boskiej, który tu przyniósł św. Jacek z Kijowa, wyratowawszy go z pożaru. Kościół zdobi nadto kilka pięknych pomników.

Z pomiędzy gmachów, publicznemu użytkowi służących, zasługuje w pierwszym rzędzie na uwagę Zakład narodowy imienia Ossolińskich, który stanął kosztem i staraniem Józefa Maksymiliana Ossolińskiego.

Ofiarnością drugiego takiego znakomitego obywatela, Włodzimierza Dzieduszyckiego, zyskał Lwów ostatnimi czasy Muzeum przyrodnicze. W kilkunastu salach znajduje się tu w oszklonych szafach mnóstwo wypchanych ptaków, nieraz bardzo rzadkich, także przeróżne zwierzęta ssące, ryby i płazy, zbiór motyli i owadów, a dalej zasuszone rośliny, przekroje drzew i minerały z różnych stron naszego kraju. Samo przypatrywanie się tylu dziwom przyrody stanie niejednemu za naukę historii naturalnej.

Obok kościoła św. Mikołaja wznosi się gmach uniwersytetu. Posiada on znaczną bibliotekę, składającą się przeważnie z dzieł naukowych, gabinet przyrodniczy i fizykałny. Opodal w osobnym gmachu mieści się laboratorium chemiczne, a w pośrodku między niemi ciągnie się ogród botaniczny, w którym na niewielkiej przestrzeni sztuka zgromadziła obok siebie wszystkie piękności przyrody. Łaską Miłościwego Monarchy uzupełnioną zostanie za lat parę ta najwyższa szkoła jeszcze wydziałem lekarskim, do czego potrzebne gmachy zaczęto właśnie budować. Przy ulicy Leona Sapiehy znowu wznosi się okazały gmach, w którym się mieści szkoła politechniczna, poświęcona »naukom i sztukom«. Oprócz tego posiada Lwów liczne zakłady naukowe, a gmina miasta nie szczędzi grosza na cele oświaty, wnosząc coraz to nowe, wygodne, a nawet okazałe gmachy na ich pomieszczenie. Jako siedziba najwyższych w kraju władz i urzędów ma też Lwów niemałą liczbę publicznych i prywatnych wspaniałych budowli.

Pochlubić się również może Lwów tem, że liczy stosunkowo więcej dobroczynnych zakładów, aniżeli inne wielkie miasta. Obok licznych ochronek dla sierot, domów przytułku dla starców i kalek, szpitalów dla chorych, godne uwagi są dwa zakłady, które ręką miłosierdzia wzniosła dla ulżenia doli upośledzonym z urodzenia istotom. Są to obok siebie położone zakłady dla głuchoniemych i dla ciemnych. Troskliwa ręka opiekunów pracuje nad tem, ażeby w tych

biednych istotach rozwinać pojęcia niezbędne w życiu. Dają im tu właściwym sposobem wyobrażenia o Bogu i o świecie, o obowiązkach towarzyskich, uczą je czytać i pisać, oraz przystępniejszych im rzemiosł; — ciemnych uczą n. p. muzyki lub wyplatania koszyków, co im w późniejszym życiu może zapewnić utrzymanie.

Miejscem umysłowej rozrywki dla Lwowian jest teatr, wzniesiony przed pół wiekiem przez Stanisława hr. Skarbka; a za miejsca do przechadzki, zwłaszcza wśród skwaru letniego, służą ogrody publiczne. W środku prawie miasta leży obszerny i ze smakiem założony ogród miejski czyli pojezuicki, przed którym wznosi się okazały gmach sejmu i wydziału krajowego. Ogród ten czyli raczej park, dużemi zasadzony drzewami i licznymi poprzerynany ulicami, roi się zwłaszcza wieczorem i w dni świąteczne od przechadzających się, którzy w cieniu drzew pragną zaczerpnąć świeższego powietrza. Z wyższej kończyny ogrodu roztacza się piękny widok na miasto i na przeciwległe szczyty góry Zamkowej. Górę tę niegdyś pustą i łysą, skąd wiatr tumany piasku roznosił po całym mieście, zmieniono przed pół wiekiem kosztem i staraniem miasta w wspa- niałą, wielkich rozmiarów park, będący dzisiaj jedną z pierwszych ozdób Lwowa. Na jej szczycie, obok szczątków zamku Kazimierzowskiego, sypać zaczęto kopiec Unii lubelskiej w dniu 11. sierpnia 1869. roku, w trzechsetną rocznicę wiekopomnego dzieła, mianowicie dobrowolnego połączenia się Litwy z Koroną po wieczne czasy na sejmie lubelskim. Kopiec ten, dziś na ukończeniu będący, panuje nad całym miastem i przyległą okolicą. Poniżej szczytu, z po- śród cienistego parku, odsłaniają się oku przechodnia coraz to nowe widoki. Najrozleglejszy widok jest od strony północno-wschodniej na kilkomiłową równinę, po której — jak okiem zasięgnąć — ciągną się rozległe niwy, wyłaczane pszenicą, posrebrzane żytem, umajone zielenią łąk i pastwisk, przyozdobione rozsianymi po nich wioskami i gawkami. Na tej to równinie, u stóp góry Zamkowej, w dniu 25. sierpnia 1675. roku rozgromił król Jan Sobieski z trzema tysiącami rycerstwa w kilku godzinach czterdziestotysięczną nawałę tatarską, a przez to ochronił Lwów od najazdu groźnego wroga. Wdzięczne miasto położyło przed kilku laty, na wylocie góry Zamkowej ku tej stronie, ogromny głaz ze stosownym napisem, przy- wodzącym na pamięć tę chwilę dziejową. Od strony zachodniej zwraca na się uwagę patrzącego gmach Inwalidów wojskowych, niedawno wzniesiony, może najwspanialsza ze wszystkich budowli

Lwowa. Dalej na zachód i południe, ponad miastem, ściśniętem w podłużnej kotlinie, z pośród wież kościelnych i kominów fabrycznych wystrzela w górę wieża ratuszowa, która swym szczytem równa się prawie ze szczytem góry Zamkowej. Za miastem od południowej strony widać nowo założony, rozległy park Kilińskiego, poza nim tor wyścigów konnych; a dalej ku wschodowi na wzgórzu miasto umarłych, cmentarz Łyczakowski. Ze wszystkich lwowskich cmentarzy najpiękniejsze to miejsce wiecznego spoczynku poprzednich pokoleń. Jest to istny park, poprzerzynany licznymi aleami, zasiany mnóstwem kwiatów, z pośród których obok skromnych krzyżów wznoszą się okazałe nagrobki i pomniki jako wyraz czci i miłości żywych dla umarłych. Wielu znakomitych w narodzie mężów spoczywają tu popioły, jak rysownika Grottgera, historyka Szajnochy, poety Goszczyńskiego i wielu innych. Cmentarz ten pełen jest zwykle ludzi, odwiedzających swoich krewnych lub przyjaciół, zwłaszcza w dzień Zaduszny.

I okolice miasta obfitują w piękne miejscowości, jak Cetnerówka, Pohulanka, Zofiówka, które w lecie są celem gromadnych wycieczek.

97. Sprawiedliwość cesarza Józefa II.

Za panowania cesarza Józefa II. zdarzył się raz w wielu okolicach Czech wielki nieurodzaj, za którym w ślad poszedł niedostatek, nędza, a wreszcie głód dojmujący, tak że uboższymi mieszkańcom brakło nawet kawałka suchego chleba. Józef II., monarcha tkliwego na nędzę ludzką serca, rozkazał dostarczyć zboża i żywności okolicom głodem nawiedzonym; a dla przekonania się, jak tam wypełniają jego rozkazy, sam, nie dając się poznać, czyli jak to mówią „*incognito*“, w tamte udał się strony. W podróży tej przybył do pewnego miasteczka. Przed zabudowaniem, w którym mieścił się urząd, stało kilka wozów zbożem naładowanych; wieśniacy, fur tych właściciele, razem zgromadzeni, żywo o czemś rozprawiali. Cesarz, mając na sobie zwyczajny mundur oficerski, przybliżył się do nich, a pozdrowiwszy zapytał, o czem tak żywo rozmawiają. Na to odpowiedziało wnet kilka głosów: »Mówimy o biedzie naszej i o nieludzkości przełożonego urzędu tutejszego. Oto z nakazu władzy dostawiliśmy tu zboże, które cesarz dla głodnych przeznaczył; czekamy już bardzo długo; prosiliśmy, aby

zboże odebrano, ale nadaremnie; tymczasem czas mija, a do domu mamy z ośm mil drogi!« — »Wistocie tak jest, panie poruczniku« — dodał obecny pomocnik urzędowy — »biedni ci ludzie czas darmo marnują, a oprócz nich i ubodzy, głód cierpiący mieszkańcy miasteczka już od kilku godzin czekają na rozdział zboża«.

Usłyszawszy to cesarz, poprosił pomocnika, aby go zaprowadził do przełożonego urzędu. Pan naczelnik był w dobnym humorze; miał u siebie liczne towarzystwo, które wesoło się bawiło. Widząc wchodzącego, a nieznanego porucznika, postąpił ku drzwiom na jego spotkanie i prostując się, zapytał: »Kto pan jesteś?« — »Oficer w służbie Jego Cesarskiej Mości« — odrzekł przybyły. — »Czem mogę służyć?« — »Każ pan z łaski swej odprawić tych biedaków, którzy tu z odstawą zboża przybywszy, już tak długo czekają«. — »Chłopi mogą jeszcze zaczekać; nie masz nic tak nagłego; a zapewne nie będziesz pan żądał, abym dla kilku chłopów opuszczał tak miłe towarzystwo i przerywał sobie przyjemną zabawę.« — »Ależ ci ludzie mają jeszcze daleką drogę do domu i dość już długo czekają«. — »Cóż pana obchodzą ci chłopi?« — rzekł prostując się bardziej i głowę w górę podnosząc naczelnik. — »Godzi się przecież być ludzkim i nie czynić chłopom przykrości, na którą wcale nie zasłużyli« — odparł poważnie oficer. — »Morały racz pan dla siebie zachować« — rzekł szorstko naczelnik — »wiem sam najlepiej, co do mnie należy; nauki od nikogo nie potrzebuję«.

Cesarz, nie mogąc dłużej znieść nieludzkości i grubiaństwa naczelnika, stanowczym odezwał się głosem: »Otóż oświadczam panu niniejszem, że od tej chwili wcale nie potrzebujesz zajmować się sprawą zboża dla głodnych przeznaczonego« — a zwracając się do pomocnika, rzekł: »Pan odprawisz ludzi; jesteś odtąd naczelnikiem tutejszego urzędu. Pan« — tu cesarz zwrócił się znów ku dotychczasowemu naczelnikowi — »w tej chwili być nim przestajesz. Ja, cesarz, oddałam go z urzędu«.

To powiedziawszy cesarz wyszedł, a oddalony ze służby naczelnik miał teraz jeszcze więcej czasu na przyjemną zabawę w miłym towarzystwie.

98. Szlachetny chłopiec.

Przed kilku laty jednego ranka w miesiącu grudniu wypłynął z Liwerpoolu wspaniały parowiec, który unosił na pokładzie przeszło

200 osób, a pomiędzy niemi 70 ludzi stanowiących służbę okrętową. Kapitan okrętu i prawie wszyscy majtkowie byli to Anglicy. Między podróżnymi byli i Włosi: trzy panie, jeden ksiądz i towarzystwo muzykantów. Parowiec miał wylądować na wyspie Malcie. Czas był pochmurny.

Pomiędzy jadącymi trzecią klasą był chłopiec, Włoch rodem, Sycylianin, lat co najwięcej dwunastu, małego wzrostu, ale krępy i silny; w pięknej jego twarzy przebiegał się wyraz śmiały i myślący. Zwykle siadywał pod masztem na stosie lin okrętowych, mając obok siebie kuferek obdarty, w którym mieściło się całe jego mienie. Twarz jego była brunatna, włosy czarne i kędzierzawe spadały mu aż na ramiona, przez ramię przewieszoną miał starą torbeczkę skórzaną. Patrzył wokoło siebie zadumany, zwracając pilnie uwagę po kolei na podróżnych, na okręt, na majtków przebiegających niepokojnie po pokładzie i na samo morze dość burzliwe. Na twarzy dziecka malował się wyraz męża w cierpieniach dojrzałego.

Wkrótce po wyjeździe z portu stanął przed nim jeden z majtków okrętowych, Włoch, prowadząc za rękę dziewczynkę, i rzekł do niego:

— Oto masz, Maryanie, towarzyszkę podróży.

Potem odszedł. Dziewczynka usiadła na stosie sznurów obok chłopca. Chwilę patrzali jedno na drugie.

— Dokąd jedziesz? — spytał Sycylianin.

Dziewczynka odpowiedziała: — Na wyspę Maltę, przez Neapol. — Potem dodała: — Jadę do ojca i matki, którzy mnie oczekują. Nazywam się Julka.

Chłopiec nic na to nie odpowiedział. Po chwili wyjął z torbeczki chleb i owoce suszone; dziewczynka miała biszkopty — jedli razem.

— O! wczesnie się taniec zaczyna! — zawołał majtek Włoch, przebiegając szybko. Rzeczywiście wicher się wzmaczał, statkiem okropnie rzucać zaczynało. Ale dzieci nie zwróciły na to uwagi. Dziewczynka uśmiechała się wesoło. Była ona mniej więcej w wieku swojego towarzysza, tylko trochę słuszniejsza od niego; smagła na twarzy, ubrana była więcej niż skromnie. Włosy miała krótko ucięte i w loki zakręcone, czerwoną chustkę na głowie i dwa duże kółka srebrne w uszach.

Jedząc opowiadali sobie swoje dzieje. Chłopiec nie miał już ani matki ani ojca. Ojciec, wyrobnik, niedawno temu odumareł go

w Liwerpoolu, zostawiając samego; a konsul włoski odsyłał go do kraju rodzinnego, do Palermo, gdzie miał jeszcze krewnych dalekich. — Dziewczynka pojechała była do Londynu, rok temu, z ciotką wdową, która ją bardzo kochała; rodzice Julki, ludzie ubodzy, chętnie powierzyli dziecko swoje mającej ciotce, licząc na obietnicę spadku znacznego; w kilka atoli miesięcy ciotka nagle umarła, nie nie zostawiwszy dziewczynce: a wtedy i ona udała się do konsula, który ją również wysłał do Włoch. Oboje oddano w opiekę majtkowi włoskiemu.

— Mój ojciec — kończyła dziewczynka — i moja matka myślą, iż powracam bogatą — a ja tymczasem wracam biedną, jak byłam przedtem. Ale oni mnie dlatego kochać nie przestaną. A i moi bracia taksamo mną się cieszą. Mam ich aż czterech, wszyscy jeszcze mali. Jam w domu najstarsza. Z pewnością cieszą się mną wszyscy . . . Kiedy powrócę, wsunę się do domu na palcach . . . Ale morze robi się jakieś szkaradne! . . .

Potem spytała chłopca: — A ty czy myślisz zostać u twoich krewnych?

— Zapewne, jeżeli mię przyjmą — odpowiedział wymijająco.

— Więc oni ciebie nie kochają?

— Nie wiem tego, bo ich nie znam.

Zaczęli potem rozmawiać o morzu i ludziach, którzy ich otaczali. Przez cały dzień trzymali się razem, mówiąc do siebie kiedy niekiedy po kilka słówek. Tymczasem morze stawało się coraz burzliwssze. Wieczorem, w chwili, gdy mieli się rozejść, aby się spać położyć, dziewczeczka rzekła do Maryana: — Śpij spokojnie! — Oj, nikt tej nocy nie zaśnie spokojnie, moje biedne dzieci! — zawołał majtek Włoch, lecąc pędem, bo usłyszał groźny rozkaz kapitana. Chłopiec chciał nawzajem powiedzieć: — Dobranoc! — gdy fala niespodziewanie na pokład uderzyła i rzuciła nim gwałtownie na jedną z ławek.

— Matko Święta! krew! krew! — krzyknęła dziewczynka, pochylając się nad nim.

Podróżni, uciekając czempredzej z pokładu, na krzyk dziewczynki wcale nie uważali; a ona uklękła obok Maryana, który leżał bez ruchu, pogłaskała go po czole skrwawionem, a zdjawszy chusteczkę czerwoną, związała mu nią głowę; potem przycisnęła ją do piersi, aby mocniej ściągnąć węzeł — i tym sposobem zro-

biła sobie dużą, krwawą plamę na żółtej sukience. Po chwili Maryan odzyskał przytomność i podniósł się zwolna:

— Lepiej ci? — spytała dziewczynka.

— Nic już nie czuję — odpowiedział.

— Śpij spokojnie — rzekła Julka.

— Dobranoc! — życzył jej Maryan nawzajem; — i zeszli do kajut po schodach.

Majtek słusznie przepowiedział. Nikt jeszcze nie miał czasu zasnąć, gdy burza zawyła przeraźliwie. Był to jakby gwałtowny napad rozkielzanych rumaków, które zmiotły w oka mgnieniu maszt główny z pokładu i uniosły jak listek zwiędły trzy łodzie, przyczepione do maszyny, i cztery woły z przodu pokładu. Wewnątrz statku powstało zamieszanie i przestraszył śmiertelny, zewsząd wybuchwały krzyki rozpaczliwe, odzywał się płacz i prośby żalosne, od których włosy jeżyły się na głowie. Burza tymczasem szalała coraz więcej przez noc całą. O brzasku dnia wichur jeszcze się powiększył. Fale olbrzymie, uderzając w bok parostatku, przewalały się przez pokład, łamiąc, niszcząc i unosząc z sobą, co tylko znalazły po drodze. Pomost pokrywający maszynę, zapadł się, a woda wpadła do środka z piekielnym łoskotem; ogień zagaś, maszyniści puciekali. Olbrzymie, rwące potoki zewsząd nadpływały.

Rozległ się grzmiący rozkaz: Do pomp! Był to głos kapitana. Marynarze rzucili się do pomp. Ale nagłym uderzeniem morze przebiło statek z tyłu, strzaskało kraty żelazne i wtoczyło całą masę wody do środka.

Wszyscy podróżni, raczej umarli niż żywi, schronili się do głównej sali. Wtem ukazał się na progu kapitan.

— Kapitanie! kapitanie! — krzyknęli wszyscy razem. — Co się dzieje? co się z nami stanie? czy jest jaka nadzieja? . . . Ratuj nas, ratuj!

Kapitan czekał, aż wszyscy umilkną, i rzekł obojętnie: Trzeba się zdać na wolę Bożą!

Wszyscy z trwogi skamienieli. Przez czas dłuższy zapanowało milczenie grobowe. Jeden patrzył na drugiego, z twarzami białymi jak płótno. Jedna tylko kobieta krzyknęła: Miłosierdzia! A morze szalało dalej, przerażająco. Statek posuwał się ciężko. Kapitan, chwilę sposobną upatrzawszy, spróbował spuścić na morze łódź ratunkową. Pięciu marynarzy weszło do niej, łódź spłynęła; ale natychmiast skrzyła ją fala nadpływająca i dwóch majtków uto-

nęło; jeden z nich był właśnie ów Włoch — reszta z trudem wielkim zdołała chwycić się lin i nazad dostać się na pokład.

Po tej nieszczęśliwej próbie sami marynarze stracili wszelką odwagę. W dwie godziny później statek zanurzył się już do wysokości pierwszego piętra.

Na pokładzie odbywały się sceny serce rozdierające. Matki przyciskały rozpaczliwie dzieci do łona; przyjaciele padali sobie w objęcia, żegnając się na zawsze; niektórzy zamknęli się w kajutach, aby ginąć, nie rzuciwszy okiem na fale rozhukane; kilka osób ukłękło wokół księdza. Powstał ogłuszający chór gwałtownych łkań, lamentów iście dziecinnych, głosów chrapliwych, serce rozdierających; a byli i tacy, którzy stali jak posągi nieruchome, nieprzytomni, z oczyma szeroko rozwartemi, błędnymi jak wzrok konających lub obłąkanych. Maryan i Julka trzymali się masztu, a oczy wlepili w morze, jakby nie czuli i nie rozumieli.

Morze zaczęło się wreszcie uspokajać, ale statek zanurzał się coraz bardziej, cicho, zwolna. Zostawało jeszcze zaledwie kilka minut.

— Łódź na morze! — krzyknął kapitan.

Spuszczono na wodę łódź, ostatnią, która pozostawała. Wskoczyło w nią czternastu majtków i trzech podróżnych. Kapitan został na statku.

— Jedź z nami! — krzyknęli z łodzi.

— Powinnością moją umrzeć na stanowisku — odrzekł kapitan.

— Zejdź, kapitanie! — wołali marynarze. — Parowiec zgubiony — ratuj się!

— Nie! Zostanę!

— Jest jeszcze jedno miejsce — zawołali marynarze z łodzi ku podróżnym na statku. — Rzućcie którą z kobiet!

Zbliżyła się jedna z kobiet, prowadzona przez kapitana; widząc jednak oddalenie łodzi od parowca, nie czuła dość odwagi, aby skoczyć tak daleko i upadła nazad na pokład.

— Rzućcie nam chłopaka! — zawołali marynarze z łodzi.

Na ten krzyk Maryan i jego towarzyszka, którzy dotąd stali bez ruchu, jakby skamieniali, ocknęli się nagle i uczuli nieprzepartą chęć do życia; rozłączyli się natychmiast i skoczyli na sam brzeg statku, wołając: Mnie! mnie!

— Tego mniejszego rzućcie! — zawołali marynarze; — łódź i tak przeciążona!

Na te słowa dziewczynka opuściła ręce i bez ruchu utopiła w obliczu chłopca wzrok swój błędny.

Maryan spojrział także na nią... Spozrzegł na jej piersiach plamę kwawą... Coś sobie przypomniał... Twarz mu zajaśniała myślą nadziejską, blaskiem natchnienia.

— Dawajcie mniejszego! — wołali zniecierpliwieni marynarze. — Odjeżdżamy!

Wtedy Maryan głosem drżącym zawołał: — Ona lepsza ode mnie!... Ratuj się, Julio! Ty masz ojca i matkę — ja jestem sam jeden! — Idź!

— Prędey! prędey! — wołali marynarze.

Chłopak pochwycił dziewczynę wpół i rzucił ją w morze. Dziewczyna krzyknęła i zanurzyła się; jeden z marynarzy uchwycił ją i wciągnął do łodzi.

Chłopiec został na brzegu parowca z czołem wysoko podniesionem, z włosami na wiatr puszczoneymi, nieruchomy, spokojny. Łódź szybko odpłynęła.

Kiedy dziewczynka odzyskała przytomność, podniosła wzrok na chłopaka i rzewnym wybuchnęła płaczem... Woda już dostawała się na pokład... Chłopak upadł na kolana, z rękami złożonymi i z wzrokiem ku niebu wzniesionym... Dziewczynka oczy sobie zasłoniła.

Gdy głowę na nowo podniosła i ręce od ocz odjęła, parowca już nie było — zniknął z powierzchni morza.

99. Rozbicie okrętu.

Miotany gniewem nawały,
Rozbił się okręt o skały
I w morskim tonął odmiecie.
Jedna tylko łódka była:
Cząstka się na nią schroniła,
Reszta została w okręcie.

I już drobna pędzi nawa,
Gdy wtem nagłe z krzykiem stawa:
»Zabierzmy księdza do łodzi!«
Lecz ten w pośród groźnych toni,
W świętej szacie, z krzyżem w dłoni
Na brzeg okrętu wychodzi.

— 472 —
»Płyńcie — rzecze — bracia mili!

Dzielnieście bliźnich bronili:

Wdzięczna was przyjmie kraina.

Nie dla mnie łódki ochrona;

Wasza powinność skończona,

Moja się teraz zaczyna!»

Rzekłszy to, w okręt zstępuje,

Ginących na śmierć gotuje,

Godzi, wzmacnia, cieszy w zgonie.

Wtem przykłęka, zniża głowę,

Wznosi hymny pogrzebowe

I — z wszystkimi razem tonie.

Franciszek Morawski.

100. Pierwsza bitwa Pyrrusa z Rzymianami.

Mieszkańcy Tarentu wiedli wojnę z Rzymianami, a obawiając się ich przemocy, prosili króla Epiru Pyrrusa, ażeby ich bronił. Przyjął ich wezwanie Pyrrus i obiecał przybyć z wojskiem swem na pomoc. Wkrótce dotrzymał danego przyrzeczenia i stanął w Tarentencie z dwudziestu kilku tysiącami piechoty, z trzema tysiącami jazdy i 25 słoniami.

Kiedy Rzymianie wysłali przeciw niemu konsula Lewina z potężnem wojskiem, Pyrrus wyprawił do nich posła z zapytaniem, czyby nie chcieli wejść w ugodę z Tarentynami, korzystając z jego pośrednictwa. Ale Lewinus kazał mu powiedzieć, iż »Rzymianie w jego osobie pośrednika nie chcą, a nieprzyjaciela nie boją się«.

Widząc po takowej odpowiedzi, z jaką wzgardą względem niego postępowali sobie Rzymianie, szedł przeciw nim śmiało, a stanawszy nad brzegiem niewielkiej rzeki, postrzegł z drugiej strony wojsko nieprzyjacielskie. Nim Rzymianie po przebyciu rzeki zdołali w szyku stanąć bojowym, wpadł na nich z wielką natarczywością. Ale choć natarcie żołnierzy jego bardzo było silne, a dzielność przewódcy nadzwyczajna, znalazł odpór niespodziewany; tem bardziej więc pobudzony i rozdrażniony, w świetnej zbroi i w potyskującym wśród piór szyszaku, wiódł pułki swe do boju.

Wtem jeden z towarzyszy ostrzegł go, iż rycerz jeden z przeciwniej strony ustawicznie koło niego zachodzi, czyhając na to, aby nań uderzyć. — »Nikt losu swego nie uniknie!« — rzekł Pyrrus śmiało; i właśnie gdy to mówił, postrzegł owego rycerza lecącego

ku niemu z kopią. Natarli na siebie gwałtownie, a gdy oba konie padły, porwali Pyrrusa ci co go otaczali, a ów junak, broniąc się walecznie, poległ mnogimi zasypany pociskami.

Odtąd mniej się już narażał Pyrrus. Ale widząc, iż jazda jego poczyniała się mieszać, przybył jej na pomoc. Odmieniwszy zatem świetną odzież, która go wydawała, wiódł pułki do boju; a że w zamieszaniu zginął ów żołnierz, któremu oddał swą tarczę i zbroję, więc Epirotowie, ujrzawszy zbroję swego króla w ręku Rzymianina, poczęli się mieszać i ustępować. Spostrzegł to Pyrrus, a dowiedziawszy się, skąd pochodziło zamieszanie, zrzucił z głowy szyszak i dał się poznać swoim, którzy wsparci i orzeźwieni widokiem swego monarchy, z nową otuchą i siłą rzucili się na nieprzyjaciół.

Trwał bój srogi i nie można było przewidzieć, z której strony nastąpi zwycięstwo. Widząc tedy Pyrrus, iż mimo największą usilność pokonać bitnego nieprzyjaciela nie może, puścił ukryte dotąd słonie swoje. Niewidziane jeszcze dotąd przez Rzymian potwory zdziwiły ich niezmiernie i tak przestraszyły konie, iż nie dając się powodować, rozhukane uciekały w zawody.

Poszła więc jazda w rozsypkę i przy Pyrrusie zostało zupełne zwycięstwo. Wpadł teraz w obóz nieprzyjacielski i opanował go, a jak twierdzą niektórzy, 15.000 Rzymian wówczas na placu legło; ale i Pyrrus trzymaście tysięcy swoich utracił.

Korzystając ze zwycięstwa, szedł Pyrrus w pogoń za wojskiem Lewina, odbierając po drodze liczne poselstwa od miast pobliskich; potem wyprawił do Rzymu Cyneasza jako posła, skłaniając się ku ugodzie, któraby ocaliła jego sławę i Rzymianom, jak sądził, była użyteczna. Ale Cyneas z niczem powrócił. Mówiąc o sprawowaniu poselstwa swego, powiedział, że kiedy wszedł do senatu, zdawało mu się, iż tylu ogląda królów, ilu było senatorów.

Ignacy Krasicki

(Żywoty zacnych mężów wedł. Plutarcha).

101. Dobry syn.

Najulubieńszych postaci w dziejach naszych należy król Jan II. Sobieski. Znane nam są nie tylko czyny jego wojenne i rządy w kraju, ale utrzymuje się dotąd jeszcze w podaniu mnóstwo szczegółów z jego życia, świadczących wymownie, jak pięknymi przymiotami umysłu i serca odznaczał się ten król bohaterski.

Szczególnie piękna jest synowska jego miłość ku matce i poszanowanie jej woli.

Teofila Sobieska, matka króla Jana, była to kobieta niezwykłego umysłu i serca. Onatō już w dzieciństwie zaszczeptała w sercu dzieci miłość ojczyzny i gorącą chęć poświęcenia się dla jej dobra; onatō sama synów kształcących się za granicą wezwiała do powrotu, ażeby ich wyprawić na Tatarów i zbuntowanych Kozaków, a zachęcając ich do obrony ojczyzny, oświadczyła, iż nie chce ich znać jako synów, jeżeli w ciężkiej potrzebie kraju za broń nie chwycą.

Obaj synowie poszli za głosem matki, walczyli dzielnie, a starszy z nich Marek, nawet w kwiecie wieku życie oddał za ziemię ojczystą. Był to cios dla matki straszny; zniosła go przecież pokornie i z poddaniem się woli Bożej. Ku uczczeniu pamięci ukochanego syna wzniosła w Żółkwi kościół i klasztor pod wezwaniem św. Marka, a wyposażając hojnie dom ten Boży, poleciła, ażeby za duszę młodego bohatera odprawiano ciągle modły żałobne.

Jedyną odtąd pociechą strapionej matki był młodszy syn Jan, w którym widziała chlubę swego rodu i podporę Rzeczypospolitej. Syn odwzajemniał matce tę miłość czcią prawdziwą i ścisłym wypełnianiem jej woli. Okazało się to najwymowniej, gdy zacna ta niewiasta, złamana ciężką chorobą, umarła. W ostatniej swej woli poleciła synowi, ażeby ją pochował w wybudowanym przez nią kościele, ale najskromniej, bez żadnego przepychu.

Posłuszny Jan Sobieski spełnił wolę matki i sprawił jej pogrzeb ubogi i skromny; jednakże to jedno uczynił, iż za prostym wozem żałobnym kazał nieść tablicę z napisem: *Sic mater voluit* (Tak matka chciała).

Wszelako nazajutrz odbył się pogrzeb drugi, bogaty i wspaśniały; nie mógł bowiem przenieść na sobie syn kochający, by nie oddać zwłokom matki ostatniej posługi w sposób taki, na jaki zdobywa się przepych światowy dla okazania żalu i czci pośmiertnej. Długi szereg pobożnych kapłanów i zakonników, okazały orszak przybyłych na pogrzeb gości i tłum pobożnego ludu towarzyszył pogrzebowemu wozowi. Za nim niesiono znowu taką jak dnia poprzedniego tablicę, tylko z odmiennym napisem: *Sic filium decuit* (Tak synowi przystało).

Piękny to obraz synowskiej miłości i poszanowania woli matki.

102. Przywiązanie do rodzinnej strzechy.

Miło było Janickiemu bawić w Wiśniczu w domu Kmity, który chciał uczcić poetę po powrocie jego z ziemi włoskiej; a przecież widocznie czegoś mu jeszcze nie dostawało, za czemś tęsknił; bo nieraz wśród wesołej zabawy pogrążał się w zadumie i westchnienie gwałtem prawie wyrывało mu się z piersi.

— Co ci jest? — zapytał go wojewoda. — Powiedz, czego pragniesz, a wszystko dla ciebie uczynię.

— Miłościwy panie! rzekł na to poeta — pozwól mi na dni parę odjechać.

— Co? odjechać? — zawołał wojewoda zdziwiony. — Alboż ci źle u mnie?

— O nie, miłościwy panie! Bardzo mi tutaj miło, ale dwa-naście lat już nie byłem we wsi rodzinnej i nie widziałem rodziców starych.

Na to wojewoda:

— Bóg świadkiem, że mi bardzo przykro rozstawać się z tobą, ale trudno ci odmówić, kiedy w tak pocziwiej jedziesz myśli. Zawsze to ojciec i matka starsi od ludzi obcych.

Pozwolił tedy na wyjazd pan wojewoda i swoją kolasę dał mu do drogi.

Wyszli panowie pożegnać Klemensa, a jeden zapytał, gdzie mieszkają jego rodzice?

Klemens, nie wstydząc się wcale swego chłopskiego pochodzenia, odpowiedział:

»Za Żnińskim bagnem jest wieś przejezdna,
Co się Janusza na imię zowie:
Tamtędy niegdyś polscy królowie
Jeździli w pruską ziemię od Gniezna;
I tam mój ojciec, mieszkani¹ec wioski,
Orze pocziwie grunt pradziadowski!«

Wyjechał tedy w wspaniałej kolasie i w sukniach bogatych do lubej wsi rodzinnej, gdzie mieszkali jego rodzice, krewni i znajomi, gdzie tyle drogich sercu pozostało pamiątek. Jak drzewo w ziemię puszcza korzenie i, choć zrąbane z wierzchu, krzewi się zawsze pod spodem: tak i pamiątki z lat młodości i z miejsc rodzinnych żyją i korzenia się w sercu człowieka, choćby z wierzchu Bóg wie jaka zaszła w nim zmiana.

Szybko toczyła się pańska kolasa po drodze, ale dla Klemensa wszystko to było za leniwo; onby na skrzydłach orlich rad był przelecieć przez góry i lasy i stanąć w ojczystym domu i uściskać starych rodziców...

Pode wsią stoi krzyż na wzgórzu, a pod krzyżem w cieniu jakaś siwa i zgarbiona siedzi staruszka. Zwróciła głowę ku gościńcowi i niby patrzy przed siebie, ale nie nie widzi. Od dwóch lat już zapadła jej na oczy ciemna zasłona i zakryła cały świat Boży: ona ślepa nieboga. Wsparła głowę o krzyż i siedzi smutna i nieporuszona, a wtem zbliża się do niej jakaś młoda kobieta i rzeknie z dala:

— Ej matko, matko, cóż to znowu tak siedzicie samotnie? Ciemna staruszka westchnęła i zwróciła głowę.

— Czekam tu na mojego Klimka; jak poszedł na te nauki, tak już nie wraca. Jam sobie czy już nadaremnie wypatrzyła, a stary ojciec legł w grobie i nie doczekał się jego powrotu. Pono i ja pójdę za nim, a nie usłyszę więcej głosu jedynego syna. Co dzień chodzę pod ten krzyż i czekam, czy nie nadjedzie — i czekam nadaremnie.

Wtem zaturkotało coś po gościńcu.

— Ktoś jedzie! czy to nie on — zawołała staruszka.

Dziewczyna popatrzyła na gościniec i rzekła:

— Ej gdzie tam; to jakaś kolasa wspaniała, wiezie pewnie jakiegoś wojewodę albo kasztelana.

Tymczasem kolasa zbliża się a zbliża, a nareszcie przystanęła i młody pan w bogatych szatach wystawił głowę i zapytał:

— Czy wy z Januszy, niewiasty?

Dziewczyna nie poznała twarzy ani głosu, ale serce ślepej matki zabiło jak młotem. Jak strzała zerwała się z pod krzyża i z całej piersi wykrzyknęła:

— Klimku! Klimku! synu mój jedyny!

Wyskoczył młody pan z pysznej kolasy i rzuca się do nóg starej kobiecie, całuje jej kolana i jak dziecko zalewa się łzami.

— Matko moja! — woła — to ja, ja, twój Klimek!

Staruszka nie posiadała się z radości, mogła nareszcie przycisnąć syna do serca. Ale zarazem musiała mu powiedzieć, że ojciec i brat już nie żyją, a ona sama może go widzieć jeno sercem i duszą, ale nie oczyma.

Wojewoda

Dziewczyna, szczęściem staruszki rozrzewniona, pobiegła co tchu do wsi i wnet wyszła gromada cała, młodzi i starzy, baby i dzieci, wszyscy biegli przypatrzeć się Klemensowi, co w takiej pysznej przyjechał karecie i miał suknie tak bogate. I przybyli na miejsce, a jeszcze stara matka trzymała syna w objęciach, a on klęczał u jej kolan.

Miesiąc cały zabawił Klemens Janicki na wsi, choć co dzień od pana wojewody przychodziły listy, aby co prędzej wracał.

Dobry syn postawił naprzód krzyż na grobie ojca, potem dla ciemnej matki o wszelkie potrzebne postarał się wygody, a przyrzekłszy jej, że wkrótce znowu do niej przybędzie, odjechał do Krakowa.

Ale stało się inaczej. Podobało się Bogu w kwiecie wieku powołać go do siebie.

Stara, ślepa matka przeżyła syna, ale do samego końca taili jej ludzie jego śmierć zawczesną. Biedna staruszka, rozstając się z światem, błogosławiła jeszcze nieobecnemu synowi, który nie potrzebował już tego błogosławieństwa, bo przed nią jeszcze stanął przed tronem Najwyższego.

Z Zatek

103. Zapóźno!

Wieczorem w niedzielę
Przy wiejskim kościele
Dziad stoi i bije we dzwony;
Wtem młodzian nieznany,
Dostatnio odziany,
Nadchodzi i słucha zdziwiony.

I pyta nieśmiało:
»Cóż we wsi się stało?
Komużto dzwonicie, kochanie?«
»O, smutne to sprawy!
Jeżeliś ciekawy,
Posłuchaj! opowiem, mój panie.

»Przed kilku latami
Żył we wsi tu z nami
Kmieć z kmiecia, zamożny, po-
Ni soli ni chleba [czciwy;
Nie było mu trzeba;
Był człek to dostatni, szczęśliwy.

»A było ich troje:
On z żoną we dwoje,
A synek, jedynak, był trzeci;
Wesoły, rumiany,
W dostatku chowany,
Zwyczajnie zamożnych syn kmieci.

»Raz ojciec z wieczora,
Wróciwszy ze dwora,
Z westchnieniem powiada do żony:
Mój Boże! mój Boże!
Jak też tam we dworze
Syn pański się chowa uczony!

»A prostak w tym tłumie,
Gdzie każdy coś umie,
Nie znaczy ni pracą ni wiekiem;
I nam Bóg dał dziecię,
Czemużby też przecie
Nie było uczonym człowiekiem?

»Przedajmy dwa woły,
Niech idzie do szkoły,
A kto wie, co i z nim się stanie?
Może się przy dworze
Umieści — a może...
A może i księdzem zostanie...

»Jak rzekli, zrobili,
Lecz ciężko zbłądzili,
Sądząc, że wdzięcznym się stanie;
Dobra jest nauka,
Lecz gdy jej kto szuka
Nie z pychy — nie prawdą, mój

[panie?

»Co rok więc na szkoły
Z ojcowskiej stodoły
Szło zboże — z obory dobytek;
Syn rosł w rozumie,
Lecz pono i w dumie,
Nie ojcom, lecz sobie w pożytek.

»I przeszło lat wiele,
A nikt go tu w siele
Nie widział w zagrodzie rodzica;
A z cicha mówiono,
Że w mieście tam pono
Zły synek udaje szlachcica.

»Że w głowie ma państwo,
Nie święte kapłaństwo,
Że ojca się wstydzi w sukmanie;
A Bóg się tym brzydzi,
Kto ojca się wstydzi.
Nie prawdą?... Cóż wam to, mój

[panie?

»Tymczasem oknami,
Jak mówią, i drzwiami
Do nizkiej się bieda pcha strzechy;
Ucieka dostatek,
Przyrasta zaś latak,
A z nikąd pomocy, pociechy.

»Staremu i niwa,
W młodości życzliwa,
Kąkole wydaje i głogi;
Więc nieraz w potrzebie
Na syna i siebie
Zapłakał ów człowiek ubogi.

»Aż pracą znużony,
Aż bolem strawiony,
Raz upadł przy pługu na łanie;
I zasnął na wieki
I nikt mu powieki
Nie zawarł. — Płaczecie, mój panie?

»O, powieść nie cała;
Wszak matka została,
A matka biedniejsza na świecie:
Bo, biada każdemu
Człękowi samemu,
Lecz stokroć samotnej kobiecie.

»Więc pisać kazała
Do syna — błagała:
Rzuć miejskie wesołe to życie,
Uczcij mą siwiznę,
Wróć na ojcowiznę,
O, prędzej, przyjeżdżaj tu, dziecię!

»Ba, panie kochany,
Groch rzucaj o ściany!
Trza było z rodzinnej wyjść ziemi
I rękę przy drodze
Wyciągnąć niebodze
I zlewać chleb łzami gorzkiemi.

»Aż dzisiaj ją rano
Nieżywą zdybano
Przy dawnej zagrodzie, przy ścia-
Przez litość w tej chwili [nie;
My jej to dzwonili;
Cóż wam jest? dla Boga! mój

[panie!?

A młodzian nieznany
Wzrok toczył zbłąkany
I krzychał z oschłemi powieki:
»Ach! jam jest zabójca
I matki i ojca
I szczęścia mego na wieki!

»Jam trwoniał grosz krwawy
Na fraszki, zabawy,
Na stroje, rozrywkę przyjemną:
A ojce tu mili
Dni w nędzy skończyli!
O Boże! zmiłuj się nade mną!«

»Dziś wracam w te strony,
Zbolały, skruszony,
Osłodzić im życia ostatki;
Nagrodzić ich troski,
Żyć z nimi wśród wioski:
A niema ni ojca ni matki!«

I upadł na ziemi
I łzami krwawemi
Oblewał swe winy, zbłąkanie;
Dziad oczy skrył w dłonie,
A idąc, na stronie
Rzekł z cicha: — »Zapóźno, mój
[panie«.

Jan Nepomucen Jaśkowski.

104. Obrona Syrakuz.

Jak wielką ojczyźnie przysługę wyświadczyć może prawdziwa nauka, dowodzi tego głośna w dziejach starożytnych obrona Syrakuz, obleganych przez Rzymian pod wodzą Marcellusa.

Z dwóch stron napadnięte przez nieprzyjaciół miasto osłupiało z przerażenia; nie posiadało żadnego środka oparcia się przeważnej sile wrogów i z trwogą przewidywało chwilę, w której będzie musiało się poddać zwycięzcy. Zapomniało, że w jego murach żył wielki obywatel, uczony geometra i mechanik, który odznaczał się zarówno niezwykłym talentem jak gorącą miłością ojczyzny — Archimedes.

Onto z całym zapasem swej wiedzy i ogromnem doświadczeniem przyszedł w pomoc uciśnionej ojczyźnie. On — jak powiada Plutarch — puścił w ruch swoje maszyny — i w tejże chwili cała armia rzymska obsypaną została gradem pocisków, istnym deszczem kamieni wyrzucanych z siłą straszliwą. Nikt nie mógł oprzeć się ich ciosom — niszczyły wszystko, wywołując nieład w szeregach wojowników rzymskich. Flota rzymska kruszyła się pod ciosami belek, które wysuwane na blanki murów, spadały następnie na okręty i zatapiały je w przepaściach morza. Żelazne ręce lub dzioby żórawie unosiły całe statki w powietrze i, utrzymując przód statków w górze, rufy ich zanurzały w morskiej topieli; albo też wskutek ruchu obrotowego okręty kręciły się wokółko, a następnie druzgotały o rafy podwodne lub skały ciągnące się u podnóża murów miasta. Ginęła przy tem większa część żołnierzy składających załogę okrętów. Inni znów dziejopisarze starożytni świadczą, iż Archimedes zdołał nawet zapalić flotę rzymską, skupiwszy promienie słoneczne za pomocą stosownych zwierciadeł.

Cała ludność Syrakuz stała się ciałem, poruszanem przez Archimedesa; on był duszą ożywiającą nie tylko ludzi, ale i ma-

szyny jego pomysłu. »Tak wielka trwoga o władnęła Rzymianami — powiada Plutarch — że jak tylko spostrzegli na murach miasta kawałek sznura lub belki, cofali się w popłochu, wołając w ucieczce: Oto znowu jakaś maszyna Archimedesza przeciw nam zwrócona«.

Niestety, nauka Archimedesza nie zdołała zbawić ojczyzny: Rzymianie podstępem zdobyli miasto, a dziki żołnierz rzymski, nie słuchając zakazu wodza, zabił sędziwego mędrca. Siedział on wówczas na placu publicznym i zatopiony w rozmyślaniach, wpatrywał się w figury, które nakreślił w piasku — gdy nadbiegł żołnierz rzymski i jednym cięciem pozbawił go życia.

Lubo usiłowania Archimedesza nie były uwieńczone pomyślnym skutkiem, pomimo to nieśmiertelna sława opromienia imię jego, a nowsi uczeni wcale nie powątpiewają o prawdziwości tych cudów mechaniki, dokonanych przez wielkiego obrońcę ojczyzny; bo badania późniejsze przypisują mu bardzo liczne wynalazki i potężne, do jego czasów nieznane środki walczenia z nieprzyjacielem.

105. Jezioro Genezaret.

Jezioro Genezaret, także morzem Galilejskiem zwane, długie jest 40 *km*, a szerokie 15 *km*. Leży ono w dolinie, zewsząd skalistemi górami zamkniętej i tylko z północy otwartej nieco parowem, przez który rzeka Jordan do niej wchodzi; podobny parów znajduje się także z południa, którędy ta święta rzeka dalszy bieg swój odbywa ku morzu Martwemu. Na wschód i zachód, nad samą wodą jeziora, piętrzą się w dzikiej postawie góry i skały, a dalej w głębi widnieją szczyty, które przez znaczną część roku pokryte są śniegami.

Spoglądając na obnażone dokoła góry, czuje się jakiś smutek, który jeszcze wzrasta, kiedy zwrócisz uwagę na śmiertelną zwyczajnie ciszę jeziora.

A przecież dawniej, za życia Chrystusa Pana, dziwnie urocza była ta dzisiaj tak pusta okolica! Te dzisiaj nagie i czarne gór stoki okrywały zielone winnice i przepyszne sady; obok mnóstwa włoskich orzechów rosły figi i drzewa oliwne, a wzdłuż brzegów jeziora wznosiły się drzewa palmowe, które się dumnie przeglądały w zwierciadlanej jego toni. To też wówczas całe jezioro uwieńczone było wesołemi i pięknymi miasteczkami i osadami, a po jego gładkich wodach snuły się tysiące statków handlowych i łodzi ryba-

ckich. Leżały tu takie miasta jak Kafarnaum, Betsaida, Magdala i Tyberyada, a głąb jeziora zapełniona była niezliczonym mnóstwem przeróżnych ryb, których połów był źródłem dochodów dla bardzo wielu ludzi.

Oto miejsce, w którym najmilej przebywał i uczył Zbawiciel świata; niema tu kawałka ziemi, któregooby ten Pan przedwieczny nie dotknął najświętszą swą stopą.

Tutajto w Kafarnaum miał mieszkanie. Na tych brzegach powołał do siebie Szymona i Andrzeja i dwóch synów Zebedeusza i tak założył swój kościół. Tu z łodzi nauczał stojące na brzegu rzesze, głosząc owe prześliczne przypowieści, n. p. o sobie i o zapuszczonym niewodzie; tu nakazał milczenie rozhukanym wiatrom i falom, które ucichły na głos Stwórcy swojego. Tutaj to wśród cieniów nocy płynący łodzią uczniowie ze strachem ujrzeli Mistrza swojego, idącego ku nim po wierzchu wody; tutaj św. Piotrowi, tonącemu dla małej wiary, podał Pan rękę swą litościwą.

W tem jeziorze z rozkazu Mistrza ułowił Piotr św. rybę, w której znalazł pieniądz na opłacenie podatku; tutaj najmiłosierniejszy Zbawca leczył opętanych i chorych. Lecz jak wyliczyć wszystkie te wspomnienia, kiedy ta okolica była ulubionem i stałem Zbawiciela mieszkaniem; kiedy przy tem jeziorze i na pobliskich górach wzięła swój początek cała nauka ewangelii?

Wśród rozkosznych sadów przechodził Mistrz św. ustawicznie dokoła morza Galilejskiego z miasteczka do miasteczka, ze wsi do wsi i roznosił pocieszenie i naukę ubogim mieszkańcom.

O, jakże smutny obraz przedstawia dzisiaj ta urocza niegdyś okolica! Z Kafarnaum i z Betsaidy ani ślad nie pozostał, a Tyberyada i Magdala istnieją dzisiaj jako nędzne i opuszczone osady. Zniknęły ze wzgórz lasy i winnice, a drzewa palmowe, figowe i oliwne gdzieniegdzie tylko stoją odosobnione. Puste i odludne są brzegi jeziora, a zamiast owych niezliczonych wszelakiego rodzaju statków czasem tylko przemknie licha łódź rybacka po spokojnej szybie jeziora.

Wszelako ponad jeziorem i jego brzegami, ponad tą opustoszałą dziś okolicą unosi się święta pamięć nauki i życia Zbawiciela.

Wedł. *Ignacego Hołowińskiego*
(Pielgrzymka do Ziemi Św.).

106. Polowanie z sokołem.

Sławne było niegdyś sokolnictwo polskie. Sprowadzone od Tatarów, do tego stopnia rozpowszechniło się i wydoskonało w Polsce, że niemal każdy majątniejszy szlachcie trzymał sobie parę sokołów. Ptak ten, w Polsce ułożony, t. j. obłaskawiony i do łowów przyuczony, miał nawet za granicą wysoką cenę.

Szczególnie ulubione było polowanie na czaple.

Od króla Stefana Batorego nastała była w Polsce moda noszenia na czapce kitki z piór czaplich; ozdoby tej używały także kobiety. Była to odznaka szlachty możniejszej. Trzeba wiedzieć, że czapla ma tylko dwa takie piórka na głowie i że nosi je jedynie do lipca; przeto jedna ozdobna kitka wymagała śmierci kilkudziesięciu czapel, i to na wiosnę ubitych. Nie mógł młodzieniec milszego daru ofiarować swej narzeczonej, jak kitkę z piór czaplich, własną pracą myśliwską uzbieranych.

Nie była to rzecz łatwa. Do tego polowania używano szczególnie ułożonych sokółów. Kilku sokolników stawało po czterech bokach jeziora lub stawu, ażeby jak najbliżej poszczuć czaplę ptakiem. Na czaplę spłoszoną nie pierwaj wypuszczano sokoła, aż kiedy wodę minęła, aby przypadkiem zacięty ptak nie utopił się wraz z czaplą.

Spostrzegłszy nieprzyjaciela, wznosiła się czapla coraz wyżej i kołowała; sokół starał się górować. Walka przenosiła się coraz wyżej i coraz dalej, a towarzystwo myśliwskie po ziemi towarzyszyło na koniach. Gdy uważano, że sokół zmęczony, puszczano drugiego, a czasem i trzeciego; lecz rzadko kiedy było tego potrzeba, bo dobry sokół powinien był sam zwalczyć czaplę.

Zazwyczaj na takie łowy liczniejsze wychodziło towarzystwo z psami gończymi lub wyżłami. Gdy z miejsca trzcina zarosłego wyleciało kilka lub kilkanaście spłoszonych czapel, wypuszczali sokolnicy naraz kilka sokołów — i walka przedstawiała widok niezwykły. Tu widać sokoła górującego nad czaplą; tam już czapla z opuszczonemi nogami zniża się ku ziemi, niosąc na grzbiecie sokoła, który już wbił w nią ostre swe szpony; dalej znowu dwa sokoły z góry i z dołu okrążają czaplę, igrając z ofiarą; to znowu czapla nad jeżdźcami przewraca się w powietrzu, nastawiając dziób napastnikowi; tu już na ziemi siedzi raniona i sokołowi poddana; tam psy dopomagają sokołowi doduszać czaplę, lub właściciele, ze-

skoczywszy z rumaków, śpieszą na pomoc zagrożonym sokołom. W powietrzu słychać przeraźliwy głos czapel, kwilenie i gwizdanie nacierających ptaków — na ziemi znów okrzyki zachęcające sokoły: »Bij, bij, Kubuś!« — lub też rozkazy panów: »Nacieraj! podjeżdżaj! szczuj! broń! nie daj!«

Równie zajmujące były polowania z sokołami na zające; były to prawdziwe harce dla dziarskiej młodzieży. W polu na stepie ruszano szaraka z kotliny, ptak wypuszczony wzlatywał w górę, jeźdźcy puszczali się za nim w pogoń i nadawali mu zwroty, aby jak najmniej przestrzeni mógł ubiedz; sokół zaś jak anioł śmierci zawsze nad nim górował. Biedne zajęczysko rzucało się to w jedną to w drugą stronę, przysiadało, to znowu biegło — aż nareszcie gdzie pod krzaczkiem lub kępina utuliło się, ze strachu i zmęczenia ledwie żywe. Wtedy sokół, spuściwszy się i słysząc wzywający głos pana: Bij! bij! — całą siłą lotu uderzał na zająca i wbijał mu ostre swe szpony w grzbiet, a zakrzywionym dziobem dobijał ofiarę.

Miedzy krzaki i zarośla lub w bliskości trzciny niebezpiecznie było puszczać ptaki na zające. Gdy bowiem sokół, wbiwszy szpony w zwierza, nie raził go śmiertelnie, wtedy w ucieczce uderzony bywał o pnie i drzewa, a nie mogąc się uwolnić, nieochybnie ginął potargany. Nieraz się trafiło, że przy szukaniu zatraconych na polowaniu rarogów czyli sokołów znajdowano zwierza leżącego bez życia, a w nim jeszcze tkwiły poszarpanego sokoła szpony.

Po ukończeniu polowania całe towarzystwo wśród żartu i śmiechu rozpamiętywało przygody dnia minionego, zręczność sokołów i dzielność myśliwych, co przez błota i wody towarzyszyli walce; tymczasem sokoły, siedząc na wbitych w ziemię berłach, muskały pierze i wyciągały zmęczone skrzydła, kwiląc żałośnie, jak gdyby mimo odniesionych tryumfów wzdychały za wolnością.

Kazimierz Wodzicki.

107. Polowanie z chartami.

... »Wyczha! Tuż z pod koni
Smyknął szarak; już Kusy, już go Sokół goni.
Psy wzięto na obławę: wiedząc, że z powrotem
Na polu łatwo można napotkać się z kotem.
Bez smyczy szły przy koniach; gdy kota spostrzegły,
Wprzód nim strzelcy poszczuli, już za nim pobiegiły.

Rejent też i Asesor chcieli końmi natrzeć,
 Lecz Wojski wstrzymał, krzycząc: »Wara, stać i patrzeć!
 Nikomu krokiem ruszyć z miejsca nie dozwolę;
 Stąd widzimy wszyscy dobrze, zajęć idzie w pole.
 W istocie, kot czuł z tyłu myśliwych i psiarnie,
 Rwał w pole, słuchy wytknął jak dwa różki sarnie,
 Sam szarzał się nad rolą długi, wyciągnięty,
 Skoki pod nim sterczały, jakby cztery pręty;
 Rzekłbyś, że ich nie rusza, tylko ziemię trąca
 Po wierzechu jak jaskółka wodę całująca.
 Pył za nim, psy za pyłem: z daleka się zdało:
 Że zajęć, pył i charty jedno tworzą ciało:
 Jakby jakaś przez pole suwała się żmija.
 Kot jak głowa, pył z tyłu jakby modra szyja,
 A psami jak podwójnym ogonem wywija.
 Rejent, Asesor patrzą, otworzyli usta,
 Dech wstrzymali. Wtem Rejent pobladnął jak chusta;
 Zbladł i Asesor; widzą — fatalnie się dzieje,
 Owa żmija im dalej, tem bardziej dłuższe,
 Już rwie się w pół, już znikła owa szyja pyłu,
 Głowa już blisko lasu; ogony gdzie? — z tyłu!
 Głowa już niknie; raz jeszcze jakby kto kutasem
 Mignął: w las wpadła; ogon urwał się pod lasem.
 Biedne psy, oślepiały biegały pod gajem,
 Zdawały się naradzać, oskarżać nawzajem.
 Wreszcie wracają, zwolna skacząc przez zagony,
 Spuściły uszy, tulą do brzucha ogony
 I przybiegłszy, ze wstydu nie śmieją wzniesć oczu
 I zamiast iść do panów, stały na uboczu.

Adam Mickiewicz (Pan Tadeusz).

108. Obrona Trembowli.

W roku 1675. ponieśli Turcy pode Lwowem wielką klęskę. Ogromne ich wojsko pod wodzą Ibrahima baszy rozgromił tu król Jan Sobieski i zmusił do ucieczki. Wtedyto Ibrahim, chcąc niepomysłny skutek wyprawy złagodzić w oczach sułtana, postanowił po drodze zdobyć i zniweczyć zamek w Trembowli. Rozłożywszy się tedy obozem na okolicznych wzgórzach, począł dobywać zamku, zbudowanego na wysokiej górze.

Szeroko, jak okiem można było dojrzeć, ciągnęły się tureckie namioty, jaśniały w słońcu półksiężyce, połyskiwały działa, juczne wielbłądy nosiły amunicję, zapasy obozowe, bogactwa baszów i zdobycz, zrabowaną po drodze. Straszny był widok tej armii,

otaczającej miasto i zamek, a dyszącej żądzą zemsty za klęskę, pode Lwowem poniesioną. Jednego dnia przeszło pięćset granatów rzucono na zamek, oprócz tego z ręcznej strzelby nieustannie rażono załogę. Dwukrotnie podkładano miny pod warownie kościelne, ale czujność i baczność załogi zapobiegła nieszczęściu. W wielkiem niebezpieczeństwie byli przez cały czas oblężenia tamtejsi zakonnicy. Pewnego razu granat wpadł do refektarza podczas obiadu i trafił w półmisek z pieczenią. Mniejsza o pieczeń, której tego dnia zakonnicy nie jedli; ale można sobie wyobrazić, jakiego strachu nabawił ich ów gość nieproszony. Lecz wszystko to niczem było wobec zniszczenia zamku i rozpaczliwego położenia, w jakim się znajdowała załoga. Ciągłe bombardowanie zmieniło zamek w znacznej części w stos gruzów. Przez wyłomy, uczynione kulami armatnimi, przypuszczali Turcy ciągłe szturmy, które oblężeni z całym wysiłkiem bohaterskiego męstwa odpierali i sami czynili wycieczki dla odpędzenia pohańców; lecz mała ich garstka nie mogła mieć nadziei zwycięstwa.

Dowódca zamku Samuel Chrzanowski zwątpił już o możliwości dłuższej obrony; widział on, iż nadwerężone mury i okopy nie zdołają długo wytrzymać natarczywości wrogów, a załoga, ustawicznymi trudami wycieńczona, wkrótce zupełnie upadnie na siłach. Dopóki przez dzień cały wrzała walka pod murami twierdzy, Chrzanowski, zajęty doglądaniem obrony, nie dopuszczał złych myśli do duszy. Ale kiedy wieczorem ustał szturm nieprzyjaciół, a oblężeni na krótki czas wytechnąć mogli po całodziennych trudach i znojach, wówczas Chrzanowski niespokojnym krokiem chodził po ciemnej komnacie. Zdawało mu się, iż niema dla zamku ratunku, żadnej z nikąd pomocy. Kazał tedy zwołać towarzyszy broni na radę wojenną.

Kiedy tak dowódca zamku w coraz straszniejszą pogrążał się rozpacz, żona jego Zofia klęczała przed obrazem Bogarodzicy. Przed obrazem płonęła lampa, której blask migotliwy to oświecał oblicze Najsw. Panny, to znów przygasał, a Chrzanowska z głębi serca zanosila modły do Boga, błagając o pomoc i ratunek. Modliła się w tej chwili nie tylko za siebie i męża, ale za ocalenie miasta i za cześć ojczyzny. Bóg wysłuchał jej modłów i mimowoli uczuła wstępującą w jej serce jakąś otuchę i nadzieję.

Ukończywszy modlitwę, poszła do męża, ażeby go pokrzepić na duchu i do dalszej obrony zagrzać — gdy wtem usłyszała głos jego, przedstawiający radzie wojennej niemożność dalszej walki

i konieczność poddania się nieprzyjaciołom. Nie namyślając się długo, weszła do komnaty i stanawszy przed mężem, zawołała: »Samuelu, co mówisz? Tyżbyś miał oddać te mury w ręce wrogów? tę ziemię chrześcijańską w moc niewiernych? Możebyś obojętnem patrzeć okiem na męki współbraci i poniżenie ojczyzny? Czyż nie lepiej zginąć tutaj śmiercią męczeńską, niż spodlić się dobrowolnem ugięciem karku w jarzmo niewoli? Bóg nas nie opuści! On nas pokrzepi i nowych nam sił doda. — On nas ocali«.

Gorąca przemowa zacnej Polki podniosła upadłego ducha zebranych rycerzy i na nowo w ich piersiach dawne obudziła męstwo. Postanowiono bronić zamku do upadłego i raczej śmierć ponieść, niż haniebnie poddać się Muzułmanom.

Nazajutrz przez dzień cały trwała walka z wrogami; oblężeni bronili się dzielnie, jakby im nowych sił przybyło, a nawet ośmielili się zrobić z miasta wycieczkę i nie mało szkody wyrządzili nieprzyjaciołom, którzy się tego wcale nie spodziewali. Wieczorem dnia tego, kiedy w obozie tureckim dokoła miasta niezliczone zabłyśły ognie, bez trwogi patrzała na nie załoga zamkowa, ufając w pomoc Bożą i opiekę Najsw. Panny.

Następnego dnia o świcie dziwny widok przedstawił się oczom czuwających na zamku straży: wszystkie wzgórza, które dnia poprzedniego wypełnione były namiotami niewiernych i odbrzmiewały wrzawą niezliczonych wrogów — teraz puste były i spokojne, jakby śmierć ponad nimi przeszła. Ale nie śmierć to wymiotła Turków, lecz wypłoszyła ich obawa klęski. Sobieski, dowiedziawszy się o oblężeniu Trembowli, pośpieszył zamkowi na odsiecz; a skoro wieść o jego zbliżaniu się gruchnęła w obozie tureckim, taki przestрах ogarnął Turków, iż nocą zwinęli namioty i, uchodząc co rychlej przed strasznym pogromcą, pociągnęli śpiesznie pod Kamieniec.

Gdyby tedy nie bohaterski umysł Chrzanowskiej, byłby się poddał zamek trembowelski przed nadejściem odsieczy; ona przeto uratowała Trembowlę, a pamięć jej splotła się wiekopomnie z dziejami tego zamku.

109. Błogosławieństwo papieża.

Najważniejszą niegdyś częścią wspaniałych, a tak sławnych uroczystości Wielkiego tygodnia w Rzymie było błogosławieństwo papieża. Dwa razy miało ono miejsce w tym czasie: w Wielki czwartek i w pierwszy dzień świąt. Ostatnie było daleko wspanialsze

i uroczystsze; stąd nosiło nazwę błogosławieństwa większego. Dziś papież udziela błogosławieństwa swego tylko tym wiernym, którzy przybywają na posłuchanie, albo przesyła je listownie lub przez wysłanników; publiczna uroczystość udzielania błogosławieństwa papieskiego nie odbywa się już w Rzymie.

Naoczny świadek tego uroczystego obrzędu tak go opisuje:

Równy ze wschodem słońca huk dział i dziwnie wesoły odgłos dzwonów po mieście jest pierwszym odpowiednikiem uroczystości hasłem. Na wałach zamku św. Anioła zatknięte są białe chorągwie z herbami miasta Rzymu i papieża; powiewają nad drogą do kościoła św. Piotra i same zdają się ją wskazywać. Mszę św. przy środkowym ołtarzu odprawia zwykle sam papież, siedząc na tronie, twarzą obrócony do ludu; po bokach podług starszeństwa siedzą rzędem kardynałowie i biskupi w pontyfikalnych ubiorach, a sześciu z nich w ornatach służy do mszy Ojcu św. Wspanialszy jeszcze widok z drugiej strony ołtarza! Cały olbrzymi kościół św. Piotra napełniony ludem, który się w nim nawet pomieścić nie może, i widać przez drzwi otwarte, jak tłum ten z odkrytymi głowami cały plac i krużganki zapełnia. Po skończonem nabożeństwie obie masy łączą się ze sobą na placu, oczekując na błogosławieństwo papieża.

Ktoby chciał choć w drobnej części pojąć wielkość i wrażenie tego obrzędu, niech nie uważa na słowa opisu; ale jeśliby widział choć rycinę Rzymu, niech sobie wystawi w myśli ów przepyszny plac św. Piotra z facyatą kościoła w głębi, z olbrzymimi krużgankami po bokach, z dwoma najpiękniejszymi w świecie wodotryskami i obeliskiem w pośrodku, zamknięty z czwartej strony od miasta kilkudziesięciu rzędami powozów, napełniony kilkunastu albo i więcej tysiącami ludu, oczekującego z religijnem wzruszeniem na ukazanie się i błogosławieństwo Namiestnika Chrystusowego, a nad tem wszystkiem błękitne niebo włoskie i pogodne słońce kwietniowe!

Powietrze drży od gwaru i migoce od blasku. Wtem w głębi ciemnego okna, nad przysionkiem kościelnym, promień słońca odbił się o coś jasnego i błysnął jak błyskawica. W jednej chwili cichość powszechna! wszystkich oczy w jeden cel wryte! Jasność w oknie powiększa się, wysuwa i jednym razem, za pomocą urządzonych ku temu machiny, ukazuje się nad przysionkiem papież, siedzący na tronie, w białych szatach, w tyarze, otoczony kardynałami w purpurze, stojącymi w półkole za tronem. Huk dział, dźwięk dzwonów,

odgłos trąb, bębnow i rozstawionych muzyk zabrzmiały razem jak piorun i również nagle zamilkły.

Papież powstaje z tronu, podnosi obie ręce ku niebu i modli się za lud — nad ludem. Cichość, jakby nikogo nie było: wrażenie nie do opisanja! Papież opuszcza ręce i, zwracając się na trzy strony, błogosławi »miastu i światu« (*urbi et orbi*). Znowu działa, dzwony, bębny i muzyka jak przedtem... Cały lud padł na kolana w pokorze i milczeniu, jakby po przyjęciu Sakramentu Ołtarza! Potem papież znowu usiadł na tronie; chwilę jeszcze pozostaje na miejscu, powtarza błogosławieństwo siedzący, usuwa się od okna i znika!

Wspaniała, do głębi wzruszająca uroczystość! Kto raz był świadkiem tej chwili, z pewnością nie zapomni jej nigdy!

Wedł. *Antoniego Edwarda Odyńca*.

110. Baublis.

W wielkiem poszanowaniu u Żmudzina są dęby; niektóre z nich tak są wysokie, że wierzchołkami zdają się chmur sięgać. Żmudzini powiadają, że za dawnych czasów, kiedy Pan Bóg łaskawszem okiem spoglądał na swe dzieci, mógł człowiek, wlaższy na wierzchołek tych dębów, w ważnych sprawach rozmówić się ze swoim Stwórcą i Panem.

Ponieważ dęby w takim są tam poszanowaniu, nie wycinają ich tam, a przeto niektóre z nich dochodzą sędziwego wieku i olbrzymiej wielkości. Sławny na całą Litwę i Żmudź był dąb staruszek, nazwany Baublisem. Sędziwy ten pradziad i patryarcha drzew i lasów żmudzkich, rosnący w majątności Bordziach o trzy mile od Rosien, pamiętał najdawniejszych książąt litewskich. Stał Baublis aż do r. 1811. i okrywał omszonymi i na wpół osiwiiałymi konarami cały wierzchołek góry, zwanej Wiszni-Kałas. Ogrom jego i 700 słoów wyraźnych, prócz tych, które już były spróchniałe we środku, dowodziły niewątpliwie nadzwyczajnej jego starości, niesłychanie długiego życia, może nawet tysiąc lat liczącego; każdy bowiem słój rok oznacza. Kolos ten upadł w r. 1811. sam pod ciężarem wieku. Dąb ten należał do Dyonizego Paszkiewicza, obywatela światłego i wielkiego miłośnika pamiątek żmudzkich. Kiedy więc runął ten dąb starzec, Paszkiewicz kazał ze środkowej części pnia urządzić altanę, którą przeznaczył na przechowywanie staro-

żytnych pamiątek krajowych. Jak Baublis był ogromny, już to z tego można powziąć, że pień jego u spodu miał w obwodzie $12\frac{1}{2}$ m, a średnicy $4\frac{1}{2}$ m. Ścięty jest do wysokości 4 m, ma drzwi i okna, a pod jednym oknem mieszczą się stół i ławka, na której cztery osoby wygodnie usiąść mogą. W środku całego pnia stać może wygodnie piętnaście osób.

Emaryst Estkowski.

111. Nasze drzewa.

Zaczęli... rozmowę o niebios błękitach,
Morskich szumach i wiatrach wonnych i skał szczytach,
Mieszając tu i ówdzie, podróżnych zwyczajem,
Śmiechy i uraganie nad ojczystym krajem.

A przecież, wokoło nich ciągnęły się lasy
Litewskie, tak poważne i tak pełne krasyl
Czeremchy, dzikich chmielów opłatane wieniec,

Jarzębiny ze świeżym pasterskim rumieńcem,

Leszczyna, jak menada, z zielonemi berły,

Ubranemi jak w grona, w orzechowe perły,

A niżej, dziatwa leśna, głóg w objęciu kalin,

Ożyna, czarne usta tuląca do malin.

Drzewa i krzewy liśćmi wzięły się za ręce.

Jak do tańca stojące panny i młodzieńce

Wkoło pary małżonków. Stoi pośród grona

Para nad całą leśną gromadą wzniesioną

Wysmukłością kibici i barwy powabem:

Brzoza biała, kochanka, z małżonkiem swym grabem.

A dalej, jakby starce na dzieci i wnuki,

Patrzą, siedząc w milczeniu, tu sędziwe buki,

Tam matrony topole, a mchami brodaty

Dąb, włożywszy pięć wieków na swój kark garbaty,

Wspiera się, jak na grobów połamanych słupach,

Na dębów, przodków swoich, skamieniałych trupach.

— Kiedy zaczęto sławić cudzoziemskie gaje

I wyliczać z kolei wszystkie drzew rodzaje:

Pomarańcze, cyprysy, oliwki, migdały,

Kaktusy, aloesy, mahonie, sandały,

Cytryny, bluszcz, orzechy włoskie, nawet figi,

Wystawiając ich kształty, kwiaty i łodygi:

Tadeusz nie przestawał dąsać się i zżymać;

Nakoniec, nie mógł dłużej od gniewu wytrzymać.

Był on prostak, lecz umiał czuć wdzięk przyrodzenia

I, patrząc w las ojczysty, rzekł pełen natchnienia:

»Widziałem w botanicznym wileńskim ogrodzie,

Owe sławione drzewa, rosnące na wschodzie

I na południu w owej pięknej włoskiej ziemi;
Któż równać się może z drzewami naszymi?
Czy aloe z długimi jak konduktor pałki?
Czy cytryna karlica z złocistemi gałki,
Z liściem lakierowanym, krótka i pękata,
Jako kobieta mała, brzydka, lecz bogata?
Czy zachwalony cyprys długi, cienki, chudy,
Co zdaje się być drzewem nie smutku lecz nudy?
Mówią, że bardzo smutnie wygląda na grobie:
Jest to jak lokaj sztywny we dworskiej żałobie,
Nie śmiejący rąk podnieść ani głowy skrzywić,
Aby się etykietom niczem nie sprzeciwić.
Czyż nie piękniejsza nasza pocziwa brzezina,
Która jako wieśniaczka, kiedy płacze syna,
Lub wdowa męża, ręce załamie, roztoczy
Po ramionach do ziemi strumienie warkoczy!
Niema z żalu, postawą tak wymownie szlocha!
Czemuż pan Hrabia, jeśli w malarstwie się kocha,
Nie maluje drzew naszych, pośród których siedzi?
Prawdziwie będą z pana żartować sąsiedzi,
Że, mieszkając na żyznej łęwskiej równinie
Malujesz tylko jakieś skały i pustynię!

Adam Mickiewicz (Pan Tadeusz).

112. Chłopiec na wedecie.

Było to w czasie wojny. W piękny letni poranek oddział konnicy pod dowództwem młodego oficera posuwał się zwolna i w milczeniu połąną drożyną, badając ostrożnie okolicę. Wszyscy patrzyli przed siebie oczyma w dal utkwionemi, przygotowani na to, że lada chwila zobaczą przednie straże nieprzyjacielskie. Dojechali w ten sposób do wiejskiego domku, otoczonego jeziorami; opodal od wsi stojącego samotnie. Przed domem siedział chłopiec wiejski lat dwunastu, wystrugując sobie z gałęzi laskę; z dymnika na dachu powiewała chorągiewka o barwach narodowych; w domu nie było nikogo.

Spostrzegłszy wojsko, chłopiec wstał i zdjął czapkę.

Ładny to był chłopczyzna, o ciemnej twarzy, z wielkimi błękitnymi oczami, z długimi jasnymi włosami; ubrany po wiejsku.

— Co ty tu robisz, chłopcze? — zapytał go oficer. — Czemuś nie uciekł z twoją rodziną?

— Ja nie mam rodziny — odrzekł chłopiec — jestem sierotą. Pracuję potrosze dla wszystkich. Zostałem, aby wojnę zobaczyć.

— Przechodził tędy nieprzyjaciół? — zapytał oficer znowu.

— Nie, już od trzech dni go nie widziałem.

Oficer pomyślał chwilę, potem zeskoczył z konia, podał go żołnierzowi i po drabinie, przystawionej do dachu, dostał się na wierzchołek domu. Ale dom był niski, więc z dachu widać było niewielką tylko przestrzeń okolicy.

— Trzeba wlaźć na drzewa — powiedział oficer i zszedł na dół.

O kilkanaście kroków od domu, naprzeciwko drzwi, stał jesion, cienki, ale wysoki, najwyższy ze wszystkich dokoła, tak że jego wierzchołek, poruszany wiatrem, zdawał się kołysać w niebiosach lazurze.

Oficer spoglądał to na drzewo, to na swoich żołnierzy; nagle zwrócił się do chłopca i zapytał:

— Chłopcze, masz ty dobry wzrok?

— Ja, panie? — odrzekł chłopiec — toż ja wróbla w gnieździe o milę spostrzegę!

— A potrafisz wyleźć na drzewo?

— Na drzewo? Za jedno Zdrowaś Marya będę na wierzchołku tego najwyższego jesionu.

— I potrafiłbyś mi powiedzieć, co stamtąd zobaczysz: czy nie ma gdzie nieprzyjaciół, czy nie widać strzelb, koni?

— Pewnie, że potrafię.

— A czego żądasz za tę przysługę?

— Czego żądam? — odparł chłopiec z zadziwieniem. — A to pięknie, żądać czego!... Nic nie żądam... Żeby to dla cudzych, za nic bym tego nie zrobił; ale dla swoich.... i w ogień bym skoczył.

— Zuch z ciebie, mój chłopaku! Właź!

Chłopak zdjął buty w okamgnieniu, zacisnął rzemyk u pasa, rzucił czapkę w trawę i objął pień drzewa. Oplatał pień silnie rękami, podsadzał się nogami, i w kilka chwil był już na wierzchołku. Ledwie go można było dojrzeć, tak się tam malutkim wydawał; tylko główka jego jasna, którą oświecało słońce, wyglądała z pośród liści jak gwiazda.

— Patrz prosto przed siebie i daleko! — zawołał oficer.

Chłopiec, aby widzieć lepiej, prawą rękę od pnia odjął i przyłożył do czoła.

— Widzisz co? — zapytał oficer.

Chłopiec twarz ku niemu pochylił i rękę zbliżając do ust, aby głos uczynić donośniejszym, zawołał:

— Dwóch ludzi stoi na koniach na gościńcu.

— Daleko stąd?

— O jakie trzy kilometry.

— Co więcej widzisz? spytał oficer.

— Koło cmentarza, wśród drzew, coś błyszczy, niby bagnet.

— Widzisz ludzi?

— Nie, muszą być ukryci w zbożu.

W tej chwili ostry świst kuli przeszył w gorze powietrze i zamarł gdzieś w dali.

— Złaź, chłopcze! — krzyknął oficer. — Spostrzegli cię. Już dosyć. Złaź!

— Kiedy ja się nie boję — odparł chłopiec.

— Złaź! — powtórzył oficer. — Ale co widzisz jeszcze na lewo?

— Na lewo? — zawołał chłopiec. — Zaraz zobaczę.

Prawą ręką chwycił się drzewa, a lewą zaczął pogarniać gałęzie, gdy wtem ostry świst przeszył znowu powietrze. Chłopiec drgnął, bo kula przeleciała tuż koło niego.

— Bodaj ich kule były! — zawołał. — Naprawdę zawzieli się na mnie.

— Na ziemię! — groźnie i rozkazująco krzyknął oficer.

— Zaraz, zaraz! — odpowiedział chłopiec. — Nie mi nie będzie, drzewo mnie zasłania.

— Złaź mi zaraz! — krzyczał oficer.

Ale chłopiec, wysuwając się do pół ciała z pośród gałęzi, wołał:

— W tamtej stronie, gdzie kapliczka, zdaje mi się widzę.

Wtem trzeci świst przeleciał górą i niemal równocześnie chłopiec zaczął się spuszczać. Czepiał się zrazu to za pień drzewa, to za gałęzie; nagle ręce mu się rozwarły, leciał już głową na dół.

— Bodajecie przepadli! — wykrzyknął oficer nadbiegając.

Chłopak jak padł na ziemię z rozpostartymi ramionami, tak leżał bez ruchu, struga krwi płynęła mu z piersi. Sierżant i dwaj żołnierze zeskoczyli z koni, oficer ukląkł przy chłopcu, podniósł mu głowę, rozewał koszulę na piersi, a zobaczawszy krew płynącą z lewego boku, przyciskał chustkę do rany.

— Odwagi, chłopcze! — żyć będziecie!

— Za ojczyznę! — wyjąknął chłopiec, potem westchnął, opuścił głowę i skonał.

Oficer zbladł, przez chwilę wpatrywał się w chłopca, potem złożył jego głowę ostrożnie na trawie, powstał i jeszcze nań patrzył. Sierżant i dwaj żołnierze również nań patrzyli, kiedy siedzący na koniach zwróceni byli ku nieprzyjacielowi.

Naraz oficer poskoczył do domu, wyrwał chorągiewkę i rozpostarł ją na poległym, zostawiając tylko twarz jego odsłoniętą. Sierżant pobierał i położył przy jego boku czapkę, buty, laseczkę i nożyk.

— Na koń i marsz! — zawołał oficer. Wskoczyli na siodła, oddział się uszykował i cwałem zawrócił do swoich.

Przednia straż nieprzyjacielska, ukryta w zasadzce, widząc się dostrzeżoną, cofnęła się śpiesznie do obozu, odległego o 10 *km*, przeciw któremu ruszyła teraz cała armia. Tymczasem wieść o bohaterskiej śmierci chłopca rozeszła się już po wszystkich oddziałach, zanim wyruszyły z obozu.

Tąsamą drożyną, którędy zrana przebiegł mały oddział strzelców, ciągnął teraz pułk cały. Oficerowie, będący na czele, mijając grupę jesionów około samotnego domku, kiedy dostrzegli małego bohatera, leżącego pod drzewem i przykrytego chorągiewką, uczcili go, prezentując broń. Tożsamo czyniło wojsko, oddział za oddziałem. Jeden oficer zerwał na brzegu strumyka, który płynął przy drodze, dwa kwiaty i rzucił je na chłopca. Za jego przykładem wszyscy strzelcy, w miarę jak przechodzili, rwali kwiaty i rzucali zmarłemu. W kilka minut chłopiec był cały pokryty kwieciami, z pośród którego widniała tylko jasnowłosa główka, oświecona promieniami zachodzącego słońca i jakby aureolą świętości otoczona. Jeden oficer odpiął od swego munduru i rzucił chłopcu swój medal za waleczność; inny przyklękawszy, pocałował go w czoło. A ukłony wojskowe, okrzyki pożegnalne wciąż było widać i słyszeć, i kwiaty ciągle się sypały na bosc nogi, na pierś skrwawioną, na jasną główkę. Chłopiec zaś spał snem nieprzespanym spokojnie w trawie, owinięty chorągwią, z twarzą uśmiechniętą — jak gdyby słyszał to pożegnanie, jakby czuł owe kwiaty, jakby się radował, że oddał życie za ojczyznę.

113. Z życia Katona Starszego.

Najznakomitszym czynem wojennym Katona Starszego był jego udział w wyprawie przeciw królowi syryjskiemu Antyochowi. Ten pokonawszy wiele narodów w Azyi, rozumiał, iż żadnego już nie znajdzie odporu; widząc jednak, iż przewaga Rzymian w Azyi Mniejszej coraz bardziej rozszerza się i wzrasta, postanowił wydać im wojnę. W tym celu, przez obietnice i przekupstwo pozyskał sobie wielu Greków, którzy z rządów rzymskich byli niezadowoleni, i wylądował w Tessalii.

Gdy się o tem dowiedziano w Rzymie, wyprawiono przeciw Antyochowi konsula Maniusza Acyliusza; z nim razem wyruszył i Katon. Tymczasem Antyoch, opanowawszy cieśninę Termopylów, wzmocnił ją twierdzami, chcąc przez to zabronić Rzymianom przejścia. Widząc to konsul, zwątpił już, iżby go stamtąd mógł wyprzeć. Katon jednak, pomnąc na to, iż Persowie doszli byli wierzchołków tych gór i tym sposobem pokonali Spartanów, dostał przewodnika, który go temisamemi ścieżkami, któremi szli Persowie, wieść przyrzekł. Gdy jednak przyszło do wykonania przedsięwzięcia, pokazało się, iż przewodnik mniej był miejsc świadomy, a przeto zbłądził i w wielkie niebezpieczeństwo wprowadził Katona i jego żołnierzy.

Niestrwożony tą przygodą Katon, kazał się pułkom zatrzymać na miejscu, sam zaś z jakimś Malluszem, poszedł na zwiady. Pnąc się więc przez skały i przepaści, doszedł owej drogi i coraz wyżej postępując, dostrzegł, iż zmierzała spuszczać się ku obozowi nieprzyjacielskiemu. Postawił więc na owym miejscu widoczne z daleka znaki; tążsamą drogą, którą przyszedł, wrócił do swoich i wiodł ich tam, gdzie znaki postawił. Doszli do ścieżki; ale tej ślad niedługo trwał, i stanęli nad przepaścią, której niepodobna było przebyć. Nie wiedzieli tedy, co dalej czynić i w ostatniej prawie zostawali rozpaczy.

W tym byli stanie, gdy przed świtem usłyszeli jakoweś odgłosy i rozmowy i poznali, iż to były podслухy pierwszych straży Antyochowych; dostali z nich jednego. Ten przywiedziony do Katona, zeznał, iż niedaleko stała pierwsza część przedniej straży Etołczyków; było ich sześciuset. Wpadły więc na nich pułki rzymskie i usławszy trupem pole, rozprószyły resztę. Ci wpadając w obóz Antyocha, uczynili w nim niezmierne zamieszanie. Trwoga tem większa powstała, gdy pod tenżesam czas Acyliusz z wyborem

wojska z drugiej strony pod szanice obozu Antyochowego podstąpił i szturm przypuścił. Przedarł się konsul nakoniec w sam obóz, a gdy z drugiej strony wpadł Katon, raniony w owem zamieszaniu Antyoch uciekł, wojsko jego poszło w rozsypkę, a obóz z niezmierzonymi bogactwami dostał się w zdobycz zwycięzcom.

Zaraz potem konsul Acyliusz wysłał do Rzymu Katona z doniesieniem o zwycięstwie, jako tego, który się najdzielniej przyłożył do dzieła tak znakomitego. Z niewypowiedzianym pośpiechem, bo w pięciu dniach, przybył Katon do Rzymu i, dawszy dokładną wiadomość o tem, co się stało, wielką miasto radością nappełnił.

Ignacy Krasicki

(Żywoty zacnych mężów wedł. Plutarcha).

114. Nieproszony gość.

Kiedy Karol XII., król szwedzki, prowadząc wojnę z Augustem II., królem polskim i elektorem saskim, wkroczył do Saksonii (r. 1707.) i posunął się aż w okolice Drezna, z czterema tylko towarzyszami wyjechał dla oglądania okolic i zdala spostrzegł wieże Drezna. Zadumał się: myśl mu przyszła zuchwała odwiedzić w stolicy Augusta. Po tylu zadanych mu upokorzeniach, było to wystawić go na ostatnią próbę.

Karol XII., dojechawszy do bramy miasta, opowiedział się tam jako posłaniec od króla szwedzkiego. Zaprowadzono go na odwach główny, gdzie Flemming poznał Karola — i zaprowadził do króla. August znajdował się w zbrojowni, gdzie zwykł był pokazywać różne gimnastyczne sztuki i próby siły. Zdumiał się, zobaczywszy wchodzącego Szweda, który go uściskał przy wyrazach:

— »Dzień dobry, bracie!«.

Wszyscy obecni, widząc w swych ręku bezbronnego nieprzyjaciela, na gwałt dawali znaki i naglili na Augusta, aby go uwięził. Nie mogło to ujść oka Karola, ale nie dał poznać po sobie. August pozostał niewzruszonym: zdumiewała go odwaga Szweda.

Ze zbrojowni udali się obaj z Augustem na zamek dla pozdrowienia rodziny króla, objechali potem miasto wśród zgromadzonego tłumnie ludu. Przy biciu z dział, August odprowadził gościa do bramy, towarzyszył mu z pół mili jeszcze konno, bo się może zaszadzi Flemminga obawiał — i tak się wkońcu rozstali.

Generałowie szwedzcy osłupieli, gdy Karol powrócił do obozu i począł opowiadać o bytności w Dreźnie.

Nazajutrz na zamku była wielka rada, ale — zapóźno. August znalazł się na ten raz rycersko; ale najbliżsi jego doradcy przebaczyć mu tego nie mogli. Pobyt Szwedów kosztował bowiem Saksonię dwadzieścia trzy miliony talarów i kilkadziesiąt tysięcy ludzi.

Józef Ignacy Kraszewski.

115. Zdania Katona Starszego.

Można do Katona przystosować, co Platon mówi o Sokratesie, iż wydawał się na pozór niezgrabnym i dzikim, wewnątrz zaś pełen cnoty; gdy się odezwał, płynęły z ust jego słowa, wzruszające umysły i rozrzewniające słuchaczy.

Zwięzłe i pełne treści były mowy Katona i odpowiedzi. Oto z nich niektóre.

456

Raz powstając na zbytki, rzekł: »Ciężko takich ustrzedz od zguby, u których droższa ryba rzadka niż wół karmny»,

Innym razem przyrównał pospólstwo do owiec, co biegną na oślep nie za rozsądkiem, lecz za przykładem. »Gdyby chciały — rzekł — słuchać pasterza, który je wiezie, szłyby tam, gdzie iść należy, i zachowywałyby się w całości; lecz idą jedne za drugimi, byle tylko miały jaką owcę przed sobą. Tak też wy, Rzymianie, byleby kto na czele waszem stanął, choćby i taki, którego byście rady w szczególności nie słuchali, idziecie przecie za nim i błądzicie owczym sposobem«.

o niebacznych urzędnikach mawiał do ludu: »Obierając złych, dajecie poznać, iż albo lekko ważycie przełożęństwo, albo też iż takiego niemasz między wami, któryby był godzien przełożęństwa«.

Trafiła się raz w obecności jego rozmowa o zdaniach rozmaitych co do kunsztów i nauk. »U nas — rzekł — w takim są szacunku jak suknie szkarłatne i rzadkie«.

Wzbudzając młodzież do cnoty, a przypominając znaczne przykłady przodków, mawiał: »Jak cnotą stał się Rzym wielkim, tak występkami upadnie; jak wy się odmieniać będziecie, tak i stan państwa odmieniać się będzie«.

Widząc raz utratnika, który folwark swój nad morzem w krótkim czasie stracił, rzekł: »Mocniejszy on niż morze, co rwie brzegi tego folwarku«.

Pospolicie zwykł był mawiać: »Nienawidzą mnie za to, iż zbyt się rano budzę i wstawam z łóżka nie dla moich spraw, lecz publicznych; wolę ja jednak dobrze czyniąc nie mieć nagrody, niżli źle czyniąc zasłużyć na karę«. Mawiał i to: »Więcej służyć do nauki mądrych głupi, niż mądrzy dla głupich; bo mądrzy wystrzegają się tego czynić, co głupi czynią, a głupi nie chcą tego działać, co czynią mądrzy«.

Starał się o przyjaźń jego pewien człowiek w zbytkach zanurzony. »Nie chcę ja takiego przyjaciela — rzekł Katon — co ma więcej uczucia w ustach niż w sercu«.

Już będąc starym powiadał, iż trzech rzeczy w życiu swoim najbardziej żałował: tego naprzód, że raz powierzył tajemnicę osobie do tego niepowołanej; powtórę, iż mogąc ziemią jechać, wodą się puścił; nakoniec tego, iż samochcąc dzień jeden na próżnowaniu strawił.

Gdy osiągnął konsulat, a w podziale prowincyi dostała mu się losem Hiszpania, udał się tam i zastał zbuntowane przeciw Rzymianom niektóre narody. Ponieważ ci nieprzyjaciele znaczne mieli wojska, zażądał pomocy od Celtyberyanów; ale ci domagali się dwóchset talentów. Za wstyd to poczytali legaci jego opłacać pomoc; ale Katon, wyższy nad względy szczególne, żadaną sumę dać przyobiecał, a tym, co go o krok takowy strofowali, dał odpowiedź: »Jeżeli zwyciężymy, łatwo będzie zapłacić, jeżeli zginemy, nic nie zapłacimy«. Wyprawa była pomyślna, nieprzyjaciół Katon pokonał, a obfitą zdobyczą uiszczył się Celtyberyanom z długu. To, co pozostało, wzbogaciło wielce żołnierzy, gdyż zdobycz w różnych częściach pomiędzy wszystkich podzielił. »Lepiej — mówił — aby każdy choć niewiele zarobił, niż żeby niektórzy tylko korzystali, a drudzy powracali bez zysku«. O sobie zaś twierdził, iż poprzestaje jedynie na wyżywieniu swoim i swoich. »Nie ganię — mówił — tych, co z pracy zarobek biorą, ale sam wolę się wzbogacać w cnotę niż w pieniądze«.

Ignacy Krasicki

(Żywoty zacnych mężów wedł. Plutarcha).

116. Z Ziemi świętej.

(Ustęp z listu Juliusza Słowackiego do matki).

W Jeruzalem stanąłem dnia 13. stycznia 1837. o godzinie 9. w nocy. Bramy miasta zamknięte, cisza grobowa, księżyc — szcze-

kanie psów, odpowiadające na nasz stuk do bramy, niepewność, czy nie trzeba będzie na polu nocować — jakoweś wspomnienie krzyżackie... wszystko to pamiętnym mi uczyniło przyjazd do Jeruzalem. Nareszcie otworzono bramy — wjechaliśmy do miasta.

Noc z dnia 14. na 15. stycznia miałem przepędzić u grobu Chrystusa Pana. Na wspomnienie tej nocy tak byłem wzruszony, że łzy rzucały mi się do oczu. Noc u grobu Chrystusa przepędzona zostawiła mi mocne wrażenie na zawsze. O godzinie 7. wieczorem zamknięto kościół. Zostałem sam i rzuciłem się z wielkim płaczem na kamień grobu świętego. Nade mną płonęło 43 lamp. Miałem biblię, którą czytałem do godziny 11. w nocy. O w pół do dwunastej weszły do grobu dwie osoby, młoda kobieta i mężczyzna, jak sądziłem, małżonkowie, którzy musieli mieszkać w klasztorze i zrobili pewnie ślub odmawiać codziennie pacierz w nocy na grobie. Jakoż oboje pomodlili się krótko, pocałowali kamień i powstali; potem, przyszedłszy do mnie, oboje pocałowali mnie w rękę. Tak byłem tem zmieszany, że nie wiedziałem, jak się znaleźć. Wyszli — zostałem sam. O północy dzwon drewniany obudził w kościele księży greckich. Różne wiary, każda mająca swoją mniejszą lub większą zagrodę w tym gmachu, budzić się zaczęły na głos tego dzwonu. Bogata kaplica grecka oświeciła się lampami; na górze ormiański kościółek zapalił także świece i zaczął swoje śpiewy; także katolicy w dalekiej kaplicy zaczęli śpiewać jutrznię — słowem, o północy ludzie obudzili się, jak ptaszki w gzemsach jednej budowy budzą się, swiergocąc o wschodzie słońca. Grecy na grobie odprawiali mszę, potem Ormianie, o drugiej zaś w nocy ksiądz rodak wyszedł ze mszą w imieniu mojej ojczyzny, a ja klęcząc na tem miejscu, gdzie anioł biały powiedział Magdalenie: »Niema go tu, zmartwychwstał!« słuchałem całej mszy z głębokiem uczuciem. O trzeciej w nocy, znużony, poszedłem do klasztoru i spałem snem dziecka, które się zmęczy łzami.

Jeździłem do morza Martwego i do Betleem, gdzie słuchałem mszy św. odprawianej na żłóbku Chrystusa. Wszystkie te okolice Jerozolimy napełniają serce jakąś prostotą i świętością. Miło być w prostej grocie, gdzie anieli zwiastowali pasterzom narodzenie się Pana; miło widzieć wioseczkę Jerycha, niegdyś zburzoną głosem trąby boskiego wodza: ale ażeby opisać wszystkie wrażenia, jakich się doznało, depcząc ziemię Palestyny, trzeba by na to dzieła...

Śmierć zesłał na ciebie: — błogosław swej doli!

I umilkł Abraham, bo gałąź zwieszona
 Odkryła mu nagle słup, co miał ramiona
 I głowę — ta była ku miastu zwrócona.

Więc lepiej odchylił spalone cyprysy
 I długo poglądał na słupa zarysy,
 Na głowę, co miała znajome mu rysy.

Zestrachem się podniósł i poszedł ku drodze,
 I poznał twarz oną, skamieniałą w trwodze,
 I głośno zapłakał i zmartwił się srodze.

I usiadł pod słupem zemdlony mozołą,
 I w dłonie drgające zaciągnął swe czoło,
 A płacz swój serdeczny i oczy skrył połą.

Korneli Ujejski.

118. Cesarz Franciszek Józef I. w Jerozolimie.

Oddawna już było gorącym pragnieniem naszego cesarza, aby odwiedzić Ziemię świętą i pomodlić się na tych miejscach, gdzie Zbawiciel świata żył, uczył i cierpiał. Zamysł ten przywiódł do skutku cesarz Franciszek Józef I. dopiero późną jesienią roku 1869. Podróż ta na wschód trwała od 25. października do 6. grudnia, a odbywała się kolejną, morzem, wozem i konno przez Konstantynopol i Ateny do Palestyny, a z powrotem przez Port Said do Suezu na otwarcie kanału suezkiego, a stąd przez Aleksandryę do Tryestu i Wiednia.

Należny świadek i towarzysz podróży Najjaśniejszego Pana tak opisuje to zdarzenie:

Z Jaffy, portu palestyńskiego, wyjechaliśmy konno 8. listopada i noc spędziliśmy pod namiotem. Następnego dnia przebyliśmy dolinę Terebintów aż do Kolonii, małej wioszczyny leżącej nad strumieniem. Z niego Dawid miał wybrać owe krzemyki, którymi zabił Goliata. Tu rozbito namioty i zatrzymano się czas jakiś dla przemiany sukni podróżnych na stroje galowe; cesarz bowiem pragnął odbyć wjazd swój do miasta świętego w sposób uroczysty.

O godzinie 10. zrana wyruszył orszak podróżny w dalszą drogę. Świetnie i malowniczo wyglądał szereg jeźdźców ciągnących drogą, coraz wyżej się wspinającą aż do wzgórz, które dzielą dolinę Terebintów od doliny Kidronu. Około godziny jedenastej dotarliśmy do grzębiu wyżyny, skąd już rozpoczynały się przygotowania

do uroczystego przyjęcia dostojnego podróżnika. Bramy tryumfalne, przez austriackich poddanych wzniesione, chorągwie z napisami niemieckimi i węgierskimi, flagi i t. p. ubierały drogę, której boki zalegały liczne tłumy ludu. Przeróżne tu widać było stroje: obok ubioru francuskiego kaftan żydowski lub arabski burnus, a okrzyki *Eljen* i *Evviva* mieszały się z okrzykami Arabów, wśród dźwięków austriackiego hymnu ludu, któremu towarzyszył huk strzałów armatnich.

Dalej oczekiwali nas kapłani rozmaitych wyznań, derwisze i rabini; za nimi młodzież szkolna, deputacye chrześcijan, żydów i mahometan mieszały się z tłumami ludu, które się naprzód tłoczyły. Tak otoczeni i ściśnieni, musieliśmy wstrzymywać konie nasze i, ciągle patrząc z namiętną uwagą przed siebie, posuwaliśmy się powoli naprzód. Niejeden z nas niecierpliwszy, któremu się taka powolna jazda przykrzyła, podnosił się na strzemionach, by dopatrzyć szczytów miasta; inny znów, na którym bliskość miejsc świętych i urok wielkiej ich przeszłości potężne sprawiały wrażenie, uczuwał szybsze bicie serca. Nakoniec przecie, może na godzinę przed południem, dotarliśmy do celu naszej mozolnej podróży, skąd już pewną część miasta można było widzieć. Tu Monarcha zsiadł z konia i ukląkł na ziemi, a za jego przykładem poszedł orszak cały. Była to chwila nie do opisania podniosła, kiedy ten cały kilkotysięczny różnobarwny tłum na widok majestatu ziemskiego, korzącego się przed majestatem Zbawiciela, stanął w miejscu i uroczyste zachował milczenie. Pomodliwszy się i ucałowawszy ziemię, powstał cesarz, widocznie wzruszony. Zaraz też przedstawiło się cesarzowi kilku wyższych duchownych, poczem znowu wszyscy wsiedli na koń i ruszyli naprzód. Ścisk tłumów coraz się wzmacniał, a wkońcu doszedł do tego stopnia, iż ludzie pomiędzy konie nasze cisnąć się poczęli, że i kroku prawie uczynić nie było można. Dźwięk dzwonów, odgłosy muzyk wojskowych i huk armat mieszały się odtąd bez przerwy z okrzykami ustawicznymi tłumów.

Więcej niż pół godziny upłynęło, zanim cały nasz orszak, ciągle otoczony ruchomą falą ludu, przebył stąd krótką drogę do »bramy pielgrzymów«. Tu przybywszy, Monarcha znowu zsiadł z konia i przeszedł przez bramę pieszo, poza którą go oczekiwało miejscowe duchowieństwo katolickie pod przewodem Monsigniora Bracco, wikaryusza patriarchy jerozolimskiego, który podówczas bawił w Rzymie; ten też powitał Monarchę stosowną przemową.

Przez wąskie ulice, ścieśnione jeszcze bardziej przez ustawione wzdłuż nich szpalery wojska, prowadziło duchowieństwo Najjaśniejszego Pana do kościoła Grobu Chrystusowego. Tu pozostał monarcha na dłuższej modlitwie, a stąd przeszedł następnie na nabożeństwo, poza obrębem kaplicy grobowej odprawione. Potem cały pochód ruszył do austriackiego przytuliska, gdzie dla cesarza i dla części jego orszaku przygotowano mieszkania. Cztery dni przepędził cesarz w tem mieście, a znaczną część tego czasu obrócił na zwiedzanie miejsc świętych.

Przekonanie Europy, że dom panujący w Austrii szczerze hołduje odziedziczonej po przodkach enocie bogobojności, która nie na zewnętrznych formach, lecz na głębokiem uczuciu, na religijnej opiera się podstawie, utwierdziło się tym razem także i na Wschodzie.

119. Emiliusz Paweł i Perseusz, król Macedonii.

Kiedy wojna Rzymian z Perseuszem, królem Macedonii, od niejakiego już czasu trwająca, przewlekała się prawie bez końca, Rzymianie, poznawszy nieodbitą potrzebę śmiałego wystąpienia przeciw coraz bardziej wzmagającemu się nieprzyjacielowi, umyślili wysłać przeciw niemu wojsko znaczne, pod takim wodzem, na któregooby się zdadności nie zawiedli. Takim zdawał się być wówczas Emiliusz Paweł, już starzec sześćdziesięcioletni, ale mnogością znakomitego powinowactwa, dzielnością własnych dzieci, przymiotami i dziełami godzien piastować los ojczyzny. Jednogłośnie obrany konsulem, objął dowództwo wyprawy przeciwko Perseuszowi.

Był u Rzymian zwyczaj, iż wkrótce po swoim wyborze zwoływali konsulowie lud i naówczas składali dziękczynienia za wybór. Szedł za przykładem poprzedników Emiliusz, a gdy przyszło do mówienia, od tego zaczął: »Starałem się o pierwszy konsulat dla siebie, gdyż pragnąłem tego uczczenia; za drugim razem dla was przyjmuję to dostojenstwo, ponieważ ku tej, którą macie przedsięwziąć, wyprawie wódza wam potrzeba. Jak więc nie mam przyczyny dziękować, tak mam prawo powiedzieć wam prawdę. Jeżeli mniemacie mieć ku tej wyprawie doświadczeńszych i sposobniejszych dowódców, odstępuję im miejsca z ochotą; jeśli zaś we mnie pokładacie ufność, nie mieszkajcie się do tego, co ja mam czynić. Jeżeli bowiem zechcecie rządzić rządcą, straciecie darmo wyprawę i staniecie się godnymi wzgardy i pośmiewiska«.

Słowa te, pełne godności, wzmocniły ufność ludu rzymskiego ku sędziwemu wodzowi.

Wkrótce potem wyruszył się Emiliusz, przybył do obozu i rządnie a dzielnie przygotowywał to wszystko, co do uskutecznienia zamysłów swoich potrzebnem uznawał.

Miejsce, na którem się rozłożyli Macedończykowie, wielce było sposobne ku bitwie. Wyruszył więc w pole i Emiliusz. Przyszedłszy, zastał już wojsko Perseusza w porządnym szyku. Widząc niezmierne mnóstwo nieprzyjaciół gotowych do bitwy, wstrzymał swoich, a lubo usilnie domagali się hasła przełożeni pułków, a najbardziej Scypion, nie dał się użyć ich prośbom, lecz obracając się ku Scypionowi, rzekł: »I jabym się rwał do walki, gdybym był w twoim wieku; ale otrzymawszy już niejedno zwycięstwo, wiem, w czem błędzili zwyciężeni. Nie jest teraz pora wieść znużonego naszego żołnierza na lud świeży, który sobie wypoczął. To powiedziawszy, zatrzymał swe wojsko.

Nazajutrz, gdy postrzegli Rzymianie wychodzących ku sobie Macedończyków, ruszyli się wzajem; naonczas Emiliusz, widząc już orzeźwionego spoczynkiem żołnierza, objeżdżał pułki, wzbudzając je ku utrzymaniu sławy imienia rzymskiego.

Czoło wojsk Perseuszowych trzymali Trakowie, z postaci i wzrostu okazali i straszni; trzymali w rękach puklerze, a te białe i świetne błyszczały z daleka. Za nimi szły inne cudzoziemców pułki, z rynsztunkiem każdemu zwykłym; następowali Macedończycy, lud wyborny, w wojny wprawny, w broń opatrzoney, w spojrzeniu straszny. Hufiec ów, zawołany od czasów Filipa i Aleksandra, z wyboru narodowego złożony, stanął w pośrodku. Wszczęła się bitwa sroga. Pierwsze natarcie żołnierza rzymskiego nie wzruszyło straszego pułku; stał najeżony pociskami, tarczami zaś wzajem tak się splotły szeregi, iż się murem lśniącem wydawały. Powtórzyli Rzymianie atak w największym zapale — ale równie jak i pierwaj przedrzeć się nie mogli. Trwał więc z obu stron bój srogi; i zdawało się zwycięstwo już nakłaniać ku Perseuszowi, gdy nagłym przejęty strachem, sromotnie z placu uciekł. Mieszać się zatem poczęły wojska jego, dotąd silnie stojące. Gdy to Rzymianie spostrzegli, ostatnich sił dobywając, przeparli nakoniec skrzydła i ów niewzruszony środkowy hufiec cofać się musiał. Nakoniec przerwano szyki nieprzyjaciół, a wtenczas, gdy wręcz potykać się przyszło, nie mogli wydołać Macedończycy rozjuszonemu niezwykłym odporem

zwycięzcy i pułk ten sławny, pierwszy raz wówczas przełamany, do szczętu został zniszczony. Pozostało na placu dwadzieścia pięć tysięcy Macedończyków; wielkie mnóstwo jeńców zagarnęli zwycięzcy, albowiem Macedończycy, widząc ucieczkę swego króla, lubo dotąd niewzruszoną odznaczali się wiernością, opuszczeni i bez żadnej już nadziei obrony zostający, poddali się Rzymianom.

Tymczasem Perseusz nie zdołał ująć pogoni: dostał się w ręce Rzymianom. Gdy go przyprowadzono do obozu, wyszedł przeciw niemu Emiliusz i łązy mu stanęły w oczach na tak okropne igrzysko losu. Padł mu do nóg Perseusz, lecz Emiliusz rzekł doń: »Pocóż, nieszczęśliwy królu, przez los poniżony, jeszcze się bardziej upadłasz? Odbierasz mi sławę zwycięstwa i Rzymianom chlubę, iż z godnym siebie nieprzyjacielem walczyli. Naucz się teraz, iż cnota choć nieszczęśliwa, godna poszanowania, a niktzemność, choć i na największym stopniu szczęścia zostaje, wzgardę tylko za sobą prowadzi«. Jednak mimo te słowa, podniósł go z ziemi i oddał pod straż. Gdy potem Emiliusz wszedł do swego namiotu w orszaku namiestników, przyjaciół i dzieci, długo milczał, wreszcie tak przemówił: »Czyliż to być może, iżby człowiek dlatego, że narody zwojował, miasta zniszczył, królestwa podbił, tak był szczęściem zaślepiony, iżby i w tem, co działał, nie spostrzegł, jaka jest na świecie rzeczy niestałość, a własnem doświadczeniem nie uczuł napomnienia, które tenże los niestateczny i jemu daje! Kiedyż bowiem taka pora znaleźć się może, w którejby szczęściu zaufać można? Ćwierć godziny zniszczyła resztę potęgi Aleksandra, i następcy jego dziś u nas chleba żebrzą. Nie podnośmy się ze zwycięstwa naszego; kto wie, czyli na nas z czasem kolej nie przyjdzie!« Mówił zaś to umyślnie, widząc niepohamowaną radość i zbyt porywcze uczucie w młodzieży, która go otaczała i w której chciał przeto uśmierzyć cokolwiek zbytne zaufanie, a przez to wyniosłość.

Rozrządziwszy następnie nowo podbitym krajem, pożegnał Emiliusz Macedończyków, już do państwa rzymskiego przyłączonych, a napomniawszy ich, jak mieli ze skromnością używać swobód nadanych i żyć w jedności, wrócił do ojczyzny. W Rzymie pozwolono mu odbyć tryumf; on też odprawiał go przez trzy dni z niewidzianą dotąd wspaniałością.

Ignacy Krasicki

(Żywoty zacnych mężów wedł. Plutarcha).

120. Staropolska gościnność.

Codzienne życie ziemian polskich było wogóle skromne; zato, gdy się gość jaki zjawił, zastawiano na jego przyjęcie, co było najlepszego w piwnicy, a niewiasta polska przygotowywała dla gościa najsmaczniejsze zakąski i potrawy.

Z tym szlachetnym, pięknym rysem naszych przodków łączyła się i cnota, przekazywana z ojca na syna, że nawet najzaciętszy wróg, gdy wszedł pod dach gościnny i zażądał schronienia, był bezpieczny i mógł zasypiać spokojnie. Każdy taki gospodarz musiał w takim razie mówić do siebie, jak Cześnik w komedyi Fredry p. n. »Zemsta« na widok swego wroga:

»Nie wódz mnie na pokuszenie,
Ojców moich wielki Boże!
Wszak, gdy wstąpił w progi moje,
Włos mu z głowy spaść nie może«.

Wzgarda publiczna spotkałaby była takiego szlachcica, coby się był odważył złamać święte prawa gościnności.

Stare podanie z czasów saskich zachowało nam piękny przykład takiej gościnności. Kiedy na początku XVIII. wieku Szwedzi rozgospodarowali się w Polsce, powstałi przeciw nim Kurpie. Byli to chłopi, mieszkańcy dwóch puszczy, Myszeńskiej i Ostrołęckiej, tak nazywani od »kurpi« czyli chodaków, plecionych z łyka lipowego, których za obuwie używali. Jako mieszkańcy puszczy byli to sami celni strzelcy, niesłychanie odważni i zacięci na Szweda. Kiedy wojewodzina Działyńska na czele Kurpi jeden oddział Karola XII. wniosła i w pień wycięła, rozgniewany tem król, dla pomszczenia się na nich, ruszył w puszcze. Ale ci leśni bartnicy stali już dobrze przygotowani. Z powalonych kłód ogromnych starodrzewa potworzyli zasieki, w których bezpieczni, jakby z za murów warownych dzielny stawiali opór, ścieląc trupem idących na przebój Szwedów. Karol XII., kiedy mu Kurpie większą połowę zwycięskich chorągwi wystrzelali, ledwie z tej klęski sam uniósł życie i z jednym drabantem uchodził. Przedarłszy się przez gęstwiny leśne, wydostał się na pole i ujrzał niedaleko dwór i wioskę w pobliżu. Strudzony bojem, zmęczony drogą, bez namysłu udał się do dworu szukać schronienia i wypoczynku. Ledwie stanął na ganku, wyszedł gospodarz na powitanie gościa. A gospodarzem tym był nie kto inny,

tylko podkanclerzy Szczuka, zapalony stronnik Augusta II., a temsamem śmiertelny wróg Karola. Poznał on od razu króla szwedzkiego, bo widział go kilkakrotnie w Warszawie i w obozie. Struchlał na ten widok, cofnął się z przerażenia, ale pomny swej powinności, powitał go uprzejmie przemową łacińską i zaprosił pod dach gościnny. Dwaj jego synowie w pobliskiej puszczy dowodzili Kurpiami; nie łatwiejszego nie było, jak ująć takiego wroga króla polskiego. Tego Szczuka nie zrobił; nakarmił go, напоił, dał nocleg wygodny i spokojny, a nazajutrz wyprowadził sam Karola wraz z towarzyszem boczną drogą na bezpieczny gościniec, którym się dostał do swoich chorągwi.

121. Trzy lipy

Cóż znaczy to grono osób odświętnie przybranych, stojące nad dołem świeżo wykopanym, obok dwóch rozłożystych, nieopodal schludnego dworku? Oto starzec sędziwy młode drzewko trzyma w rękę i raz w niebo, drugi raz wkoło siebie z rozkoszą spogląda; mąż w dojrzałym wieku, przy nim stojący, wzroku z niego nie spuszcza; a dalej stoją niewiasty, młodzieńcy, dziewice, dziatki płci obojej; pełza nawet troje niemowląt na ziemi. Wyraz pokoju i radości maluje się na twarzach wszystkich, a łzy w niektórych oczach, staranność ubiorów, tkliwą jakąś uroczystość zwiastują. — Wszyscy milczą, ale nareszcie starzec stawia drzewko w dół świeżo wykopany i tak się odzywa:

— Stoisz obok mnie, kochany synu! — stoisz, droga żono! — i wy lube córki! Wieńczy czoło moje najpiękniejsza starców korona! otaczają mnie dzieci mych dzieci! Przyszlście wszyscy święcić wraz ze mną dzień, do którego wzdychałem od młodości mojej — dzień, który mnie stawia w jednym rzędzie z cnotliwym dziadem moim i ojcem.

Kiedy sześćdziesiąt siedm lat temu dziad mój, równie jak ja teraz, siedmdziesiąty rok skończył, zasadził pierwszą w tem miejscu lipę, aby wraz z nią niejako cnotę w dziedzinie swojej wkorzenić. Cnocie on bowiem całe swe życie poświęcił. Osiadł w tej wiosce z synem, jedyną pamiątką po zmarłej od kilku lat żonie. Tu trudniąc się wychowaniem jedynaka, polepszeniem bytu włościan, wypłacał resztę długu Bogu i ojczyźnie. W tem ustroniu, wolny od kłopotów, jakie mają ludzie na wysokich stanowiskach, doszedł

spokojnie do sędziwego wieku. W dniu, kiedy siedmdziesiąt lat skończył, z poblizkiego lasu wziął młodą lipę, własną ręką w tem miejscu dół wykopał i zawołał jedyne go syna. Przybiegła wraz z nim hoża synowa, trzyletnie dziecię trzymając na ręku. Tem dziecięciem ja byłem, i pomimo tylu lat przeciągu zdaje mi się jeszcze, że widzę dziada mojego, jak w dole wykopanym trzyma młodą lipę, a z niepojętym wyrazem patrząc na syna i wnuka tak przemawia:

Synu mój dzień śmierci mojej już blizki. Jak ja dziś to drzewko, tak ty wkrótce zwłoki moje garścią ziemi przykryjesz; daleką więc ode mnie wszelka chełpliwość i duma. Nie było zapewne życie moje wolne od błędów; gdybym drugi raz żyć rozpoczynał, byłbym lepszym bez wątpienia; alem nigdy ani się zaparł, ani bluźnił Boga, nie odstępiałem od wiary i przepisów Jego, nie skrzywdziłem nikogo, nie złamałem danego słowa, nie zdradziłem zaufania, nie opuściłem przyjaciela w nieszczęściu, publiczne dobro zawszem przekładał nad własne; nie zmieniałem się za odmiennym wiatru powiewem, nie uwiódł mnie nigdy blask wielkości i złota, i dusza moja żadną nie splamiła się podłością. Czekam też bez trwogi nadchodzącej śmierci, a na znikające życie oglądam się z rozkoszą. Za to, Bóg w dobroci swojej, chcący widać cnotliwemu życiu memu już ziemskiej użyć nagrody, pozwolił nieskazitelnemu sumieniu błogim darzyć mię spokojem. To słodkie uczucie, jakiego dziś doznaję, długie pasmo dni moich pamięcią przechodząc, to uczucie tobie, synu, wnukom i prawnukom moim w nieprzerwanem dziedzictwie przekazać pragnę. Na pamiątkę więc tego słodkiego uczucia sadzę w tem miejscu to drzewko i takie wyrzekam słowa:

»Gdy ty, synu mój, a po tobie ten syn twój, i synowie najstarsi wnuków i prawnuków twoich, dojdą do mego wieku i obejrzą się na dni upłynione swego życia, a sumienie ich będzie pełne takowej jak moja radości: wtedy niech wprost lipy mojej swoje zasadzą«.

O Ty, wielki Boże! — zawołał zginając kolana — pozwól, niech cały szereg takich lip powstanie i niech w nim żadnej przerwy nie będzie!»

Uczyliły te słowa wrażenie na umyśle trzydziestoletniego już syna, utkwily w pamięci trzechletniego wnuka. W czterdzieści lat potem ojciec mój, idąc ciągle śladem szanownego rodzica, równie

jak on cnotliwy i stały, tę drugą lipę zasadził. A ja dziś z takim samym jak oni uczuciem — w tem tylko od dziada i ojca szczęśliwszy, że nie jeden syn, ale liczna otacza mnie rodzina — tę trzecią lipę tu sadzę.

To powiedziawszy, starzec zgiął kolano i modlitwę dziada z skruszeniem serca powtórzył.

Wedł. Klem. z Tańskich Hoffmanowej.

122. Procesye OO. Trynitarzy.

Ze zmianą czasów zmienia się także i charakter krajów i miast. Dawniej słynał Lwów ze swojego położenia w sąsiedztwie pogan. Bliskość Tatarów w Krymie, Turków w Chocimiu i Kamieńcu, częste najazdy tatarskich, a wojny z tymi pozwalały temu miastu zasłużyć sobie na miano »przedmurza Polski, warowni chrześcijaństwa«.

Smutną tę sławę opłacał wszystek kraj przyległy mnogimi klęskami i ofiarami. Jedną z najpospolitszych była niewola w rękę Ordy lub Turka. Sprawiała ona tyle straty ludności, co mór nieustający. Jasyr gnębił osobiście niższe klasy narodu. Możni panowie siedzieli bezpiecznie w swoich zamkach lub dobrach odleglejszych, a popadłszy w niewolę, miewali okup nietrudny. Ubogi szlachcic, włościanin, rodzina kmiecia szły zwyczajnie na całe życie w kajdany.

Następczające się przeciw temu środki zaradcze, jak n. p. zbrojne odbicie niewolnika w pół drogi, wymiana za jeńców nieprzyjacielskich, zdarzały się nazbyt rzadko. Potrzeba było ciągłej, codziennej pomocy. Doczekano się jej nareszcie w osobie zakonników św. Trójcy, przeznaczonych swoją regułą zakonną do wykupywania więźniów z niewoli pogan.

Chcąc przyjść w pomoc potrzebom prowincyi wschodnich, postanowił król Jan III, po zwycięstwie pod Wiedniem wezwać z Hiszpanii do Polski ten zakon. OO. Trynitarze przyjęli z radością uwiadomienie o nowootwierającej się im ojczyźnie i zaraz przybyło stamtąd dwóch braci duchownych, przeznaczonych do rozkrzewiania nowej reguły w Polsce.

Już w niespełna pięć lat po oswobodzeniu Wiednia, na wiosnę r. 1688., odbyła się we Lwowie po raz pierwszy nieznana dotąd procesya, która całe miasto radośnem przejęła zadziwieniem i wzruszeniem. Przy odgłosie pieśni pobożnych i wszystkich dzwonów kościelnych postępowali przez rynek od bramy halickiej ku krakowskiej dwoma rzędami OO. Karmelici i Trynitarze. Pomiedzy nimi naprze-

mian z zakonnikami szli jacyś ludzie ubodzy w podartej odzieży, o znękanych długiem cierpieniem licach: jeden staruszek, dwóch mężów w dojrzałym wieku, dwóch młodzieńców i dwie kobiety, młodsza z dzieckiem na ręku. Był to pochód ośmiu oswobodzonych z niewoli pogańskiej jeńców, których OO. Trynitarze wykupili świeżo od baszy tureckiego w Kamieńcu i pierwszym tego rodzaju obrzędem wprowadzili do swego klasztoru przy ulicy Krakowskiej.

Tak stało się zadość szlachetnemu życzeniu bohaterskiego króla i ośmnaście razy odtąd powtarzała się we Lwowie podobna procesya.

Przy dalszych takich obrzędach występowało nierównie więcej ofiar oswobodzonych, niekiedy do pięćdziesięciu i sześćdziesięciu. Każdy z tych obrzędów był jedną nową kartą tej smutnej powieści o niewoli pogańskiej, która przez kilka ostatnich wieków naszej historii tak nierozzerwanie spletała się z powieścią o wojnach tatarskich i tureckich. Niekiedy wprowadzenie nowowykupionych jeńców do stolicy ojczystej miało charakter oryginalny, wysoce zajmujący. I tak n. p. procesya w r. 1720. była przeważnie procesją dzieci. Na czele dwudziestu sześciu jeńców w podeszłym wieku, wykupionych po kilkudziesięcioletniej niewoli, postępowało ośmnaścioro dzieci płci obojej po cztery, sześć, dziesięć i więcej lat. Były to sieroty zmarłych w niewoli rodziców, wyrosłe w zupełnem zaniedbaniu, bez chrztu i wiadomości o Bogu.

Najświetniejsza ze wszystkich była procesya wyzwolenców w r. 1724. Składała się ona głównie ze starców. Stawali wówczas na ziemi ojczystej starcy zgrzybiali, którzy ją opuścili w młodości; wracali ludzie w wieku podeszłym, którzy jej wcale nie znali, gdyż jeszcze w dziecięcych latach uprowadzeni w niewolę, mogli chyba jak najciemniejsze zachować wspomnienie o swoich stronach rodzinnych.

Na czele tej procesyi postępował dziewięćdziesięcioletni staruszek, Stanisław Komorowski z Sieradzkiego, niegdyś przed 48 laty porucznik wojsk narodowych; dostał się do niewoli pod Kamieńcem wraz z żoną Jadwigą, która teraz równie zgrzybiałą staruszką wracała do kraju. Za nimi szedł siedmdziesięcioletni starzec, syn szlachecki z Podola, który w ośmnastym roku życia pojmany, przebył w niewoli aż 52 lat. Pod ich przewodnictwem ciągnęli niemniej sędziwi towarzysze, z których dwaj, wyżsi niegdyś wojskowi w kraju, liczyli 76 lat życia, a po 44 lat niewoli. Za nimi szli siedmdziesięcioletni starcowie, którzy po 36 do 40 lat niewoli przebyli. Młodszy od nich, tylko sześćdziesięcioletni wyzwoleniec Antoni,

uprowadzony niegdyś dziecięciem, nie wiedział wcale, ani jak się nazywa, ani w której stronie dom miał rodzinny. Jego pięćdziesięcioletni druh Jan, również w chłopięcym wieku porwany w jasyr i do Carogrodu zaprzędany, wiedział, że się nazywa Zaleski; lecz jakże wśród tylu w Polsce Zaleskich znaleźć swoich najbliższych?

Wkrótce potem zmieniły się czasy i stosunki. Potęga ottomańska upadła, a w r. 1783. odbyła się ostatnia pielgrzymka trynitaraska.

Karol Szajnocha.

123. Dwie majówki.

Odyniec, towarzysz i przyjaciel Mickiewicza, wydał w starszym już wieku ciekawe Wspomnienia z przeszłości, w których między innemi w bardzo zajmujący sposób kreśli obraz lat swoich szkolnych i całego życia ówczesnej młodzieży na Litwie. Piękne to były czasy, kiedy uczniowie, najściślejszymi związani węzłami koleżeństwa i przyjaźni, czynem i radą wspierali się wzajemnie w naukowej pracy i w cnotliwym życiu. Nauka i cnota to były cele, do których wszyscy z szczerem zdążali zapałem; stądto z grona ówczesnej młodzieży litewskiej tylu wyszło mężów zacnych i uczonych.

Ale obok nauki środkiem kształcenia umysłu i serca była także zabawa. W tym celu od czasu do czasu, w dni świąteczne lub feryalne urządzano sobie wspólne wycieczki poza miasto. Takie to dwie majówki opisuje Odyniec w swoich Wspomnieniach. Oto jego słowa:

Było to na Zielone Świątki w r. 1820., kiedy jeszcze kończyłem klasę szóstą w Borunach. Ojciec mój, korzystając z feryi świątecznych, wziął mię ze sobą na kilka dni do Wilna, ażeby się zobaczyć z Antonim Frejentem, uczniem uniwersytetu, z którym od dawna żyłem w przyjaźni, chociaż o kilka lat starszy był ode mnie. Frejent, który męę swoim Benjaminskiem albo Telemakiem nazywał, ucieszył się mojem przybyciem, tem bardziej, że właśnie w poniedziałek świąteczny miała się odbyć wielka koleżeńska majówka. Obiecał więc wziąć mię ze sobą.

Dnia tego nie zapomnę nigdy. Już o wschodzie słońca stanąłem z Frejentem na Popławach, w uroczem ustroniu nieopodal od Wilna. Przed niskim domkiem drewnianym, noszącym szumną nazwę Jeruzalem, nakrywano długie, wąskie stoły, zastawiając je dzbanami słodkiego i garnkami kwaśnego mleka, które miało stanowić śniadanie dla przeszło stu bliżej ze sobą połączonych kole-

gów; koszt na nie wszyscy złożyli sami. Jakoż różnemi drogami, po kilku, po kilkunastu zaczęli wnet przybywać goście, same rzeskie, wesołe chłopaki, do których serce mi lgnęło; wszyscy z życzliwością i poważaniem witali mojego przyjaciela. Ten wszakże nie przedstawiał mnie żadnemu z nich; patrzyliśmy więc tylko z daleka na siebie, ja na nich, a oni na mnie.

Wtem jeden z nich przybiegł i woła: Zan, Zan idzie! Wrażenie, jakie ta wieść sprawiła na wszystkich, wskazywało, jaką czcią młodzież otaczała przewodcę swojego, Tomasza Zana, młodzieńca wyższego umysłu i najszlachetniejszego serca. Wszyscy ruszyli na jego spotkanie i mnie iść z sobą kazali. Na czele licznego grona kolegów szedł dwudziestokilkoletni młodzieniec, z kruczym, w pierścienie wijącym się włosem; z czarnem, prawdziwie promienistym okiem, z którego uśmiechu i twarzy tchnął taki wyraz uprzejmej dobroci, że odrazu chwycił za serce. Obok niego szedł niższy wzrostem, choć nieco starszy wiekiem, w którego obliczu także malowała się dobroć, tylko że nie tak wesoła i żywa. Z postępowania wszystkich widocznem było, iż oni obaj rej wiodą między młodzieżą. Byli to Tomasz Zan i Jan Czeczot.

Frejent z uśmiechem pozdrowił ich po wojskowemu, a gdy się zatrzymali, wziął mię za rękę i przemówił żartobliwie: »Oto jest ten mój Benjaminek, o którym wam mówiłem«. Zan wyciągnął ku mnie rękę z takim uśmiechem i z takim spojrzeniem, że byłbym ją pewno pocałował jak w szkole księdza prefekta, gdybym się był widzów nie wstydził. Czeczot zaś, podając mi także rękę, zapytał z uśmiechem: »Czy Benjaminek lubi się uczyć? bo my tutaj tylko takich Benjaminków radzi widzujemy«. Nie śmiałem na to odpowiedzieć, ale sam Zan odpowiedział za mnie, polegając na tem, co wie od Frejenta i co sam, jak się wyraził, »czyta z mojej twarzy«. To rzekłszy, wziął mię za rękę i szedł dalej, rozmawiając ze mną.

Następnie Frejent po kolei przedstawiał mię innym kolegom, których jeszcze nie znałem. Od tej chwili zaczęła się moja pierwsza znajomość, a potem szczerza, wzajemna i niezmiennie trwająca przyjaźń z tylu kolegami, którzy później charakterem swym i pracą powszechnie zdobyli sobie uznanie w kraju i za granicą.

Po odbytem śniadaniu cała gromada razem zapuściła się w przeszłiczne dąbrowy popławskie — i zaczęła się prawdziwa studencka majówka. Grano w metę, w palanta, bawiono się w zająca — zu-

pełnie jak u nas w Borunach. Ja jednak razem z Frejentem trzymałem się ciągle przy starszych i poważniejszych, nie mogąc się jakoś całkiem ośmielić. Czeczot, siadłszy na jakimś pniu świętego drzewa, kazał mi deklamować jakie moje wiersze. Zan i inni słuchali stojąc. Byłem jak w gorączce, a deklamowałem dumę o Ludgardzie, nieszczęśliwej żonie króla Przemysława. Dumę tę moi koledzy boruńscy uważali za moje arcydzieło; a i tu Czeczot kręcił nieraz głową słuchając, Zan zaś, gdy skończyłem, pocałował mię w czoło. Było to dla mnie jakby namaszczenie.

Wróciłem jak w pół obłąkany do ojca, tak byłem upojony tem wszystkiem, co w tym dniu widziałem i czułem; i dobrze, że Frejent był ze mną, który też ojcu mojemu przyczynę tego stanu mego wajaśnił.

Na tej pierwszej majówce posłyszałem też po raz pierwszy imię Adama Mickiewicza i dowiedziałem się, że był najpierwszym między kolegami poetą. Trzy jego piosnki po kolei śpiewano pod przewodnictwem Zana.

Poznałem go osobiście dopiero w rok potem, na tychże samych Popławach i na takiejże samej majówce czy uczcie koleżeńskiej.

Było to również w drugi dzień Zielonych Świątek (w maju r. 1821.); gotowała się wielka uroczystość. Wszyscy chcieli w dniu tym okazać dowód czci, miłości i wdzięczności dla tego, który wszystkich skupił i połączył, t. j. dla Zana. Za godło tego hołdu uchwalono pierścień złoty z napisem: »Przyjaźń zasłudze«, a wręczyć go w imieniu wszystkich miał Mickiewicz, wówczas już nauczyciel w Kownie, który na dzień ten zapowiedział swój przyjazd. Wszyscy przeto z bijącym sercem oczekiwaliśmy Zesłania Ducha świętego.

W dniu tym o godzinie 9. rano zebraliśmy się w kościele św. Jana na mszę, a młodzież akademicka wykonała muzykę mszalną. O czwartej po południu wszyscy mieli się zebrać w miejscu wskazanem za miastem. Było to za Markuciami w górach. Podłużny, prostokątny, śliczny gaik brzozowy wśród pola stanowił salon zebrania. Nieopodal niższe zarośla służyły mu za bufet i miały podobieństwo koczowiska Cyganów. W okrag wielkiego ogniska, gdzie się nastawiały samowary, stały konie przywiązane do wozów, które przywiozły z miasta naczynia i wiktuały. Wyznaczeni gospodarze, z tytułem stolników, zajmowali się wyłącznie przygotowaniem biesiady. Obok dzbanów blaszanych z mlekiem słodkim i czarnych

wysokich garnków z kwaśnem, piętrzyły się stosy mis glinianych i łyżek drewnianych, dostarczonych, równie jak mleko, z poblizkich wsi okolicznych.

O godzinie czwartej, jak było zalecono, wszyscy już byli na miejscu i tylko na Mickiewicza czekano. Wiedziano, że wyjechawszy z Kowna najraniej, nie mógł przyjechać pierwszej jak o czwartej. Malewski oczekiwał na poczcie, aby go prosto stamtąd przywieźć na miejsce zebrania. Starsi wyszli na jego spotkanie i mnie Czeczot kazał iść z sobą.

Ujrzelśmy wnet drażki pędzące cwałem i Malewski powiewał chustką w powietrzu na znak, że wiezie pożądanego gościa. Pamiętam tę chwilę tak żywo, jakbym dziś ją miał przed oczyma. Adam machał czapką w powietrzu na znak powitania, ale chociaż wzrok wyteżałem, twarzy jego z daleka dojrzeć nie mogłem. Kiedy się zbliżył, Czeczot pierwszy wziął go w objęcia i długo ściskali się nawzajem. Z kolei wszyscy inni znajomi witali go niemniej serdecznie. Ja najmłodszy i nieznajomy stałem na uboczu i byłem ostatni, którego mu Czeczot przedstawił. Potem jakby w tryumfie poprowadziliśmy go do reszty zebranej młodzieży, która z gorącym witała go zapalem.

Nastąpiło wręczenie pierścienia. Wśród koła otaczających kolegów przemówił Adam bardzo podniosło i pięknie, wymieniając nie szereg zasług, ale wielkość wpływu Zana na młodzież i spodziewane stąd na przyszłość owoce. Zaszczyt wyboru siebie na oddawcę pierścienia przypisał jedynie temu, iż wszystkim wiadomo, jak on go szczerze i serdecznie kocha. Potem jeden z kolegów wystąpił z wieńcem z liści dębowych i włożył go na skronie ukochanego przewodnika. To dało hasło wesołości ogólnej, objawiającej się w rozmaity sposób przez cały ciąg zabawy, przy odgłosie choralnych pieśni i przy muzyce fletu Frejenta, który wkońcu zagłuszyły słowiki, gdyśmy już w nocy przy księżycu przez las wracali do miasta.

Kilka jeszcze dni zabawił Mickiewicz w Wilnie. Widywałem go codziennie, a ujęty jego dobrocią, pokochałem go serdecznie tak, że odtąd w marzeniach i myślach moich pozostał na całe życie.

Ant. Edw. Odynieć
(Wspomnienia z przeszłości).

124. Wyjazd na kresy.

Nie darmo w stepy ukraińskie z dawna
Młódź się garnęła ochocza do boju,
Boć po hetmanach kraina to sławna,
— A woda bywa najczystsza u źródłu —
Ojczyzna mogił, to ziemia rycerzy;
Kto w Boga wierzy, ten i w szablę wierzy.

Kiedy mię ojciec z Dubiecka wyprowiał
W drogę na kresy, nie długo zabawiał:
»Idź w dzikie pola, kędy życie chrobre
I *exercitium* dla młodego dobre;
Zawsze na koniu i zawsze w obozie,
W służbie, w posłuchu i w hetmańskiej grozie»

Tak i to, takie brała namaszczenie
Rzeczpospolita na domowym progu;
Było rycerstwo, bo było sumienie
I cześć dla starszych i ufanie w Bogu.

Z ciężkiem ja sercem wyjeżdżałem zrazu;
I dzisiaj jeszcze zapomnieć nie mogę
I ojca mego i matki obrazu,
Boć też uczciwie wyprowili w drogę!
Cztery wierzchowe, trzy konie do bryki
— A bryka była i łubem wyszyta
I jak spiżarnia pani matki syta —
Chłopcy gotowe na trud i wybryki,
Dobrze okryte i jak ja niegłodne;
Zaprząg był nowy, rzędy były sprawne;
Dał też jegomość i trzy szable sławne
I prócz szturmaka dwie strzelby dowodne,
Dwie smycze chartów i sygnet herbowy
I trzos z tynfami i kaftan łosiowy
I rzekł poważnie, gdy to wszystko dawał
Gdym stopy jego ścisnął najgoręcej:
»W pocziwej sprawie będziesz Wasze stawał;
O tem, co daję, masz się Waśc sposobić
I w łasce Bożej fortuny dorobić
I dobrej sławy, bo nie dam nic więcej!«

A matka znowu dała pokryjomu,
Jeszcze w dni kilka przed wyjazdem z domu
Dała, jak mówią, na dziś i na jutro:
Więc drogą spinkę, strojne czaple pióro,
Rysia na kołpak, niedźwiedzia na futro;
A bryka była i płótnem i skórą

Dobrze ładowna, że zapasu stało
 Jeszcze w lat parę dla mnie i czeladzi;
 A nadto jeszcze (co nigdy nie wadzi)
 I sto czerwonych złotych się dostało;
 A oprócz tego na mundur osobno,
 Aby nie tykać woreczka ze złotem:
 Więc się w świat można było puścić o tem,
 Choć w sercu było długo mi żałobno.

Po drodze było jeszcze dość scen rzewnych;
 Bo ojciec kazał objechać mi krewnych,
 Błogosławieństwo na drogę uprosić
 I zlecić siebie łasce i pamięci.
 Więc nieraz przyszło jeszcze oczy zrosić;
 Bo ileż serca i co dobrych chęci
 Miał ten świat polski dla młodego człeka!
 Każdy obdarzył — bo podróż daleka,
 I błogosławił — bo kolej niepewna,
 I żegnał chlebem na domowym progu
 I dał przestrogę i polecił Bogu,
 Że dzisiaj o tem pamięć jeszcze rzewna.

Wincenty Pol (Mohort).

125. Ławra peczerska.

Każdego, przybywającego do Kijowa, zajmują nadewszystko jego sławne pieczary, o których tyle bajek cudownych powtarzają ci, co je widzieli, i ci, co ich nie widzieli. Przebywszy całą dzielnicę miasta, zwaną Peczerskie, pięknymi odznaczającą się gmachami, wyjeżdża się ku twierdzy. W środku niej złocistemi kopułami świeci Ławra, ta Jeruzalem Rusi, do której od wieków tyle pobożnych ciągnie pielgrzymów, aby ucałować nogi w niej spoczywającym zmarłym pustelnikom. Wysoka wieża - dzwonica już zdala oznajmuje Ławrę. Wchodzi się na dziedziniec obszerny, otoczony gmachami, a napełniony mnichami, których tu zowią czernicami. Spostrzegamy naprzód dziwnie ozdobny a piękny front cerkwi, wejście zaś do niej okazuje się w zagłębieniu, ozdobionem malowaniami, na ogromnych blachach przybitemi. Co mianowicie odznacza cerkwie tutejsze, to sposób ich zdobienia zewnątrz i wewnątrz i kopuły. Kopuły te, jakkolwiek niskie, mają w sobie coś bizantyńskiego; uderza najwięcej nagromadzenie ich, skupienie i rozmaita wielkość. Świetne, a może aż nadto błyskotliwe zewnątrz ozdoby, na które składają się wszystkie barwy tęczy, srebro i złoto, coś także mają wschodniego.

Wewnątrz Ławra jest tajemnicza, wspaniała a smutna. Całe prawie ściany jej i przegrody okrywają złoconia: złoconia na kopule, złoconia we drzwiach, złoto wszędzie. Na przodzie, w głębi jaśniej kołem ogromnem cudowny obraz Bogarodzicy, który się na sznurach zniża i podnosi. Dokoła na podwyższeniach leżą ciała pustelników w trumnach bogatych, otwartych, a do nich cisną się ze świeczkami, ofiarami i modlitwą pielgrzymi pobożni, całując naprzód ziemię, potem nogi i ręce zmarłego pustelnika.

W ciemnej świątyni, całkiem prawie złoconej, a poczerniałej od czasu i od dymu kadzideł i świec, te stojące wszędzie trumny pomnażają jeszcze uczucie religijnej grozy, oraz uczucie czci i uszanowania. Z wszystkich stron leżą pustelnicy i śpią snem błogosławionych, spokojnym, nieprzerwanym. U stóp ich to mnich czarny, to mniszka, to wieśniak, to stary żołnierz odstawnny*) klęczy, przylepiwszy cieniuchną świeczkę ofiarną do trumny. Wśród cienia jaśnieją te światełka jak gwiazdki, a z posępnej ciszy, przerywanej tylko cichem po suknie stąpieniem, nagle powstający głos przeciągły śpiewu pobożnego uroczyście przejmuje. Na lewo cerkwi, na murze czarnym, są portrety kilku hetmanów kozackich, ciemne jak przeszłość postaci, poważne i groźne. Z ogromnych opon wyglądają twarze wąsate, oczy czarne, nieruchome i blade lica.

Przeszedłszy długie galerye i dziedzińce Ławry, staje się u wejścia do pieczary bliższej, przy której jest bogata kaplica. Tu pielgrzymi kupują świece i zapalają je u lampy. Zakonnik starszy błogosławi klęczącego przed sobą mnicha, który ze świeczką w rękę poprzedza długi szereg pobożnych i wązką szyją spuszcza się w pieczarę. Pieczary wykute są w żółtej i białej glinie, z półokrągłym sklepieniem, mało co wyższe nad 2 m, mało co szersze nad 1 m, wyłożone kamieniem lub blachą; a po obu bokach tego wąskiego, ciemnego korytarza ukazują się wgłębienia, w których na podstawach wywyższonych, w trumnach odkrytych, przybrani w jedwabne suknie, pokryci oponami jedwabnymi, spoczywają dawni tych pieczar mieszkańcy. Nad każdą trumną jest obrazek i tabliczka z napisem imienia. Przewodniczący pochodowi zakonnik zatrzymuje się przed każdym, wymawia imię jego głośno i dodaje:

— Módl się do Boga za nami!

*) Odstawnny, uwolniony z wojska.

Pobożni pielgrzymi całują przed każdym zmarłym, uaprzód ziemię, potem stopy jego i ręce, poczem idą dalej. Czasami na prawo i lewo ukazują się drzwi zaparte, wiodące do pieczar dalszych, których nikt nie zwiedza; głośnie są podania o rozciąganiu się ich popod Dniepr i dalej.

Pieczara ta w dół zbiega, to się podnosi znowu, to rozłamuje na dwie i więcej gałęzi. Spotyka się w niej cele; małeńkie tra-pezy (jadalnie, refektarze) i cerkwie podziemne z wyłożonymi ikonostasami*), gorejącami lampami. Niekiedy wskazuje mnich okienka, otwory cel, w których żyli i pomarli święci zatwornicy, czyli zamknięci, co dobrowolnie zakopawszy się żywo w tym grobie, w ciemności i samotności o niebie tylko i wieczności marzyli.

Przechód przez pieczary jest uroczystym i przejmującym: te groby, zewsząd otaczające, odkryte, to przejście wąskie, te cerkwie złociste, zjawiające się na zawrocie nagle i błyskające w ciemnościach, silne czynią wrażenia. W pieczarach są groby sławnych mężów; między nimi Nestora, pierwszego historyka Rusi.

Józef Ignacy Kraszewski.

126. Tatarczuk, kątnik poleski.

Wpółśród puszczy poleskich wznosił się klasztor OO. Cystersów, fundacyi jednego z zacnych wojewodów nowogrodzkich. Wyniosłe kopuły, a na nich złożone krzyże wskazywały wychowañcom niedostępnych jarów pewną drogę, oraz przypominały wpół zdziczałym mieszkańcom lasów obowiązki względem Boga i ludzi.

Pobożny fundator nie szczędził szkatuły na wzniesienie Pańskiego przybytku, ale pełną ręką sypał fundusze, które łaska Boska w jego progi nagromadziła, i ochotnem sercem patrzył na wznoszące się śmiałe wieżycy, na ustawiane bogate ołtarze, na sprowadzone z zamorskich krajów złotem tkane przybory. I nie dość na tem, że wystawił dom Bogu, lecz i o sługach Jego nie zapomniał. Jałowe pola nie były osiedlone, nie gnieździły się na nich owe pszczołki pracowite, co i panów i księży i siebie żywią swoim miodem; trudne więc było uposażenie sług Bożych, aby w razie

*) Ikonostas, obrazy apostołów, ustawione ponad »carskimi wrotami« (ikon, wyr. greck. = obraz).

głodu lub wojny mieli czem strudzone pracą ciała posilić i jeszcze kawałkiem chleba z ubogą bracią się podzielić. Ale gdzie tylko chęć szczerą, tam Pan Bóg myśl poda. Fundator przeszedł pieszo okoliczne bory i przekonał się, że tam wiele jest ziemi, która dałaby się osiedlić; ogłosił więc swój zamiar, zachęcił, i wkrótce znaleźli się tacy, co nie gardzili kawałkiem pustego gruntu, mającego przy twardej pŕacy wyżywić i ich i zacnych zakonników. Warunki nie były ciężkie: osadnik oczyścił sobie kawał gruntu wśród boru, wystawił chatę, uprawił ziemię i za to obowiązany był w wyznaczonym terminie oddać klasztorowi albo część zebranych plonów albo datek pieniężny. Takich osad, czyli po polesku »kątów« leśnych, znalazło się w krótkim czasie kilkadziesiąt, później i kilkaset. Kątnicy zagospodarowali się porządnie: jeden oddawał co rok kilka korcy żyta, drugi korzec lub dwa kaszy jaglanej, trzeci kilkadziesiąt wiązek warzywa, inny pewną liczbę zwierzyny, ptactwa i ryb; dość, iż wszystko tak mądrze było urządzone, że i osadnicy nie czuli kłopotu i klasztor przez cały rok zaopatrywany był we wszelkie potrzeby.

W bory i bagna nie często zaganiał się nieprzyjaciel, a choć czasem i zaszedł, to niejedną lepiankę, przytuloną do jodły i osłoniętą chaszczami, przeslepił; nie w jednej więc takiej chatce był spokój cichy, święty i szczęście i bojaźń Boża, jakich wśród gwaru miast i rozstajnych gościńców nigdzie pewno nie znajdzie.

A klasztor, jak czuły opiekun swej poleskiej rodziny, pamiętał wzajemnie o jej duchowych potrzebach: uczył wiary, miłości Bożej i ludzkiej, wytrwałości w cnocie, zamięłowania spokoju i niskiej strzechy; a gdy boleść albo łzy nawiedziły którą chatkę, kapłan jak anioł opiekuńczy zjawiał się ze słowami osłody i ukojenia. I raj ziemski był w ponurych poleskich borach, bo opiekowały się nim z jednej strony bogobojność, praca i wytrwałość, a z drugiej cnoty wiernych sług Bożych, co nie zbaczali z prostych ścieżek ewangelii.

Działo się to około roku 1668.

Wiatr jesienny zabawiał się muzyką skrzypiącej chorągiewki na daszku korytarza, prowadzącego do furty, a śnieg bielutką, cienką chustą pokrył ziemię. Ksiądz opat odmówiwszy w chórze pacierze i pomodliwszy się przed wizerunkiem ukrzyżowanego Zbawiciela, ozdabiającym gładkie ściany niewielkiej celi, przygotowywał się do przejrzenia klasztoru, bo od dwóch dni dopiero przybył z odległych okolic w puszcze poleskie, aby przez wyznaczony przeciąg lat za-

rzządzać zgromadzeniem swoich braci zakonnych. Wtem przybył brat Floryan, szafarz, z oznajmieniem, że kątnik, Jakób Tatarczuk, przyniósł należną od siebie zwierzynę, ptastwo i ryby, i że podług przyjętego zwyczaju czeka na księdza opata, aby stosownie do inwentarza daninę odebrał i na rok następny rodzinę jego pobłogosławił.

Ksiądz opat wziął do ręki kartę inwentarza, okrył się opończą i, skinąwszy na brata Floryana, który przygotowywał pócześnie dla kątника, udał się korytarzem ku furcie.

W przysionku klasztornym rozłożoną była ubita zwierzyna i stary Jakób rozwiązywał ogromnego rogacza, którego widać za ledwie przydzwigał. Naprzeciw niego stał młody, czerstwy chłopiec z rozmaitego rodzaju ptastwem, a obok rumiane dziewczę z plecionką napełnioną rybami. Ksiądz opat stanął przed nimi. Stary Jakób nie powstał, nie pokłonił się, tylko ręce odwiązujące sznur nagle opuścił i zdumione oczy utkwiał w twarzy kapłana. Ale ten nie uważał na to; braterskiem powitaniem pozdrowił kątника i zaczął czytać z karty. Stary ciągle nie odrywał wzroku od jego twarzy.

— Wielebny ojcie — zawołał tamując ciężkie westchnienie — darujcie staremu, że was o jedną rzecz zapyta.

— O i owszem, mój bracie — odrzekł kapłan łagodnie.

— Czy nie pamiętacie, wielebny ojcie, takiej strony, gdzieby był dworek oparty bokiem o dwie lipy, bardzo stare i rozłożyste; przed dworkiem podwórzec, na środku gołębnik, a zaraz za wrotami rzeczulka bardzo czysta, tocząca się po żwirze i małych kamyczkach?

— Pamiętam, pamiętam, i cóż dalej?

— A w tym dworku czy nie pamiętacie człowieka wysokiego z długą czarną brodą, który zawsze chodził w żelaznej zbroi i często i na długo gdzieś wyjeżdżał, i niewiasty, która bardzo pięknie śpiewała nabożne pieśni?

— Człowiecze — zawołał kapłan przerywając — mów, kto jesteś? W tym dworku ja się wychowałem; ten rycerz — to mój ojciec, a niewiasta śpiewająca nabożne pieśni — to moja matka!

— O wielki Boże! — krzyknął kątnik — Boże, jakież to cud!... Wielebny ojcie, i ja się w tym dworku wychowałem, a ten rycerz i ta niewiasta, to musieli być moi rodzice, bo mnie nosili i całowali, i twarze ich zawsze, zawsze stoją przed memi oczyma. Ojcie! bracie! jakież to cud! — I stary kątnik rzucił się do nóg kapłana. Ksiądz opat podniósł drżącego od wzruszenia starca, przycisnął

głowę jego do piersi i dwie pełne łzy stoczyły się na twarz, poraną wiekiem i trudami.

— Bracie mój, biedny Jakóbie! myśmy cię dawno opłakali, a ciebie Bóg zachował i tak wielkie miłosierdzie nad tobą okazał. Widzę w tem rękę Boga, czuję, że to wszystko stało się cudem, bo trudno pojąć inaczej, jakim sposobem mnie poznałeś. Tyś był tak małym dziecięciem, kiedy nieszczęście na nas spadło; tyle lat i wypadków nas rozdzieliło! To cud, powtarzam, lub jakieś szczególne natchnienie!

— Cud, wielbny ojcze i bracie — rzekł starzec, opierając się o filar kościelny; — posłuchaj mnie, ja ci wszystko po kolei opowiem.

Musiałem być bardzo mały, bo nie wiedziałem zupełnie, co się ze mną stało. Widziałem płomienie ogarniające dach dworku, tłum jakichś strasznych ludzi, słyszałem brzęk szabel, dzikie głosy, ale nie rozumiałem, co się dzieje. Z początku płakałem niezmiernie, kiedy mnie Tatar posadził przy sobie na koniu; ale gdy dopadł koczowiska i oddał mnie jakiejś kobiecie, która mnie nakarmiła czemś słodkiem i obdarzyła brzęczącą blaszką, zapomniałem o wszystkim. Jak długo byłem między pogańską tłuszcą, nie wiem; dość, że raz w wielkiej bitwie, gdzie krew płynęła, jak ta rzeczka koło dworku, żołnierz cały żelazem okryty i ze skrzydłami uciął głowę Tatara i na mnie się zamierzył, ale koń uniósł go dalej; dostałem tylko kopytem i potoczyłem się między trupy. Zimno orzeźwiło mnie; wstałem płacząc, zacząłem iść polem, co krok trącając o trupa. Nad rankiem zbiegli się ludzie na pobojuwisko; chcieli mnie zabić, ale gdy zawołałem na nich po polsku, wzięli mnie do siebie do lasu, a potem, kiedy wojna ucichła, do wioski. Nazwiska swego nie wiedziałem: to tylko powiedzieć mogłem pocziwym ludziom, że wołano na mnie »Jakóbek«. Dostałem się do borowego; było ich dwoje, nie mieli dzieci i pielęgnowali mnie troskliwie. Lata ubiegły migiem; gdym wyrósł na chłopaka, nazwano mnie Tatarczukiem, na znak, że wyszedł od Tatarów, i zaczęto używać do robót. Najczęściej chodziłem z moim przybranym ojcem pilnować lasów i bić zwierzynę; podobało mi się to bardzo i rad byłem z swego stanu. Tymczasem przyszła od Tureczczyzny zaraza. Pocziwi moi opiekunowie oboje pomarli, zostałem znowu sam jeden, jak kołek w spalonym płocie. Żal ciężki ogarnął serce, puściłem się w świat i zaszedłem aż w te strony; ożeniłem się z córką starego

kątnika i już trzydzieści lat mija, jak przy ciężkiej pracy Bóg zdrowia i łaski mi nie skąpi.

Z dawnych czasów pamiętam tylko dworek, ojca i matkę; ich twarze jawiły mi się we śnie, stawały przed oczyma za każdą myślą o młodych moich latach. Kiedy przyszło święto, to wychodziłem do lasu nad jeziorko i tam przypominałem sobie wszystko, aby biedne serce choć trochę rozweselić; przypominałem sobie dworek schludny i ładny, lipę, na którą nieraz wylaziłem odwiedzać w gniazdku ptaszęta, gołębnik ze schodami, rzeczulkę, którą boso przebiegałem, mężczyznę z brodą i w zbroi, który mnie głaskał po twarzy i nazywał swoją pociechą, niewiastę, która, gdym miał zasypiać, śpiewała mi prześliczne pieśni — i nad temi wspomnieniami płakałem, bo płacz ten zmywał wszystkie moje boleści. Kiedym was ujrzał, wielbny ojcie i bracie, zdało mi się, że widzę objawienie tejsamej twarzy, którą tyle tysięcy razy w sennych marzeniach widziałem. Spojrzałem raz drugi i serce przemówiło do duszy. Wy musieliście bardzo podobni być do ojca?

— Tak, mój bracie; kto mnie w późniejszych latach widywał wraz z ojcem, małą znajdował między nami różnicę.

— Więc ojciec nasz jeszcze żyje?

— Nie; dziesięć lat ubiega jak poległ na wojnie.

— A matka?

— Matkę biedną zamordowali wówczas Tatarzy i ciała jej nawet nie znaleziono, bo zgorzało razem z dworkiem.

— A wy, mój bracie, jakimże ocaliliście sposobem?

— Byłem wtedy u ciotki w Lublinie.

— Boże wielki! — zawołał starzec, padając na kolana — niegodny jestem tej łaski, jakąś mi zesłał! Znalazłem brata, dowiedziałem się o swych rodzicach; nie jestem już teraz sierotą, moje dzieci znajdą opiekę. O mój Boże, niech będzie wielbione Twoje imię na wieki.

— Amen! — dodał kapłan i rzucił się w objęcia szlochającego starca. Jakób Tatarczuk kątnik wyrwał się z rąk czcigodnego brata, pobiegł ku dzieciom i prowadził je przed kapłana. One ukłękły, a opat Cystersów wyciągnął nad nimi drżące dłonie i, wzniosłszy oczy ku niebu, rzekł:

— Niech was Bóg błogosławi, ukochane dzieci! — Wyrastajcie w bojaźni Bożej i miłości ludzkiej, a ja będę dla was drugim ojcem. Wasze szczęście będzie mojem szczęściem, wasza po-

myślność moją pomyślnością, a Bóg wysłucha prośb niegodnego sługi, kiedy tak wielkie okazał nad nami miłosierdzie.

127. Tryumf Emiliusza Pawła.

Wieść o świetnem ⁷²zwycięstwie Emiliusza Pawła nad królem macedońskim Perseuszem i o przyłączeniu tak wielkiej i tak bogatej prowincyi do państwa rzymskiego, niewysłowioną radością napęliła serce całego ludu. Postanowiono zwycięzcy wspaniały urządzić tryumf. Zezwolił nań senat i wnet zajęto się przygotowaniami, ażeby ta uroczystość odbyć się mogła jak najświetniej.

Dawniej, kiedy Rzym był stolicą ludu walecznego, lecz zarazem miłującego cnotę i prostotę obyczajów, tryumfy bywały bardzo skromne; lecz gdy panowanie jego rozszerzyło się niezmiernie, a zdobycie bogatych prowincyi ogromne mu skarby przyniosło, wzrósł zbytek, i tryumfy zamieniły się we wspaniałe obchody, których ludność rzymska, chciwa zabaw i uroczystości, niezmiernie łaknęła.

Z niecierpliwością ^{24/6}więc oczekiwano powrotu zwycięskich wojsk Emiliusza do ojczyzny. Przybył wódz nakoniec z flotą do brzegów italskich, poczem płynął do Rzymu Tybrem na statku Perseusza, przyozdobionym drogimi kobiercami i zdobytą na wrogach bronią, lśniąca od złota i drogich kamieni. Wysypał się lud na taki widok i uroczyste sędziwemu wodzowi zgót wał przyjęcie.

Uświęconym od dawna zwyczajem zwycięzca nie wszedł z wojskiem do miasta, lecz zatrzymał się przed jego bramami, ażeby nazajutrz dopiero rozpocząć wjazd uroczysty. Przez trzy dni go odprawiał z niewidzianą dotąd okazałością. Po wszystkich ulicach i placach, któredy przechodzić miał pochód, przygotowane były dla ludu podwyższenia, ażeby nań wygodnie mógł patrzeć. Pierwszego dnia wieziono na dwustu pięćdziesięciu ogromnych wozach przedziwnie malowane obrazy, tudzież posągi, najdoskonalszych mistrzów greckich dzieła. Drugiego dnia okazywały się na wielkiej liczbie rzędem idących wozów broń i rynsztunki zdobyte na nieprzyjaciółach; tak zaś były kształtnie ułożone i polerowane, iż blaskiem olśniewały oczy patrzących, a szczękami czyniły odgłos wspaniały i groźny. W siedmiuset pięćdziesięciu ogromnych naczyniach, z których każde po czterech ludzi dźwigało, niesione były zdobyte skarby. Potem znów niesiono w innych naczyniach puhary, kubki, czasze,

roztruchany, konwie i inne rozmaitego rodzaju naczynia złote i srebrne, wartością i przedziwną robotą znamienite.

Trzeciego dnia, gdy już Emiliusz w tryumfie wjechać miał do miasta, dały się ze świtem słyszeć odgłosy trąb tak jakby hasła do boju. Szły potem przeznaczone na ofiarę bydłeta, przybrane w wieńce i z wyzłoconymi rogami; prowadziło je stu modzieńców, odzianych w białe szaty z purpurowymi szlakami; za nimi szły chłopięta równie przystrojone i niosły narzędzia złote i naczynia do ofiar; niesiono dalej złotą monetę w naczyniach tak wielkich, iż każde z nich po czterech ludzi dźwigało: takich naczyń było 77. Ukazała się potem osobna niesiona czasza, którą ze złota zdobytego ulać kazał Emiliusz na ofiarę dla Jowisza kapitolńskiego. Dalej widać było czasze, puhary i roztruchany, ze skarbca królów macedońskich zabrane, i cały sprzęt stołowy Perseusza, wszystek od złota.

Po tem wszystkiem szedł wóz króla Perseusza, a na nim korona i płaszcz monarszy; dalej prowadzono dzieci Perseusza z nauczycielami, mistrzami i całym dworem; ci wszyscy płakali rzewnie, a dzieci wznosiły ręce ku patrzącemu ludowi, żebrząc miłosierdzia. Dwóch było synów i córka; dzieci te, im mniej były sposobne do odczucia nieszczęścia swojego, tem większe wzbudzały politowanie. Potem szedł sam Perseusz w czarnym płaszczu i znać było w ponurem i dzikim wejrzeniu, iż od zmysłów odchodził. Mówią, iż prosił Emiliusza, aby go nie wiódł na widok; — ten miał mu na to odpowiedzieć: »O co prosisz, w mocy twojej jest«. Przez to, jak się zdaje, chciał mu dać poznać, że mógłby sam raczej dobrowolnie wyzuć się z życia, niż podać się w zniewagę; ale nie miał tej mocy nieszczęśliwy monarcha.

Niesiono potem dary bogate od miast i narodów — było 400 wieńców ze złota. Nakoniec ukazał się sam Emiliusz, na wspaniałym wozie tryumfalnym, wyrzynanym w piękne rzeźby i przystrojonym złotem i srebrnymi ozdobami. Wóz ten ciągnęły cztery konie białe, bogato okryte i w jeden rząd zaprzężnięte. Zwycięzca sam odziany był w wspaniałą szatę tryumfalną, t. j. w krótką suknię spodnią (tunikę) w palmy wyszywaną i togę purpurową, złotem bramowaną. Trzymając w ręku gałązkę wawrzynową, stał Emiliusz na wozie, a niezliczone tłumy ludu ustawicznie wesołe wznosiły okrzyki i klaskawy radośnie.

Poza wozem tryumfalnem szła naprzód jazda, potem piechota, wydając ciągle okrzyki na cześć zwycięzcy.

Cały ten orszak ciągnął zwolna od bramy miejskiej przez najwspanialsze ulice Rzymu aż do Kapitolu. Tam w świątyni Jowisza wódz podziękował bogom za odniesione zwycięstwo i złożył przyprowadzoną z bydła ofiarę. Następnie wydał wspaniałą ucztę dla senatorów i przedniejszych urzędników państwa, po której odprowadzono go do domu wśród odgłosów muzyki i okrzyków ludu.

Powszechna była radość zebranego ludu, sam tylko Emiliusz, smutny i ponury, zdawał się nie podzielać wesela tłumów. Miał też słuszny powód do tego: na pięć bowiem dni przed tryumfalnym swym wjazdem utracił jednego syna, a w chwili kiedy uroczyste wstępował na Kapitol, drugi syn jego leżał ciężką złożony chorobą. Trzeciego dnia po tryumfie i ten życia dokonał. Tak tedy przekonał się wódz sędziwy, iż niemasz w szczęściu trwałości; bo słusznie powiada nasz Jan Kochanowski:

Nic wiecznego na świecie:

Radość się z troską plecie;

A kiedy jedna weźmie moc największą,

W ten czas masz ujrzeć odmianę najprędszą.

Ignacy Krasicki

Borkow (Żywoty zacnych mężów wedł. Plutarcha).

129. młodości Tadeusza Rejtana.

Wielkie były cnoty obywatelskie Tadeusza Rejtana, dzielnego obrońcy praw narodowych w chwili upadku ojczyzny; były one tak wielkie, iż ani Grekom Arystydesów ani Rzymianom Katonów zazdrościć nie mamy powodu. Już młode jego lata, w szkołach spędzone, zawczasu kazały się domyślać, jakim będzie na przyszłość.

Pochodząc ze starożytnego i zacnego rodu, wcześniej już zaprawiał się do cnoty i miłości ojczyzny. W szkołach jezuickich w Nowogrodzku zjednał sobie miłość i szacunek kolegów, lubo w zabawach najczęściej był zamyślony, a nawet ponury. Jeżeli jaki obywatel, nawiedzający OO. Jezuitów, o dawnych rzeczach narodowych rozprawiał, Tadeusz wszelkie zabawy opuszczał, w głębokiem milczeniu przysłuchiwał się tym opowiadaniom i już nic z zadumania wyrwać go nie mogło. Że klasztor był fundacyi hetmana Jana Karola Chodkiewicza i obraz jego w kościele wisiał, to on bywało jak oczy w niego wlepi, to aż się śmieją koledzy, a profesor musi go dobrze potrząść, nim się upamięta, że w kościele

na ołtarz a nie na co innego patrzeć potrzeba. — Na korytarzu klasztornym wisiała mapa Polski: otóż, idąc na zabawę, jak na nią okiem rzuci, stanie przy niej jak wryty i w nią się wpatruje tak zamyślony, że już nic koło siebie nie słyszy; i nieraz rekreacja się kończy, a jego przy mapie jak zostawili tak zastają. OO. Jezuici długo usiłowali oduczyć go od tego ustawicznego zamyślenia się; ale przekonawszy się, iż to było napróżno, dali mu pokój, zwłaszcza że w postępkach swoich był bardzo łagodny i dla zwierzchności szkolnej pokorny. Chociaż Jezuici dość byli surowi w prowadzeniu młodzieży, kilka lat upłynęło, a Tadeusz ani razu nie był strofowany.

W szkołach księża Jezuici zaprowadzili byli różne zabawy, które uczniom wielce smakowały, między innemi potykanie się na palcaty czyli walka na kije. Za klasztorem było miejsce obszerne, a na każdej połowie czyli przestrzeni była mogiła usypana, którą nazywano *taborem*. Szkoła dzieliła się na dwie części, niby na dwa potykające się wojska. Cała wygrana zależała na opanowaniu taboru przeciwnego. Młodzież biła się zażarcie, aby swój obronić, a nieprzyjacielski zdobyć. Zwykle dzielono się na Polaków i Tatarów — a losy ciągnięte stanowiły, do której strony każdy miał należeć. Otóż Tadeusz, co był jednym z najlepszych w palcaty, ile razy wypadło mu być Tatarem, najślabszym nawet bić się dawał. Kiedy się dziwiono, że guzy bywało nosi od takich, co ledwo palcat w rękę trzymać umieją, on, co sływał z siły i wprawy, odpowiadał: »Cóż chcecie? Kiedy ja i żartem znieść nie mogę, aby naszych Tatarzy bili«.

Bywały wówczas niekiedy zatargi między studentami a przekupkami i tak częste o to skargi do profesorów, że ci rady sobie dać nie umieli, mając około tysiąca chłopców do szkół chodzących. Wpadli tedy OO. Jezuici na taką myśl, aby był sąd szkolny, przez studentów z pomiędzy nich samych wybrany, coby wszelkie ich sprawy z mieszczanami sądził bez odwołania. Jak to rozporządzenie przyszło do skutku, z początku lękały się przekupki w sprawach swoich zależeć od sądu studentów; ale wkrótce błogosławiły tej ustawie. Popołudnia czwartkowe wolne od nauki szkolnej, były przeznaczone na sądy, składające się z prezydenta, z czterech sędziów, dwóch pisarzy i rejenta; studenci wnosili sprawy, a nawet żalącej się stronie sąd dawał obrońcę studenta. Wszystko tak szło porządnie, jakby w sądzie grodzkim, a tym sposobem młodzież wpra-

wiała się do znajomości prawa i do mówienia publicznie. Co roku sejmikowano dla wyboru urzędników; ale jak raz wybrano prezydentem Tadeusza Rejtana, nie przestał nim być aż do wyjścia swego ze szkół. To Tadeusz bywało aż mu książki z rąk wydzierają profesorowie, tak się prawa uczy, by do niego wyroki swoje mógł zastosować. Razu jednego brat jego Józef przez swawolę jakiejś przekupce garnki porozbijał. Gdy się o to sprawa wytoczyła, Tadeusz wstał, aby nie zasiadać w sądzie. Przekupka tyle ufała jego sprawiedliwości, że się upierała, aby koniecznie on sądził; ale on tego nie przyjął, mówiąc: »Tu nie idzie o ufność, ale żeby robić, jak prawo każe, a prawo nie pozwala, żeby krewny krewnego sądził. Wolę prawa słuchać, niż się cieszyć chlubą, że w sądzie nie oglądałem się na rodzonego brata«. A że jak co wyrzekł, od tego i przed hakami by nie odstąpił, więc się usunął i nie sądził.

Jakim był w szkołach, takim pozostał i w życiu późniejszym: był mężem prawym i najlepszym obywatelem ojczyzny; możnaby o nim powiedzieć, że nie tylko każda myśl jego, ale nawet każde technienie było dla ojczyzny. Kiedy broniąc mężnie praw narodu i wiary, widział, jak wielkie nieszczęścia Polskę dotknęły, z rozpacz popadł w obłąkanie i targnął się nawet na własne życie.

Wedł. *Henryka Rzewuskiego*
(Pamiętki Sew. Soplicy).

130. Wśród zboża.

Łan zbożowy i południe! —
Chmurki na niebie niema:
Cudnież w Bożym świecie, cudnie!
Jak tylko sięgniesz oczyma,
Szumią fale bujnych kłosów,
Przepióreczka woła żniwa,
A skowronek u niebiosów
Ciągłe śpiewa, śpiewa, śpiewa...

Położę się w brózdzie, ocienią mię kłosy;
Koło mnie las zboża, nade mną niebiosy,
Trzymane kłosami, jak kościół wspaniały.
Kąkole i maki, ostróżki, bławaty —
To niby kapłani, przybrani w ornaty;
A polne koniki — to niby lud Boży:
Te będą pacierze szeptały.

Półseny spoczywam i słyszę, jak rosną
Ku niebu te łany zbożowe,
Harmonią świerszczyków niesione radosną;
Rozumiem czarowną ich mowę.
Rozumiem, jak w tajnym przyrody warsztacie
Wiruje coś pracą tajemną,
A bławat i maki w kapłańskim ornacie
Chylają się cicho nade mną.

Wiatr wieje, a kłosa szeleszczą, szeptają
W uroczej, przedziwnej harmonii,
O plonie coś przyszłym, o żniwie gadają;
A w dali kościelny dzwon dzwoni.
Więc świerszcze znów chórem zaczęły pacierze,
A szumem wtórują im łany
I ptaszę podniebne zapała znów szczerze:
Ach, pięknież tu, Boże kochany!

Józef Szujski.

131. Wieczór wiosenny.

☼ Słońce kłoniło się już ku zachodowi, a poprzez liście i igły sosen wchodziły coraz czerwieńsze jego promienie, pokrywając grunt leśny wielkimi, złotymi plamami. Powietrze było suche, na zachodzie rozlewała się już wielka zorza wieczorna, niby morze roztopionego złota i bursztynu. Cichy, ciepły wieczór wiosenny płał na niebie. W lesie ustawała powoli dzienna praca. Ucichło pukanie dzięcioła, czarne i rude mrówki wracały szeregami do mrowisk. Jedne z nich niosły w pyszczkach sosnowe igielki, inne gąsienice. Między ziołami kręciła się tu i ówdzie mała czarna pszczołka leśna i dopełniała ostatniego ładunku miodowego pyłku. Ze szpar w popękanej korze drzewnej poczęły wychodzić na świat posępne i ślepe śmy nocne; komary poczęły żalosną piosenkę. Na drzewach ptaki wybierały miejsca na nocleg. Czasem zaświstał jeszcze żółtodzióbby kos lub załopotwały skrzydłami wrony, które, obsiadłszy jedno drzewo, poczęły się kłócić o najwygodniejsze gałęzie. Ale owe głosy coraz rzadsze były i coraz cichsze. Powoli ustawało wszystko, a cichość przerywały tylko szmery drzewne. Leszczyna podnosiła siwe listki do góry; król-dąb pomrukiwał z cicha lub zaszemrała warkoczami brzoza. — Cisza.

☼ Ale oto brzoza stała się jeszcze czerwieńszą, a na wschodzie pociemniał głęboki błękit niebieski. Więc już i wszystkie szmery

leśne zlały się w poważne i ciche, choć ogromne cbóry: — to bór, nim zaśnie, przed nocą, modli się i odmawia pacierze. Drzewa opowiadają drzewom chwałę Bożą i rzekłbyś: ludzką rozmawiają mową.

Ach! tylko bardzo niewinne dusze rozumieją tę wielką i błogosławioną mowę! Ach! tylko bardzo niewinne serca słyszą i rozumieją, gdy pierwszy chór ojców-dębów tak rzecz zaczyna prowadzić:

— Siostry sosny, radujcie się! Oto Pan dał nam dzień cichy i ciepły, a teraz noc gwiazdzistą po ziemi czyni. Wielki Pan, a mocny, a mocniejszy od nas, a dobrotliwy, więc chwała Mu na wysokościach, na wodach, na łąkach i na powietrzu!

A sosny przez chwilę rozważają dębowe słowa, a potem ozwą się zgodnie chórem: — A oto, Panie, na chwałę Twoją, niby kadzielnice ofiarne, nimy balsam wonny i mocną a mocną woń żywiczną. Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje!

A potem brzozy: — Zorze wieczorne płoną na niebie, o Panie, a w blaskach ich listeczki nasze złote są i pałające. Więc listkami naszymi złotymi pieśń Ci czynimy, o Panie, a cienkie gałązki nasze grają, jak harfy, o dobry Ojciec nasz!

I znowu smętne świerki: — Na umęczone upałem posępne czoła nasze pada rosa wieczorna. Chwała Panu! Bracia i siostry, radujcie się; bo pada rosa wieczorna!

I wśród tych chórów jedna tylko osieczyna drży lekliwie, bo dała drzewa na krzyż Zbawiciela świata, i czasem tylko zajęczy cicho: — Panie, zlituj się nade mną!

A czasem znowu, gdy dęby i sosny zamilkną na chwilę, od stóp ich podnosi się cichutki, lekliwy głosik, cichy, jak brzęczenie komara, cichy jak cichość sama. Głosik ten śpiewa: — Jagódkam jest, o Panie! maleńka i w mchu utulona. Ale Ty mnie usłyszysz, odróżnisz i ukochasz, bo chociażem maleńka, pobożnam jest i śpiewam Tobie na chwałę!

Tak modli się co wieczora las i taka kapela podnosi się co wieczór od ziemi ku niebu i leci wysoko, wysoko, aż tam, gdzie niema już żadnego stworzenia, gdzie niema nic, tylko pył srebrny gwiazd i mleczne szlaki i gwiazdy, a nad gwiazdami — Bóg.

Henryk Sienkiewicz.

24/4
24/5 42
44

132. Gra obłoków.

U nas dość głowę podnieść, ileż to widoków!
Ileż scen i obrazów z samej gry obłoków!
Bo każda chmura inna; na przykład: jesienna
Pełźnie jak żółw leniwo, ulewą brzemienią,
I z nieba aż do ziemi spuszcza długie smugi,
Jak rozwite warkocze — to są deszczu strugi.
Chmura z gradem jak balon szybko z wiatrem leci,
Kraągła, ciemno-błękitna, w środku żółto świeci;
Szum wielki słychać wkoło. Nawet te codzienne,
Patrzenie państwo, te białe chmurki, jak odmienne!
Zrazu jak stada dzikich gęsi lub łabędzi,
A z tyłu wiatr jak sokół do kupy je pędzi;
Ściskają się, grubieją, rosną — nowe dziwy!
Dostają krzywych karków, rozpuszczają grzywy,
Wysuwają nóg rzędy i po niebios sklepie
Przelatują jak tabun rumaków po stepie;
Wszystkie białe jak srebro, zmieszały się nagle,
Z ich karków rosną maszty, z grzyw szerokie żagle:
Tabun zmienia się w okręt i wspaniale płynie
Cicho, zwolna, po niebios błękitnej równinie!

Adam Mickiewicz (Pan Tadeusz).

133. Powódź w górach.

Okolice, gdzie Prut już na równiny wychodzi, zabrawszy z sobą burzliwe rzeki i potoki górskie, nosi na sobie ślady burzliwości gwałtownych wód górskich. Na całe mile rozlegają się kamieńce z rumowiska skał powstałe. Dolina jest szeroka i tworzy dwie terasy, jakoby dwa stopnie, z których pierwszy, niższy, świadczy o niższym stanie wód i powodzi, drugi zaś, wyższy, o tem, że się nieraz aż do tej wysokości wezbrane rozlewają wody. Nigdzie też na Popruciu nie przybliżają się ani wsie ani miasteczka do samego Prutu, a nawet stada wołów i koni trzymane są ostrożnie, gdy wypaść przyjdzie żyzne łęgi Poprucia, bo wody spadają tak nagle, że i na dobrym koniu trudno czasem ująć przed niemi.

Ażeby dać dokładniejsze wyobrażenie o ulewach górskich i na gwałtownym wzbieraniu wód, przytoczymy opowiadanie Wincentego Pola o jednym wypadku z jego własnego życia.

Spuszczaliśmy się do Poprucia, przejeżdżając w poprzek uroczyska stepowej Bukowiny. Gdyśmy już zjechali z pierwszego terasu,

gdzie całą dolinę w dół i w górę można było przejrzeć, uderzyło nas to, że co chwila w całym pędzie mijały nas zające, a pominawszy nas, nie zwalniały biegu, lecz wpadały na gościniec bity i gnały dalej gościńcem. Równocześnie ujrzelśmy w różnem oddaleniu z wielkim pośpiechem gnane stada wołów i koni ku najbliższemu, wyżej położonemu lądowi. Nie pojmując, coby to wszystko znaczyć miało, jechaliśmy dalej. Wtem przypadł do nas od stada pastuch na koniu i krzyknął: »Nawracajcie i uciekajcie, bo nie ujdziecie z duszą!« Krzyknawszy ku nam te słowa, przesadził rów od gościńca i kopnął się w górę drogą, co koń mógł wyrwać!...

Lubo nie pojmowałem, coby nam grozić miało, kazałem nawrócić i pędzić drogą za pasterzem, który już w tej chwili daleko na wysokim lądzie konia zatrzymał. Straszny jakiś huk i szum uderzył nas w tej chwili nagle!... Spojrzeliśmy w górę doliny: wielki bałwan wody z ogromną gwałtownością posuwał się ścianą prawie ku nam i zajmował całą szerokość doliny. Wałem, do 12 stóp (4 m) wysokim, waliła się ta powódź, a w niej bałwaniły się drzewa z korzeniami wyrwane, które wał ten podtrzymywały!

Teraz dopiero widzieliśmy, że to nie żarty; ale do spostrzeżeń nie stało już czasu. Konie niosły nasz powóz tak, że, lubo po najlepszej drodze, można się było lada chwila spodziewać wywrotu, bośmy to czuli, że chwilami koła nie dotykały się ziemi!...

Już pierwsza fala musnęła gościniec i zakryła go do razu. Gdy nas druga fala dosięgła, brnęły już konie powyżej kolan w wodzie i poczęły się wykręcać od wody, czując, że nagle przybywa. Pasterz, na wysokim brzegu stojący, rzucał się gwałtownie na koniu, ale czego chciał, nie mogliśmy pojąć i nie było czasu myśleć o tem, bo woda zajmowała już siedzenia. Szczęściem dobiliśmy się do wysokiego lądu, zanim nas dosięgnął wysoki bałwan; konie stanęły same na suchym lądzie, a tuż poza nami huczały straszne wody!... Taksamo wyrwały się na brzeg w różnem oddaleniu stada koni i wołów, bujając następnie dziko po wysokim brzegu i oglądając się co chwila na powódź, hukiem tych wód potrwożone.

Gdyby nas pasterz był nie ostrzegł albo ostrzegł tylko chwilę później, byłibyśmy może popłynęli z wodą. Był to Ormianin. Widząc, że tabun jego rwie się już na brzeg wysoki, zwrócił konia ku nam, nałożył znacznie drogi i nie lękał się niebezpieczeństwa, które również jemu groziło, ale ostrzegł nas o niebezpieczeństwie, któregośmy nie znali. Przemokli aż do pasa, wysiedliśmy z powozu.

Pocziwy ten człowiek nie chciał przyjąć nagrody za uratowanie nasze. Wróciliśmy tedy do najbliższej wsi, ku której także stado wołów i koni przepędzano, i tutaj zabawiliśmy z naszym zbawcą dwa dni, bo przed dwoma dniami nie można było myśleć o przeprawie przez rzekę.



Pol (Obrazy z życia i natury).

134. Słonecznik.



Słońce praży bez przerwy. Z suchej i spragnionej ziemi podnoszą się tumany kurzu, tak lotnego, że choć cisza w powietrzu, przecież ulatują w górę i nieprzejrzaną oponą spowijają krajobraz. Na jego krańcach wszędzie nasza ziemia. U wstępu do wsi rozpięty na krzyżu Chrystus daje ludziom wzór, jak cierpliwie krzywdy i obelgi, dumę faryzeuszów i gwałt świata znosić trzeba. Wieś ciągnie się długim szeregiem po obu stronach drogi. Stare lipy stały kępą na kraju i już zeszłego miesiąca okwitły, a roje pszczoł z śnieżnego łąnu tataraki znoszą teraz miód do ula. Chaty pod słomianą strzechą świecą jasno wybielonemi ścianami i kryją się wśród wierzbiny. Na topoli siedzi szarobiały, z czerwonym dzióbem »Wojtus« i klekoce radośnie, bo go nic nie boli. Po jednej stronie chaty mały, a zbyt gęsto zasadzony sad rumieni się dojrzewającym owocem grusz, po drugiej niewielki ogródek. Na jego kraju trochę kwiatów: badyle czerwonego maku, kosmate ślasy, nogietki, krzewiny róży i bożego drzewka; trochę głębiej ogrodowizny: marchew, ówikła, między nimi koper; tu znów domowe leki: mięta i szałwia, józefek i lewanda; za tem już jeden zwarty łąn głowiastej kapusty. Między nią od czasu do czasu wysoki, sztywny, złotogłowy słonecznik rysuje się na tle dalekiego widnokręgu.

Tak bywa dziś dość powszechnie, tak bywało przed laty, przed wieki nawet; tylko jeżeli czego brakło niegdyś temu swojskiemu obrazowi, to z pewnością słonecznika.

Biedny ten wygnaniec dalekiego świata, mizerny stosunkowo wiedzie u nas żywot, ale swoją drogą tak się już zżył z nami, tak ograniczył w swych potrzebach, tak skarłowaciał, że nie razi ani właściwą sobie w ojczyźnie wyniosłością ani blaskiem koszyka kwiatów, którymi tam gwałt słońcu nieledwo zadaje, ani niczem... Któżby mu dziś odmawiał swojskości? A przecież to gość na naszej ziemi i niema jeszcze trzech wieków, jak tu po raz pierwszy

przybył. Ogromne wrażenie wywarła w XVI. wieku wiadomość o tej roślinie, z Meksyku sprowadzonej.

W końcu tego wieku dostał się słonecznik i do Polski i odtąd rozpowszechnił się tak, że czarnoziem ruski okrywa się jego bujnymi łanami, a w r. 1866. wytłaczano z niego oleju za sumę przeszło 1,500.000 rubli.

Że słonecznik obraca swój kwiat za słońcem, to zauważano już w pierwszej chwili, kiedy go tylko poznano. Przyczyna tego bardzo prosta. Wszystko, co żyje, objawia swe życie wrażliwością na zewnętrzne wpływy. Na rośliny wpływ najpotężniejszy a wieloraki wywiera światło. Kto trzyma choćby jedną doniczkę z rośliną na oknie, ten sobie przypomni, jak jej gałązki po upływie pewnego czasu, jeżeli doniczka nie była z miejsca poruszana, zwracają się ku źródłu światła, przechylając się ku niemu. Dzieje się to dlatego, że strona naświetlona mniej się wydłuża niż przycieniona; stąd ta, która zwrócona ku oknu, musi być krótsza od patrzącej na izbę, która musi być dłuższa, a temsamem cała gałązka musi być skrzywiona wklęsłością do krynicy światła. Wierzchołek słonecznikowego pędu jest podobnie wrażliwy i niezmiernie czuły na dzielność naświetlania. Strona, zwrócona ku słońcu, kurczy się, mniej oświetlona jest dłuższa. Ponieważ się ziemia obraca koło źródła światłości, więc co chwila inna strona tego wierzchołka jest tak podrażniona; i wskutek tego, w miarę jak kolejno naświetlenie postępuje, postępuje też i zwracanie się wierzchołka rośliny w stronę najsilniejszego światła. Z tegoto powodu słonecznik w ciągu dnia obraca się wokół. Kołowanie takie jest zjawiskiem bardzo pospolitem w świecie roślinnym; tu jest bardzo wybitne dlatego tylko, że roślina jest wysoka i że pęd jej kończy się u wierzchołka wielkim kwiatostanem; zresztą nic w tem szczególnego.

Dopóki słońce toczyć się będzie wśród przestrzeni świata, a ziemia wkoło niego obracać się będzie, dopóty i słonecznik zwracać się będzie za swem słońcem, dającem mu ruch, dzielność i życie.

Józef Rostafiński (Szkice).

135. Wdzięczność.

Wracaliśmy z dalekiej podróży do domu z nader szczupłym zapasem pieniężnym; a chociaż ledwie dwadzieścia mil oddzielało nas od kresu naszej podróży i droga była wyborna, trudno jednak

było pośpieszyć trzema końmi, które i ciężki wóz i nas ośm osób i duży pakunek dźwigać musiały.

Dnia trzeciego naszej podróży dzień był gorący, konie znużone prawie ustawały; wcześniej więc przed zachodem słońca trzeba było stanąć na nocleg. Zajechalśmy przeto do pięknej, przy drodze stojącej gospody, ażeby odpocząć i przenocować.

Gospodarze, dwoje młodych ludzi, najuprzejmiej nas powitali; dano nam obszerny, czysty pokój, z wygodnemi łózkami; a gdy gospodyni prowadziła nas do stancyi, gospodarz pomagał konie wyprzęgać i rzeczy znosić. Zaledwieśmy się cokolwiek rozgościli, gospodyni przyniosła dla nas dzieci trzy filiżanki mleka i trzy piękne bułeczki i zapytała mojej matki, czy nie zechcą panie czem się posilić? Matka moja — znając smutny stan swoich finansów, bo już tylko dziesięć złotych miała, a do domu jeszcze dwa dni drogi było — nie śmiała nadużywać uprzejmości gospodyni. Wtem nadszedł i sam gospodarz i oboje zaczęli nalegać, ażebyśmy pozwolili podać sobie koniecznie wieczerzę. »Ludzie dobrzy! — rzecze matka moja — od popasu niewieleśmy ujechali i jeszcześmy nie głodni«. Ale gospodarz, patrząc na nas, zajądających chciwie podwieczorek, domyślał się, że popas nasz nie musiał być bardzo obfity.

Słońce było na zachodzie i powiew wieczorny ochładzał skwar dzienny. Blizko gospody był lasek, z niego widok na piękną wioskę. Tam całą naszą gromadką wyszliśmy na przechadzkę, podczas której i matka i ciotki przypominały sobie, gdzie i kiedy tego gospodarza i jego żonę widzieć mogły, bo tak nieobce im były ich twarze. Już się ściemniało, kiedy wróciwszy zastaliśmy stół nakryty i zastawioną wyborną wieczerzę. »Jeść, to dobrze — mówiła do sióstr moja matka: — ale jak się potem wypłacić?« Jednak uprzejmość miłych gospodarstwa i potrzeba posiłku przemogły; jedliśmy smaczno. Gospodarz, usługując nam, spoglądał na nas z takim rozczeniem, żeśmy to wszyscy zauważyli. Gdy moja matka chciała go o przyczynę wzruszenia zapytać, już go w pokoju nie było; gospodyni tylko sama służącej naszej w usłudze pomagała.

Nazajutrz, ledwieśmy powstawali, gospodyni wniosła w porządnym przyborze kawę z wyborną śmietanką i świeżemi bułeczkami. Co się w sercu mojej matki działo, trudno wypowiedzieć. Tyle dogodności, taka uprzejmość, a czem to opłacić? Bo nie tylko dla nas, ale i dla ludzi naszych i koni dostatnia była wygoda. Słudzy nasi z pomocą gospodarza pakowali rzeczy w powozie, a gdy

już wszystko było gotowe, matka moja zaprosiła gospodarza do obrachunku.

Na twarzy jego widać było wielkie wzruszenie. Zapytany, co się za nocleg należy, odpowiedział stanowczo: »Nic«. — »Jako nie?« zawołała matka. — »Niech Pani będzie łaskawa posłuchać mnie — rzekł mocno wzruszony młody człowiek — a potem niech Pani sama osądzi, czy mogę wymagać jakiegokolwiek zapłaty. Żył przed niewielu laty w Dubnie pan porucznik Sobiński, mąż wielce szanowny; mieszkał w pięknym domu własnym przy Piekarskiej ulicy, miał zadaną małżonkę i kilka córek, tak miłych, takich pocziwych, jak i rodzice. Zadne dusze tych państwa znane były w całym Dubnie. Obok w sąsiedztwie mieszkał szewc Weryński, niemłody już człowiek, dobry majster; ale — mówił dalej, ciężko westchnąwszy — Bóg dopuścił na niego nałóg pijaństwa. Miał on syna Jasia i tego do swego rzemiosła sposobił. Jaś miał już może lat trzynaście. Dobry to musiał być chłopiec, bo go pan porucznik bardzo lubił i sam go czytać i pisać wyuczył. Niech w Bogu spoczywa ten dobry pan! — mówił dalej ze łzami. — Jaś uczył się czytać i pisać w domu czcigodnych i bogobojnych państwa; tam się nauczył bać Boga, kochać bliźniego i pocziwie pracować na kawałek chleba. Osierocony przez śmierć ojca, wziął się szczerze do rzemiosła i ciężko pracował na utrzymanie chorowitej matki i siostry. Bóg mu pomagał pod ojcowską opieką szanownego p. porucznika. Kochał go Jaś synowskim sercem i całą rodzinę jego kochał, a dla panien porucznikowien najpiękniejsze robił trzewiki. Temi dziećmi p. porucznika wy, Panie, jesteście, a ten Jaś jest przed oczyma waszemi, u nóg waszych« dodał, rzucając się do nóg mojej matki.

Rozrzewnienie nie dało nikomu słowa przemówić: ale nakoniec matka moja odezwała się: »Panie Weryński! to wszystko, coś powiedział, nie uwalnia mnie od zapłacenia tak wygodnego noclegu. Wszak na to wzięliście gospodę na wielkim gościńcu, ażeby stąd mieć przyzwoite utrzymanie, a każdy przejezdny, jeżeli używa tu gościnności, opłacić ją powinien«. — »O nie! — zawołał Weryński z płaczem. — Pani płacić mi nie będziesz, Pani mi tej krzywdy nie zrobisz! Pan Bóg błogosławi pracy naszej, jesteśmy na nasz stan dość bogaci; czemuż nie mamy Bogu dziękować za jego Opatrzność nad nami, dowodząc wdzięczności naszym dobrodziejom? A pamięta Pani, kiedy matka moja ciężko zachorowała, a ojciec skutkiem nałogu ciężko zaniemógł, kto nas karmił swym chlebem?

kto doktora sprowadził? kto lekarstwa opłacał?... Pan porucznik!... Kto przy chorych z nami w nocy przesiadywał i o chorych najtroskliwsze miał staranie?... Pani porucznikowa i Pani. A kiedy ojciec mój biedny życie zakończył, kto pogrzebem się zajął? kto kosztą opłacał? I pan porucznik z całą rodziną swoją ubogiego szewca do grobu odprowadził i życzliwą garstkę ziemi na ten grób rzucił! Pani to sobie przypominasz, widzisz nasze uczucia i chcesz, ażebym ja przyjął zapłatę za ten kawałek powszedniego chleba, który wam winienem, i za ten kąs odpoczynku po trudzącej podróży. A jestże w tem sprawiedliwość?« To rzekłszy, zasłonił oczy i głośno płakał i przez płacz to jeszcze wyrzekł: »Gdybym od Pani wziął zapłatę, coby na to z tamtego świata rodzice moi powiedzieli?«

Mowa Weryńskiego wywołała powszechne rozrzewnienie. Płakaliśmy wszyscy i była chwila uroczystego milczenia. Nareszcie podniosła się matka moja i, objąwszy głowę pocziwego Jasia, po macierzyńsku ją ucałowała: »Poznaję cię, Jasiu — rzekła; — rysy twojej twarzy nieco się zmieniły, ale twoje pocziwe serce zawsze to samo. Kochał cię nasz ojciec, bo przewidział, że będziesz pocziwym człowiekiem, jak byłeś dobrym synem, i pewnym był, że cię Bóg błogosławić będzie. Przyjmuję twoją uprzejmość wdzięcznem sercem i takimże sercem ci dziękuję. Niech ci Bóg stokrotnie nagrodzi, niech ci dopomaga i szczęści we wszystkim, a ja do zgonu czynu twojego nie zapomnę«.

Weryński nie posiadał się z radości, całował ręce mojej matki, ciotek, starszej siostry, a nas dwoje mniejszych chwycił na ręce i nosił po pokoju. Po chwili matka moja zapytała Weryńskiego: »Kto jest twoją żoną, bo mi jej twarz znajoma?« — »A to Kasia Biesiadycka, którąś Pani, będąc jeszcze niewielką panienką, z panem porucznikiem do chrztu trzymała. Kasiu! — zawołał — idź, ucałuj nogi twojej kochanej matki chrzestnej!« Wesoła, hoża Kasia, niosła dwie serwety, napełnione podróżnymi dla nas zapasami, a postawiwszy to na stole, do nóg mojej matce upadła; ta ją podniosła i uściśnęła. Nakoniec pożegnawszy Weryńskich, puściliśmy się w dalszą drogę.

Na najbliższym noclegu przekonaliśmy się, że wdzięczność tych pocziwych ludzi nie ograniczyła się samą w ugoszczeniu nas uprzejmością i że ich przezorność umiała z całą delikatnością wysledzić nasz niedostatek. W podróżnym worku swoim znalazła matka moja pięć dukatów i list taki: »Racz Pani Dobrodziejka łaskawie nam

odpuścić, że podstępnie wywiedzieliśmy się od Anusi — tak się zwała nasza służąca — że Państwo ze szczupłym bardzo zapasem pieniędzy do domu wracacie. W drodze może się wydarzyć — Boże uchroni! — jaki przypadek. Ośmieliliśmy się włożyć pieniądze do worka Pani Dobr., nie jako dar, ale jako pożyczkę. Daruj Pani Dobr. nam tę śmiałość, ale nam ją podyktowała wdzięczność i serdeczne przywiązanie do Państwa. Może nam Bóg pozwoli kiedy odwiedzić naszych najukochańszych Państwa, naszych dobrodziejów, to dług ten nam wypłacicie, czego życząc, zostajemy do zgonu i t. d. — Weryńscy«.

List ten, tak prosty, czytaliśmy ze łzami; moja matka zachowała ten dowód pięknych uczuć Weryńskiego na pamiątkę. Matka moja lubiła często powtarzać to miłe wydarzenie, więc je tu wiernie, co do słowa, wypisałem.

Antoni Andrzejowski.

136. Śmierć Pliniusza.

Pliniusz, sławny przyrodnik rzymski, po którym pozostała nam historia naturalna w trzydziestu siedmiu księgach, stał się męczennikiem nauki. Chciał on zanadto blisko przyjrzeć się wybuchowi Wezuwiusza i został zaduszony wyziewami płomienistej lawy.

Pliniusz młodszy, jego siostrzeniec, w liście pisanym do Tacyty, sławnego historyka, opowiada w następujących słowach ten smutny wypadek:

Mój wuj był w Misenum, gdzie dowodził flotą. Dnia 23. sierpnia (79. r. po Chr.), około pierwszej po południu, zdrzemnąwszy się cokolwiek, a potem wypiwszy podług zwyczaju szklanek świeżej wody, leżał na łóżku zajęty nauką, kiedy moja matka weszła do niego i oznajmiła, że widać na niebie chmurę nadzwyczajnej wielkości i kształtu. Pliniusz wstał, zaczął się przypatrywać zjawisku, lecz z powodu odległości, nie mógł poznać, że chmura podnosiła się z ponad Wezuwiusza. Podobną była do sosny, miała zupełnie taki sam wierzchołek i niby gałęzie. Niezawodnie wichur podziemny wypychał ją gwałtownie i utrzymywał w powietrzu. Kolor jej był naprzemian biały, czarny, to znowu rozmaity, stosownie do tego jak chmura, a raczej kłęb dymu, napełniony był kamykami albo popiołem.

Wujaszek się zdziwił temu niemało i uznał, że to zjawisko godne bliższego zbadania. — »Przygotować czempredzej galerę« —

zawołał, i zapytał mnie, czy mu nie zechcę towarzyszyć; ale ja wołałem zostać przy nauce. Wyszedł więc sam, zabrawszy swoje tabliczki do pisania, i wszedł na galereę.

Ja tymczasem siedziałem nad nauką, potem wzięwszy kąpiel położyłem się przespać, ale nie mogłem zasnąć. Trzęsienie ziemi, które od kilku dni niepokoilo okoliczne wioski a nawet i miasta, powiększało się co chwila. Wstałem, aby obudzić matkę, ale ona jednocześnie weszła do mego pokoju, chcąc mnie obudzić.

Zeszliśmy na podwórze i usiedliśmy oboje. Nie chcąc tracić czasu, kazałem sobie przynieść historię Liwiusza i zacząłem czytać. Po chwili wszedł jeden z przyjaciół mojego wuja, który przybył z Hiszpanii, aby go odwiedzić. Zaczął wyrzucać mojej matce jej dziwną spokojność, a mnie zuchwałą obojętność. Tymczasem dom chwiał się do tego stopnia, żeśmy postanowili opuścić Misenum. Lud przestraszony pobiegł za nami.

Wyszedszy z miasta, zatrzymaliśmy się: nowe dziwowisko, nowe przerażenie! Brzeg, który coraz bardziej się rozszerzał, przykryty był rybami pozostawionymi bez wody z powodu odpływu, przytem co chwilę drgał jakby w napadzie konwulsyi i daleko odtrącał od siebie bałwany wzburzonego morza; tymczasem przed nami zbliżała się jakby od granic horyzontu czarna chmura, pomieszana z przyćmionymi płomieniami, które, rozdzierając ją co moment, wytryskały niby szerokie błyskawiczne wstęgi.

Wtedy przyjaciel wuja nadbiegł śpiesznie. — »Chrońcie się — zawołał — to rozkaz twojego wuja, jeżeli żyje, a ostatnia jego wola, jeżeli zginął!« — »Nie wiemy, co się dzieje z Pliniuszem — odrzekliśmy — jakże więc możemy troszczyć się o siebie!« — Po tych słowach Hiszpan zaraz się oddalił.

W parę chwil chmura oderwała się od nieba i pokryła morze; załoniła nam Kapreę i przylądek Misenum. — »Uciekaj, drogi synu! — zawołała moja matka — uciekaj! tyś powinien i możesz, boś młody; ja zaś obciążona wiekiem i otyła, byłem się nie stała przyczyną twojej śmierci, umrę szczęśliwa!« — »Nie, matko, bez ciebie niema dla mnie ocalenia!« — odrzekłem i ująłem matkę za rękę i pociągnąłem za sobą. — »O mój synu! — rzekła z płaczem — ja opóźniam twoją ucieczkę!«

Już popiół zaczynał spadać; obracam głowę, gęsty dym, jak potok zalewający ziemię, pędził ku nam. — »Moja matko! zejdzmy z drogi — rzekłem — tłum uciekających zadusi nas w ciemności.« —

Zaledwie zeszliśmy z drogi, nastąpiła noc, i to noc jak najciemniejsza. Wtedy było słyhać tylko płacz kobiet, jęk dzieci i krzyk mężczyzn. Wśród łkań przedzierały się z rozmaitym stopniem boleści te jedynie wyrazy: »Mój ojczy! mój synu! moja żono!«, poznawano się tylko po głosie. Jedni opłakiwali swoje przeznaczenie, inni los swoich krewnych; jedni wzywali bogów, inni przestawali w nich wierzyć. — Zdawało się, żeśmy wraz z światem byli otoczeni nocą, która już się nie miała rozprószyć na wieki; a wśród tego wszystkiego jakież złowieszcze wróżby, opowiadania, jakie obawy urojone! Przestach zaprzeczał wszystkiemu i wierzył we wszystko!

Wtem blask jakiś przedziera ciemności; ale się zmniejsza, gaśnie; noc staje się dwa razy ciemniejsza, a z nocą spada deszcz popiołu i grad kamieni. Musieliśmy co chwila stawać, aby otrząsnąć odzież. Mamże wyznać?... wśród tej okropnej sceny, nie wydarła się z mojej piersi najmniejsza skarga; pocieszałem się, że umrę z tą myślą, iż cały świat umiera.

Nareszcie ta gęsta, czarna para zaczęła się rozpraszać i znikła; dzień się ukazał nawet i słońce, ale przyćmione, żółtawe, jak przy zaćmieniu. Jakież widok ukazał się wówczas naszym oczom jeszcze nie mogącym dobrze rozróżniać przedmiotów? Oto całą ziemię pokrywał popiół, jak w zimie śnieg, drogi ani śladu; wszyscy wracają do Misenum.

Wkrótce potem otrzymaliśmy wiadomość o moim wuju; niestety! mieliśmy słuszny powód niepokoić się o niego.

Opuściwszy nas w Misenum, wsiadł na galerę, kazał płynąć ku Retinum i innym zagrożonym osadom. Wszyscy z nich uciekali, on się przybliżał. Wśród ogólnego popłochu wpatrywał się pilnie w chmurę; badał wszystkie jej zjawiska i w miarę tego dyktował sekretarzowi swoje spostrzeżenia; ale już gęsty, palący popiół zasypywał galerę, już kamienie padały dokoła, już brzegi napełnione były zaspami. Pliniusz wahał się, czy wrócić, czy wyjść na ląd. — »Szczęście sprzyja odwadze — zawołał — zwróćcie do Pomponianusa«. — Pomponianus był w Stabiach, mój wój znalazł go drżącego z obawy; uściśkał go, dodał mu odwagi i, aby uspokoić przyjaciela własną spokojnością, zażądał kąpieli, poczem siadł do stołu i wieczerał wesoło lub przynajmniej z wszelkim pozorem wesołości.

Tymczasem w głębi ciemności Wezuwiusz rozplamiał się ze wszystkich stron.

— To pożar opuszczonych wiosek — mówił Pliniusz do tłumu, chcąc go uspokoić. Następnie położył się i usnął. Spał jak najgłębszym snem, gdy popiół zaczął napęlniać podwórze, tamując wszystkie wyjścia. Pobiegli do Pliniusza, aby go zbudzić; wstał, poszedł do Pomponianusa i naradzał się z nim, jak mają postąpić: czy pozostać w domu, czy uciekać? Jeżeli zostaną, jak uniknąć otwierającej swe łono ziemi? Jeżeli uciekną, czem się osłonić od spadających kamieni? Postanowili uciekać; lud uchodził przez obawę, Pliniusz przez rozsądek.

Wybiegli zatem z miasta, a dla przezorności pokrywali sobie głowy poduszkami. W innych stronach już ukazywał się dzień; ale tam trwała noc, noc straszliwa, którą tylko oświecał płomień przedzierający się przez chmurę. Wujaszek pomimo wzburzonego morza, chciał się przybliżyć do brzegu, zszedł, napił się wody, kazał rozciągnąć sukno i położył się. Nagle zabłysnął gorejący potok lawy, poprzedzony mocnym wyziewem siarki; wszyscy uciekli, jak mogli najdalej; Pliniusz przy pomocy dwóch niewolników wstał, lecz natychmiast zaduszony wyziewem znowu upadł — i zszedł.

X137. Konik zwierzyniecki.

W oktavę Bożego Ciała, skoro tylko procesya ze starożytnego kościoła Panny Maryi się ukończy, mieszkańcy Krakowa, rozmaitego stanu i wieku, tłumnie pośpieszają przez ulice: Bracką, Wiślną i Franciszkańską na rozległą równinę za pałacem biskupów krakowskich, aby uprzedzić powracających z nabożeństwa włóczków, t. j. zgromadzenie, które się trudni spławianiem drzewa na Wiśle. Tam po niedługiej chwili ukazuje się od Zwierzynca oczekiwany Konik ze swoim oddzielnym orszakiem; niebawem tu łączy się z bractwem i zajeżdża przed okna pałacu biskupiego dla złożenia dostojnikowi kościoła czci należnej, trzykrotnym pokłonem chorągwi.

Konikiem zwierzynieckim jest wybrany po temu jeden z włóczków, przystrojony po tatarsku, w zawoju i żółtych butach, z wielką buławą w ręku. Przy odgłosie muzyki i kotłów wyprawia niby harce na dzielnym rumaku; w istocie jednak kroczy pieszo, a tylko ma przypiętego do siebie konia drewnianego, który jest przybrany wspianiałymi pokrowcami. Za każdym poskokiem w którąkolwiek stronę, konik kilkudziesięciu ludzi do zamieszania przywodzi; wielu też

ciekawych włazi na dachy, parkany, mury i drzewa, by mu się lepiej przypatrzeć.

Od biskupiego pałacu cały ten orszak udaje się na rynek. Tu bractwo zatrzymuje się na uboczu, Tatarzyn zaś objężdża Sukienice dokoła; przyczem harcując na swym koniku, coraz wpada między ścieśnione tłumy. Wrzawa i popłoch na wszystkie strony znamionują dziarskie jego obroty. Tamujących mu przejście uderza czasem buławą, której gałka jednak siercią wypchana szkodliwych razów zadawać nie może, a zapalczywość Tatarzyna jest tylko podnietą do hałaśliwych wybuchów wesołości. Otwierają się we wszystkich domach szczelnie widzami wypełnione okna, a z nich syją się dla Konika pieniądze datki, które towarzysze jego zbierają. Po tej objazdzie łączy się Konik napowrót z bractwem włóczków i na ich czele z powagą wodza, powracającego ze zwycięstwa, jedzie na Zwierzyniec, gdzie gwarną i wesołą ucztą w domu starszego brata kończy się cały obrzęd.

Wesoły ten obrzęd krakowski, który co roku ściąga na rynek tysiące widzów, wywodzi swój początek z odległych czasów, a nazwę bierze od wsi Zwierzynca, przedmieścia niegdyś tego starożytnego grodu polskiego.

Dawne podanie, przechowane między włóczkami, mówi, że za panowania Leszka Czarnego Tatarzy, po raz trzeci grasując w Polsce (około roku 1281.), podsunęli się aż pod Kraków, który już za Bolesława Wstydlivego po dwakroć ogniem i mieczem spustoszyli. Właśnie podczas procesyi Bożego Ciała po rynku dano znać do miasta, że znaczny kosz (oddział) Tatarów rozpostarł mord i gwałty na przedmieściach Zwierzynca.

Trwoga ogarnęła umysły ludu, a nawet w zdolnych do boju zachwiało się męstwo. Wtem jeden z włóczków zwierzynieckich porywa za chorągiew swego bractwa z godłem białego orła i woła na swoich towarzyszy:

— Za mną, bracia! Uderzmy na tych pohańców! Zgińmy raczej, a nie dajmy im bezkarnie plądrować naszej ziemi!

Śmiałe te słowa dzielnego włóczka budzą powszechny zapal, lud krakowski zbroi się naprędce w co kto może, uderzają na Tatarów, łamią ich i rozpraszają, zaścielając pola i ulice gęsto ich trupami.

Po odniesieniu zwycięstwa dzielny przywódca, który taką odwagą natchnął lud zgromadzony na procesyę, przywdział na się ubiór, złupiony z wodza tatarskiego, i z tryumfem wprowadzony został do miasta. Tu powitała go cała ludność okrzykami radości przy Wiślniej niegdyś bramie, w temsamem prawie miejscu, w którym się dzisiaj Konik zwierzyniecki łączy z powracającą procesyą włóczków.

138. Pieśń włóczka.

Łódko moja, łódko! Suwaj po głębinie;
Moja ty kolebko, w tobie życie płynie!
W tobie życie płynie tak mile i prędko,
Jak ta złota rybka, co goni za wędką.

Łódko moja, łódko! O moja ty chato,
W tobie mile bieży i wiosna i lato;
I wiosną i latem kołyszą mię wody,
A ja sobie po nich pływam jak pan młody.

Łódko moja, łódko! Posuwaj się śmiało,
Kto ma serce czyste, ten się minie z skałą;
Ten się minie z skałą, dopłynie do brzegu
I po burzy dozna słodkiego noclegu

Edmund Wasilewski.

139. Wiedeń i jego okolice.

Położona nad Dunajem stolica monarchii austriacko-węgierskiej jest miastem bardzo ludnem, rozległym i pięknem. Obszar, na którym rozsiadł się Wiedeń wraz z 35 swemi przedmieściami, liczy przeszło 25 kilometrów w obwodzie, mieści w sobie około 21.000 domów i przeszło 1,200.000 mieszkańców. Sześćdziesiąt kościołów i wiele kaplic pomniejszych, okazałe gmachy publiczne i wielki zamek cesarski podnoszą wspaniałość Wiednia.

Jako stolica państwa, jest Wiedeń siedzibą Najjaśniejszego Pana, cesarza Franciszka Józefa I., obu Izb Rady Państwa, wszystkich ministrów, Sądu najwyższego i wogóle wszystkich najwyższych urzędów państwowych, oraz najwyższych urzędów Austrii Dolnej, jako tego kraju koronnego, do którego Wiedeń należy.

Pomiędzy kościołami odznacza się niezwykłą wielkością i prześliczną budową kościół katedralny czyli tum św. Szczepana w śródmieściu. Początki budowy tej wspaniałej świątyni odnoszą się jeszcze

do roku 1359., lecz dopiero w XV. stuleciu tak ją wykończono, jak jest dzisiaj. Wnętrze tumu ma długość 108, szerokość 70, wysokość 27 metrów i mieści w sobie 38 marmurowych ołtarzy. Wysokie sklepienia ostrołukowe czynią świątynię tę wzniosłą i poważną, a wieża główna strzela w górę tysiącem wieżyczek i ozdób i wznosi się aż do wysokości 138 metrów. Jest ona jedną z najwyższych w Europie. Wisi w niej dzwon olbrzymi, ulany z armat, zabranych Turkom po odsieczy Wiednia.

Inną piękną choć nie tak wielką świątynią, podobnej budowy, jest kościół wotywny, postawiony na pamiątkę, że Pan Bóg od śmierci wyratował panującego obecnie cesarza.

Pomiędzy innymi gmachami zwraca na siebie uwagę przede wszystkim zamek cesarski, t. z. »Burg«, złożony właściwie z kilku pałaców, stawianych stopniowo w ciągu 6 wieków. Wszystkie części »Burgu« są na cztery piętra wysokie. Od strony miasta jest przed Burgiem piękny plac, przyozdobiony w pośrodku posągiem, przedstawiającym cesarza Józefa II. na koniu; z drugiej strony, w pośrodku ogrodu, wznosi się w postawie stojącej posąg cesarza Franciszka I., otoczony u spodu czterema figurami, przedstawiającymi religijność, sprawiedliwość, zamykanie pokoju i odwagę, t. j. cnoty, które przystoją panującym. W samymże Burgu znajduje się skarbiec, biblioteka cesarska, mieszcząca w sobie przeszło 400.000 książek i cennych rękopisów, bardzo znakomite zbiory starożytności i okazów przyrodniczych; w ogrodach są szklarnie, przepełnione cennymi roślinami, a opodal olbrzymie stajnie, w których stoi około 400 cesarskich koni.

Trudnoby było wymienić wszystkie inne okazałe gmachy, czyto przeznaczone na użytek publiczny, czyto prywatne. Piękną budową i ozdobnością odznaczają się ratusz miejski, gmach uniwersytecki, gmach wielkiej opery i teatr nadworny, gmach parlamentu, muzea cesarskie, mnóstwo gmachów szkolnych, liczne teatry, dworce kolejowe i olbrzymie kasarnie. Przedewszystkiem Wiedeń odznacza się bardzo licznymi zakładami dobroczynnymi, szpitalami, domami sierót, ochronkami, zakładami dla głuchoniemych, dla ciemnych, dla osób nieuleczalnych i w. i. Oboje cesarstwo i ich rodzina zajmują się bardzo tymi przytułkami dobroczynnymi, nieraz je zwiedzają i obdarzają hojną dłoń.

Wspaniałem miejscem przechadzek dla mieszkańców Wiednia jest Prater. Jest to pyszny ogród, pełen drzew i trawników,

dziesięć kilometrów długi. Zajmuje on wyspę, którą tworzy jedno ramię Dunaju z głównem łóżykiem rzeki. W niedzielę i dni świąteczne wylega tam wszystko, co żyje; wszędzie słychać muzyki, śpiewy i zabawy; mnóstwo restauracy i piwiarni dostarcza jadła i napitku, i co krok znajdujesz jakąś nową budę z osobliwościami, wabiącemi ciekawych. Najpiękniej tu jest w maju, gdy żywa zieleność okryje stuletnie drzewa. Wiedeńczycy urządzają wtedy w Praterze festyny kwiatowe. Po drogach widać tysiące powozów, w których siedzą ludzie z bukietami w rękach. Nawet konie okryte wieńcami. Kilkakroć stotysięcy śnujących się ludzi zapełnia cieniste aleje Prateru: jest więc na co patrzeć się i można podziwiać ruch i dobrobyt stolicy państwa.

W roku 1873. odbyła się Praterze wielka wystawa, która przekonała świat o znakomitym stanie handlu i przemysłu w monarchii. Z licznych, a wspaniałych budynków, które wówczas, jakby na znak różdżki czarodziejskiej, stanęły w Praterze, została jeszcze dotąd wielka, okrągła budowa, t. z. Rotunda, używana ciągle na rozmaite wystawy i zebrania.

Wiedeń odznacza się kwitnącym przemysłem i handlem wszechświatowym. Wszystko, co idzie z zachodu i z południa, od morza Śródziemnego, opiera się o Wiedeń i stąd dopiero rozlewa się na liczne kraje austriacko-węgierskie. Niezliczone fabryki i warsztaty, bogate składy i wspaniałe handle, podtrzymywane pracowitością i rządnością Wiedeńczyków, liczne a zbytkownie urządzone zajazdy, zwabiają tu dla interesów i przyjemności nie tylko mieszkańców monarchii, lecz także wielu cudzoziemców. Wesóły Wiedeń, kwitnący pod ojcowskimi rządami Najjaśniejszego Pana, jest dla nich nie tylko targowicą ważnych interesów, lecz także miłym miejscem pobytu.

Bardzo ładne i ciekawe są także okolice Wiednia, jużto wzdłuż pysznego Dunaju, jużto ku góróm, zwanym »Lasem Wiedeńskim«, a nawet w najbliższem otoczeniu miasta. Na dwa szczególnie punkta zwrócić wypada uwagę. Na zachodnim krańcu Wiednia leży wspaniały Schöbrunn. Jest to olbrzymi pałac cesarski, otoczony wspaniałymi ogrodami, otwartymi dla publiczności. Był on najulubieńszem miejscem pobytu cesarzowej Maryi Teresy i syna jej Józefa II. Za ich czasów doprowadzono tę rezydencję cesarską do dzisiejszej okazałości.

Pałac wraz z przybocznemi zabudowaniami zawiera 1441 komnat i 139 kuchen. Na 1. piętrze są pokoje cesarskie, a na 2 wyższych

piętrach mieszkania dla dworzan. Na dole znajduje się kaplica dworska i oranżerya, a w prawem skrzydle teatr.

Ogród zajmuje 288 hektarów. Wspaniałe są w nim aleje ze starych grabów i innych drzew, tak strzyżone, że tworzą jakgdyby umocowane z żywego liścia sklepienia. Przed pałacem ciągną się pyszne trawniki, ozdobione dywanami kwiatów. W różnych miejscach rozstawiono 32 wielkich posągów z kamienia. Na najwyższym punkcie ogrodu zbudowaną jest altana z murowanych, pięknie ze sobą połączonych słupów, ozdobiona rzeźbami i posągami. Na prawo od trawników dolnych idzie się do menażeryi, w której hodują rozmaite osobliwe zwierzęta, jak słonie, żyrafy, niedźwiedzie, psotne a figlarne małpy i t. p. Jest tu także ptastwo różnego rodzaju. Dla ptaków pływających urządzono dość duży, drzewami okolony stawek, po którym w lecie pływają setki kaczek, łabędzi, pelikanów i t. p.

W północno-zachodnim kierunku znowu wznosi się góra Kahlenberg, a obok niej góra Leopolda, spadająca stromo skalistemi ścianami ku Dunajowi. Stąd roztacza się przepyszny widok na cały Wiedeń i dalej wzdłuż Dunaju ku Węgrom z jednej, a ku Alpom styryjskim z drugiej strony.

Uroczę to miejsce, na którem pozasadzano aleje, pobudowano letnie domki i wystawiono hotel okazały, jest w lecie celem przechadzek dla Wiedeńczyków. Dla Polaków jest Kahlenberg miejscem pamiętnem, gdyż stąd król polski, Jan Sobieski, śpiesząc oblężonym Wiedeńczykom na odsiecz, ujrzał dnia 11. września r. 1683. oblężone miasto i wojsko muzułmańskie, a dnia następnego poprowadził stąd zastępy polskie na dziec bisurmańską i zgniółł ją. Na pamiątkę tego zwycięstwa wystawiono na Kahlenbergu w r. 1883., pomnik, przedstawiający czterech głównych dowódców, którzy obronili chrześcijaństwo od zagłady t. j.: króla Jana Sobieskiego, cesarza Leopolda I., księcia Lotaryńskiego i dowódcę załogi wiedeńskiej, hr. Stahremberga.

140. Śmierć mojego dziadka.

Przeciągłe brzmienie dzwonów blizkiego parafialnego kościoła, rozlegające się pięknym wieczorem letnim po miłej i spokojnej okolicy, otaczającej domek mojego dziadka, zwiastowało uroczystość Bożego Ciała nazajutrz. Słaby od niejakiego czasu dziadek mój wywłókł się był w tym dniu o kiju i z pomocą sługi z izby pod

krzyż, i tam siedząc szeptał swoje modlitwy. Ja, dziecko niedawno, teraz już wyrostek szkolny, siedziałem obok niego, czekając, aż zacznie litanie, kończącą zwykle wieczorne pacierze. Wtem nowy odgłos dzwonu niespodzianym dźwiękiem uderzył nam w uszy. Przerwał pacierz staruszek i podniósł instynktownie rękę do przeżegnania się: zatrzymał ją potem nad czołem. Ja zdziwiony wzrok mój ciekawy nań obróciłem. Po chwili dokończył przeżegnania się mój dziadunio i rzekł powoli, a spokojnie: — Jutro tak po mnie zadzwonią!

— Jakto kochany dziadunio? — rzekłem mocno wzruszony; — dziadunio dziś ma się lepiej, więc i zdrowie da Bóg powróci.

— Moje dziecię! w moim wieku już nie wraca się człowiekowi, co odeszło. Umrę jutro! — I podnosząc głos, dodał: — Bóg mi to objawił.

— Kiedy? — zapytałem prostodusznie i ciekawie.

— W tym momencie, mój kochany wnuku.

— Ja nic nie widziałem, dziadunio — odrzekłem; rozumiałem bowiem, że było mu widoczne cudowne objawienie, o jakich nieraz mi rozповідаł. — Nie rozumiesz mnie, moje dziecię. Coż ja jestem? — Marny zlepek gliny: czyliżem godzien, aby Bóg cud dla mnie okazać raczył? Nie, moje dziecię! Ale ledwom zaczął modlitwę o uproszenie szczęśliwej śmierci, uderzono we dzwony, i razem myśl mi przemknęła po głowie, że to jest *praesagium* *) szczęśliwego i rychłego skutku modłów moich. O! gdyby jeszcze w czasie tak wielkiej uroczystości, jak jutrzejsza, Bóg mię przed swój majestat powołał, uznałbym wyraźnie miłosierdzie Jego nade mną. Zmówmy, moje dziecię, razem i na moją intencję modlitwę; twoje niewinne, moje pokorne modły, wspólnie złączone, ubłagają może dla mnie szczęśliwą ostatnią godzinę.

Upredzający zawsze i wszystkich do kościoła mój dziadek, leżał nazajutrz słaby na łóżku. Przepędził on noc bezsenną, zrana zaś, dopełniwszy z najtkliwszą pokorą i skrucą wszystkich religijnych, przedzgonnych obrzędów, w cichem zebraniu ducha oczekiwać się zdawał ostatniej chwili.

Sprawiedliwie tylekroć porównywano życie ludzkie przy schyłku do dogorywającego płomienia. Nagły wichur zdmuchnie go często

*) Przepowiednia.

przy samem zatleniu się; gwałtowna ulewa zagasí nieraz, gdy jeszcze jasno się pali: i to jest życie przerwane na początku lub w połowicy. Lecz życie, zbliżające się do końca naturalnym biegiem, tem podobniejszem jest do ogniska, wytrawiającego aż ostatnią swoją iskierkę i z niej jeszcze jasnym, choć na krótko, błyskającego ogniem.

Usypiał od niejakiego czasu i z kolei się przebudzał mój dziadunio; zdawało się, że nie mniemał się tak blizkim zgonu, jakeśmy sądzili. Tymczasem od kilku już godzin trwało nabożeństwo w kościele, mające się zakończyć, jak zwyczajnie w to święto, wielką procesją do przygotowanych z maju i kwiatów ołtarzy. Uderzenie we dzwony dało znać wyjście procesyi z kościoła i obudziło staruszkę. — Czy jest ołtarz przy naszym krzyżu? — zapytał on mnie; corocznie bowiem mój dziadunio prowadził sam celebrującego w procesyi do ołtarza, przy własnym krzyżu przybranego, i te solenne odwiedziny gorliwą modlitwą Bogu, a sutym obiadem plebanowi i całemu zebranemu duchowieństwu odwdzięczał.

— Krzyż ubrany — odpowiedziałem.

— No! to i mnie wstać, ubrać się i wyjść pomożecie.

Po wczorajszemu więc, lecz słabszy niż wczoraj, wywłókł się staruszek za bramę pod krzyż, usiadł na podanem sobie szerokiem swoim krześle i czekał z wypogodzonym zupełnie obliczem procesyi. Wkrótce też ogromnym chórem całego ludu śpiewana dała się słyszeć najpierwej nuta, a potem pieśń:

Niebo, ziemia, świat i morze,
I co tylko w was być może,
Jak najgłębiej upadajcie,
Pokłon Panu z nami dajcie!

Ruszył się mój dziadunio z miejsca, chcąc upaść na kolana. Zrazu chcieliśmy go zatrzymać, potem pomódz musieliśmy koniecznemu jego żądaniu i wspierać klęczącego. Ukazał się naprzód z daleka krzyż wielki, posuwający się powoli, a niesiony przez pana Jakóba, rezydenta i dawnego naszego przyjaciela, który przywileju tego nikomu i nigdy nie odstępował; nad nim i za nim powiewały chorągwie. Zbliżały się potem gęste ognie jarzące w rękach kapłanów, bractwa i diatwy, spokojnie palące się podczas pięknej dnia tego pogody; postępował w środku ksiądz pleban pod baldachimem, niosąc w ręku wzniesioną nad ludem, jakby ognisko światła.

wiary i chwały, bogatą monstrancję, okrytą wianeczkami z kwiatów i ziółek polnych, w dniu tym zwykle poświęcanych. — Któż nie zna porządku, powagi i wspaniałości uroczystych procesyi? — lecz komuż miłem nie będzie wyobrażenie i przypomnienie onych?

Zmienia się pieśń przy zbliżaniu się do ołtarza: tryumfalnym tonem i słowami, umyślnie na tę uroczystość złożonemi, obwieszcza się przyjście Pana:

Idzie, idzie Bóg prawdziwy!
Idzie sędzia sprawiedliwy:
Stanąwszy pięknem kołem,
Uderzmy wszyscy czołem!

— O mój Boże! — zawołał starzec, usłyszawszy te pienia, przenikającym do głębi serca głosem i wyciągając ręce ku zbliżającej się procesyi. — O mój Boże! ja to, ja idę do Ciebie! ja przed sąd Twój stanę natychmiast. O mój Boże! zmiłuj się nade mną!

Chwiejącego się zupełnie i słabego starca podjęliśmy i posadzili na krzesle. Wzruszenie mocniejsze nad siły zwątlone mowę mu odjęło, łzy jednak płynące potokiem po twarzy świadczyły, że przytomny zupełnie, nie mogąc usty, modlił się duszą i myślą.

Po odśpiewaniu ewangelii ruszyła nazad procesya i zabrzmiały znowu słowa:

Idzie, idzie światłość wieczna!
Idzie, idzie moc przedwieczna!
Stanąwszy pięknem kołem,
Uderzmy wszyscy czołem!

O! nigdy nie zapomnę twarzy natenczas mojego dziadka! — na mojej młodej wyobraźni został jej obraz na zawsze. Cała reszta życia zebrała mu się na oblicze, a życie to było już tylko samą miłością ku Bogu i pragnieniem połączenia się ze światłością wieczną, która oddalając się, ciągnęła duszę jego za sobą. Podniósł znowu ręce za procesyą i nakoniec upadł na krzesło. Odnieśliśmy zemdlonego na łóżko, bez nadziei, aby raz jeszcze wrócił do życia. Tymczasem najrychlej jak mógł po nabożeństwie przybył ks. pleban, starzec mało młodszy od mojego dziadka, kilkudziesięcioletni jego przyjaciel, codzienny współnik życia, zabaw i towarzystwa, a oraz stróż sumienia, powiernik wszystkich myśli i zamiarów. Za nim ks. definitor i kilku jeszcze przybyło kapłanów. Pan Jakób, pierwiej przybiegłszy, klęczał w pierwszym pokoju przed obrazem Najświętszej Panny i, zebrawszy około siebie czeladkę domową, modlił

się z płaczem i łkaniem. Księża obstąpili łóżko i, gdy jeszcze jakiegokolwiek ślady życia dawały się spostrzegać, rozpoczęli modlitwy, nad konającymi zwykle odmawiane; ja nakoniec, drżący z przeżenienia, trwogi i żalu, stałem pomiędzy nimi.

Wtem odetchnienia umierającego stawały się coraz wyraźniejszymi: otworzył oczy, powlókł wzrokiem spokojnym po nas otaczających, wziął potem za rękę ks. plebana i cichym z początku, ale coraz wyraźniejszym głosem mówił:

— Dziękuję tobie, mój ojcze, że mnie nie opuszczasz w tym ostatnim terminie.

— Błagałem Boga przy ołtarzu — rzekł proboszcz — o zdrowie dla ciebie i prosiłem wszystkich parafian, aby także modlili się za twoje zdrowie.

— Ach! mój ojcze, niechby się raczej modlili za moją duszę. Poślijcie po moich chłopków, trzeba mnie i z nimi się pożegnać.

Nie trzeba było posyłać, wszyscy oni z nabożeństwa prosto zaszli do dworu i w sieniach czekali niespokojnie, co się stanie z ich ukochanym panem. Otworzono więc drzwi i napelnili izbę włościanie. Odwrócił ku nim głowę mój dziadunio i mówił jak mógł najdobitniej:

— Moje dziatki! umieram ja, żegnam was i błogosławię, i was i dzieci wasze, i chudoby i chatki wasze. Dziękuję wam za waszą życzliwość dla mnie i za pracę waszą i za chleb.

Przerwał się głos starca, odpoczywał i zbierał ostatnie siły.

— Darujcie mi, jeżeli którego z was mimowolnie ukrzywdził, darujcie dla miłości Boga. Kto was po mojej śmierci skrzywdzi odważy się, tego na sąd straszny zapożyczam.

To ostatnie zapozwanie wymówił wyraźniej i znowu zamilkł.

Włościanie, żalem przejęci, nie wiedzieli sami, co czynić. Jedni łzami żaleni poklękali około łóżka i całowali kraje prześcieradła, którem umierający był nakryty; drudzy pochyliwszy głowę ku ziemi, klęcząc także, dotykali się ręką prawą obu swoich policzków — jest to u nich znak głębokiego uwielbienia; — inni popadali krzyżem na ziemię przy panu Jakobie i odmawiali z nim litanie.

Nakoniec mój dziadunio skinął, abym się zbliżył i ukląkł, wyciągnął rękę, położył na mojej głowie i, przez chwilę tak zatrzymawszy, uczynił potem znak krzyża na mojem czole, powtórzył go raz drugi i trzeci, usiłując wymówić swoje nade mną błogosławieństwo. Niestety! oczy mu tylko, które na mnie zwrócone

trzymał, łąą zaszły i ręka z głowy mej spadła; raz jeszcze podniósł ją mój dziadunio, ujął za krzyżyk drewniany z wizerunkiem Chrystusa, który na piersiach nosił, i do ust go swoich przyłożył, lecz przywrzeć ust i ucałować krzyża już nie mógł — tak więc z krzyżem na ustach zostawał.

Widząc coraz rzadsze i słabsze odetchnienia umierającego, ks. pleban gromnicę gorejącą włożył mu w rękę i, własnymi rękami ją utrzymując, rzekł uroczystym głosem: — Poleć się Bogu, chrześcijaninie! — a stojący obok ks. definitor dodał ponuro: — Wychodź! duszo chrześcijańska!

Zadrżałem na te wywołujące słowa. Ściśnienie ręki proboszcza i gromnicy dało poznać, że jeszcze żył konający; głębokie potem milczenie opanowało izbę, łąy ciekły po licach wszystkich, ale nikt poruszyć się nie śmiał. Anioł śmierci już był pomiędzy nami. Wtem ks. pleban pochylił się nad konającym: — po chwili podjąwszy głowę, wzniosł oczy ku niebu i zdmuchnął gromnicę. Wkrótce zabrzmiały dzwony kościelne i sprawdziły wczorajsze przeczucia mojego dziadka.

Oto kamień mchem porosły na grobie jego, a na nim zaledwo już wyczytać się mogące słowa: »Żył poczeiwie, wierzył po prostu, umarł spokojnie«.

Trzydzieści lat dziś się dopełnia, kiedy to piszę, i po raz trzydziesty powraca dzień ósmy czerwca, gdy tenżesam obraz i tejżesamej okolicy, ożywionej jako i wówczas uroczystością Bożego Ciała, przedstawia się memu zasmuconemu oku.

Ignacy Chodźko.

141. Róża.

Od niepamiętnych czasów, u rozmaitych ludów i ich poetów uchodziła róża za najwymowniejszy symbol piękna, młodości i niewinnej uciechy. Od dawien dawna też dzierży ona berło panowania nad całą rzeszą kwiatów jako królowa, przed którą korzą się skromne fiołki, dumne tulipany, kraśne hiacynty i wspaniałe kamelie. Bywa jednak róża także oznaką innych jeszcze uczuć: pobożność przystraja nią świątynie, radość i wesele wiją z niej wieńce, młodość i piękność przyjmują róże za swe godło, a żałoba rozsypuje je po smętnych grobach.

U starożytnych Greków i Rzymian róża poświęcona była bogini piękności, Wenerze. Pierwotnie miała być róża białą i bez-

wonną. Dopiero kiedy razu pewnego nadobna Wenus, nastąpiła na ciernisty krzak róży i zadrasnęła nią sobie lekko stopę, zabarwiła się róża uchodzącą krwią bogini i dostała odtąd przyjemnej woni.

Najsławniejsze róże w starożytności pochodziły z Miletu, z Pre-neste i z wyspy Rodus, to znaczy z grecka »różanej«. Nawet na monetach rodyjskich wybijano róże, w które ta wyspa ofitowała. Poeci greccy i rzymscy rozpływali się w swoich poezjach nad pięknością róży, a za nimi i niepoeci oddawali jej hołd i cześć przynależną. Przy rozmaitych uroczystościach wieńcami i girlandami z róż ozdabiali Grecy i Rzymianie swe świątynie i uroczyska, jak to i po dziś dzień jest u nas zwyczajem. Różami posypywano albo nawet wyścielano drogi przy świątecznych pochodach i tryumfalnych wjazdach bohaterskich zwycięzców, różami też przystrajano groby w dzień zaduszny, który z tego powodu dniem różanym »rosalia« nazywano.

Dziś jeszcze w niektórych okolicach Francyi corocznie odbywa lud prosty starorzymskie święto róż, czyli rosalia. Wybierają najcnotliwszą we wsi i najurodziwszą dziewczę, idą z nią przy odgłosie muzyki do kaplicy św. Medarda, a potem ją prowadzą na dwór dziedzica, który ją hojnym darzy upominkiem.

Rzymianie ogromnie lubowali się w różach: hodowali je też i pielęgnowali u siebie, a nadto sprowadzali je umyślnie okrętami z Egiptu. Handel różami prowadzono wtedy na wielką skalę. Kupcy, trudniący się sprzedażą róż, zwani *rosarii*, mieli w tym celu wyznaczone sobie miejsca, dokąd młodzi Rzymianie i Rzymianki skwapliwie zdążali. Można tu było dostać róż bądź to pojedynczo bądź też w misternych wiankach lub zgrabnych bukietkach. Rzymianie spali, jedli i stąpali po różach: liśćmi różanymi napelniali sobie poduszki i tapczany, a przy biesiadach wyścielali nimi stoły i posadzkę, nieraz na stopę grubo. Wspaniała uczta, jaką urządziła Kleopatra dla Antoniusza, musiała pochłonąć róż niemało; róże bowiem, któremi na dwie stopy wyścielono biesiadniczą komnatę, kosztowały 2000 zlr.

W wiekach średnich używano róży za godło w herbach szlacheckich. Anglia n. p. długo była podzielona na dwa stronnictwa: »białej i czerwonej róży«, róże bowiem tych kolorów były herbami rywalizujących ze sobą rodzin. I w Polsce wiele famillii szlacheckich używało w herbach róży, jako rodowego klejnotu szlacheckiego.

Herb n. p. »Róża« miał różę białą w czerwonym polu; herb »Doliwa«: trzy róże, herb »Ramułt«: pięć róż i t. d.

W dwunastym stuleciu ustanowili papieże tak zwaną »różę złotą« jako godło władzy i panowania. Jest to krzak róży ze złota, misternie wyrobiony, wysokiej niekiedy wartości. Takie róże rozsyłają papieże tylko panującym monarchom i książętom dla wyszczególnienia ich i w nagrodę zasług, około Stolicy św. położonych. Kazimierz Jagiellończyk otrzymał różę złotą od Mikołaja V., Klemens XII. obdarzył złotą różą Maryę Józefę, żonę Augusta III., króla polskiego. Róże te znajdowały się później w skarbcu katedralnym na Wawelu; w uroczyste święta stawiano je na wielkim ołtarzu lub u trumny św. Stanisława. Przed kilku laty przysłał papież Leon XIII. złotą różę arcyksiężnie Stefanii, wówczas żonie, a dziś wdowie po Następcy Tronu, ś. p. Arcyksięciu Rudolfie.

Róż mamy dziś mnóstwo gatunków i rozliczne odmiany; niektórzy podają ich liczbę na 6000. Wszystkie jednak róże pełne powstały z dzikich czyli polnych przez ciągłe ich pielęgnowanie i uszlachetnianie. Pełność kwiatu zawisła od przeobrażania się pręcików w płatki czyli w listki korony. Im pełniejsza jest róża, tem mniej ma pręcików; ale zarazem tem bardziej płonnie, t. j. nie wydaje owocu.

Najstarszym zapewne krzakiem róży polnej jest krzak rosnący w Hildesheim w Niemczech. Opowiadają o nim następującą legendę: Ludwik Pobożny, będąc późną jesienią na polowaniu, polecił swemu kapelanowi odprawić mszę św. w lesie. Po mszy zapomniał kapelan w pośpiechu kielich. Gdy na drugi dzień przybył w to samo miejsce, znalazł kielich na świeżo zazielenionym krzaku róży. Pobożny cesarz, ujrzawszy to dziwne zjawisko, kazał wkrótce na tem miejscu wybudować kaplicę na wieczną pamiątkę odszukania zguby. Wielki ołtarz stanął obok tego krzaku, który po dziś dzień jeszcze się zieleni i kwitnie.

Do jakiej grubości dochodzą niektóre gatunki róż, dowodem tego jest róża, rosnąca w ogrodzie marynarskim w Tulonie. Obwód pnia tego krzaku wynosi blisko 1 *m*, gałęzie jego okrywają mur na 24 *m* szeroki, a około 5 *m* wysoki; roczne gałązki jego, 3—5 *m* długie, corocznie ścinają, gdyż nie mogłyby się pomieścić na murze. Krzak ten kwitnie w kwietniu i w maju, a okrywa go niekiedy 5000 kwiatów.

Uprawa róż jest dla Francyi ważną gałęzią handlu. Wywożą je w znacznej ilości do Anglii, do Niemiec, Rosyi i Ameryki północnej. Przynajmniej milion krzewów róż sprzedają rocznie na paryskich targach kwieciarskich.

Wartość kwiatów w Paryżu, wystawionych na targach kwieciarskich, obliczają rocznie na cztery miliony franków, prócz kwiatów, jakich używają do publicznych i prywatnych balów i zabaw. Dochód ze sprzedaży róż w Paryżu wynosi w zimie i na wiosnę blisko 150.000 fr.

Oprócz tych korzyści ważne są jeszcze róże tak pod względem leśnictwa, jak pod względem lekarskim, gospodarczym i przemysłowym. Jako środka leczniczego używają kwiatu różanego do zaprawiania niektórych leków, do maści różanej; a w gospodarstwie do zaprawy miodu, octu i t. p. Owoce wielu róż służą do zup lub do zaprawy innych potraw, dobre są także na powidła i na konfitury. Kilku gatunków róż można używać na żywe płoty, a liście z róży herbacianej nadają herbacie chińskiej miłe aroma (zapach). Największe wszakże korzyści mają hodowcy róż z olejku różanego, który wydobywają z róży stulistnej, piżmowej lub damasceńskiej. Wydobywaniem tego olejku zajmują się głównie mieszkańcy na południe od Bałkanu w Turcyi, mianowicie w Kezanlyk, tudzież w wielu okolicach Persyi i Kaszmiru, także Indyi wschodnich, Egiptu i południowej Francyi. Kraje te dostarczają z swych ogrodów rocznie 1000—1.500 kg olejku różanego.

1716* 1817+

142. Kościuszko w Ameryce.

Przed stu przeszło laty Ameryka Północna toczyła z Anglią walkę o swoją niepodległość. Wielu znakomych a wolność miłujących mężów śpieszyło z Europy na drugą półkulę, ażeby czynną przyłożyć rękę do dzieła oswobodzenia uciśnionego narodu.

W końcu grudnia 1777. r. także Kościuszko przybył do Ameryki bez wszelkich środków i pism polecających i stanął przed Washingtonem. — »Cóż pan zamýślasz począc?« — zapytał wódz naczelny, który zawsze mówił bardzo zwięźle. — »Przychodzę jako ochotnik, aby walczyć o niepodległość Ameryki« — również krótko i stanowczo odpowiedział Kościuszko. — »Cóż pan umiesz?« — spytał następnie Washington; na co odrzekł z właściwą sobie szlachetną prostotą Kościuszko: — »Racz mnie doświadczyć, gene-

rale! — Stało się temu zadość, a Washington wkrótce przekonał się o dzielności szlachetnego Polaka. Oddano mu najpierw kompanię; a kiedy podczas odwrotu Anglików z Filadelfii ścigali ich Amerykanie, Kościuszko na czele kompanii ochotników cudów waleczności dokazywał. Francuz Lafayette, który dowodził oddziałem ścigającym nieprzyjaciela, w wieczór po dniu krwawym dowiadywał się o dowódcę owych ochotników. — »Jest to młody Polak, szlachetnie urodzony, ale ubogi i, jeśli się nie mylę, nazywa się Kościuszko« — odpowiedziano. — Ochotnicy stali o pół mili od obozu; Lafayette dosiadł konia, pośpieszył do ochotników i kazał się zaprowadzić do Kościuszki. Wszedłszy do namiotu, zastał go jeszcze obryzganego krwią i kurzem okrytego. Kościuszko siedział wsparty na rękę przy stole, na którym mapa była rozłożona. Tu się poznali obaj młodzi bohaterowie i od tej chwili ścisła łączyła ich przyjaźń.

Lafayette doniósł o waleczności Kościuszki Washingtonowi, a ten odtąd pilną na niego zwracał uwagę. Kościuszko odznaczył się w wyprawie na Rode Island i przy oblężeniu Nowego Jorku. Kiedy Washington, objeżdżając szeregi, zbliżył się do oddziału Kościuszki, ten wystąpiwszy naprzód, zawołał z zapalem: — »Wodzu! jutro w wieczór zdobędę baterię nieprzyjacielską lub zginę!« — W samej rzeczy korzystając z ciemnej nocy, Kościuszko podsunął się pod baterię; ale pomimo ostrożności odkryty, krwawą musiał stoczyć walkę. Ciężko raniony w prawą rękę, chwycił w lewą pałasz i wiódł oddział swój do szturmu. Odwagą i zapalem jego zagrzani żołnierze wyparli wroga; Kościuszko zdobył trzy działa i dwa sztandary, i zabrał znaczną liczbę jeńców.

Jak go żołnierze kochali, świadczy następujące zdarzenie.

Żołnierz trafiony kulą, kiedy go towarzysz podnosząc z ziemi, chciał ratować, rzekł: — »Zostaw mnie, ja tylko prostym jestem żołnierzem; raczej ratuj naszego kapitana i zdobyte armaty!«

Kiedy po zdobyciu Nowego Jorku Washington dziękował oficerom, ujął Kościuszkę za zranioną rękę i, wobec zebranych chwając jego zasługi i męstwo, wyniósł go na stopień podpułkownika i swego adjutanta; a gdy go bliżej poznał, synem swoim nazywał. Umiał cenić ten zaszczyt Kościuszko, bo w liście do Niemcewicza tytuł ten »uważał za swoje najwyższe na ziemi dobro, które najbardziej szanuje«.

Kościuszko w charakterze swym wiele podobieństwa miał do Washingtona; waleczny w boju, był zarazem ludzkim dla nieprzy-

jaciela. Dał tego dowód, kiedy jeden z generałów amerykańskich rozkazał mordować zwyciężonych Anglików. Kościuszko oparł się temu rozkazowi i pod karą śmierci nakazał swym żołnierzom, aby szanowali życie nieprzyjaciół. Toteż tak męstwem swem, jakoteż ludzkością zjednał sobie miłość i uszanowanie żołnierzy. Wojsko amerykańskie zrazu przyjmowało służbę tylko na pewien czas, po którego upływie oddziały wracały do domu lub na nowo się zaciągały. Tak sobie postanowił był postąpić pewnego razu oddział, którym dowodził Kościuszko; a ponieważ nawet służył nad czas oznaczony, głośne wznosił przeciw temu skargi. Co słysząc Kościuszko i przyznawszy użalającym się na to słusność, wreszcie w te do nich odezwał się słowa: — »Przyjaciele! słowo uwolnienia was od służby jest wam dane, a to słowo jest dla mnie święte i niezłomne. Jeżeli dobrowolnie nie chcecie zostać, tedy idźcie w pokój, ja was ze służby uwalniam. Co się zaś mnie tyczy, nie opuszczę powierzonego mi miejsca i zostanę się z tymi, którzy razem ze mną chcą walczyć«. — Słowa te cudownie działały na wzburzone umysły; zabrzmiał też jednomyślny okrzyk: — »Zostaniemy przy tobie; nie opuścimy naszego wodza!«

Po skończonej wojnie niepodległa Ameryka, wdzięczna za tyle usług, ozdobiła piersi Kościuszki orderem Cyncynata, wyniosła go na stopień generała brygady, nadała mu prawo obywatelstwa i, prócz pensyi rocznej, wyznaczyła znaczne obszary ziemi. A kiedy Kościuszko w r. 1817. umarł w Solurze, Stany Zjednoczone uczciły pamięć jego pomnikiem w mieście Westpoint.

143. Zgon konfederata.

Obozem hufce stanęły na błoniach
Spocząc; Pułaski poglądał na morze;
Złote się gwiazdy migotały w toniach
I rubinowe kąpało się zorze;
Fala za falą wstawiała z zwierciadła,
I szła i do nóg wodzowi się kładła.

Jeden z nim tylko druh konfederacki
Poszedł za morza, na wspomnienia smętne.
Na bojach żywot leci mu tułacki;
Szkaplerz położył na serce namiętne,
A w rękę szabla, grom na wrogów głowy,
Szab'a z Najświętszą Panną z Częstochowy.

Już świt. Już wrzały trąby ostre głosy,
Słońce wnet błysło na morze i błonia:
Pułaski szablę otarł z rannej rosy,
Przeżegnał piersi i wskoczył na konia;
Mgła się po ziemi rozścieliła ranna,
Wódz pomknął, za nim grzmiało: »Na Savannah!«

~~Necz~~ jechał smutny i do towarzysza
Mówił o swoim zgubionym szkaplerzu*):
»Wkrótce, mój bracie, będzie w sercu cisza,
»I drobna prochu garść po twym Kazmierzu.
»Zły znak!... Duch czuje drogę, bracie miły!...
»Jam się spodziewał w ojczyźnie mogiły«.

»Bez Sakramentów zginę!... Bądź Twa wola!...«
Rzekł — a Savannah już mu widne z dali;
Czwałem ~~wieć~~ z jazdą kopnął się na pola,
Kędy Anglicy szeregami stali
I usypane reduty ze szanców
Siały kartaczów gradem na powstańców.

I w porę przypadł, bo pod jego wzrokiem
Wrzała już bitwa zacięta wśród łanów,
Już szli Anglicy wyciągniętym krokiem
Z bagnetem w rękę na Amerykanów;
Wnet jedna chwila los bitwy przeważy...
A jemu zapał zajaśniał na twarzy.

»Naprzód!« — i w dwieście poskoczyli koni,
Za bohaterem lecieli na działa,
Wiatr ich zaledwie dościgał na błoni,
Szable migały w słońcu, ziemia drżała...
I przełamali Anglików dwa fronty —
A wtem błysnęły na okopach lonty.

Zagrzmiało... »Jezus, Marya!« wódz krzyknął
I padł — zwycięzca padł na polu chwały
I skonał śmiercią, do której przywyknął;
I leżał z szablą swą jak posąg biały,
I Bóg mu rozlał na obliczu ciszę:
Wkoło płakali druh i towarzysze.

I usypali mu grób pod Savannah
I krzyż na grobie zatknęli brzoźowy:

*) Przed bitwą pod Savannah miał Pułaski przeczucie śmierci; zgubienie szkaplerza wziął za zły znak.

Niech cię przed Boga wiedzie święta Panna
Tak jak ty w taniec wodziłeś bojowy.
A módl się za nas, niech nam Bóg obudzi
Takiego jak ty pośród wiernych ludzi!

Mieczysław Romanowski.

144. Czumaki.

Pierwsze miejsce po Kozakach na Rusi zajmują »Czumacy«. Dotąd oni znani są na całym Polesiu, Wołyniu, na Podolu i Ukrainie; lecz każda z tych ziem ma osobny rodzaj Czumaków, mniej więcej zbliżony do siebie. Wyraz, nadający im tę słynną pomiędzy ludem nazwę, jest tatarskiego pochodzenia i oznacza człowieka, koczownicze wiodącego życie, włóczęgę. Czumactwo ma niezwykle pociąg u ludu podolskiego i ukraińskiego, nawet zamożniejsi włościanie chętnie śpieszą na to koczujące życie. Jak flis krakowski i oryl z Mazowsza, tak i Czumak z tęsknotą przesiaduje zimę w domu, a czeka z upragnieniem wiosny. Tamci, gdy śniegi zginą i z lodów oczyszczą się rzeki, ruszają na wodę. Czumak z pierwszą wiosną już sporządza skrzypiącą swą mażę czyli wózek, zaprzęga dorodne a ogromne woły i, nabywszy wieśniaczych narzędzi, popłacających na Niżu, opuszcza swą siedzibę.

Zbierają się w kilkadziesiąt maż i ciągną do Krymu i Bessarabii, jeśli jadą po sól; po rybę zaś suszoną nad Don lub do Dnieprowych limanów. Kiedy się już zbiorą w tak zwane wałki t. j. gromady, wybierają z grona swego atamana, który nimi rządzi i we wszelkich sprawach ostateczny wyrok wydaje, jako najwyższy sędzia. On zbiera zarobek całej wałki, wydatkuje, a wkońcu rozlicza, co się komu należy. Dziennie ujeżdżają nie więcej jak po dwie, a najwyżej trzy mile, bo woły dalszej drogiby nie zniosły. Wcześniej na nocleg stanawszy, kolejno straż przy wołach odbywają, a po rannej rosie puszczają się dalej w drogę. Tak powolna podróż z nad brzegów Donu zabiera im od dni 35 do 40 z górą; z Krymu i z Bessarabii wracają prędzej. Zaledwie Czumak odpocznie z drogi, na świętego Ilia (20. lipca) zaprzęga swoją mażę, smaruje się dziegciem, zarzuca świętę na ramiona i z ulubioną a nierozłączną sopilką (fujarką) rusza powtórnie w podróż. Powraca już w późnej jesieni, nieraz ze śniegiem, a na pierwszy śpiew żórawi znowu się gotuje do drogi.

Sposób ten życia koczowniczy cechuje i postać Czumaka: silnej budowy, wytrwały na gorąco jak zimno, deszcz i wichurę, śmiały i odważny, skory do pohulanki, w której nieraz cały zarobek straci; więcej jednak Czumaków przychodzi do znacznej fortuny. Są między nimi tacy, co mają po kilkadziesiąt tysięcy rubli srebrem.

Czumackie życie na stepach polubił szczególnie Ukrainiec; to też w mnóstwie pieśni swoich wychwala ten zawód i opisuje przygody, jakich doznaje nieraz. Najrzowniejsze są te dumy, w których ludowy pieśniarz opisuje opuszczonego Czumaka na stepie, gdy mu woły ustaną albo gdy go śmierć zaskoczy zdala od domu i rodziny.

Kiedy Czumak umiera w podróży, zatrzymuje się cały obóz. Konający przyzywa najbliższego towarzysza, spowiada się przed nim z grzechów, rozporządza swoim mieniem i przesyła ostatnie pożegnanie żonie, dzieciom i rodzinie, żegna towarzyszy i ukochane swe woły. Czumacy schodzą się, modlą nad ciałem, obmywają je, wkładają nań białą, śmiertelną koszulę, którą każdy wozi ze sobą, kopią grób przy drodze i rzuciwszy po garstce ziemi, zasypują, stawiając na mogile wiechy z chustkami. Dotąd takie wiechy z przywiązaną kolorową chustką widzieć można na stepach, a choć te znikną, pozostaje kopcom nazwa »mogiły czumaka«. Przybywszy do pierwszej wsi, stają. Jeden z nich idzie do kościelnego i umawia się o podzwonne za duszę Czumaka; ten zaś, przed którym nieboszczyk odbył spowiedź, idzie do księdza, aby mu oddać wyznane grzechy.

Miejscowi kapłani wiedzą już o tym zwyczaju Czumaków, biorą do rąk krzyż i ewangelię, a Czumak powtarza wszystkie grzechy przed kapłanem, jakie przed nim wyznał zmarły towarzysz: poczem paroch jedzie na grób i odmawia nad nim przepisane modlitwy. Czumak, dopełniwszy tej powinności, dopędza walkę swoją, która już ruszyła w dalszą drogę.

145. Starożytny dom rzymski.

Kochany Zdziśiu!

Jak u nas jest przysłowie: »Być w Rzymie, a papieża nie widzieć!« — tak i Włosi mają swoje przysłowie: »Zobacz Neapol, a potem możesz umierać!«

Otóż bawiąc we Włoszech, starałem się zobaczyć wszystko, co tylko jest najgodniejszego widzenia. Miałem szczęście oglądać

dostojne oblicze Ojca świętego i widziałem Neapol z jego przeducną zatoką i byłem na wiecznie dymiącym Wezuwiuszu; nie mogłem się też oprzeć pokusie, żeby nie odwiedzić bogatych wykopalisk starożytnego miasta Pompei, które leżą w pobliżu. Przypomnisz sobie zapewne z nauki szkolnej, że w r. 79. po Chrystusie straszliwy wybuch Wezuwiusza zalał lawą i zasypał kamieniami i popiołem trzy kwitnące miasta: Pompei, Herkulanum i Stabie; wtedy to mieszkańcy ich utracili całe swoje mienie, a wielu nawet i życie. Z biegiem czasu głuchoła wieść o owym strasznym nieszczęściu i ledwie wzmianka o niem przechowywała się w pisarzach starożytnych. Miejsce to pokryło się ziemią, a na niej powstały rozległe pastwiska, pola uprawne, a nawet nowe osady ludzkie.

Zdawało się, że tyle pracy ludzkiej ugrzęźnie w łonie ziemi na zawsze. Jednakże właśnie ten wypadek stał się powodem, że kiedy wszystkoniszczący zab czasu rozgryzł tyle znakomitych dzieł sztuki starożytnej, tyle okazałych budowli w proch rozsypał, te miasta, ochronione od wpływów powietrza, jak owa mucha obłana bursztynem, przechowały się do dni naszych w stanie pierwotnym, o ile — ma się rozumieć — w chwili zasypania nie uległy zniszczeniu.

Kiedy przed stu kilkudziesięciu laty natrafiono przypadkiem na ślad starożytnego Pompei i zastano je w dobrym stanie, rozpoczęto je odkopywać. Praca ta z czasem zaczęła się odbywać coraz systematyczniej, tak iż dzisiaj archeologowie wykopują z głębi ziemi nie tylko szczątki mieszkań ludzkich i przedmioty do użytku ich służące, ale całe budynki, świątynie i pałace wraz z ich wewnętrznym urządzeniem, całe nawet dzielnice tego wielkiego niegdyś prowincjonalnego miasta. Z wykopalisk tych przemawia do nas świat dawny, jakby z przed 2000 blisko lat zmartwychpowstały.

Ponieważ, kochany mój Zdzisiu, uczysz się właśnie historii starożytnego Rzymu i zajmujesz się zapewne żywo tem wszystkiem, co ich sposobu życia się tyczy, umyśliłem Ci opisać jeden przynajmniej szczegół, starożytny dom rzymski, jakich tu wiele widziałem, a jakie bywały w starożytności tu i w samym Rzymie i w całych Włoszech.

Domy zamożnych Rzymian budowane były zwyczajnie przy ulicach. Na zewnątrz przedstawiał się dom rzymski skromnie, a nawet niepokaznie. Po obu stronach głównego wejścia bywały przy ulicy sklepy lub małe mieszkania, które biedniejszej ludności odnajmowano; jednak te części z mieszkaniem właściciela nie miały

styczności. Natomiast wewnątrz domu rzymskiego odznaczało się wytwornością, a niekiedy nawet przepychem. Już samo wejście jaśniało wspaniałością. Drzwi pięknie bywały rzeźbione i bogato przyozdabiane, a na progu, mozaikową robotą wykonany, widniał napis: *Salve* (witaj), gościnnie zapraszający przychodnia do wnętrza wspaniałego domu.

Na ścianach niewielkiej sieni, do której się najpierw wchodziło, malowane były piękne i kosztowne niekiedy obrazy, przedstawiające bądźto jakieś postaci i zdarzenia mitologiczne, bądźteż jakieś zwierzęta i ptaki. Bywało tam także mieszkanie odźwiernego i siedziba psa, strzegącego domu.

Właściwy dom rzymski składał się z trzech głównych części, mianowicie z części przedniej, zwanej *atrium*, środkowej, zwanej *tablinum*, i tylnej czyli *peristilium*. Z tych części pierwsza częściowo tylko, druga zupełnie była pokryta, ostatnia zaś zawsze otwartym była dziedzińcem.

Istotną częścią domu rzymskiego było *atrium*. Była to wielka, czworoboczna sala, w samym środku dość wielki w górze mająca otwór. Tuż pod tym otworem bywało w posadzce odpowiednio wielkie zagłębienie, niejako sadzawka, przeznaczona na zbiornik wody deszczowej.

Wspaniały był widok tej sali, bogato przyozdobionej i z nadzwyczajną wytwornością urządzonej. Posadzka bywała mozaikowa, a ściany pokryte pięknymi malowidłami, t. z. freskami, które do dziś tchną świeżością barw, a przedstawiają zwyczajnie jakieś zdarzenia historyczne, zwłaszcza takie, w których przodkowie gospodarza czynny brali udział. Dokoła wznosiły się posągi i piękne filary, a górami, szczególnie w dwóch bocznych wgłębieniach widniały portrety rodzinne, właściwie maski woskowe w drewnianych oprawach. Stało tu także łóżko pana domu, choć służyło tylko do ozdoby a nie do użytku; znajdowało się tu i ognisko domowe czyli kominek z wiecznie płonącym ogniem, a przy niem posążki bogów domowych i rodzinnych, Lary i Penaty, którym na kominku spełniano ofiary. Tutaj to gospodarz przyjmował gości, tutaj zasiadał zwyczajnie w kole swej rodziny.

Po obu stronach sali głównej bywały mniejsze komnaty, do których drzwi, bogatemi przystrojone oponami, zawsze stały otworem, ażeby z *atrium* światło padać mogło do owych zresztą ciemnych pokojów. Były to pokoje sypialne.

Poza *atrium* wprost naprzeciw głównego wejścia była druga główna część domu rzymskiego, *tablinum*. Był to właściwy pokój gospodarza, który stąd swobodnie obejmować mógł okiem cały swój dom. Pokój ten z równym przepychem bywał urządzany, jak sala główna. Posadzki i tutaj bywały mozaikowe, ściany bogato malowane, sprzęty wytworne. Tutaj pan domu pracował w zaciszy i odosobnieniu, tutaj miał bibliotekę, niekiedy nawet w osobnym pokoju obok umieszczoną; tutaj jakby w domowym archiwum przechowywał pieniądze i ważniejsze przedmioty.

Ale jakkolwiek pokój ten położony był we środku pomiędzy *atrium* a leżącym po drugiej stronie dziedzińcem i nawet ku jednej i drugiej stronie zwyczajnie bywał otwarty, przecież przechodzić przezeń nie wolno było domownikom; służyły do tego osobne korytarze, wiodące z pierwszej do trzeciej części domu rzymskiego, do dziedzińca.

W domach majątniejszych obywateli część tę na sposób grecki z wielkim urządzano przepychem. Dokoła, a niekiedy tylko z dwóch lub trzech stron, wznosiły się filary, jońskie lub korynckie, ze wspaniałymi kapitelami (nagłówkami), a w pośrodku biły w górę sztuczne wodotryski, albo też mniejsza lub większa bywała sadzawka, w której dla przyjemności hodowano ryby. Dokoła zaś sadzawki, na kształtnych klombach, rosły kwiaty, które i miłą woń rozsiewały i oko przyjemnie bawiły. Po obu stronach dziedzińca bywały jeszcze inne komnaty, mianowicie po prawej stronie wiodły zwyczajnie drzwi do sali jadalnej (*triclinium*), poza którą mieściła się kuchnia. ✕

Jeżeli dziedziniec dokoła był zabudowany, w takim razie po drugiej jego stronie, naprzeciw pracowni gospodarza, znajdowała się jeszcze jedna, wspaniale, niekiedy z największym w całym domu przepychem urządzona komnata. Niewolnicy, czyli służba domowa, których tu trzymano bardzo wielu, stosownie do potrzeb i zamożności domu, i to zazwyczaj do każdego rodzaju posługi osobnych, a nawet po kilku, mieszkali na piętrze lub w odleglejszej części domu.

Poza tą częścią domu bywał zwyczajnie jeszcze ogród, równemi poprzecinany grządkami jarzynowemi lub gustownymi klombami kwiatów przystrojony.

Inaczej oczywiście wyglądały domy, w których ludność uboga najmowała sobie mieszkania. Domy takie bywały niekiedy tak obszerne, iż ulice otaczały je ze wszystkich czterech stron; dom taki nazywał

się *insula* (wyspa). Właściciele starali się jak najkorzystniej wyzyskać grunt, jaki mieli; budowali więc domy piętrowe, niekiedy bardzo wysokie. Dopiero kiedy za Neroną pożar zniszczył wielką część Rzymu, zakazano budować domy wyższe, jak na 19 m. 2

Kochany Zdzisiu! Opisałem Ci tu zaledwie część tego, com widział, a to na zachętę do tem gorliwszego przykładania się do nauki; więcej Ci opowiem, jak — da Bóg — szczęśliwie do Was powrócę. Staraj się, Zdzisiuniu, poznać tymczasowo z książek ten świat starożytny, a może kiedyś, jak dorośniesz, zdarzy Ci się sposobność, przypatrzeć się mu własnymi oczyma, z czego zapewne większą odniesiesz korzyść niż ja, który mało wiadomości o tem ze szkoły wyniosłem. Znajomość starożytnego świata potrzebna jest każdemu prawdziwie wykształconemu człowiekowi, bo na gruncie jego i chrześcijaństwa cała cywilizacya nowożytna, a więc i naszego narodu, wyrosła i zakwitła.

Pozdrów Rodziców i Rodzeństwo, gdy będziesz do nich pisał, i przyjmij gorący uścisk od kochającego Cię serdecznie stryja.

146. Wycieczka na Czarnohorę.

W góry, w góry, miły bracie!
Tam swoboda czeka na cię!

Tak pomyślałem sobie i ruszyłem w drogę. Przez Nadwórnę i Delatyn przybyłem do Tatarowa na noc. Noc była ciemna, gęsta mgła rozścieliła się wzdłuż doliny; słychać było tylko szmer wartko po kamkach pomykającego Prutu. Ze wschodem słońca wyruszyłem dalej z dwoma przewodnikami, obznajomionymi dobrze z tutejszemi górami; wzięliśmy ze sobą dwa konie, z których jeden objuczony był potrzebnymi w podróży rzeczami, drugi zaś miał mi służyć jako wierzchowiec.

Już z daleka na krańcu widnokregu w stronie południowej dostrzegłem dumnie wznoszący się szczyt góry, kształtem do głowy cukru podobny. Oczarowany tym widokiem zapytałem górala po chwili, jak się nazywa ten wspaniały szczyt góry.

— To właśnie Howerla, najwyższy szczyt Czarnohory — rzecze przewodnik; — pod jej szczytem dziś nam nocować. Śpieszmy więc, bo droga daleka.

Usłuchałem wezwania i ruszyłem dalej.

Wkrótce dostaliśmy się w rozległy las świerkowy, położony w obszernym i głębokim dole. Myśliwy nazwałby go głuchą knieją. Cisza w około. Przez poplątane konary drzew promienie słoneczne ledwie się przedrzeć zdołają. Paprocie, porosty i mchy wskazują, iż się znajdujemy w krainie górskiej. Smukłe i zdumiewających rozmiarów świerki wznoszą się w górę jak piramidy, a pośród nich widać tu i ówdzie obumarłe już świadki przeszłych stuleci, które bez gałęzi i wierzchołków, obnażone z kory a podziurawione przez dzięcioły stoją tu jako pomniki dawnej wielkości. Wszerz i wzdłuż leżą powalone drzewa jakby umyślnie sporządzony zasiek. To wiatry swawolne gospodarowały tak w lesie i, zrobiwszy raz wyłom, rozpoczęte dzieło zniszczenia szerzą coraz dalej.

Opuściwszy miłą ciszę leśną, około południa zdążyłem do polany, zwanej Bukowiną. Zdziwiłem się niemało, spostrzegłszy tu wśród rozległych lasów kilka zamieszkaných domów. Maleńki ogródek, kawałek łąki leśnej, a przytem kilka sztuk bydła — oto cały dobytek biednego Hucula i jego rodziny. Chciałem wstąpić do chaty, ale nie było czasu, musiałem śpieszyć; a zresztą oprócz drobnej dziatwy i wiekiem złamanych starców nie byłbym tam zastał nikogo; wszystko z trzodami wyruszyło w góry.

Poza polaną weszliśmy znowu w las odwieczny, ale zupełnie odmienny niż tam w dolinie. Tu gleba płytka i gęsto bryłami kamieni przetkana, więc i wzrost drzewa ustaje, im dalej w górę postępujemy. Tam spokój panuje i cisza; każda roślina swobodnie się rozwija i pewna bytu swego, dumnie w górę się wznosi: tutaj pozrywane przez wiatr wierzchołki, połamane gałęzie, głęboko i daleko pomiędzy skał szczeliny zapuszczone korzenie świadczą o ciągłej walce o byt.

Wspinając się długo po kamienistych ścieżkach, wyszliśmy wreszcie z lasu i stanęli na połoninie, zasypanej odłamami skał i grubem rumowiskiem. Już słońce zaszło. Trzeba było pomyśleć o noclegu. Udaliśmy się do znajdującej się w pobliżu koliby czyli szałas pasterzy. Zewsząd opadły nas psy, nie pozwalając przekroczyć granicy powierzonej ich dozorowi. Ale głos watażki powstrzymał je w zapędzie; rozstąpiły się wprawdzie na boki, lecz mrucząc nie spuszczały nas z oka, jak gdyby nam nie dowierzały. Pozdrowiwszy watażkę, prosiłem go, aby nam pozwolił przenocować. Hucul, znany z gościnności, uprzejmie nas powitał i na nocleg przyjął.

Wkrótce przystąpiono do dojenia owiec, a uporawszy się z tą czynnością, rozeszli się pasterze, ażeby oglądnąć, czy wszystko jest w porządku. Po chwili usłyszałem wystrzał jeden, potem z przeciwnej strony drugi, a wkońcu trzeci. Odgłos rozległ się po całym lesie i odbijając się o nagie szczyty tysiącnym echem, zwolna przycichał, aż umilkł gdzieś daleko, pod sklepieniem niebios. Jest to środek używany zwykle przez pasterzy w celu wystraszenia niebezpiecznego dla trzody zwierza.

Gdy się wszyscy poschodzili, weszliśmy do wnętrza koliby. Pasterze i moi przewodnicy obsiedli watrę (t. j. ognisko), ponad którą zawieszony był kocieł dosyć obszernych rozmiarów. Watażka krzątał się około sporządzenia wieczerzy. Ugotowawszy mamałygę, wyrzucił ją z kociołka na talerz drewniany, odciął kawał dla mnie, obdzielił nią pasterzy, a resztę postawił przed przewodnikami.

Dla mnie przysposobił nadto bundza i mleka. Zanim rozpoczęliśmy wieczerzę, wyjąłem flaszkę wódki i wręczyłem ją watażce, by wszystkich poczęstował.

Po wieczerzy każdy z mieszkańców koliby obdarzony przeze mnie tytoniem, zajął się sprzątaniami; jeden wypłukiwał dojnice, drugi karmił psy żentycą, inny przysposabiał drzewo do watry, a wszystko spełniali na skinienie watażki, gdyż on tutaj ich panem. Ja zaś wyszedłem przed kolibę i usiadłem na kamieniu, by się przypatrzeć precudnej nocy gwiazdzistej. Wszystko już spoczywa. Uroczystą ciszę czarownego ustronia przerywa tylko głuchy szum lasu i szmer pobliskich strumyków. Zdaje się, jak gdyby cała natura śpiewała modlitwę wieczorną i wzywała człowieka, aby wziął udział w tym chórze i złożył hołd Stwórcy wszechświata.

Byłbym długo jeszcze tak rozmyślał i marzył, gdyby watażka nie zwrócił był mojej uwagi, że noc krótka, a wschodu słońca mam oczekiwać na szczycie Howerli. Usłuchałem dobrej rady i udałem się na spoczynek.

Zaledwie zorza ranna zaczęła rozpraszać ciemność nocną, wstałem i z jednym przewodnikiem udałem się na szczyt Howerli. Nieopodal od koliby wznosi się dosyć obszerny teras, zasiany wielkimi bryłami kamieni, porośniętymi kosodrzewiną. Ponad tym terasem wznosi się drugi. Z wyższego wypływa strumyk i po krótkim pochodzie zrzuca swoje wody z kilkunasto-metrowej wysokości, tworząc wodospad, nazwany tutaj hukiem, wiecznie bowiem pluska, szemrze i szumi.

Wspinamy się dalej. Ścieżka wiodąca na szczyt Howerli, zasiana grubym żwirem i przetkana bryłami kamieni, wije się niby wąż. Wejście nie jest niebezpieczne, ale dosyć uciążliwe. Dla dostania się na szczyt potrzebowaliśmy jeszcze dwóch godzin.

Słońce już zeszło było i ozłociło szczyty, a w jego promieniach krople rosy świeciły jak kryształy. Rozległy stąd roztacza się widok. Jak daleko wzrok zasięgnie, widać istny labirynt dolów, wąwozów, jarów, przesmyków, kotlin i Bóg wie jak tam nazwać wszystkie te rozmaitych kształtów zagłębienia. Z tych wszystkich wklęsłości mgła jeszcze nie ustąpiła, jak gdyby umyślnie, by żadnemu nowych wrażeń widzowi przygotować miłą niespodziankę. Po chwili promienie zawitały w dolinę i odsłoniły nam nowe widoki, które mgła ukrywała przed nami. Tu u podnóża góry na wschodzie, w dolinie, którą Czarny Czeremosz płynie, ciągnie się wieś Żabie; tam na krańcu widnokregu w kierunku północnym leży Kołomyja, a dalej na zachód Stanisławów. Inne osady i miasteczka, rozsiane wpośród krętych dolin, zasłaniają przed okiem widza wznoszące się poprzeczne gór pasma. Jak daleko oko sięga, policzyć można wszystkie szczyty, które się wznoszą jak kopuły kościołów, ręką samego Stwórcy zbudowanych: tu wierzchołki gór naszych, tam piękne szczyty bukowińskie, a ówdzie na południe szczyty gór węgierskich. Co chwila zmieniają się krajobrazy, a jeden piękniejszy od drugiego — i zdaje się, że gdyby człowiek cały dzień w nie się wpatrywał, coraz odkrywałby coś nowego i zajmującego. Pierwszy widok tak silne sprawia wrażenie, iż w zdumienie wprowadza człowieka; lecz później myśl widza, ochłonawszy z podziwu, nieprzerwanem pasmem płynie jak te górskie strumyki, które wydobywają się z piersi gór, a potem wesoło i swobodnie zmierzają coraz dalej i dalej.

Przeszło godzinę poilem się tymi widokami, wpatrując się w jeden krajobraz po drugim; i byłbym jeszcze pozostał na miejscu, gdyby nie mgła gęsta, wilgotna i zimna, która, osłoniwszy szczyty, zakryła przed nami wszystkie piękności. Trzeba było wracać.

Nie żał mi było trudów podróży, bo też nimi okupiłem widoki, jakich gdzieśbądź nie spotkać; obce bowiem, choćby okazalsze czy bardziej niezwykle, nigdy nie potrafią przemówić ci do duszy tak jak swoje. Tutaj wrażenia silniejsze, gdyż potęguje je uczucie miłości tej ziemi; przed tobą, jak daleko ku północy okiem rzucisz, leży kraj rodzinny, nasze wody, góry nasze, piękne lasy i pola żyzne. Szum tutejszych lasów dźwięczy gdyby głos ojczysty, a szmer stru-

myków jak dźwięk mowy rodzinnej. Słusznie powiedział Wincenty Pol, stojąc na szczycie Tatr:

Gdzie ty znajdziesz w obcej stronie
Takich jezior takie tonie?
Takie góry nad wodami,
Takie niebo nad górami!

147. Pieśń góralska.

Czerwony pas, za pasem broń
I topór, co błyska zdala,
Wesoła myśl, swobodna dłoń:
To strój, to życie górala!

Gdy świeży liść okryje buk
I Czarna góra zczernieje,
Niech dzwoni flet, niech ryczy róg,
Ożyły nasze nadzieje.

Pękł rzeki grzbiet, popłynął lód,
Czeremosz szumi po skale;
Nuż w dobry czas kędziory trzód
Weseli kápce, górale!

Połonin step na szczytach gór,
Tam trawa w pas się podnosi;
Tam ciasnych miedz nie ciągnie sznur,
Tam żaden pan ich nie kosi.

Dla waszych trzód tam paszy dość,
Tam niech się mnożą bogato;
Tam runom ich pozwólcie rósć,
Tam idźcie na całe lato!

A kiedy mróz posrebrzy las,
Ładujecie ostrożne konie;
Wy z plonem swym witajcie nas,
My z czarką podamy dłonie.

Józef Korzenicki (Karpaccy górale).

148. Z życia Kościuszki.

Wyszędłszy z więzienia rosyjskiego, postanowił Kościuszkó udać się do Ameryki, w której niegdys za nadzwyczaj męzną obronę wolności ludu uzyskał godność generała. Nie mając przytułku we

własnej ojczyźnie, udał się do tej ziemi, którą uważał za ojczyznę swoją przybraną, a która czciła w nim zawsze jednego z największych swych bohaterów.

Kiedy po długiej i niebezpiecznej podróży przybył nareszcie do miasta Filadelfii, lud tamtejszy, uprzedzony o jego przybyciu, wyprzągł konie z jego powozu i wśród wesołych okrzyków, jakby w tryumfie, sam go zawiózł do miasta. Tutaj, na wolnej ziemi amerykańskiej, pośród dawnych przyjaciół odzyskał zdrowie i siły, w pracy szukając pociechy i ulgi dla zboląłego serca.

Pewnego razu, kiedy zajęty był w swym pokoju, wszedł młody jakiś rotmistrz, który, nic nie mówiąc, począł ze łzami całować go po rękach.

— Dla Boga! kto pan jesteś? — zawołał zdziwiony Kościuszko.

— Alboż nie przypominasz sobie, generale, małego Ezechiela, który twojej łasce zawdzięcza, że dziś jest człowiekiem.

Jakby przez sen przypomniał sobie teraz Kościuszko zdarzenie z czasu swego pierwszego pobytu w Ameryce. Do głównej kwatery Washingtona, u którego wówczas pełnił służbę adjutanta, przecisnął się był raz młody chłopczyzna, w mundur wojskowy ubrany, żądając, aby mógł mówić z wodzem naczelnym. Kościuszko przywołał go łagodnie do siebie i zapytał, jak się nazywa i czego żąda.

— Nazywam się Ezechiel — odpowiedział chłopczyzna odważnie. — Mój ojciec był kanonierem i zginął w bitwie; matka służyła w lazarecie wojskowym i także już umarła. Sam zostawszy, przychodzę prosić wodza, aby mię przyjął do wojska i kazał mi dawać żołd prostego żołnierza, dopóki nie wyrosnę i nie pomszczę na Anglikach śmierci ojca.

Wzruszony temi słowy Kościuszko obdarzył chłopca dolarem i zaprowadził go do wodza, mówiąc:

— Jeżeli Ameryka tak dzielne ma dzieci, to nie potrzebuje się zaiste lękać o swą niepodległość!

Odtąd zajął się Kościuszko losem i wychowaniem dzielnego chłopca, który męstwem i charakterem zdobywał sobie coraz wyższe stopnie wojskowe, aż wreszcie został rotmistrzem. Onto obecnie, dowiedziawszy się o powrocie swego dobroczyńcy, pośpieszył, aby mu wynurzyć swą wdzięczność.

149. Obiór stanu.

W jednym niemieckiem miasteczku, żyło pracowite i bogobojne małżeństwo. Mąż był piekarzem i pracował od świtu do nocy; żona była razem panią, czeladnikiem i sługą, tem bardziej więc co to próżnowanie nie znała.

Żywili miasteczko, żeby jakkolwiek wyżywić siebie i troje, które im Pan Bóg dał, dziątek: trzech synków.

Odbyt był ciągły; stateczność w pracy męża i żony przykładna; w domu zgoda, miłość i modlitwa... A więc po latach kilku, kiedy szli wcześniej w niedzielę na sumę, każde miało na sobie ubranie nowe i porządne i niosło jakiś datek do skarboxy kościelnej, dla biedniejszych od siebie a nie mogących tak jak oni pracować. Mogli go już czynić bez odmawiania sobie żadnej potrzebnej w życiu a z ich stanem zgadzającej się wygody i przyjemności.

Po przywitaniach, jakie po drodze od sąsiadów i drugich spólmieszczan odbierali, po uprzejmości, z jaką ten i ów z nimi się łączył, żeby iść razem, wreszcie po pośpiechu, z jakim posuwano się dla nich w ławce kościelnej, poznałby każdy, iż była to para poważana i kochana w całym miasteczku. Za powrotem, jeśli czas był pogodny, usiadali zwykle na zielonej ławeczce, stojącej od ulicy pod oknami domu, przed którą zastawali zawsze świeżo wysypany i zgracowany piasek: służąca bowiem (gdyż mieli już i służącą) wiedziała, że jej państwo nie tylko sami spocząć tu lubią, ale także przechodzących przyjaciół chętnie na to siedzenie i poufałą pogadankę zapraszają.

Zdarzyło się jednej niedzieli, kiedy tak według zwyczaju piekarz z małżonką zasiedli na owej ławeczce i prowadzili rozmowę, że chociaż wszyscy znajomi już z sumy przeszli i czas było wreszcie wejść do izby, żadne jednak nie wstawało... Nie było to z powodu pogody, gdyż niebo było owszem dość niepogodne; ani z zajęcia się żywszą rozmową, bo już kilka a może i więcej minut mijało, jak na zielonej ławeczce całkowite panowało milczenie.

— Ja uważam, moja kochana — zaczął mąż — że jesteś czegoś zamyślona, nieswoja, jak gdybyś miała smutek czy niespokojność jaką. Że ten kapitan nie zapłacił, choć brali chleb i bułki przez sześć przeszło tygodni, cóż robić! Trudnoż na tamten świat pozew mu posłać albo zabrać pościel i resztę trochę tych gratów wdowie i dwojgu sierotom. Biedak! spodziewał się, że się tu uleczy

i że z czasem będzie mógł oddać... Bogu chwała, że duszę przynajmniej uleczył i spowiadał się przed śmiercią.

— Niech mnie Pan Bóg i Matka Najświętsza broni — odpowie z ciężkiem westchnieniem pocziwa kobieta — żebyś ty się miał pastwić nad kim, nad jego biedną wdową i sieroctwem! Nie, mój dobry mężu, mnie już to wcale nie na myśli; to Pan Bóg od nas pożyczył, a On zawsze ma z czego oddać i pewno odda. Mnie na głowie własne nasze dzieci. Oby Bóg miłosierny pozwoił, żeby jak są zdrowi, tak byli dobrzy, pobożni i szczęśliwi na świecie! Wyrastają, jużby czas stan każdemu obrać; i proboszcz mówił o tem kilka razy.

— Jeszcze im czas, moja kochana — przerwał piekarz spokojniejszym tonem, rad, że owo zamyślenie, w jakim swą miłą towarzyszkę przed chwilą widział, nie pochodziło z żadnego istotnego zmartwienia; — jeszcze czas! Proboszcz dobrze radzi i dobrze mówi; ja nie chcę także, aby rośli jak chwast dziki; uczą się ile można, przywykają do pracy; niech pracują, niech pracują jak ojciec, a Bóg da, że będzie im także dobrze na świecie. Stan dla każdego już mam, jak ci nieraz mówię; i nie wiem, co ty możesz mieć przeciw temu. Żaden, jeśli mnie będzie słuchał, a słuchać musi, nie umrze z głodu, możesz być spokojna. Jasia, jak powiadam — mówił dalej — że trochę delikatny, zrobię muzykantem; może z czasem zostać kapelmistrzem, zebrać orkiestrę... stan łatwy i w każdym kraju da sposób do życia. Henryczek niech idzie do wojska; może wyjść na oficera, być kapitanem, majorem, dostać krzyż, wkońcu pensyę odstawną... Antosia oddamy do jakiego handlu; niech się dorabia jak tylu innych.

— To mogę mieć i to mam przeciw temu — odpowie przysiadłszy się bliżej troskliwa matka — co ci także nieraz mówię, że w obieraniu tych wszystkich stanów nie poradziłeś się nikogo, nie zważałeś, który do czego ma jakie usposobienie i ochotę, i wymyśliłeś to sobie nie wiedzieć jak i dlaczego. A właśnie wszystko od tego zależy; stąd cała moja niespokojność. Ale jeśli zechcesz, mój dobry mężu, ta niespokojność dziś zaraz, wprzód nawet nim na nieszpory zadzwonią, zniknie może.

— Jeśli zechcę? — Jakim sposobem?

— Jeśli zechcesz pójść za mojem zdaniem.

— Jakiem zdaniem?

— Wiesz — mówiła nieco ciszej i wsparłszy wprzód rękę na rękę męża, że byłam dzisiaj u spowiedzi i komunii świętej. Po

komunii modliłam się, jak mam zwyczaj, do Matki Boskiej gorąco, dziękując za wszystkie nad nami dobrodziejstwa, prosiłam za tobą, za dziećmi, i żebyśmy mogli być oświeceni, jaki już stan, jaki los dać każdemu... Otóż w tej modlitwie tak mi się jakoś nagle zdało, żeby dziś, nim na nieszpory zadzwonią, uważać dobrze na dzieci, a każde samo sobie stan, jaki mu Pan Bóg...

Jeszcze te słowa kończyła, kiedy rosnący hałas w izbie i głośne dzieci na całe gardło chichotania, mieszające się razem z jakimś ponurem śpiewaniem, przerwały rodziców rozmowę. Powstali i weszli do domu.

— Co wy dokazujecie? Czemu te krzyki, te śmiechy takie?

— My się tak z Henryczka śmiejemy — odpowiedzieli razem Jaś i Antoś; — taki zabawny, patrz mamó, nie wiedzieć po jakiemu śpiewa i udaje biskupa!

Brat ich, niezmieszany bynajmniej tą satyrą ani przyjściem rodziców, prowadził swoją zabawę dalej. Jak najpoważniejszym krokiem chodził z kąta w kąt, śpiewając niby po łacinie z książki, która wcale nie była mszałem ani brewiarzem, gdyż był to regestr, gdzie ojciec zapisywał, co mu kto w mieście za chleb i bułki był winien. Ubiór zrobił sobie z serwety; związawszy ją na szyi, rozpuścił przez plecy aż do kostek; laska ojca z kościaną gałką służyła za pastorał. Trwało jeszcze to urojone biskupstwo z parę minut, wreszcie sześciolatek infułat, zmęczony pasterską pracą, rozebrał się i poważnie usiadł. Ojciec ani matka nic nie przeszkadzali, przyjąwszy owszem rolę prostych widzów, zostawili dzieciom zupełną wolność bawienia się, jak same zechcą. Żeby nawet bardziej je ośmielić, zaczęli między sobą z cicha coś mówić. Na ich twarzy, osobiwie na twarzy matki, widoczne malowało się wzruszenie.

Tymczasem Antoś, zbliżywszy się do brata, który tylko co usiadł: — Cóżto — rzecze — ksiądz biskup zmęczył się? Czy piersi ze śpiewania nie zaboląły? Trzeba panu zapisać receptę, proszę pokazać puls. — Brał go za rękę i udawał doktora; przepisywał kąpiel, dytetę, ziółka. Zabawa szła w najlepsze; byli pewni, że na nich nikt nie patrzy.

Jeszcze doktor opatrywał biskupa i różne dawał mu rady, kłedy trzeci aktor, Jaś, pobiegłszy na moment do drugiej izby, wynosi na tacy kilka kawałków chleba i zaczyna biskupa i doktora częstować, nisko się przed nimi kłaniając.

— Może panowie będą łaskawi kupić u mnie te bułeczki i ciastka? Bardzo dobre i tanie, proszę skosztować. Jestem tutejszy piekarz; u mnie zawsze wszystko świeże, dziś z pieca. — Więc traktował obydwóch swojemi ciastkami; a biskup i doktor byliby je dłużej chwalili, ale w tym momencie odezwał się kościelny dzwonek.

— Na nieszpory! — krzyknęła matka, jakby ze snu dziwnego zbudzona — a nie mówiłam? — Wzrok jej wyrażał osobliwszą radość i razem jakiś przestach; zaczęła całować dzieci, kazała im prędko klęknąć, zrobiła nad ich głowami znak krzyża św., ale od płaczu i wielkiego wzruszenia mówić nie mogła; stała moment w milczeniu i prawie nieprzytomna... Wtem dał się słyszeć duży dzwon; chwyciła książkę do nabożeństwa, przycisnęła ją gwałtownie do ust i, nim wybiegła, zawołała jeszcze raz ze drzwi do męża:

— Czy nie mówiłam, wprzód nim na nieszpory?...

— Dzieciństwo! — odezwał się do siebie po chwili piekarz, kiedy już sam tylko był z dziećmi. Wyszedł przed dom, lecz zaraz znów wrócił.

— Dzieciństwo! śmieszna kobieta! — powtórzył patrząc na dzieci, które nie wiedziały, co to się znaczy i czy co złego zrobiły. Ale był zamyślony, pomieszany. Wyszedł jeszcze raz na próg domu, patrzył chwilę na kościół, potem na niebo; — chciał sięgnąć na ławeczce..., i zaraz wszedł napowrót, powtarzając tą razą:

— Dziwne rzeczy!... bywają dziwne rzeczy!

Upłynęła godzina, powróciła matka z niesporów; upłynęło ich więcej, daleko więcej... upłynęło lat wiele... W temsamem miasteczku było trzech rodzonych braci. Wszyscy trzej w niem się urodzili. Jeden teraz był piekarzem, objął dom i handel po ojcu, który na starość przestawszy już pracować, mieszkał przy nim na łaskawym chlebie; drugi był proboszczem miejscowym i wielkiego w duchowieństwie i u rządu używał poważania; trzeci doktorem. Doktor zwłaszcza był jego największą dumą. Młody jeszcze, był już w całym kraju, a nawet za krajem sławny; był lekarzem panującego księcia, ozdobiony krajowymi i zagraniecznymi orderami, przytem kochany niezmiernie od biednych, dla których nie tylko niósł bezpłatnie rady, ale też własnym kosztem utrzymywał w szpitalu ciągle po kilka łóżek. Żyli z sobą w jak najlepszej zgodzie, w braterskiej miłości. Ojciec, patrząc, jak są szczęśliwi, jak szanowani i kochani od ludzi, a dla niego we wszystkim uszanowania

i powinnej czci pełni, wdzięczeń Opatrzności, że mu tak miłą i błogosławioną dawała starość, jeden tylko miał smutek, jeden żal, że tego co on szczęścia nie dożyła jego dobra żona. Ale ten żal koł modlitwą i poddaniem się woli Boskiej; ten smutek leczył widokiem powodzenia synów.

Stefan Witwicki.

150. Dwa dęby.

X Nad modrym stawem dwa dęby stały,
A bardzo dawne — po sto lat miały.
Raz przy miesiącu, nad cichą wodą
Dąbek staruszek potrząsnął brodą
I z drugim dębem rozmowę wiedze: 76/100
— »Co z ciebie będzie, miły sąsiedzie?
Ze mnie kołyskę dla dziecka zrobią,
Sianem wyścielą, liściem ozdobią;
Będę kołysał małe dzieciątko —
Albo chłopaka albo dziewczątko«. X
— »A ze mnie — drugi dąbek odpowie —
Żłódek dla koni zrobią majstrowie; 1/14
Nade mną dużo zawieszą siana:
Przy mnie stać będzie konik ułana«. — 24/11
A pierwszy na to: — »Bądź sobie żłobem:
Ja będę dzidą z żelaznym dziobem«. —
— »Mój miły bracie, nie mów tak szumno,
Ty będziesz dzidą, ja będę trumną;
Pięć desek zbiją na wieczne spanie:
Któż tedy z człeki dłużej zostanie?«. X
A pierwszy na to: — »Bądź trumną sobie,
Ja będę czarnym krzyżem na grobie,
A na nim napis będzie wyryty:
Tu leży wojak w bitwie zabity«.

T. Lenartowicz. 21
11/11

151. Pogrzeb Gallusa.

Wieść o przedwczesnej śmierci Gallusa głośnie odbiła się echem po całym Rzymie. Na forum, w łaźniach nie rozmawiano dziś o niczem, tylko o zgasłym w sile wieku ulubieńcu Augusta. Jedni żałowali w nim utalentowanego poety, drudzy tęgiego obywatela, ogół klientów zaś dobrodzieja. Wnet i prowincya dowiedziała się przez pisma urzędowe i listy prywatne o tym najgłośniejszym wypadku chwili bieżącej, jaki zaszedł w stolicy. Znajomi

wielbiciele Gallusa więc z wil przedmiejskich, z morskich kąpiel, nawet z odleglejszych miejscowości pośpieszyli do stolicy, aby tu oddać ostatnią posługę.

Tymczasem w domu żałoby, którego gościnne podwoje stały otwarte jak i zawsze dla każdego otworem, a mozaikowy na progu napis zapraszał do wniścia, panowała uroczysta cisza i smutek głęboki. Przede drzwiami stały smętne cyprysy i naczynie z wodą do umywania rąk na znak, że któryś z domowników ziemskie opuścił mieszkanie. Wewnątrz zaś krzątała się służba śmierci, ażeby zmarłego namaścić wonnymi olejkami i na jego obliczu zatrzeć tarannie ślady ostatniego pasowania się życia ze śmiercią. Przy pomocy Erosa, przybocznego niewolnika, przyodziano zwłoki w togę białą, bramowaną purpurą, a na głowę włożono jeden z wieńców, które odważny ten wojownik zdobył był sobie w krwawych z nieprzyjaciółmi kraju rozprawach. Tak ubrane zwłoki złożono na łożu śmierci, pokrytem gęsto złotem przetykaną purpurą, z pośród której wyglądały tylko stopy zmarłego, białe jak kość słoniowa, i wystawiono je w atrium, twarzą do wejścia. Obok zmarłego, ze srebrnych kadzielnic wznosiły się wonne dymy arabskich pachnideł, a wierny niewolnik pełnił troskliwie ostatnią służbę przy swym panu, oganiając wachlarzem z piór pawich muchy od rąk i oblicza ukochanego pana.

W czasie kilkodniowej wystawy zwłok roiała się ulica przyjaciółmi i znajomymi Gallusa, którzy się cisnęli do domu żałoby, aby o raz ostatni oglądać oblicze swego przyjaciela lub pana i ostatnie bywaj zdrów!« mu powiedzieć. Niemały też trud miał odzwierny, który dla uniknięcia natłoku oddziałami tylko wpuszczał przybyłych do wnętrza.

Zgromadzony przed domem tłum, czekając, aż kolej przyjdzie do niego do wejścia, rozповідаł sobie tymczasem szczegóły ostatnich chwil zgasłego i rozbierał jego zasługi. A było o kim rozprawiać i o czym, bo też Gallus był to niepospolity człowiek zarówno w boju jak w pokoju.

W czasie ostatniej choroby, w braku krewnych, domownicy czuwali dniem i nocą przy łożu chorego, a gdy mu ostatnia upłynęła godzina i duch jego chciał już na gwiazdy ulecieć, wierny wyzwoleniec Chresimus, który go jeszcze dzieckiem piastował na ręku, pocałował go w usta, jakby chciał pochwycić i zachować ostatni jego oddech na ziemi; potem zamknął mu oczy, przyciskając

a wokół rozległ się śpiew żałobny przytomnych i ogłuszająca muzyka trąb i fletów.

Kiedy płomień strawił już stos i zwłoki i zarzewie ugaszono winem, przyjaciele zgasłego i Chresimus pozbierali pozostałe szczątki, skropili je starem winem i świeżem mlekiem, osuszyli na lnianych chustach i zsykali w alabastrową popielnicę, w którą przyjaciele wlewali pachnidła, a Chresimus kilka gorących łez uronił. Potem wstawił je w otwarty grobowiec, z którego buchał zapach róż świeżych i wonnych olejków. Zamknięto wreszcie drzwi grobowca. Zgromadzeni wzniesli ostatni okrzyk pożegnania (*ultimum vale*) cieniom zgasłego, a odebrawszy pokropienie wodą oczyszczającą, rozprószyli się z powrotem do miasta.

W tymże czasie co Gallus, umarł i wierny jego niewolnik, nie doczekawszy się wyzwolenia. Wobec zajęcia pogrzebem pana, nie było dotychczas kiedy o nim pomyśleć. »Umarłego pochować« było jednak u starożytnych Rzymian przykazaniem, zarówno religią jak i obyczajami uświęconem; co więcej, wierzone nawet, iż dusza zmarłego dopóty nie zazna błęgiego spokoju na drągim świecie, dopóty błąkać się będzie ponad brzegami Styksu, dopóki kości jego pozostaną bez pogrzebu i bez mogiły.

Toż za powrotem do domu, Chresimus wydał rozporządzenie, aby niewolnika pochować. W porze nocnej, przy świetle kilku pochodni, zanieśli niewolnicy swego towarzysza niedoli na miejsce wiecznego spoczynku. A jako za życia ledwie kącik miał mały, gdzie mógł głowę strudzoną do spokojnego snu skłonić, tak i po śmierci zadowolić się musiał drobną mogiłą na wspólnym cmentarzu, po drugiej stronie miasta, poza bramą Eskwilińską.

152. Pożar lasu.

W roku 1857. w górach koło Mikuliczyna, w tej uroczej ojczyźnie Huculów, widziałem straszny obraz lasu palącego się na przestrzeni kilkunastu morgów. Widok ten głęboko wyrył mi się w pamięci i dziś jeszcze straszy mię i niepokoi.

Nie wiem z jakiego powodu zabłysnął płomień w głębi smrekowego drzewa, nibyto błędny ognik lub swawolna sobótką; zrazu

przygaśł, zadymił; znowu powstał, powołał drugi. Już połączyły się oba w płomiennych uściskach; już gonią dalej, szybują po ziemi, wznoszą się i opadają; już łuna zakrwawiła widnokrąg. Ognistą powłoką nakrywają przestrzeń, zabierając ziemi jej barwiste kwiaty i wesołe trawki — cały uroczy strój letni; obnażają przyrodę, w zamian sypią popiołem i iskrami — lecz jakby gniewem zaślepione, nie poprzestają na tem zniszczeniu. Posuwają się na jałowce, tworzą płomienne świeczniki, pną się na smereki i jodły i te posępne drzewa przeistaczają w ogniste piramidy. Kłęby dymu różnobarwnego bałwanią się w powietrzu, pną się ku chmurom, pochłaniają się wzajemnie i walczą iskrami.

Zrywa się wiatr, dmie silnie i podnieca ognisko, wyrывa niedopalone gałązki, roznosi i trzęsie z wściekłością, rzuca palące się pochodnie w gąszcze i tworzy ogniste jeziora lub też zapala wierzchołki drzew na sygnały. Wierny pomocnik ognia zbiera mu wiatr po ziemi suche szpilki i smolne części i podnieca płomień. W ustawicznej ze sobą rozmowie syczą oba, huczą, jęczą i słysząc trzaskanie i grzmoty wśród nieustających błyskawic. Niezmęczone i nieustraszone, niosą wspólnie zniszczenie; płomienie biegają po ziemi gdyby węże ogniste, słupy ognia wznoszą się ku niebu, palące się komety gonią się wzajemnie, śpieszą zwiastować pożogę i sypią żar po drodze. Wieńce z ognia, różgi z iskieł, latające pochodnie, istna lawa paląca się w powietrzu wznosi się ku górze, ku niebu. A niebo całe zaognione, zalane płomieniami, cieniuje swe tło czerwonymi chmurami; bałwany mgliste łączą się z dymem i kłębią się tak, iż niebo i ziemia zdają się ginąć w ognistym potopie. Piekielny to był obraz w ramach czarnych lasów.

Przestrach stworzeń był nie do opisania. Bydło, kozy, owce i konie rykiem i beczaniem wtórują pożarnej muzyce. Straciwszy instynkt i przytomność, pamięć i nabyte doświadczenie, rzucają się w ogień lub biegną bez kierunku i myśli; uderzają o siebie, przewracają się wzajemnie i tratuja. Ni ogień, ni rzeka, ni sterczące skały i zgłiszcza, ni omszone łomy i zwaliska — nic ich popłochu wstrzymać nie może; pędzą stada na oślep, rozbijają się i dzielą. Ptaszeta, szczęśliwsze od czworonożnych, wznoszą się w powietrze, chwilę trzepocą wśród dymu, podziwiając niezwykłą łunę; niejedno życiem przepłaci swą ciekawość, inne szybkim lotem opuszczają ten świat ognisty, kwiląc żałośnie za straconą działywą.

Po niejakiem czasie ogień przygasł, wiatr ustał i dym opadł, ścieląc się po ziemi, jak gdyby przed światem chciał zakryć zdziałane spustoszenie; brakło już przedmiotów do niszczenia. I oto przedstawił nam się straszny obraz, jakby żałobny cmentarz przyrody: ziemia czarna i spopielona, a na niej sterczą krzaki opalone, gałęzie, widły i pnie; jedne z nich jeszcze z wnętrzości wydają ciecz żywiczną, inne stoją z pniem rozprutym, reszta sterczy bez konarów, bez życia, przedstawiając grobowy obraz końca świata przez ogień.

Kazimierz Wodzicki.

153. Okrężne.

Już kończą się żniwa. W polu, na świeżem ściernisku stoją rzędami kopice, a drogą do wsi toczą się wozy ze snopami. Rolnik uwija się żwawo, korzystając ze sprzyjającej mu pogody, i cieszy się, widząc, iż Pan Bóg pobłogosławił jego pracy. Nie wybił mu zboża grad, nie wypaliła susza: więc jest się czem weselić, jest też za co ziemi rodzinnej błogosławić.

Ostatnią niezżętą garść zboża zostawiono dla przepiórki, a dziewczęta zaczęły wic wieniec dożynkowy. Przyniesie go dziś gospodarzowi z pola najdzielniejsza ze wszystkich żniwiarek, zwana przodownicą. Ten wieniec wyobraża cały tegoroczny plon czyli urodzaj; więc powinny być użyte do niego różne rodzaje zboża: pszenica, żyto, jęczmień i owies. Wplatają także kwiaty, kalinę i gałązki laskowych orzechów, czyli wszystko to, czem się zdobią niwy i czem bogate są lasy ojczyste. Wieniec powinien być ogromny i wspaniały, bo ma on wyobrażać obfity plon rolnika.

Gdy tak przy odgłosie pieśni uwito wieniec i włożono go na skronie hożej dziewoi, żniwiarze, otoczywszy ją kołem, ruszyli drogą ku wiosce. Słońce ostatnim promieniem ozłociło bujne kłosa pszenicy nad czołem żniwiarki, gdy gromada pracowitej czeladzi uroczyście postępowała ze śpiewem:

Od zielonego gaju,
Od bystrego dunaju
Niosą wianek ze złota:
Żniwiareczek robota.
Plon niesiem, plon!

Wyżęliśmy już wszystko,
I pszeniczkę i żytko,

A od granic do granic

Już na polu niema nic:

Plon niesiem, plon!

Dzisiaj do jegomości

Przybędzie dużo gości;

Zasiędziem stoły potężne,

Bo dzisiaj mamy okrężne!

Plon niesiem, plon!

Tymczasem we dworze panował ruch niezwykły. Przynoszono ze spiżarni przed ganek kosze z owocami, mięsiwem, serem i chlebem. Beczka piwa zajęła miejsce pod starą lipą, gdzie ustawiono długie ławy i szerokie stoły. Pani wydawała różne polecenia domownikom, a dwie podrastające córki pilnowały, ażeby rozkazy matki spełniano, jak należy. Sam gospodarz, pokręcając radośnie sumiastego wąsa, witał najbliższych sąsiadów, którzy, zaproszeni na okrężne, przyjechali z licznem gronem dziatwy, bawiącej na wakacyach.

Wieśniacy szli wolno, a zbliżając się do bramy, która umyślnie była zamknięta na to, żeby ją sam dziedzic otworzył, zanucili:

Nie żałuj, panie, siwego żrebca;

Ślij po muzykę, choć do Królewca!

Plon niesiem, plon!

Zaścielaj, panie, stoły i ławy!

Jedzie do ciebie gość niebывały:

Plon niesiem, plon!

Wypraw nam, panie, sute okrężne,

Bo ci niesiemy dary potężne:

Plon niesiem, plon!

Otwieraj, panie, szerokie wrota!

Niesiem wianeczek z szczerego złota:

Plon niesiem, plon!

Otwieraj, panie, nowy swój dwór,

Bo ci niesiemy cały twój zbiór:

Plon niesiem, plon!

Wynijdzże, panie, z całą drużyną,

Przyjm od dziewczyny wianek z kaliną:

Plon niesiem, plon!

Dziedzic z żoną stał w ganku, otoczony gronem rodziny i gości. Żniwiarze ze śpiewem przystąpili przed dwór, a gdy umilkli, przodownica oddała wieniec gospodarzowi, a druga dziewczoja, najlepsza po niej żniwiarka, wręczyła gospodyni równiankę czyli pęk kłosów

igrzysk i zapasów (*arena*), o wzniesieniu dla księcia (*podium*) i o miejscach dla widzów przeznaczonych.

Na dole, zaraz w przedsionku (*atrium*) widoczne są trzy korytarze, które równolegle obiegają cały budynek dokoła; przez nieto dostawano się do trzech rzędów miejsc w amfiteatrze (*maenianum*), mianowicie z pierwszego korytarza wiodły schody (*scalae*) do pierwszego rzędu miejsc, z środkowego korytarza wchodziło się do miejsc drugiego rzędu i t. d. Rzędy te oddzielone były od siebie przegródkami (*praecinctiones*) i murami (*baltei*), w których były drzwi (*vomitoria*), do tych miejsc wiodące. Miejsca te (*gradus*) znowu w ten sposób poprzedzielane są schodami, iż z daleka mają pozór klinów (*cunei*), ostrzem w dół ku arenie zwróconych. Miejsce dla księcia przeznaczone, wspaniałymi niegdyś jaśniejące marmurami, otoczone było wysoką kratą żelazną, zakończoną ostrymi, ku arenie skierowanymi zębami, które zabezpieczać miały przed dzikimi zwierzętami, gdy z rykiem i wściekłością wypadły ze swoich klatek (*caveae*), umieszczonych pod podłogą książęcej łoży.

Bywały w teatrze i kobiety, a przeznaczone dla nich miejsca znajdowały się ponad ławami mężczyzn, na obiegającej wokoło galerii z pięknymi, smukłymi filarami.

Ponad otwartym u góry amfiteatrem jaśniało pogodne sklepienie nieba, a jeżeli kiedy zbyt cześnie widzom dokuczało słońce, rozpięto ponad całą widownią olbrzymie płótno żaglowe (*velarium*), rzucające cień na miejsca przez widzów zajęte i na pole krwawych na dole zapasów.

O jakże dzisiaj smutnie i pusto wyglądają te stare mury olbrzymie, w których niegdyś oko objąć nie mogło tylu tysięcy widzów! Jakże głucha cisza grobowego milczenia zalega dziś to miejsce rozległe, w którym niegdyś wrzało życie i głośnie rozlegały się okrzyki tryumfu i radości! Przez puste ramy okien wpada tylko niekiedy wiatr od morza wiejący i świszcząc przeraźliwie w ruinach, zdaje się ostrzegać ludzi, iż wszystko na świecie jest znikome, i ludzie sami i najtrwalsze rąk ich dzieła.

155. Lew Androklusa.

I.

Rzymski prokonsul czyli rządca Afryki, człowiek srogi i okrutny, miał niewolnika, nazwiskiem Androklusa, z którym najniegodziwiej

się obchodził. Razu pewnego za jakieś małe przewinienie skazał go na straszliwą karę cielesną. Nieszczęśliwy Androkłus postanowił ratować się ucieczką. Korzystając z ciemnej nocy, omylił czujność straży i wydostał się za mury miasta; a skoro się ujrzał w czystym polu, puścił się już lotem ptaka. Biegł prosto przed siebie noc całą i poranek po piaszczystej i kamienistej pustyni, aż palące promienie słońca zmusiły go do wypoczynku i szukania sobie schronienia. Naraz ujrzał w bliskości ciemną szczelinę, wiodącą w głąb jaskini, więc bez namysłu wsunął się do niej. Zaledwie jednak znalazł się w głębi, spostrzegł z przerażeniem lwa nadzwyczajnej wielkości. Na widok człowieka, lew ryknął przeraźliwie aż cała jaskinia zadrzżała. Nie rzucił się jednak na przybysza, tylko przyglądał mu się uważnie; był to widocznie także jakiś lew niewolnik, oswojony z widokiem ludzi, któremu się udało wyrwać z klatki pogromcy. Rozpatrzywszy się bliżej, ujrzał Androkłus, że zwierz stąpał z trudnością, a z łapy sączyła mu się czarna posoka. Po chwili przystąpił lew do niego, spojrzał wzrokiem wzywającym litości i podniósł ku niemu skaleczoną łapę. Androkłus uspokojony nieco i zgadując życzenie lwa, wziął go za łapę, obejrzał ją i znalazł pomiędzy pazurami utkwiony cierni, wielkości gwoździa; wyrwał więc cierni i spiekłą krew wycisnął z rany. Wtedy król zwierząt uwolniony z cierpień legł na ziemi u stóp Androkłusa, oparł głowę na jego kolanach, a potem lizał mu ręce i lekkim pomrukiem usiłował wyrazić całą swą wdzięczność.

Od tej chwili najściślejsza przyjaźń łączyła lwa z niewolnikiem. Lew dostarczał pożywienia, które Androkłus w braku ognia piekł na słońcu. Jednak ten sposób życia wnet uprzykrzył się Androkłusowi. Dnia jednego więc, gdy lew wyszedł na łowy, niewolnik pożegnał jaskinię i puścił się w drogę. Dostał się do lasu i ukrył się w cieniu drzew, a nocy przepędzał na drzewach, aby uniknąć potworów, i tylko z bojaźnią schodził na ziemię, dla zaspokojenia głodu trawą i korzonkami. — Raz, gdy błądy i wynędzniały, zajęty był zbieraniem korzonków, usłyszał w krzakach chrzęst i łoskot nadzwyczajny. Z przerażeniem obejrzał się: wtem tygrys wypadł z gęstwiny, podskoczył gwałtownie i runął u nóg jego ugodzony strzałą. Jeszcze Androkłus nie potrafił sobie zdać sprawy z tego, co zaszło, gdy nadbiegło kilkunastu ludzi. Byli to myśliwi, Rzymianie! a na czele ich srogi prokonsul! W jednej chwili poznany Androkłus, skępowany, odprowadzony został do pałacu tyrana,

który za karę kazał go odesłać do Rzymu na pożarcie w cyrku przez dzikie zwierzęta.



Dnia jednego cesarz Klaudyusz wyprawiał ludowi ogromne igrzyska; schwytano na tę uroczystość mnóstwo dzikich zwierząt, spędzono tłumy nieszczęśliwych więźniów. Wczesnym rankiem o oznaczonej godzinie cały Rzym zbiegł się na widowisko. Wchody do cyrku i korytarze dolne były tak obszerne i tak umiejętnie umieszczone, że w jednej godzinie dziewięćdziesiąt tysięcy widzów zajęło stopnie amfiteatru.

Na osobnem miejscu, po lewej stronie szranków, naprzeciw pierwszej mety pojawił się wkrótce cesarz i dał znak rozpoczęcia widowiska, rozwijając pewien rodzaj białego płaszcza z wełny, zwanego mappa.

Igrzyska rozpoczęły się od wyścigów pieszych. Ścigali się młodzi Kretejczycy jako odznaczający się w ćwiczeniach tego rodzaju. Po nich nastąpiły wyścigi wozowe (*missus*). Cztery wozy, przedstawiające tyleż fakcyi, rozróżnionych kolorami, czerwonym, niebieskim, białym i zielonym, tworzyły miszę. Cesarz, konsulowie, rycerze i lud oświadczały się każdy za inną fakcyą, a popierając je z zaciętością, dawali powód do groźnych zamieszek wpływających z posuwanego do szaleństwa entuzjazmu.

Następowały jeszcze walki siłaczy, pasujących się ze sobą, i rzucanie krążkiem kamiennym; ale to był dopiero wstęp do prawdziwych igrzysk. Lud rzymski bowiem, który prawie czwartą część swojego życia przepędzał na stopniach cyrku, znajdował upodobanie dopiero w krwawych widowiskach, jakimi były walka gladiatorów i zażarte szarpanie się różnego gatunku drapieżnych zwierząt, puszczone w szranki jednocześnie, między sobą lub z ludźmi. Rozdzierające krzyki boleści, szpony tygrysów zatopione w drgających ciałach ofiar, ryk lwów, chrzęst łamanych kości, to były najpożądane widowiska, to najmilsze uciechy ludu rzymskiego. Niekiedy nawet synowie najznakomitszych rodzin, ulubieńcy cesarza, stawali do walki obok płatnych szermierzy, którzy ich wyuczali swego niebezpiecznego rzemiosła.

Na dany znak przez trębaczy otworzyły się podwoje, a z nich wyszli gladyatorowie, uzbrojeni w oszczepy; wchodzili w szranki parami, przedsiębiorca oglądał ich broń, aby się przekonać, czy

nie uszkodzona. Przechodząc przed cesarzem, pozdrawiali go słowy: „*Ave, imperator! morituri te salutant!*“ *) — „*Avete vos*“ **) — odpowiadał Klaudyusz, kłaniając się wzajemnie. Po przygotowywanych próbach potyczki, odgłos trąb dawał hasło do walki rzeczywistej.

Gdy który z gladyatorów upadł raniony, lud wołał: „*habet*“ — i jeżeli chciał, aby ranionego zaraz dobito, wznosił ręce, trzymając wielki palec prosto; jeżeli zaś pragnął ocalić mu życie, wznosił podobnież ręce, z tą jednak różnicą, że wielki palec nakłaniał się ku ziemi. W ostatnim razie przenoszono ranionego do *spoliarium*, gdzie jeżeli lekarze oświadczyli, że rana śmiertelna lub że wyzdrowienie nie prędko nastąpi i nie wróży z pacyenta pożytku, natychmiast go doduszano. Zwycięzcom udzielano palmę, wieniec z liści, a niektórym pieniądze lub wieniec z złotych liści.

Nastąpił wreszcie ostatni akt dramatu — walka ludzi z dzikimi zwierzętami, która miała najsilniej targnąć za nerwy widzów.

Na dany znak otwarto klatki, z których dolatywał ryk zwierząt; zgłodniałe potwory wybiegły w szranki. Szczególnie jeden lew zwracał powszechną uwagę: — był to zwierz olbrzymi, piana toczyła mu się z paszczy, wstrząsał kędzierzawą i gęstą grzywą, bił boki ogromnym ogonem, wył krótko, zapamiętale — widzowie drżeli z uniesienia. Znowu otwarto wrota i wypchnięto oddział nieszczęśliwych ofiar, przeznaczonych na pastwę; każdemu ze skazanych podano jak na pośmiewisko do obrony szpadę i dwa oszczepy. Zaczęła się walka, a raczej rzeź. Chrzęst gruchotanych kości i potoki krwi świadczyły o piekielnej zapamiętałości Rzymian. Ofiary padały stosami, wszyscy już wyginęli — jeden tylko człowiek żył jeszcze. Sztwywny z przerażenia, leżał nieruchomy na ziemi, z zamkniętymi oczyma, oczekując napaści, od której nie chciał się bronić. Lud nienasycony krwi, żądał, ażeby powstał i walczył. Gdy jednak pomimo wezwań i rozkazów nie chciał, czy nie mógł się poruszyć, widzowie wydali okrzyk: »Ukrzyżować go!« Nagle lew olbrzym, cały zlany krwią, powiódł iskrzącym wzrokiem, ujrzał swą ofiarę. Lecz o dziwo! Zamiast rozszarpać ofiarę, przystanął i skoczył ku leżącemu na ziemi, zawył radośnie i położył się przy nim. Potem

*) Bądź pozdrowion, cesarzu! Pozdrawiają cię idący na śmierć!

**) Bądźcie wy pozdrowieni!

zaczął go obiegać, lizać, skomleć nad nim, jak pies przywiązany. Pieszczoty lwa przywróciły człowiekowi przytomność — otworzył oczy i napotkał wzrok lwa: król zwierząt i niewolnik poznali się, uradowali i dawali sobie nawzajem oznaki najszczerzej przyjaźni. Lud osłupiał — a potem wydał jeden wielki okrzyk podziwu i uwielbienia. »Łaski! łaski!« wołano zewsząd. Cesarz powstał, zamknął wielki palec — niewolnik był ocalony. Niewolnik był to Androkłus, lew — jego towarzysz z pustyni. Gdy wyprowadzono ze szranków zwierzęta, cesarz wezwał przed siebie niewolnika. Androkłus opowiedział mu całą przygodę. Wieść o tem nadzwyczajnem wydarzeniu w jednej chwili obiegła wszystkie stopnie amfiteatru. Lud, który przed chwilą domagał się śmierci, potem życia Androkłusa, teraz żądał jego wyswobodzenia. Cesarz obdarzył go wolnością, senatorowie i rycerze zasypali go złotem, damy wiencami, nadto cesarz darował mu lwa-przyjaciela. 4234567

Odtąd widziano na ulicach Rzymu, jak Androkłus w towarzystwie lwa przechadzał się po placach i miejscach publicznych, wiodąc na cienkim pasku swego przyjaciela, który nikomu nie wyrządzał krzywdy. 9101.

156. Kwiat paproci.

Od wieków wiecznych wszystkim wiadomo, że nocą św. Jana, która najkrótszą jest w całym roku, kwitnie paproć; a kto jej kwiatuszek znajdzie, urwie i schowa, ten wszelkie na ziemi szczęście mieć będzie. Bieda jednak cała z tego, że noc ta jest tylko jedna w roku, a taka niezmiernie krótka; nadto paproć w każdym lesie tylko jedna zakwita, i to w takim zakątku, tak ukryta, że nadzwyczajnego trzeba szczęścia, aby na nią trafić. Ci, co się na tych cudowiskach znajdują, mówią jeszcze i to, że droga do kwiatu bardzo jest trudna i niebezpieczna, że tam różne strachy przeszkadzają, bronią, nie dopuszczają i nadzwyczajnej odwagi potrzeba, aby ten kwiat zdobyć.

Pewnego czasu był sobie chłopak, któremu na imię było Jacuś, a we wsi przezywali go ciekawym, dlatego, że zawsze szperał, szukał, słuchał, a co było najtrudniej dostać, do tego on się najgoręcej garnał... taką miał już naturę. Co pod nogami znalazł, po co tylko ręką było sięgnąć, to sobie lekcewazył, a o co się musiał dobijać, karku nadstawić, najwięcej mu smakowało.

Trafiło się tedy raz, że gdy wieczorem przy ogniu siedzieli, a on sobie kij kozikiem wyrzynał, stara babusia, okrutnie rozumna, która po świecie bywała i знаła wszystko, poczęła opowiadać o tym kwiecie paproci.

Ciekawy Jacuś słuchał i tak się zasłuchał, że mu aż kij z rąk wypadł, a kozikiem sobie omal palców nie poprzeryzał.

Skoro babusia skończyła, Jacuś powiedział sobie: »Niech się dzieje, co chce, a ja kwiatu tego muszę dostać. Dostanę go, bo człowiek, kiedy chce mocno, a powie sobie: musi to być — zawsze wkońcu na swoim postawi«.

Tuż pod wioską, w której stała chatka rodzicieli Jacusia, był niedaleko las i pod nim właśnie palono co roku Sobótki w noc świętojańską.

Przez kilka miesięcy Jacuś czekał i czekał na tę noc i o niczem nie myślał, tylko o tem. Czas mu się strasznie długim wydawał.

Naostatek nadeszła wigilia św. Jana, zbliżyła się noc, której on tak wyglądał: ze wsi wszystka młodzież się wysypała ognie palić, skakać, śpiewać i zabawiać się.

Jacuś umył się czysto, wdział koszulinę białą, pasik czerwony nowy, łapcie lipowe, nienoszone, czapeczkę z pawiem piórkiem i, jak tylko pora nadeszła, a zmrok zapadł, udał się do lasu.

Las stał czarny, głuchy nad nim, noc ciemna z mrugającymi gwiazdkami.

Znał Jacuś dobrze drogę w głąb lasu po dniu i jaką ona bywała w powszedni czas. Teraz, gdy się zapuścił w głąb — osobiwa rzecz, nie mógł ani wiadomej drożyny znaleźć ani drzew rozpoznać. Wszystko było jakieś inne... Potem stanęły na drodze gąszcze takie, że ani palca przez nie przecisnąć; ale Jacuś jak się rzucił, pchnął, amachnął — zdusił je, zmiotosił, połamał i przebił się szczęśliwie.

Zdawało mu się już, że szedł rok cały, tak długą wydała mu się ta droga... Kwiatu nigdzie!... Nie zawrócił się jednak i nie stracił serca, a szedł dalej... Ale wkońcu już miał Jacuś z rozpaczy porzucić daremne szukanie, gdy — tuż pod nogami zobaczył kwiatek. Pięć listków miał złotych, a w środku oko świeące. Wyciągnął rękę i pochwycił go. Zapiekło go jak ogniem, ale nie rzucił... trzymał mocno.

Kwiat w oczach rosnać mu poczynął, a taką jasność miał, że powieki musiał Jacuś przymknąć, bo go oslebiała. Weisnął go

zaraz za pazuchę pod lewą rękę... na serce... Wtem głos się odezwał do niego:

— Wziąłeś mnie — twoje szczęście; ale pamiętaj o tem, że kto mnie ma, ten wszystko może, co chce, tylko nigdy i z nikim swoim szczęściem nie wolno mu się dzielić... .

Jacusiowi się tak w głowie z wielkiej radości zamąciło, że niewiele na ten głos zważał. — A co mi tam, rzekł w duchu, byle mnie na świecie dobrze było...

Z czapeczką na bakier, podśpiewując, wracał do domu. Droga przed nim świeciła, jak pas srebrny, drzewa się ustępowały, krzaki odchylały, kwiaty, które mijał, kłaniały mu się do ziemi. Z głową podniesioną stąpał dalej i tylko roił, czego mu żądać. Zachciało mu się naprzód pałacu, wioski ogromnej, służby licznej i strasznego państwa; ledwie o tem pomyślał, gdy znalazł się u kraju lasu, ale w okolicy zupełnie mu nieznanej.

Spojrzawszy sam na siebie, poznać się nie mógł. Ubrany był w suknię z najprzedniejszej materyi, buty miał na nogach ze złotemi podkówkami, pas sadzony kamieniami drogimi, koszulę z najcieńszego płótna.

Tuż stał powóz, koni białych sześć w chomontach pozłocistych, służba w galonach, kamerdyner rękę mu podał, kłaniając się, wsadził do karety i — wio!

Jacusz nie wątpił, że go do pałacu wiozą; jakoż tak się stało. W mgnieniu oka powóz już był w ganku, na którym służba liczna czekała.

Tylko ani znajomego nikogo ani przyjaciela, twarze wszystkie nieznane, osobliwe, jakby poprzestraszone i pełne trwogi. Do stołu przynosili mu przysmaki z za morza; ale wkońcu sprzykrzyło się wszystko i przejadło, bo głodu nigdy nie znał...

Upłynął tak rok i drugi; wszystko miał, czego dusza zapagnęła, ale szczęście to wydawało mu się czasem takie głupie, że mu życie obrzydło.

Najwięcej go zaś gnębiła tęsknica do wioski swojej, do chaty i rodziców, żeby ich choć zobaczyć, choć dowiedzieć się, co się tam z nimi dzieje... Matkę kochał bardzo, a ilekroć ją wspomniał, serce mu się ścisnęło.

Jednego dnia zebrało mu się na odwagę wielką i, siadłszy do powozu, pomyślał, aby się znalazł we wsi przed chatą rodziców. Natychmiast konie ruszyły, leciały jak wiatr; i nie opatrzył się, gdy

się zatrzymały przed znanem mu dobrze podwórkiem. Jacusiowi łązy się z oczu puściły.

Wszystko tu było tak, jak porzucił przed kilku latami, ale postarzałe, a po tych wspaniałościach, do których nawykł, jeszcze mu się nędźniejszym wydawało.

Złób stary przy studni, pieńek, na którym drewka rąbał, wrotka od dziedzińca, dach porosły mchami, drabina przy nim... stały jak wczoraj. A ludzie?

Jacusz wysiadł. Pierwszy spotykający go w podwórku był stary Burek, jeszcze chudszy, niż był niegdyś, z szerścią najeżoną. Szczekał na niego zajadle i ani myślał go poznać.

W progu pokazał się w koszulinie najmłodszy brat jego, Maciek.

— A matuś gdzie? — zapytał przybyły.

— Chorzy leżą — odrzekł malec, wzdychając.

— A tatuś?

— Na mogiłkach...

Choć Burek mało go za pięty nie chwycił, wszedł Jacusz do chaty. Stara matka stękając leżała w kątku na biednym łóżeczku. Poszedł do niej Jacusz... popatrzyła nań, nie poznała... Mówić jej było trudno, a on o nic pytać nie śmiał.

Serce mu się krajało. Już sięgał do kieszeni, aby złotem synpąć na ławę — aż dłoń mu się ścisnęła, bo strach brzydki go ogarnął, że własne szczęście utraci.

I wyrwał się z chaty do powozu, a z nim do pałacu; ale przybywszy tu, zamknął się i płakał. Zbudziło się w nim sumienie i gryzło mu wewnątrz serce. Nie dawał się. Durzył się ciągle czemś, latał, jeździł, strzelał, jadł, pił, hulał... Nic nie pomagało.

W uszach ponad wszystkie wrzaski brzmiało: »Niema szczęścia dla człowieka, jeśli się niem z drugim podzielić nie może!«

Rok nie upłynął, aż Jacusz wysechł jak szczepa, wyżółkł jak wosk i w tym swoim dostatku i szczęściu męczył się nad wszelki wyraz.

Wkońcu, po jednej nocy bezsennej, nakładłszy złota w kieszenie, kazał się wieźć do chaty. Miał postanowienie, choćby wszystko stracić, a matkę i rodzeństwo poratować.

— Niech się już dzieje, co chce! — mówił — niech ginę, dłużej z tym robakiem w piersi żyć nie mogę.

Stanęły konie przed chatą.

Wszystko tu było, jak przedtem: żłób stary u studni, pieniek, dach, drabina — ale w progu chaty żywej duszy nie było...

Jacús pobiegł do drzwi: stały kołkiem podparte; zajrzał przez okno: chata była pusta.

Wtem żebrak, stojący u płota, wołać nań zaczął.

— A czego tam szukacie, jasny panie? Chata to pusta: wszystko w niej wymarło z biedy, z głodu i choroby.

Jak skamieniały stanął ów nieszczęśliwiec u progu — stał i stał...

— Z mojej winy zginęli oni — rzekł w duchu — niechże i ja ginę!

Ledwie to rzekł, gdy ziemia się otworzyła i zniknął, a z nim ów nieszczęsny kwiat paproci, którego już dziś próżno szukać na świecie.

Józef Ignacy Kraszewski.

22

157. Ptaszek i rybka.

— »Szczęśliwa rybka!« tak ptaszek rzecze:
»Kto jej co zrobi, gdy w głąb uciecze?
Bez troski, strachu, w ciągłej swobodzie
Igra po wodzie!«

Mnie takim szczęściem niebo nie obdziela;
Jastrząb goni, człowiek strzela;
Przykrożto, przykro dla biednej ptaszyny
Zawsze w tej ciągłej żyć wojnie,
I jednej nawet lichej odrobiny
Nie może zjeść spokojnie!«

Ależ i rybka w tejsamej dobie
Gdzieś tam w swej głębi tak mówi sobie:
»Szczęśliwy ptaszek! jakże bezpieczny,
Gdy się wzbija w kraj słoneczny!
Nuąc ziemi, niebu i wiośnie,
Buja radośnie.

Buja, gdy rybka w ciągłej obawie:
Tu ją straszy sieć zdradliwa,
Tam szczupak goni po stawie,
I to się życiem nazywa!
Boże! coś wszystko tak mądrze ułożył,
Czemuś mnie ptaszkiem nie stworzył!«

Takim i człowiek żali się głosem
W swych skargach nudnych i długich;
Widzi on szczęście, lecz dziwnym losem
Nigdy u siebie, zawsze u drugih.

Fr. Morawski.

158. Krakowskie wesele przed ces. Franciszkiem Józefem I. w r. 1880.

Skoro tylko stało się pewnością, że podróż cesarska do kraju naszego się odbędzie i że cesarz zabawi w Krakowie trzy dni, powstała myśl urządzenia uroczystości ludowej, ażeby z jednej strony przypuścić lud do udziału w tym ruchu wspaniałym, jaki wywołała w kraju podróż Monarchy, a z drugiej, aby Monarsze dać możność poznania zwyczajów ludu polskiego. Cóż się bardziej nadawać ku temu mogło, jeśli nie Okrężne i Wesele krakowskie?

Dnia 3. września 1880. r. już o godzinie 5. po południu Rynek krakowski, ożywiony przez cały czas trzydniowego pobytu cesarza w mieście, zapełniał się coraz bardziej. Każdy zakątek, każdy gzymś był zużytkowany; a cóż dopiero okna i balkony otaczających Rynek domów! Z najmniejszego okna wyglądały dziesiątki głów. Straż obywatelska utworzyła z obu stron gęsty szpaler, związany żywym ramion łańcuchem. Utworzyła się w ten sposób wolna i otwarta droga naokoło Rynku, zostawiona dla obchodu.

Dwie pary weselne nowożeńców, którym zawarcie związku małżeńskiego przypadło na czas uroczystości cesarskich, a które aproszono do wzięcia udziału w obchodzie, na parę godzin przed wrokiem wsiadły na wozy weselne i pojechały do kościoła OO. Karmelitów na Piasku, gdzie się odbył obrzęd kościelny.

Głęboki już zmrok zapadał nad Rynkiem, gdy nad głowami kilkudziesięciotysięcznej zebranej tam ludności zajaśniały ognie na facyatach Sukiennic i domów. Sterczące w niebo wieże, ratuszowa i maryacka, rzucały cienie długie, ścielące się u stóp gmachów i okrywające mrokiem swoim zebrane tam tłumy. Wśród tych cieniów i ciszy, przerywanej szmerem tylu tysięcy ludu, wystrzeliły naraz dwa jarzące światła.

Wtedy z jednego końca Rynku od ulicy Grodzkiej wchodzić począł orszak Okrężnego, a z drugiej w tejże chwili zjawiał się na czele nie cesarz w błękitnym mundurze i kasku ułańskim. Na czele

Okrężnego przy dźwięku muzyki wiejskiej postępowało dwudziestu kilku wyrostków i tyleż dziewcząt z garnuszkami i koszyczkami w ręku. O kilka kroków za nimi wieśniak niośł sztandar, ozdobiony dużym wieńcem z czterech gatunków zboża. Spadające szarfy w barwach białej, niebieskiej i czerwonej niośły dziewczęta, bogato przystrojone, otaczające kołem wieśniaka. Cztery przodownice, w wieńcach zbożowych na głowie, poprzedzały wieńiec pszenicy, zdobny wstążkami i kwiatami, a kształtami przypominający koronę. Niosło go sześć dziewcząt na szarfach białych i niebieskich. Po obu stronach wieńca szły cztery pary włościan w bogatych strojach z okolic Krakowa. Dwadzieścia pięć żniwiarzek szło z sierpami w rękach. W pewnej odległości postępowały następne wieńce, żytni, jęczmienny i owsiany. Wszystkim towarzyszyli, podobnie jak pierwszemu, włościanie z okolic Krakowa.

Za wieńcem żytnim, jęczmiennym i owsianym szli również żniwiarze, kosiarze i dziewczęta. Pierwszy wieńiec ustawił się frontem ku balkonowi kamienicy, w której mieszkał cesarz. Za danym znakiem muzyka wojskowa zaintonowała hymn ludu, podczas którego całe Okrężne schylając się powitało trzykrotnym okrzykiem »niech żyje« Najjaśniejszego Pana. Zaraz potem wieńce ustąpiły ku sieni pałacowej, a szesnaście par przy odgłosie krakowiaka zatoczyło taniec ludowy.

Następnie dalszy pochód Okrężnego posunął się ku pałacowi. Sześć gospodyń z Krowodrzy, Łobzowa, Czarnej- i Nowej Wsi ciągnęło piramidę z jarzyn złożoną, ubraną zielenią, kwiatami i wstęgami. Sześć dziewcząt z wieńcami prowadziło gospozię, niosącą bogaty bukiet z kwiatów. Za nimi szli Prądniczanie z kolośalnym chlebem, przystrojonym we wstęgi i z kryształem solnym na wierzchu. Wieńce, jarzyny, bukiety i chleb złożono wewnątrz pałacu. Poza muzyką podążyły dalsze grupy, jako to: wóz drabiniasty, naładowany przybranymi we wstążki snopkami, obok niego cepiarze i grabiarze, dalej dzieci i kobiety, niosące snopki i kłosy, następnie zaś wóz drabiniasty z kosiarzami i żniwiarzami.

Nadjeżdżające Wesele krakowskie raźnie, zamaszyście i z fantazyą krakowską wjechało na Rynek najpierw wolnym, a później przyspieszonym kłusem. Na przodzie jechało dwudziestu czterech drużbów na koniach, ubrani z krakowska, z bukietami weselnym przy czapkach i kapeluszach; za nimi wóz z parą starostów i muzyką. Następnie na czwórka zaprzężonym wozie państwo młodzi,

otoczeni znów drużbami, harcującymi obok na koniach; dalej wozy z druchnami i gośćmi weselnymi. Tak samo zajechała druga para. Wszystkich wozów było przeszło dwadzieścia. Przy głośnym śpiewie i towarzyszeniu muzyk wiejskich, Wesele podjechało do pałacu, aby starym zwyczajem ofiarować cesarzowi korowaj; przy zbliżaniu się każdego wozu uchylały się krakuski, a donośny okrzyk »niech żyje« rozlegał się wesoło po całym Rynku.

Po skończonych igrzyskach ludowych nowożeńcy wraz z drużbami i gośćmi zaproszeni zostali przez prezydenta miasta do Sukiennic; tam urządzono dla nich obfite przyjęcie. Wtem niespodzianie na placu ukazuje się cesarz. Idzie wprost ku środkowej masie ludu, sam, bez orszaku, w nocy... W jednej chwili otwarło się przejście wolne, szerokie a okrzyk potężny wyrwał się z piersi tłumu.

W ten sposób cesarz doszedł do Sukiennic i to do bocznej bramy, gdzie go się wcale nie spodziewano. Łatwo odgadnąć zapal, jaki ogarnął włościan, gdy ujrzeli cesarza w pośród siebie. Rzucili się do niego, nazywali go »kochanym, wielmożnym cesarzem«, całowali go w ręce i kolana. Cesarz był tak wzruszony, że przez długich chwil kilka nie mógł słowa wymówić.

Marszałek powiatu krakowskiego zbliżył się do Monarchy i witać go krótką przemową, zaprowadził do tronu, a wyjaśniwszy znaczenie Okrężnego, prosił, aby wolno było doręczyć w Jego obecności wiana nowożeńcom. Uzyskawszy przyzwolenie, doręczył obu parom po 50 dukatów. Cesarz stał przed tronem, a obie pary nowożeńców przystępowały doń, wyrażając w sposób, właściwy Krakowiakom, hołd swego uszanowania. Następnie P. Namiestnik przemówił donośnym głosem do zgromadzonego ludu i w imieniu cesarza obdarował nowożeńców wianem po 50 dukatów w złocie dla każdej z dwóch par, a dziewczętom z Okrężnego po dwa dukaty ze szkatuły cesarskiej.

159. Kawał bursztynu.

Dawno, dawno temu, był wielki las... W którym roku to było, trudno powiedzieć, bo było to tak dawno, iż człowiek, który chciałby tego dociec, omyliłby się zawsze o kilkaset lat w swojej rachubie.

Las ten dziwnie wyglądał. Dziś, gdyby kto zjechał świat cały wszecz i wzdłuż, lasu takiego nie znalazłby nigdzie. Nie

zobaczyłby dziś także i takich zwierząt, jakie żyły w tym lesie. Olbrzymie świerki, jakich dzisiaj nie ujrzysz, ponad ich wierzchołkami wspaniałe korony palm, a w ich cieniu rozścielone ponętnie kobierce alpejskich róż, wonnych jałowców, karłowatych palm, mirtów, tulipanów dziwacznych i strzelających dumnie a smętnych cyprysów i sporo jeszcze innego bujnego i barwistego kwiecia . . .

W lesie tym żył świat wielce tajemniczych stworzeń, (jakie dziś nawet nie każde muzeum posiada). Tu niby wół, niby tapir olbrzymi ryje w ziemi, tam na gałęzi czyha wielki jakiś krwiożerca kot, ówdzie jelen ze szczególną, ogromną sochą. Obrzydlę płaskie żółwie grzeją się na brzegu strumienia, otoczonego barwną krawędzią wybujałych na podziw kwiatów niezwykłych — nęcących ku sobie całe roje pstrych motyli i owadów.

Las cały pełen orzeźwiającej woni żywicy, co płynie ze szczelin świerkowych. Szczeliny te duże, nabrzmiałe żywicą, tak w nią obfitują, że zbytek jej zwisa niby stalaktyty (sople) w powietrzu i ściele się na mchu leśnym piękną złoto-żółtą patoką. Na wiosnę, gdy soki w drzewach pędzą z ziemi ku górze, wylewa się ta żywica tak gwałtownie, że pokrywa cały pień drzewa grubą warstwą, zalewa korę, siatki pajęczne na niej utkane, a często i niebacznego pajęczka, czyhającego na zdobycz w środku swej tkaniny. Widok rozlanej wonnej żywicy na mchu leśnym nęci znowu muszki, chrząszczyki i skorpionki przeróżne, żądne słodyczy, a następstw nie świadome; niebaczne, zlatują się na złoto-żółte jeziorko i — grzęzną w lepkiej żywicy na wieki. Jeziorko żywicy staje się ich grobem.

Zwykłym rzeczy tokiem przychodzi ulewa, poblizki strumień wzbiera, występuje z brzegów, zalewa część lasu i jeziorko żywiczne, grób muszek i chrząszczyków. Wzburzony ruch wody podmula je coraz więcej, wreszcie z kawałem mchu i gliny wyrывa i unosi do rzeki, a stąd do morza, gdzie jeziorko żywiczne opada wraz z łem na dno. Świeży namuł przykrywa je z góry nową warstwą piasku, grób chrząszczy i skorpionów zalega w jeszcze straszniejszym grobie, w głębinie dna oceanu.

Jak długo ciała tych stworzonek, zabalsamowane żywicą, leżały tam w otchłani, trudno oznaczyć. Fale przepływały ponad niemi w nieskończone czasy, żywica jeziorka stwardniała na kamień, a chrząszczyk lub muszka, w nim pogrzebiona, gdyby mogła ożyć i wydobyć się ze słonej wody, nie znalazłaby z rodzinnego swego

lasu ani śladu. Tam bowiem, gdzie ongi wspaniałe palm, świerków i cyprysów korony kąpały się w blasku słońca, rozścieliła się teraz pusta, nadbrzeżna nizina, pokrajana w czworokąty łąk i pól lnia-nych, karłowatych gaików i obejsć gospodarskich, ponad które strzelają jedynie tu i owdzie szkieletowe wiatraki. Tam, gdzie ongi ścielił się kobierzec róż alpejskich i innych bujnych, tropikalnych kwiatów, zaległy dziś bagna i trzęsawiska torfowe. A ponad to wszystko unosi się dzisiaj takie mgliste, przenikliwe tchnienie, że biedne muszki, chrząszcze i skorpiony uledzby musiały zapewne ponownej śmierci.

Miedzy onym czasem, kiedy świerki i jodły olbrzymie rosły w towarzystwie palm i cyprysów, a chwilą dzisiejszą, kiedy na ich miejscu zieją mgłami bagna torfowe, minęły długie, długie lata.

Chrząszcze, muszki i skorpiony nie zginęły jednak w otchłani morza. One zmartwychwstały ze swego grobu, ale wstały martwe, zamknięte w żywicy, wydobyte przez człowieka z ziemi oskardem lub wyłowione siecią z wody morskiej. Odtąd spokój ich grobu, raz naruszony, przepadł na zawsze.

Oczyszczony okrucuch żywicy począł wędrować z ręki do ręki, z kraju do kraju. Opitowano go na wszystkie strony, wygładzono w formę podłużnego orzecha, przewiercono na wylot i nanizano na sznur do innych okrucuchów, co zdobiły szyję młodej kobiety, królowej jednego ze szczepów, zamieszkujących wyspy Bałtyku. Ale niedługo trwał ten pozorny spokój, ten zaszczyt zdobienia szyi pięknej władczyni północnej. Przybyli częścią lądem, częścią dziwnymi okręty o trzech piętrach wiosł, ludzie kupczący z południa, obcej mowy i obcych obyczajów. Za sznury żywicznych okrucuchów ofiarowali oni naszyjniki z szczerozłotych blaszek. Zabrali więc kupcy sporo bursztynowych sznurów, a sprzedając je drogą zamiany na inne towary w Gallii i Luzytanii, z najpiękniejszymi okazami zajechali aż do możnej Hellady. Tutaj o pochodzeniu okrucuchów żywicy świerkowej, czyli, jak Helleni mówili, o elektronach, taka wówczas powstała legenda:

Oto syn słońca, Faeton, uprosił sobie raz u ojca, iż mu tenże zezwolił powozić wozem ognistym, który codziennie od wschodu na zachód pędzi po niebie i oświeca przybytek człowieka. Młody Faeton nie zdołał jednak poskromić rumaków szalonych u wozu, rozpędzone zwierzęta wzniciły pożar w niebie. Bóg najwyższy, Zeus, rozgniewany za to na Faetona, strącił go piorunem

swej gromowładnej prawicy do nurtów rzeki Erydanu. A gdy zrozpaczone siostry Faetona, imieniem Heliady, poczęły płakać nad brzegami Erydanu za bratem, przemienił je Zeus w smukłe topole, ich zaś łzy w złociste perły elektronu...

Dzięki tej powabnej legendzie był elektron fenicki na targu hellenickim w wysokiej cenie. Ceniony był także na targach asyryjskich i egipskich, gdzie go znowu nazywano »szafranem«, co przyciąga.

Jeden taki okruch elektronu, powstały z żywicy, nabył jeden z wielkich mędrców, których wielu posiadała Hellada. Począł on badać go swym przenikliwym rozumem na wszelakie sposoby i wykrył, że ta stwardniała żywica, potarta trochę, przyciąga leciuchne przedmioty; — jednym słowem, wykrył siłę elektronu — elektryczność...

Inne okruczki złocistego elektronu wprawiono w dyademy posągów bogiń hellenickich, których tak wiele zdobiło przybytki tego narodu. Małe okruczki tłuczono na żwir drobny i rzucano na żar ogni ofiarnych, celem przypodobania się bóstwom wywołaną z elektronu wonią.

Ale i te elektrony, co lśniły w dyademach bogiń hellenickich, nie zaznały długo spokoju. Przybyli chrobrzy Rzymianie i zburzyli posągi bogiń, a dyademy uwieźli łupem. A kochali się Rzymianie w elektronie także. Nero, władca ich okrutny, kazał sprowadzić sobie raz z nad Bałtyku, 6.000 *kg* elektronu!... Zmienną losu kolejną złupili je na Rzymianach później wojowniczy Gallowie i unieśli w swe północne sadyby, co sięgały aż w te strony, gdzie elektron ujrzał pierwszy raz światło dzienne.

Czasy i ludzie zmieniali się znowu jedne po drugich, a chociaż przestano wierzyć w łzy Heliad, bursztyn pozostał cenionym i poszukiwanym. Robiono z niego głównie perły różańcowe. Prawo wydobywania i łowienia bursztynu zdobyli sobie Krzyżacy i w ich zakonie długo prawo to się przechowywało. Dziś także jest to prawo wyłączną własnością potomków krzyżackich.

Przechodząc tak z kraju do kraju, z rąk do rąk, dotrwał bursztyn aż do naszych czasów, niby spuścizna zamierzchłej wspólniejszej przeszłości. Gdyby tak mogły o niej coś powiedzieć — zamknięte w bursztynach muszki, chrząszczyki i skorpionki!...

160. Życie w Alpach.

33 lut 18

I.

Życie w górach jest w różnych krajach do siebie podobne, bo łączy się ściśle z naturą gór. Góral tatrzański i góral alpejski, zamieszkujący doliny i hale rozległych Alp, mają w sposobie życia bardzo wiele wspólnego.

Dla pasterza alpejskiego jest bydło całem mieniem i jedynem źródłem jego utrzymania, przedmiotem trosk i rozmyślań, jego całą dumą i zadaniem całego życia. Są jednakże majątni górale alpejscy, którzy chowem bydła nie zajmują się sami, lecz hale swoje innym wydzierżawiają. Taki, który ma co najmniej 24 krów, idzie zazwyczaj sam z tym dobytkiem albo na własne hale albo na wydzierżawiane od innych gospodarzy lub od gminy. Górale, mający mniejsze obory, idą zrazu sami na niższe hale; lecz gdy bydło w środku lata puszcza się już na wyższe pastwiska, wtenczas zdają zwykle swój dobytek na wspólnego pasterza czyli bacę, z którym się potem na św. Michała obliczają.

W zimie głucho jest i pusto wśród gór. Bydło stoi po oborach, jak wszędzie u włościan. Osady bywają zwykle tak śniegami zasypane, że nie można się dostać z jednej wsi do drugiej, a często i z jednej chaty do drugiej. Góral wychyla się z domu chyba po to, aby drzewo na saneczkach spuszczać, lub czasem przepędza bydło do odleglejszego szałas, gdzie latem zwiózł zapasik siana.

Lecz gdy zawita maj, a śniegi stopnieją, góral czeka już niecierpliwie na wyprawę w góry. Wyjdzie na hale, poprawi drogi, opatrzy koszarę, a dziewczęta przygotowują tymczasem bukiety ze wstęgami i wieńce na kapelusze, bo wyprawa odbywa się z wielką uroczystością. Krowy są wyczesane, aż się świeci; trzem najpiękniejszym zawiesza się na szyjach dzwony z blachy mosiężnej, do 30 cm długie, w górze mocno wydęte, a zwężające się ku dołowi. Głos tych dzwonków tak jest silny, że przy cichem powietrzu słychać go i na milę; a że mają tony rozmaite, więc tworzą właściwą Alpom muzykę dzwonkową. Na czele idzie najpiękniejsza z krów i ona jest przewodniczką całej wyprawy. Przez dłuższy czas nawykają krowy tak do tego prowadzenia, że jeśli się zdarzy, iż taka przodownica odsprzedaną zostanie do innego stada, gdzie już jest własna przodownica, wybuchają między nimi zacięte bójk i o przodowanie, tak, że trudno czasem pastuchom walczące rozpędzić.

We wsiach, przez które pochód się posuwa, wybiega wszystko co żyje, ażeby się stadku i ludziom przypatrzeć. Za krowami postępują owce i kozy, a wszystko w podskokach wesołości, bo wiedzą, że w górze czeka je smaczna, soczysta pasza. Przodem idzie juhas z malowanym skopkiem na ramieniu, bokiem postępują dwaj pastuszkowie, a na ostatku koń, objuczony naczyniami do odwarzania mleka i zazwyczaj właściciel stada lub baca. W niektórych miejscach wyruszają także żony i dzieci do letniej koszary, zamknawszy swe chaty lub zostawiwszy w nich starców i staruszki na straży.

Koszara alpejska, oparta na kamiennem podmurowaniu, sklejona z drzewa, które od słońca i wiecznego dymu staje się brunatne, opiera się zwykle o skałę, lub nawet, gdzie można, wciska się częściowo w jej zagłębienie. Dach, pokryty gontem lub tarciami, przyciskają liczne, ciężkie kamienie, ażeby go wichry nie uniosły. Jeśli płynie w pobliżu potoczek z lodowców, to chętnie kieruje go pasterz przez swą koszarę, bo mu dostarcza wody i odświeża powietrze, zakwaszone wyziewami mleka. Głębina skały dostarcza zwykle chłodnego schowku na nabiał. Czasem obok koszary są jeszcze zagrody lub całe szopy dla bydła na czas spieki lub ulewnej słyoty; częściej jednak służą krowom za ochronę wspaniałe jodły alpejskie. Najbliższe otoczenie koszary stanowi nagromadzona mierzwa bydłęca; wewnątrz jej nie odznacza się również czystością. Malownicze ubranie górskie chowa się tylko na pokaz w doły, na święta uroczyste. Tutaj chodzi pasterz w bieliźnie ze zgrzebnego płótna i zazwyczaj w drewnianych trzewikach, zwanych gdzieindziej »sabotami«.

Największą część wnętrza koszary zajmuje ognisko i zawieszony ponad niem kocioł na mleko. Dym wychodzi szczelinami i drzwiami, a w czasie deszczowym napełnia całą koszarę. Dalsze urządzenie koszary stanowią: stół do podnoszenia, wiszący przy ścianie na wrzeciądzach, podłużna skrzynia, będąca oraz ławą, klocek drewniany, pełniący służbę stołka, i półka, gdzie składa się naczynie, części ubioru i t. p. Często widnieje także na ścianie obrazek Matki Boskiej z Einsiedeln.

Zajęcie pasterza alpejskiego jest bardzo jednostajne. Gdy le-dwo dzień zaczyna, gdy cała okolica jest jeszcze w mgły poranne spowita, a tylko śniegiem okryte wierzchy odbijają różowe światło wschodzącego słońca: już chłopak ogień roznieca, a pasterz wstaje,

aby krowy wydać. Zebrane mleko zlewają zaraz do kotła i zaprawiają podpuszczką*), aby się ser od serwatki oddzielił. Tymczasem rozwidniło się już zupełnie; więc juhas wypędza bydło na halę, chłopak myje naczynie, a baca zajmuje się dalej przerabianiem nabiału. Wieczorem, gdy bydło śpiesząc za zwołującym je śpiewem juhasa, wróci do koszary, ponawia się tasama praca, a wieczerza i czyszczenie naczyń kończą zajęcia całodzienne.

Gdy noc zapada, wychodzi pasterz przed koszarę i głosem donośnym, przytknąwszy do ust duży drewniany lej od mleka, śpiewa na „Anioł Pański“. Na głos ten, rozbijający się echem wśród załomów skał, padają na kolana pasterze, pozostali na halach, a dla zabłąkanego w lasach podróżnego jest to znak, gdzie znaleźć pomoc i przytułek na noc.

Na niektórych halach są kaplice, w których raz w ciągu lata odprawia się mszę świętą. Jest to wielka uroczystość dla pasterzy alpejskich, a przypada zazwyczaj na dzień patrona, któremu kaplica jest poświęconą. Zebrani juhasy i pastuszki zabawiają się wówczas śpiewem, tańcem, muzyką na skrzypcach i cymbałach, mocowaniem się i rzucaniem ciężkich kamieni o zakład.

Pasza na halach jest niewyczerpaną, lecz gdy jesień nadchodzi i zawitają przymrozki poranne, spuszcza się baca ze stadem na coraz niższe hale, żeby być bliżej domu. Powrót do wsi przeciągają jak najdłużej, gdyż bydło niechętnie porzuca nie spasione jeszcze, pożywne pastwiska. Ale liść żółknie na drzewach i opada, hale bieleją długo w porannym szronie, nim go słońce roztopi, zimna dokuczają po nocach coraz bardziej, a śnieg wisi już ponad głowami. Baca roznieca więc przed koszarą wielki ogień i rzuca nań dużo świeżej choiny, żeby wicher unosił całe snopy iskier, a kłocę palącego się drzewa spychają pastuchy w skaliste przepaście. Jest to zapowiedź, że stada wracają do osad. Lud w dolinach widzi to i oczekuje z radością powrotu pasterzy i trzód, pięknie podhodowanych.

II.

Najwyższe Alpy w monarchii austriacko-węgierskiej są w Tyrolu. Jest to kraj o sto kilkadziesiąt mil od nas oddalony, a położony na przeciwległym, południowo-zachodnim krańcu państwa.

*) Mleko zsiadłe w żołądku cielęcia, jeszcze ssącego, albo kawałek cięłego żołądka.

Jedną trzecią część Tyrolu porastają bogate, przeważnie szpilkowe lasy, również tyle zajmują paszne hale górskie, a resztę doliny, nie bardzo urodzajne, ale zawsze przydatne do uprawy zbóż i na ogrody, a zasiane wioskami i miastami. Jezior tam mało, zato w górach liczą sto kilkadziesiąt wodospadów.

Do najrozleglejszych i najurodzajniejszych dolin należą doliny Innu i Adygi. Udają się tu winogrona i wyborne owoce, jak n. p. tyrolskie jabłka, które aż do nas przywożą. Na południowych stokach Alp sadzą morwy i trudnią się jedwabnictwem, hodują też duże ślimaki, chętnie kupowane jako przysmak.

Uprawa roli natrafia w Tyrolu na liczne przeszkody, gdyż prawie tylko same małe łąki mogą być używane pod zasiew. Nie zraża to jednak Tyrolczyka. Na plecach w koszach wynosi on nawóz na skaliste wyżyny i, gdzie tylko znajdzie trochę ziemnego pokładu, uprawia go natychmiast.

Odznaczają się religijnością, poufałością, szczerością, odwagą i przywiązaniem do kraju. Od wieków zachowują wiernie strój narodowy i obyczaje swych przodków. Są bardzo pobożni; każdą czynność zaczynają od Boga i z Bogiem ją kończą. Często też w kraju ich, nie tylko przy drogach, ale i wśród rozpadlin skalistych można spotkać krzyż z Męką Pańską lub kapliczkę. W górach swych zakochani, tęsknią do nich, gdy im je przyjdzie porzucić. Wspinając się po skalistych urwiskach, nawykają wcześniej do niebezpieczeństw i znoszenia niewygód, a z namiętnością oddają się łowom. Nieraz i dzień cały i noc przepędzi Tyrolczyk wśród skał, żeby tylko celnym strzałem powalić płochą kozicę. Są też między Tyrolczykami najslawniejsi strzelcy. Ćwiczenia nabywają nie tylko na łowach, lecz przez strzelanie do tarczy, co jest najmielszą dla Tyrolczyków zabawą. Całe wsie biorą udział w takich uroczystych strzelaniach. Idzie tam o zakłady lub o nagrody ze wspólnych pieniędzy zakupione, a strzelec, mający pewną rękę i wprawne oko, otaczany jest powszechnym szacunkiem.

W długie wieczory zimowe, zasiadłszy koło gorejącego ogniska z jodłowych gałęzi, uprzyjemniają sobie Tyrolczycy czas muzyką i śpiewem. Szczególnem zamiłowaniem w muzyce, a mianowicie w grze na cytrze, słynie dolina »Zillerthal«. Gdy tutaj zima Tyrolczykowi dokuczy, zabiera cytrę, a zasadziwszy swój szpiczasty kapelusz, wybiera się w świat szeroki. Grając na cytrze i śpiewając po miastach, zbiera grosz, a nabiwszy nieraz trzos należycie,

wraca do swego sióła, zakupuje kawałek gruntu i uprawia go z zamięłowaniem.

Zachodnia część kraju, wciśnięta między Bawaryę i Szwajcaryę, zwana Vorarlbergiem, odznacza się wielkim przemysłem. Są tam przędzalnie lnu, konopi, wełny i bawełny, liczne warsztaty tkackie, także fabryki wyrobów jedwabnych, farbiarnie i fabryki do drukowania perkali. Przeważna część pięknych chustek kolorowych, które u nas kobiety głowy zawiązują, pochodzi z tej części Tyrolu.

Dawniejszymi czasy przybywali do nas często Tyrolczycy z towarami. Byli to zazwyczaj mężczyźni wysokiego wzrostu, okazałej postawy, dobrej tuszy. Ubranie ich stanowiły: czerwona kamizelka z szerokimi szelkami po wierzchu, ciemno-zielony spencer, szeroki a bogato nabijany pas, krótkie spodnie skórzane lub aksamitne, wysokie pończochy, a na głowie szpiczasty kapelusz o szerokich kresach. Na plecach dźwigali oni wielkie pudła z rozmaitymi towarami, jak n. p. materye jedwabne, chustki, koronki, cienkie płótna, nici, wstążki, guziki, i t. p. Często obnosiła te towary i Tyrolka, przystrojona w dostatni gorset, krótką a fałdzistą spodnicę czarną i również wysoki a szpiczasty kapelusz na głowie.

Odkąd się koleje żelazne rozpowszechniły i ułatwiły handel z najodleglejszymi krajami, przestali się już u nas pojawiać owi okazali przekupnie.

161. Ostatnie igrzyska w Rzymie.

Myśl sama o cyrkowych igrzyskach w starożytnym Rzymie zgrozą dzisiaj przejmuje serca szlachetniejsze. Ale niegdyś całe miasto śpieszyło do Kolizeum; mężczyźni, niewiasty i dzieci, senatorowie i urzędnicy, szlachta i lud prosty, nawet dziewice westalskie przybywały tutaj, a przewodniczył sam cesarz. Do samej nocy przeciągały się igrzyska, aż póki widzowie nie byli całkiem upojeni widokiem okrutnej rzezi.

Dopiero około roku 400. po Chrystusie skończyły się krwawe walki, a według podania koniec im położył pewien stary pustelnik. Wiedział on, iż występując przeciw ulubionej zabawie, naraża zuchwale swe życie; ale czemże było jego życie w porównaniu z ocaleniem życia tylu nieszczęśliwych ofiar i z zapobieżeniem tak strasznym zbrodniom? Imię jego nieznane. Niektórzy twierdzą, iż

był nim Alimachus, podług innych był nim Telemachus. Ktokolwiek on był, moc duszy jego musiała być niepospolitą.

Przybył on do stolicy świata z dalekiego wschodu; nikt go nie znał — nikt też jemu nie był tutaj znany. Właśnie rozeszła się wieść po mieście, iż w cyrku odbyć się mają gladyatorskie zapasy. Cały Rzym cisnął się tłumnie. Razem z ludem wszedł do cyrku i pobożny pustelnik, a w sercu niósł wielki zamiar.

Na arenę wystąpili gladyatorowie, uzbrojeni w spisy i w miecze. Miała to być walka na śmierć. Kiedy się już zbliżyli do siebie zapasnicy, starzec przeskoczył zagrodę i rzucił się między gotowych do walki, wzywając ich, aby zaniechali rozlewu krwi niewinnej. Zewsząd więc podniosła się rozgłośna wrzawa, krzyki i wycie tłumów: »Precz! precz, starcze!« wołano. On jednak nie ustąpił. Gladyatorowie usunęli go na bok i zaczęli walczyć. Atoli starzec rzucił się znowu między ostre miecze i wzywał do zaprzestania krwawych zapasów.

— Precz z nim! — rozległ się okrzyk powszechny.

Wówczas prefekt igrzysk dał znak — i starzec padł nieżywy pod ciosami gladyatorów, którzy dopiero po trupie szlachetnego męża przystąpili do krwawej między sobą walki.

Ale śmierć ta nie pozostała bez owocu. Lud zaczął rozmyślać nad swem postępowaniem, wszedł w siebie i poznał własne okrucieństwo; poznał też, iż zamordowano świętego człowieka, który życie poświęcił, występując przeciw dzikiej żądzy krwawych widowisk.

Zwłoki bezimiennego zwycięzcy obnoszono w tryumfie dokoła areny, a następnie z czcią przynależną złożono je w kościele świętego Klemensa.

Od dnia zaś, w którym wspomniany starzec poświęcił swe życie, nie powtórzyły się już zapasy w Kolizeum. Śmierć pustelnika odniosła zwycięstwo: walki gladyatorów ustały.

162. Król w gościnie.

Kiedy król Stanisław August Poniatowski w r. 1784. objeżdżał Litwę, przyjmowany wszędzie z zapalem i radością, przyrzekł panu Rdułowskiemu, chorążemu nowogrodzkiemu, iż z Nieświeża przyjedzie do niego w odwiedzin. Ucieszył się tem pan Rdułowski bardzo, ale to mu niemały sprawiało kłopot, gdzieby pomieścić tylu i tak dostojnych gości, nie mając w swym domu tak

obszernych pokoi. Położenie jego było tem przykrzejsze, iż mając czuwać nad usługą królewską, nie mógł się sam od boku pana oddalić.

W wigilię tedy owego dnia, w którym miał król do domu jego zawitać, prosił pan chorąży przyjaciół i wszystkich jemu obowiązanych, ażeby zaraz ruszyli do jego domu, do Snowia i tam w jego nieobecności przygotowali wszystko na przyjęcie tak znakomitego gościa. Jakoż zebrało się w Snowiu przez dzień cały bardzo wiele szlachty, a nazajutrz o świcie przybył sam gospodarz, ażeby w domu swoim oczekiwać króla.

Około południa przybył Stanisław August w towarzystwie dwóch najdostojniejszych panów. Potem zajeżdżały niezliczone pojazdy jeden za drugim, a z nich wysiadali najznakomitsi dostojnicy, duchowni i świeccy. Gospodarz, przyjmując króla w ganku, padł mu do nóg, dziękując za zaszczyt, wyświadczony jego domowi; wszyscy obecni wzniesli okrzyk na cześć przybyłego gościa. Pani chorążyna podała rękę królowi i zaprowadziła go do obszernej sali bawialnej, która się w oka mgnieniu zapełniła gośćmi. Król, kilka chwil zabawiwszy, wyszedł do komnaty dla niego przeznaczonej, aby wyprawić listy do Warszawy, a tymczasem goście przybyli z królem wesołą bawili się rozmową.

Kiedy król wrócił do towarzystwa, przystąpiła do niego pani chorążyna i tak przemówiła:

Najjaśniejszy panie, skromny nasz domek nie ma sali tak obszernej, w którejby mogli się zmieścić wszyscy tu obecni tego powiatu obywatele — a przecież wszyscy łakną dzielić gody królewskie. Pozwól przeto, miłościwy panie, służyć sobie obiadem w stodole.

Na to król bardzo uprzejmie odpowiedział:

— Wybornie! wszakże króla narodu rolniczego najwłaściwiej będzie nakarmić w stodole — i podawszy rękę gospodyni domu, poszedł z nią naprzód do stołu.

Za przykładem króla poszli wszyscy obecni i w jednej chwili zapełniła się biesiadnikami ogromna stodoła, cudem prawie przemieniona w salę jadalną.

Ledwie za przykładem i pozwoleniem króla zasiedli wszyscy za stołem, gdy uwagę powszechną zwrócił na siebie stojący przed królem wizerunek Piasta, misternie z ciasta i cukru zrobiony. Była o rzecz przesłiczna. Na wozie dwoma wołami ciągnionym, a na-

ładowanym kołami, siedział Piast kołodziej, a u wrót Kruszwicy wojewodowie zachodzą mu drogę i przynoszą koronę i berło.

Uradowany tym widokiem król zawołał:

— Patrzcie, panowie, czy może być przy uczcie w stodole milsze wspomnienie nad tego kołodzieja, obwołanego królem!

I zaczęła się przy stole żywa rozmowa, czy też to było w istocie, czy to tylko wymysł późniejszy; a król do tych ostatnich odezwał się z uśmiechem:

~~W~~ Miłujcie się, nie odbierajcie nam naszego Piasta; niech on nam służy na zawsze za dowód, że w zacnym narodzie prosty kołodziej cnotami swojemi może dostąpić najwyższej władzy.

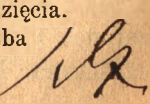
Po tych słowach króla zapal niezwykły ogarnął wszystkich, a gdy za chwilę gospodarz ogromnym kielichem wniósł zdrowie Jego Królewskiej Mości, wszyscy obecni powstali i jak jeden mąż wzniesli okrzyk na cześć dostojnego gościa, który, odpowiadając na życzenia, wypił zdrowie gospodarstwa i zebranej szlachty.

Wtedy radość wszystkich nie miała już granic; bawiono się najwesелей i mnogie wychylano puhary. Ale ze względu na obecność króla wszystko odbywało się przyzwoicie i umiarkowanie.

Wedł. *Henryka Rzewuskiego*
(Pamiętniki S. Soplicy).

163. Ksiązę Józef Poniatowski i Mohort.

Synowiec króla przybył do Warszawy,
Co za granicą długo do szkół chodził
I nabył nawet już wojskowej wprawy,
Bo regimentem cesarskim dowodził;
Lecz że po matce był w pół cudzoziemiec,
Że nie znał kraju i nie miał zacięcia:
Stąd nie miał w wojsku ni w narodzie wzięcia
I pospolicie zwan był: Ksiązę Niemiec.
Król się tem strapił, bo go umiał cenić.
Więc wypadało coś jakoś odmienić
I dać mu jakąś pomoc osobliwą.
Hetman Ogiński wpadł na myśl szczęśliwą
Wezwać Mohorta i oddać mu księcia;
Polską komendę niech pozna co żywo,
To i nabierze polskiego zacięcia
I jeszcze w wojsku i w narodzie wzięcia.
Więc jako hetman i najstarszy družba
Pana Mohorta taki list wyprawił:



»W Bogu i z Bogiem!

Towarzyszu służba:

Konno i zbrojno będziesz tu się stawiał.

— »Niema co mówić! Ordynans hetmana!«

Rzekł pan porucznik, kiedy list przeczytał;

Więc zdał komendę, a nazajutrz zrana

Już go na drodze promień słońca witał.

W Warszawie hetman zapoznał go z księciem.

Od pierwszej chwili, gdy mu spojrzał w oczy

I pojął, jaki to się świat w nich mroczy,

Był dla Mohorta z tak wielkiem zajęciem,

Iż rzekł w pokorze do hetmana: »Wierzę

Że mi się uczyć, gdzie tacy rycerze!«

I odtąd tylko z Mohortem na koniu

I odtąd tylko przy mustrze na błoniu!...

A gdy pan hetman coś w tygodni parę

Spytał Mohorta: »Czyś tam kontent z księcia?

Czy najdzie przecie na naszą tam wiarę?«

— »Dobry — rzekł Mohort — nabiera zacięcia,

Jest krew pocziwa i serce i oko;

A jak się w boju spotka z Panem Bogiem,

To może z czasem urośnie wysoko

I będzie kogo postawić przed wrogiem«.

U Kapucynów stanąwszy kwatery,

Ciągle na koniu, cały dzień na dworze;

Związał się z księciem przyjaźnią tak szczerą,

Że go odwiedzał księżę i w klasztorze.

Jedyną tedy pociechą w Warszawie

Był Mohortowi Ogiński i księżę...

Lecz choć i klasztor, choć i przyjaźń wiąże,

Tęsknił do kresów i zmizerniał prawie:

»Już mi tu zginąć widzę w tej Warszawie!«

Wiała mu Dniepru nie mogła zastąpić

I każdą chwilą życia począł skąpić;

Więc kiedy księcia już nauczył służby,

Nie chciał pozostać w Warszawie i chwili:

»Tęsknią tam po mnie i konie i drużby —

Muszę na szlaki!«

Więc król go przywołał

I ledwo słowy wypowiedzieć zdołał,

Ile mu wdzięczny i ile go ceni,

Że mu synowca tak pięknie wyćwiczył

W rycerskich sprawach; że się szczęsnym mieni

Mieć go w swem wojsku; wkońcu żeby życzył,

Aby mąż taki, co tak dzielnie stawał

W obronie kraju przez lat szereg długi,

Przyjął nagrodę. A więc krzyż mu dawał

I rotmistrzowską buławę zasługi
I ukraińską słobodę na wieczność;
A przy tem była i łaska i grzeczność
Króla tak wielka, że aż dwór się zdziwił...
Sam tylko Mohort coś trochę się skrzywił
I rzekł do króla: »Miłościwy Panie!
Umiem ja cenić choć w pomiernym stanie)
I łaski Waszej Królewskiej Miłości
I niepowszednie Jego dla mnie względy;
Ale nie dla mnie takie dostojności
I po staremu rzecz nie idzie tędy!

Chrzest — to sakrament niczem nie zmazany;
Ja na chrzcie świętym wyparłem się czorta
I krzyż przyjąłem krwią Boga oblany
I ufam w Panu, że Pan Bóg Mohorta
Karać nie będzie choć przynajmniej za to
(Jeślim nic więcej sobie nie wyprosił),
Bom dla ojczyzny ten krzyż wiernie nosił,
Stojąc na czatach przez niejedno lato:
Więc po raz wtóry krzyża wziąć nie mogę!

Co do buławy — zaszczyt to rycerski;
Ale w chorągwi rotmistrzem pan Kierski,
A ja chorągwi mojej nie porzucę,
Bom w niej zestarzał, Miłościwy Panie!

A co do ziemi — to jej mam niemało;
A jeśli zresztą w życiu jej nie stało,
To jej dadadzą po śmierci — i stanie!«

Więc król mu na to: »A to mi Spartanin!
To Polak twardy! To republikanin!
Teraz dopiero ciężą mi me długi,
Gdy mię za serce taka cnota chwyta,
Gdy za ubogą jest Rzeczpospolita,
By mogła spłacić swych synów zasługi;
Więc jedną prośbę mam tylko pod niebem:
Nim się rozstaniem, przełamię się chlebem!«

I wielki obiad był nazajutrz dany
Na cześć Mohorta na zamku królewskim...
I do obiadu przyszedł król ubrany
W złotym pancerzu i w płaszczu niebieskim,
Jak na obrazach bywa ustrojony;
Lecz do obiadu był tylko proszony
Sam jeden Mohort z królewską rodziną,
A był i hetman. Król, bardzo łaskawy,
Ciągłe się bawił tylko Ukrainą
I wypytywał o ludzi i sprawy.
Pod koniec stołu zawołał: »Panowie!
Ojciec ojczyzny wnoszę teraz zdrowie

Tu najstarszego w ojczyźnie rycerza —
Niechaj nam żyje! z nami się sprzymierza!«
I wypił kielich i wszyscy powstali,
A po toaście wyszedł już król z sali...

Kiedy nazajutrz słońce w pełnym blasku
W Wiśle zagrało, poił Mohort konia
W Wiśle na drogę. Wtem tętent przez błonia
• I jakieś wierzechy wymykają z lasu.
Mohort się spojrzał — a tu jedzie książę
Na czele całej dobranej młodzieży
I woła: »Teraz pan Mohort uwierzy,
Że kiedy służba, to i na czas zdążę!
Z rozkazu króla mam oddać tę zbroję
I konia z rzędem — i niech Bóg prowadzi!
A jeśli wolno, składam służby moje,
Bobyśmy gościa przeprowadzić radzi!«
— »I owszem, proszę — rzekł Mohort wesoło; —
To mi to życie, kiedy takie koło;
Jabym odprawić miał taką drużynę?
Ja proszę z sobą choć na Ukrainę!«

A wtem nadjechał królewski koniuszy,
Prowadząc konia. Koń był wielkiej duszy,
Oczy jak gwiazdy, jako piekło chrapy,
Szyja jak łabędź, a piersi jak wrota;
Rzęd staropolski aż kapał od złota,
Choć przysłoniony tureckimi kapy.
Koniuszy odkrył tyfityk, a u boku
Upięty pancerz i szabla w wytoku,
Szyszak na łeku, a tuż przy szyszaku
Spływa proporzec pancernego znaku.
Spojrzał się Mohort i podumał głową...
Koń parsknął rażno, a on krzyknął: »Zdrowo!
Zdrowo, mój kosiu! — Takiego bachmata
Daj hetmanowi, a przejdzie kraj świata!«
Pogłaskał konia i nareszcie powie:
»Ha, komu w drogę, temu czas, panowie!«

Winc. Pol (Mohort).

164. Przejezdny.

Było to w lecie roku 1820. i któregoś. Kiedy warszawski wóz pocztowy stanął szczęśliwie w Piotrkowie, wysiadł z niego mężczyzna mogący mieć lat trzydzieści kilka. Wzrostu był słusznego, w sobie szczupły, delikatny, ruchów ciała śmiałych i zręcznych: coś się w nich żołnierskiego i coś krakowskiego przebijało. Powierzywszy pierwszemu faktorowi, co się nawinał, rzeczy swoje, wprost poszedł na miasto. Po kilkunastu krokach założył, widocznie ze zwyczaju, ręce na plecy;

głowę schylił cokolwiek na bok, jak to często bywa nałogiem ludzi myślących i dumających; brał się od przypadku w tę lub ową ulicę, jak gdyby wszędzie nie to widząc, co pragnął: widocznie zastał Piotrków nie takim, jakim go widzieć pragnął, jakim on był dawniej.

— Gdzież jest — mówił do siebie w duchu, całe już prawie miasto obszedłszy — gdzież jest ów mur gospodarnego Kazimierza! Gdzie świetne i tłumne zjazdy, sejmy pamiętne! Gdzie mieszkanie tyłu wielkich mężów, sławnych i ukochanych królów! Wszystko, wszystko czas rozsypał! Tak rozmyślając, wyszedł wkrótce na plac i zatrzymał się przed domem, na którym przybita była tablica z napisem: »Dom gościnny«. Postanowił pójść się czem posilić.

Na pierwszym pięttrze zastał już stół nakryty na kilkanaście osób bardzo porządnie; ale prócz dwóch czy trzech służących, kończących chodzić koło niego, nikogo nie było jeszcze w pokoju.

— Obiad prędko będzie? — spytał się, odsuwając jedno z krzeseł przy okrągłym stole i siadając.

Służący zmierzyl go okiem raz i drugi, spojrzeli po sobie. — Będzie niedługo — odpowiedział jeden, który porządną minę, a zwłaszcza warszawskie ubranie gościa lepiej od drugich uważał.

Przybyły obiadu kandydat, wchodząc natychmiast w przyszłe swoje prawa, przełamał tymczasem bułkę, co przed nim leżała, i wzięwszy jeden kawałek, posypał solą i jadł. Ale w parę minut myślał już o czem innem. Jedną ręką podparty na stole, drugą stukał z lekka nożem po obrusie, oparty wygodnie o grzbiet krzesła i mając nogi pod stół wyciągnięte. Zapatrzył się w ruchy noża, lecz wcale go nie widział, tak był zadumany. Ani się nie postrzegł, jak się tymczasem pokój napełnił, jak ciekawie na niego patrzano, pytano się służących i coś do siebie szeptano.

— Pozwoli pan dobrodziej służyć sobie barszczem, póki gorący? czy może wprzód mały kieliszek wódki, po naszemu, po żołniersku? — usłyszał наконец zapytanie. Podniósłszy prędko głowę, rzucił okiem wkoło. Okrągły stół obsiadły był samymi oficerami; ten zaś, co się go tak zapytał, starszy wiekiem i mający szlify pułkownika, zaczynał właśnie rozdawanie zupy i chciał, widąc, podać mu pierwszy talerz. Przypomniawszy sobie, że przyszedł do traktierni na obiad, choć się nie spodziewał, że będzie przy stole wspólnym, więc lekkim schyleniem głowy witając nieznaną towarzyszy: — Proszę o barszcz — odpowie — jeżeli pan pułkownik i dla mnie raczy być gospodarzem stołu. — Zaczął się obiad.

Ale tu zaraz trzeba czytelnikowi wyjawić tajemnicę. Rzeczywiście była w tym domu traktyernia, ale była na dole. Zamyślający się podróżny zaś poszedł wprost na pierwsze piętro, i zamiast do traktyerni zaszedł do mieszkania pułkownika, który tego dnia miał u siebie kilkunastu oficerów na obiedzie. Służący, widząc gościa tak śmiało wchodzącego i siadającego, byli pewni, że to jeden z zaproszonych, lubo zdziwiło ich, iż zamiast pójść na drugą stronę do gości zbierających się w salonie u pułkownika, przyszedł prosto do stołu. Że zaś pułkownik tak go uprzejmie zupą częstował, to stąd, iż jeden z oficerów poznał gościa. Pułkownik się z radością o jego imieniu dowiedział, wszyscy zgadli odrazu omyłkę, a gospodarz postanowił z niej korzystać i aż do końca obiadu nie dać się rzeczy wyjaśnić.

Tego spisku podróżny tymczasem ani się domyślał, pewny, że jest w traktyerni. Zachowywał się też tak, jak wolno jest przejeźdnemu, kiedy się znajduje w publicznem jakim miejscu. Do rozmowy się nie mieszał, ile że nikogo nie znał. Pułkownik i drudzy spytali go o coś parę razy, ale zbył ich krótką odpowiedzią; i żeby tem łatwiej dali mu pokój, odwrócił się do służącego i kazał podać sobie dziennik.

— Proszę o jaki dziennik — powtórzył, widząc że się tamten nie rusza i patrzy z uśmiechem na siedzących — *Gazetę* albo *Kuryerka*. Musicie przecie coś mieć. Tej potrawy nie jem, tymczasem bym przeczytał.

— Przyniesze panu *Gazetę* dzisiejszą albo *Kuryerka* — odezwał się także pułkownik; — ale ostrzegam, iż nie dziś niema ciekawego — przydał do gościa. — Kapitanie — rzekł jeszcze gospodarz do oficera, koło którego nasz podróżny siedział — nalejże, proszę, sąsiadowi; kieliszek próżny.

Podając kieliszek, podziękował uprzejmem skinieniem głowy; nie jednak nie powiedział, tylko przyniesioną gazetę zaczął przeglądać.

Miedzy współtowarzyszami stołu toczyła się tymczasem rozmowa. Wojskowi, więc mówili zwyczajnie o rzeczach wojskowych. Zgadało się, o czem ludzie wojny nigdy się podobno nie nagałają, o różnicach i pierwszeństwie broni. Ten wynosił piechotę, drugi utrzymywał przeciwnie, iż niemasz jak kawaleria.

— Za pozwoleniem panów — przemówił niespodzianie podróżny, który widać nie tak pilnie czytał, żeby nie słyszeć, co się koło niego mówiło, i w którym na odgłos tej szczerzej żołnierskiej rozmowy, dawna się widać żyłka odezwała — niech też i ja za swoją bronią słowo powiem. Nosiłem kiedyś mundur artylerzycki

i widywałem, że i piechota i jazda rade bywały naszym batoryom, gdy im niosły pomoc, i że, choć bez bagnetów i bez lanc, takżeśmy coś w bitwie znaczyli.

— Wierzę temu! — krzyknął pułkownik, ucieszony, że tak sam dobrowolnie przybył im do rozmowy — i niemało znaczyli! Właśnie chciałem powiedzieć, że gdybym obierał broń w starszym wieku, zawszebym obrał artylerję. To widzę mamy wśród siebie jednego kolegę więcej! Mości panowie! za honor artylerji i zdrowie obecnego kolegi artylerzysty wzniesiem wszyscy kielich. Przynieść szampana!

Nalano — i spełniono wesoło zdrowie. Tą serdecznością braterską, przypominającą mu dawne i młode czasy, tą grzecznością nieznajomych sobie oficerów podróżny nasz bardzo został ujęty. Chciał też natychmiast i tąsamą monetą odpłacić. — Jeszcze parę butelek tegosamego wina, tu przede mnie! — zawołał ochoczo na sługi, żeby się nie dać pułkownikowi w grzeczności pokonać.

Na znak gospodarza, postawiono przed gościem żądane butelki. Wesołość na wszystkie twarze strzeliła. Podróżny, nalawszy kieliszki a nakońcu i sobie, i powstawszy: — Za uczczenie broni mojej — rzecze — łatwiej mi jest podziękować, bo mówię o dobrej panów znajomej, z którą nieraz mieliście do czynienia i wiecie, czego warta. Ale trudniej mi nierównie podziękować za uprzejmość ich dla mnie osobiście, w którym widzicie nieznajomego tylko podróżnego. Nie tylko więc z podziękowaniem, ale z wdzięcznością wnoszę zdrowie twoje, szanowny pułkowniku, i przytomnych tu panów oficerów!

Zmieniła się zupełnie scena. Najszczersza zupełnie wesołość przy całym zakrółowała stole. Ów niedawno niemy czytelnik gazety był teraz rzadkiej przyjemności biesiadnikiem, serdecznym kolegą. Pamiątki z życia wojennego nadały miłej twarzy jego niezwykłą żywość. Na pełne dowcipu opowiadania, w których się to żołnierska swoboda, to znów serce artysty malowało, oficerowie nie posiadali się z radości, z wielką je chwytając ciekawością. Obiad najprzyjemniej upłynął. Dano kawę przy tym samym stole. Pułkownik niby naturalnie zmieniając przedmiot rozmowy: — Ale ciebie poruczniku — rzecze do jednego z przytomnych — który z wojną nie miałeś jeszcze czasu poznać się brat za brat, te nasze obozowe rzeczy nudzą może. Powiedzże nam co o swoim innym świecie, w którym tak lubisz przebywać. Wczoraj odebrałeś z Warszawy coś nowego. Bo nasz młody kolega — kończył zwracając o nim mowę do gościa — jest między nami literat. Wszystek czas wolny od służby topi w książkach.

Podróżny spojrział na młodego literata z wyraźnem zainteresowaniem się; ten na zaczepkę pułkownika i myśl jego zgadując:

— Odebrałem — odpowie — istotnie parę rzeczy nowych, ale nie bardzo kontent. Nie codziennie dobre książki wychodzą.

— Bo ty, kochany poruczniku — mówił pułkownik — prawem swojego wieku jesteś zwyczajnie entuzjastą: zawsze chciałbyś poezyi, i samej tylko poezyi. A ja myślę, że poezya to tak jest, jak kawalerja: przednia rzecz i świetna, niema co mówić, ale główna siła literatury będzie podobno w prozie, jak siła armii w piechocie. Historję i inne nauki przyrównałbym do artylerji, co i jednej i drugiej potrzebna. A już to trochę poezyi, żywość i malarstwo stylu, wszędzie być powinno, choć przy najpoważniejszej rzeczy, jak szwadron assekuracji przy armatach, bo inaczej nudy wpadną i wszystko do dyabła zabiorą.

Podróżny rozśmiał się na tę uwagę; pułkownik zaś pytał się młodego oficera, co to za wiersze deklamował rano z takim zapalem.

— A! to mego ulubionego poety, kochanego naszego pisarza, Brodzińskiego.

Podróżny schylił nagle głowę i napił się trochę kawy. — Czemże ten pisarz mógł się panu podobać? — zapytał niby z obojętnością.

— Czem mógł się podobać? — odrzekł z zapalem młodzieniec — poeta tak serdeczny, tak wielki, tak religijny! Któż mający choć najmniej duszy, najmniej poetyckiego uczucia, mógłby bez wzruszenia czytać Brodzińskiego?

— Nadtoś na niego łaskaw, panie poruczniku, i nadtoś w pochwałach szczodry — rzecze z uśmiechem podróżny. — W Brodzińskim, choć go pan tak bierzesz w obronę, nie możesz nie przyznać, iż jest wiele niepoprawności, pośpiechu, jednym słowem rzeczy niedobrych, mało wartych. Być może, że jeszcze napisze co lepszego, jeżeli mu Bóg da życia, ale z dotychczasowych...

— Z dotychczasowych — przerwał oficer — co piękniejszego jak Wiesław? Jeden taki poemat z tem wszystkim, co pan tam nazwiesz niepoprawnością, więcej wart niż dziesięć tomów poprawnych, gdzieby napróżno szukać tego serca, tej prostoty, tej prawdy.

Na dowód tego zadeklamował z uczuciem, wyraźnie, właściwym tonem jeden i drugi ustęp z poezyi Brodzińskiego. Wszyscy, nie wyjmując podróżnego, słuchali z upodobaniem; wszyscy, oprócz podróżnego, głośno pochwalili.

— Musisz się pan poddać — odezwał się do gościa puł-

kownik — ładne, wspaniałe, unoszące. Ja tam się na tem wprawdzie nie znam, i lepiej poznam, czy dobrze usztyftowany pułk, jak poemat, ale takie wiersze to i mnie się podobają.

Wtedy podróżny wzruszonym wyraźnie głosem odezwał się do porucznika: — Miał pułkownik rację nazwać pana entuzystą. Twojato młoda i ognista dusza tak pełnem, tak pięknem współczuciem poecie odpowiada, że on ci się bogatszy i tkliwszy, niż jest w istocie, wydaje. Nie mam ja interesu bić na szczęśliwego poetę, który w panu znalazł tak łaskawego obrońcę, miło mi jest owszem, że to o nim usłyszał. Pozwolą panowie — dodał wstając, i zarazem wszystkich do powstania poruszywszy — że im już podziękuję za przyjemnych parę godzin, za braterstwo dla dawnego artylerzysty, nawet panu, panie poruczniku, za pochwałę pisarza, który mnie osobiście z bliska obchodzi. Muszę tylko jeszcze — kończył, dobywszy woreczek i wysypując na rękę pieniądze — podziękować gospodarzowi, bo istotnie obiad i wino doskonałe, kawa jedna trochę była zimna; nie spodziewałem się w Piotrkowie takiej uczty. — I odwrócił się do służących zapłacić, co winien.

— Z gospodarzem — rzekł pułkownik, zbliżając się do swego gościa, w czasie gdy na twarzach wszystkich oficerów była ciekawość i niecierpliwość — będziesz pan miał trochę kłopotu, ale wszyscy, których tu widzisz, wstawiamy się za nim.

— Cóż to jest? co on zrobił? — przemówił z niespokojnością podróżny, który ani słów pułkownika ani miny jego towarzyszy nie mógł zrozumieć.

— Zdrajca jest. Z najszkaradniejszą chytrą z omyłki twojej skorzystał, żeby cię u siebie zatrzymać, i prosi teraz przebaczenia. Tym winowajcą, którego koleżeński obiad raczyłeś pan pomimo woli i wiedzy przytomnością swoją zaszczyścić i który ci za to z duszy serca dziękuje, a za zimną kawę przeprasza — jestem ja sam. Traktyernia, do której zejść chciałeś, jest w tymże domu na dole, a pan w tym momencie jesteś w mieszkaniu mojem.

— Czy podobna! i nikt mię nie przestrzegł? — rzecze z wielkiem pomieszaniem podróżny; — czy można mnie było w takiej omyłce zostawiać!

— Stało się! — odpowie pułkownik — wreszcie oto jest pierwsza wszystkiego przyczyna — dodał, przedstawiając młodego porucznika. — Tento kawaler pana poznał, kiedyśmy cię tu zastali zamyślonego, i od niego dowiedzieliśmy się, kogo przypadek dawał nam za gościa.

— Jakto! i to jeszcze! panowie wiedzieli, kto jestem? — zawołał Brodziński. — Ależ to wino, które kazałem przynieść!...

— Któreśmy wypili? — przerwał mu pułkownik. — Było oczywiście z mojej piwnicy: sameś pan znalazł, że niezłe; więc się gniewać nie możesz.

Gniewać się byłoby niepodobieństwo; trzeba było owszem śmiać się, przepraszać, dziękować.

— Dawny żołnierz, przyjmuję — rzecze — od kolegów ten żart takim sercem, jakim był uczyniony, ale na pułkownika areszt kładę, i trzeba mi na nim koniecznie zemsty. Proszę mi przyrzec, że za pierwszą w Warszawie bytnością raczysz zjeść obiad u mnie. Na ten dzień, który będzie dla mnie świąteczny, postaram się, żeby i profesorskie wino nie było najgorsze.

— Zgoda! najchętniej! — krzyknął pułkownik, ściskając wesoło rękę szanownego gościa.

Przeszli wszyscy do salonu. Tam Kazimierz Brodziński jeszcze trochę czasu zabawił, żartując z swojej szczególnej omyłki, śmiejąc się zwłaszcza z owej gazety, którą tak bezpiecznie kazał sobie do stołu przynieść. Wkońcu ponowił jeszcze podziękowanie i, nim wyszedł, przypomniał pułkownikowi obietnicę; porucznika zaś, który się ofiarował odprowadzić go do hotelu, czule uściśnął.

Wedł. *Stefana Witwickiego* (Gadu, gadu).

165. Rodzinne strony.

Rodzinna strzecho! o wiejski kościółku!

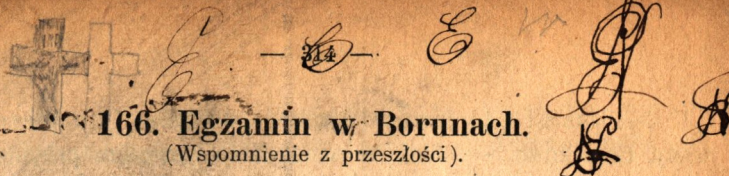
Jakby nie było gdzie się sercem zwrócić,
Wiecznie wracacie jak w zakłętym kółku,
By skrzepłą duszę ku miłości cucić...

I wiecznie, wiecznie, jakby głos skowronka,
Każdej się wiosny odzywa tęsknota
Do owej strzechy i tego kościółka,
Gdzie nam świeciła z młodu zorza złota!

A czy szczęśliwie, czy tam padło marnie,
Ojczystej lipy najcienistsze chłody,
Rodzinnej wioski najzieleńsze darnie,
Domowych źródeł najweselsze wody.

Bo jak Stróż anioł, jak anioł pociechy
Postać rodziców górą się unosi,
Co młodość strzegła (a dziś może grzechy!)
I dla nas w niebie tam o łaskę prosi...

Wincenty Pol.



166. Egzamin w Borunach.

(Wspomnienie z przeszłości).

Pod opieką słynącej cudami Matki Boskiej w Borunach na Litwie, wzrastało i uczyło się w szkołach bazylianских na początku naszego wieku kilkaset dzieci corocznie. Wśród pracy w szkole i w domu, przeplatanej nierzadko zabawami studenckimi, schodził jakoś rok Boży, a przybliżały się wakacje. Oczekiwany z tęsknotą, przychodził w końcu czerwca Piotr św., i w jednejże chwili kluczami swymi zamykał szkołę i otwierał studentom wrota do raju, to jest puszczał ich na wakacje do domu. Ale wprzód odbyć się musiał publiczny popis młodzieży, połączony z uroczystem nabożeństwem dziękczynnem.

W dniu 29. czerwca, wspaniała nawa boruńskiego kościoła nappełniała się około niespornej godziny gośćmi rozmaitego wieku i stanu. W ławkach po prawej stronie, i od ławek aż do wielkiego ołtarza, na kilku rzędach krzesel, umieszczał się ten tłum różnowzory: babunie, mamy, ciocie, siostrzyczki, na przodzie — a za nimi: dziadulcowie, ojcowie, wujaszki i t. d. Wtem w sto par i więcej wchodzi młodzież, i klasami ustawia się naprzeciw publiczności; a tymczasem ksiądz fizyk ustawia z boku na stoliku maszynę elektryczną i baterję butelek lejdejskich, ksiądz matematyk zawiesza na koźlach wykreślone na przepych geometryczne figury, a sam ksiądz prefekt porządkuje na drugim stoliku ćwiczenia uczniów przepisane na czysto, dalej zielniki, plany miernicze dokonane zbiorowemi siłami uczniów, rysunki tuszem i kredką; na wierzchu kładzie Księgę złotą, zawierającą imiona celujących uczniów, i naciska to wszystko globusem, jakby znakiem widomym chciał dać poznać, że wszelkiej doskonałości ludzkiej głową — świat. Nakoniec wszyscy się uszykowali z ufnością, że wszystko pójdzie jak z płatka, bo cały program był już kilkanaście razy przepróbowany.

Więc na skinienie z dołu symfonia studenckiej muzyki otwiera obrzęd; po niej występują jedni po drugich malcy i różnymi językami witają publiczność. Po minie, a czasem po rozrzewnieniu mamy lub tatulka poznałbyś, czyj syn oratorem. Rozniesione wnet potem i rozdane jakby kwiaty z kosza rysunki zajmują bardziej płęć piękną, aniżeli całe popisy. Zaproszeni tymczasem na egzaminatorów, pan podkomorzy, pan szambelan i pan budowniczy, wystąpili na środek. Na zadawane pytania odpowiadano wyśmienicie, bo nieukom w wigilię egzaminu wyjechać dozwolono. Szedł tak popis klas po kolei z po-

chwałami sypanemi szczątkami
uczniowie szeroko o obłożeniu
dach babilońskich i urodzajach assyrijskich
nigdy na Litwie nie było, przyznali zgodnie
i globus, a pośrednie między geografią a astronomią trzymając między
koleją dla pierwszej to dla szóstej klasy pękate swe wychylał lice.
Z porządku przyszła poezya i wymowa — i dała powód do deklamacyi
wierszów i prozy z celniejszych naszych ośmnastego wieku
autorów. — Tak przebiegano a raczej prześlizgiwano się lekko po
wszystkich naukach. I przedłużałby się egzamin dalej, ale stojący
przy swojej maszynie elektrycznej ksiądz fizyk zniecierpliwiony zawołał: »Czwarta klasa, mosanie, z fizyki!« — »Co to jest piorun? —
powie pan Leonard«. — »Piorun«, odpowiedział głośno i śmiało wezwany, jest to elektryczność, a dowodem tego butelka lejdejska«. —
»Brawo! wyśmienicie! mosanie; a zatem proszę do maszyny i zrób
nam wasan piorun, mosanie« rzekł ksiądz fizyk. Powszechna protestacya
przeciw temu expérymentowi objawiła się pośród dam, ale świadomsi rzeczy egzaminatorowie ośmielili wszystkich i pan Leonard,
pokręciwszy kilka minut banie, nabił baterię i dał ognia; a piorun
nikogo nie przestraszył, a wszystkich zabawił. — »Pan Ksawery powie
nam, mosanie, o balonach!« odezwał się znowu ksiądz fizyk. —
»Wielki wynalazek — na złamanie karku...« wtrącił ktoś z tłumu.
Ksiądz fizyk spojrzał ostro w tamtą stronę, lecz nie dostrzegł winowajcy,
a tymczasem pan Ksawery, niez mieszan, historię tego wynalazku ogłosił publiczności.

Powstał nakoniec ksiądz prefekt i, roztworzywszy Księgę złotą, po krótkiej przemowie odczytał zapisane w niej imiona celujących w każdej klasie uczniów i promocyę do klas wyższych.

Wtem wśród huku trąb i kotłów opadła zasłona ołtarza, i obraz cudowny Matki Boskiej w świetnej gwiazdzie z drogich kryształów i kamieni, zajaśniał nad zgromadzeniem. Tłum cały, napełniający świątynię, upada na kolana; starzy i młodzi, dziatwa i rodzice, kapłani i pospólstwo, ubodzy, napełniający kruchtę, wszyscy pokorne do ziemi schylają czoła; natenczas kilkunastu młodzieńców powstaje i występuje z szyku, zbliżają się wprost do ołtarza, klękają na stopniach, i wnet rozległ się chór dobranych, czystych, dźwięcznych, a mocnych głosów: *Sub tuum praesidium confugimus etc.* Ileż to serc razem, ileż westchnień i modłów wzniosło się natenczas do Boga! ileż wzajemnie nadziei i wesela spływało z ołtarza w serca ojców

166. Egzamin w Borun, cichej powszechnej mo

(Wspomnienie z przeszłości się zasłona i zakryła obraz

Pod opieką słynącej cudami Matki, a na twarzach wszystkich
twie, wzrastało i uczyło się w. Upenie z obecnej chwili zadowolenie jaśniały
naszego wieku. I w końcu na organach marsz huczny, przeprowadzający
i w gości wychodzących z kościoła i siadających do pojazdów, których
liczna kawalkata cały wypełniała rynek. Pożegnania się kolegów, gwałtowny
powszechny tak liczny zebrania, turkot odjeżdżających pojazdów
trzaskanie z biczów podpiłych furmanów, przerywające jakby wystrza-
łami z pistoletów cienie wykrzykiwania młodzieży — wszystko to
razem tworzyło scenę malowniczą i ruchomą, która całemi szmatami
od ogólnego odrywała się obrazu i coraz wolniejszym zostawiała tło
samo onego, to jest rynku boruńskiego. Nakoniec wszystko się w roz-
maite rozpięchło strony, a rynek został pusty i głuchy.

Wedł. Ign. Chodźki (Obrazy litewskie).

167. Psalm 144.

Chwalić Cię będę, Królu mój i Panie,
Wielbić Tve imię, póki wieku stanie;
Boś Ty jest wielki i godzien pochwały,
A Twej wielkości nie zrówna świat cały!

Chwałę Twą, Boże, niechaj wszyscy głoszą,
Niech Twą wszechmocność po świecie roznoszą;
Niechaj powszechnie ziemia pozna całą,
Jaka jest Twoja potęga i chwała.

Ty dźwigasz, którym upaść się zdarzyło,
Podnosisz, których nieszczęście rzuciło;
Oczy nas wszystkich zwrócone na Ciebie —
Ty nam używasz Twej łaski w potrzebie.

Otwierasz rękę, Ojcem nam się stawisz,
Żywiołom wszystkim hojnie błogosławisz:
Boże, w Twych drogach sprawiedliwy byłeś,
Święty we wszystkim, co kiedy zrobiłeś!

Blizki Ty jesteś tym, co Cię wzywają,
Co wzywając Cię, prawd Twoich szukają;
Zawsze do tego łatwo Cię przywiodły,
Czego żądały, uniżone modły.

Ty strzeżesz wszystkich, którzy Cię kochają —
Zgubisz grzeszników. Usta me wyznają
Pochwały Twoje i każda rzecz żywa
Imienia Twego niechaj chwałę śpiewa.

F.: Karpiński.

1855





